

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

AIMEE

Gdzie jest moje ukochane dziecko?

MOLLOY

Jak ja to wszystko przetrwam?

IDEALNA

Kiedy ten koszmar się skończy?

MATKA



AIMEE

MOLLOY

IDEALNA

MATKA

**Przełożyła
Berenika Janczarska**

**Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2019**

Tytuł oryginału: *The Perfect Mother*

Redakcja: Anna Brzezińska

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia na okładce: © Mario Lalic / The Image Bank / Getty Images

Zdjęcie autorki: © Nina Subin

Korekta: Dorota Ring

Copyright © 2018 by Aimee Molloy. All rights reserved.

Copyright for the Polish translation © by Berenika Janczarska 2018

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 9788380158047

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 2519; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[MAJOWE MAMY](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

Dla Marka

Trzy ślepe myszki, trzy ślepe myszki,
Zobacz, jak biegają, zobacz, jak biegają!

MAJOWE MAMY

Mama: Francie Givens

Partner: Lowell

Imię dziecka: Will

Zawód: Pełnoetatowa mama (i początkująca fotograf!)

Miasto rodzinne: Estherville, Tennessee

Powitanie: Mój mąż i ja jesteśmy nowi w Nowym Jorku, więc nie mogę się doczekać, aż poznam inne mamusie! Lowell jest architektem; oboje długo czekaliśmy na maleństwo. Nie mogę się doczekać naszego pierwszego spotkania!

Mama: Nell Mackey

Partner: Sebastian

Imię dziecka: Beatrice

Zawód: Szefowa działu technologicznego w Simon French Corporation

Miasto rodzinne: Bristol, Rhode Island

Powitanie: Witajcie mamusie (i biedni tatusiowie, wciągnięci do tej grupy). Jestem Nell. Przybyłam z Londynu, jestem technologicznym nerdem, wracam do pracy za kilka tygodni. Mam nadzieję, że spotkam tu podobnie myślących rodziców,

koleżeńskich i z poczuciem humoru.

Mama: Winnie Ross

Partner: Nie dotyczy

Imię dziecka: Midas

Zawód: Dyrektor fundacji rodzinnej

Miasto rodzinne: Nowy Jork

Powitanie: Czekam z niecierpliwością na zostanie członkiem tej grupy.

Mama: Colette Yates

Partner: Charlie

Imię dziecka: Poppy

Zawód: Ghostwriter

Miasto rodzinne: Boulder, Colorado

Powitanie: Ja i mój partner jesteśmy pisarzami; będziemy mieć córkę. Będziemy nazywać ją Poppy, przezwiskiem, które nadaliśmy jej w 12 tygodniu. Mam nadzieję na domowy poród bez komplikacji, w połowie maja.

PROLOG

DZIEŃ MATKI, 14 MAJA

Joshua.

Budzę się, rozpalona gorączką.

Deszcz bębni o światełlik, błędzę dłońmi po prześcieradle, aż przypominam sobie, że jestem sama. Zamykam oczy i zasypiam, ale znowu się budzę, owładnięta głębokim, przesywającym bólem. Od kiedy odszedł, co rano budzę się chora, ale teraz to coś innego.

Coś tu nie pasuje.

Nie daję rady iść i padam plackiem na podłogę pokrytą piaskiem i kurzem. Doczołguję się do salonu, gdzie jest telefon, ale nie wiem, do kogo zadzwonić. Tylko z nim chcę rozmawiać. Muszę mu powiedzieć, co się dzieje, usłyszeć od niego, że wszystko będzie dobrze. Muszę mu przypomnieć, tylko ten jeden raz, jak bardzo go kocham.

Ale nie odbierze. Albo jeszcze gorzej, wysyczy do słuchawki, że nie zamierza tego dłużej znosić, że jeśli jeszcze raz zadzwonię, to...

Ból ściska mi lędźwie tak mocno, że tracę oddech. Czekam, aż minie, na moment ulgi, ale nie nadchodzi. O niczym podobnym nie pisali w książkach, o niczym takim nie mówił lekarz. Przekonywał, że ból będzie narastał stopniowo. Że będę wiedziała, co robić. Że będę panować nad sytuacją. Że posiedzę sobie na specjalnie w tym

celu zakupionej piłce gimnastycznej. Zostanę w domu najdłużej, jak się da, by uniknąć medycznej aparatury, leków, wszystkich tych rzeczy, które serwują w szpitalu, chcąc doprowadzić do porodu, zanim twoje ciało jest gotowe.

Moje nie jest. To dopiero dwa tygodnie przed terminem i nie jestem gotowa.

Skupiam się na telefonie. Nie wybieram jego numeru, tylko jej, Albany, wykolczykowanej położnej, którą widziałam dwa razy w życiu.

„Odbieram poród i nie mogę teraz rozmawiać. Proszę...”.

Doczołguję się z laptopem do łazienki, siadam na zimnych kafelkach, kładę na szyi wilgotną myjkę, a na krągłym wzniesieniu, pod którym kryje się mój syn, stawiam urządzenie. Otwieram pocztę i piszę do nich wiadomość, do Majowych Mam.

Zastanawiam się, czy to normalne. Gdy to piszę, drżą mi ręce. Ból jest przeszywający. To dzieje się zbyt szybko.

Nie odpowiedzą. Wyszły na kolację, zjeść coś ostrego, co przyspieszy poród, kradną mężom łyk piwa, ciesząc się spokojnym wieczorem we dwoje, doznaniem, z którym doświadczony matki radziły nam pożegnać się na zawsze.

Rozlega się sygnał przychodzącej wiadomości. Kochana Francie. Zaczęło się! – pisze. Licz skurcze i każ mężowi masować ci krzyż.

Jak idzie? – pisze Nell. Mija dwadzieścia minut. Wciąż boli?

Ból wszedł w bok. Ledwo daję radę pisać. Tak.

Robi mi się ciemno przed oczami, a gdy znowu jestem w stanie widzieć – dziesięć minut później, godzinę, nie mam pojęcia, ile mija czasu – czuję tępy pulsujący ból od guza na czole. Czołgam się

z powrotem do salonu. Słyszę, jakby gdzieś wyło zwierzę, i dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja wydaję te dźwięki. *Joshua*.

Udaje mi się dowlec do kanapy, opieram się na poduszkach. Dotykam się dłonią między nogami. Krew.

Zarzucam na nocną koszulę cienką kurtkę przeciwdeszczową. Cudem schodzę po schodach. Dlaczego nie spakowałam torby? Majowe Mamy tyle razy pisały, co spakować, a moja torba wciąż stoi pusta w szafie. Bez iPod'a z relaksującą muzyką, bez wody kokosowej, bez olejku miętowego na mdłości. Bez wydruku planu porodu. Stoję w mdłym świetle latarni, trzymając się za brzuch, aż nadjeżdża taksówka. Gramolę się na lepkie tylne siedzenie, starając się nie zwracać uwagi na zaniepokojoną minę kierowcy.

Zapomniałam wziąć ubranko dla dziecka, kupione specjalnie na wyjście ze szpitala.

W klinice ktoś kieruje mnie na szóste piętro, a tam każą mi czekać w izbie przyjęć.

– Proszę – mówię w końcu do kobiety siedzącej za biurkiem. – Mam dreszcze i kręci mi się w głowie. Czy mogłaby pani zadzwonić do mojej pani doktor?

Nie ma jej dzisiaj na dyżurze. Jest inna lekarka z przychodni, nieznana mi. Siadam na zielonym plastikowym krześle, cała struchlała ze strachu, a spomiędzy nóg wycieka mi płyn cuchnący jak ziemia, jak błoto na naszym podwórku, które przekopywałyśmy z mamą w poszukiwaniu glist, gdy miałam sześć lat.

Wchodzę na korytarz, mobilizuję wszystkie siły, by trzymać się prosto, przed oczami mam jego twarz, jego minę, gdy powiedziałam mu o ciąży. Był wściekły, krzyczał, że go wrobiłam.

Kazał mi pozbyć się dziecka. „Wszystko zrujnuje – mówił. – Moje małżeństwo. Reputację. Nie możesz mi tego zrobić”.

„Nie pozwolę ci”.

Nie powiedziałam mu, że widziałam już zielone światelko migające w rytm bicia serca, że słyszałam wibrujący stukot tętna rozchodzący się z głośników na suficie. Nie powiedziałam, że to dziecko to największe pragnienie mojego życia.

Czyjaś krzepka dłoń podnosi mnie z podłogi. Grace. Tak ma napisane na plakietce. Grace prowadzi mnie do pokoju, obejmuje rękoma w talii i mówi, żebym położyła się na łóżku. Opieram się. Nie chcę się kłaść. Chcę wiedzieć, czy z dzieckiem jest wszystko w porządku. Chcę, żeby ból zelżał.

– Chciałabym prosić o znieczulenie zewnątrzoponowe – mówię.

– Przykro mi – odpowiada Grace. – Za późno.

Chwytam ją za rękę, szorstkie od zbyt częstego mycia płynem dezynfekującym i szpitalną wodą.

– Nie, błagam. Jak to za późno?

– Na znieczulenie.

Wydaje mi się, że słyszę kroki na korytarzu spieszące w stronę mojej sali. Wydaje mi się, że słyszę, jak woła moje imię.

Poddaję się i kładę. To on. Joshua woła mnie w ciemności. Jest lekarka. Mówi do mnie, owijają mi czymś ramię, igła sunie gładko pod skórę w zgięciu łokcia, jak ostrza łyżew po lodzie. Pytają, kto ze mną przyszedł, gdzie jest mój mąż. Pokój zaczyna wirować i znowu czuję ten zapach. Płynu, który się ze mnie wylewa. Zapach ziemi i błota. Kości mi pękają. Cała płonę. To na pewno nie przebiega tak, jak powinno.

Czuję, jakby mnie miażdżono. Czuję, jakbym płonęła. Czuję, jak
moje ciało, moje dziecko rozpada się na pół.

Zamykam oczy.

Prę.

ROZDZIAŁ 1

CZTERNAŚCIE MIESIĘCY PÓŹNIEJ

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 4 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWÓJ MALUCH: 14 MIESIĘCY

Z okazji Dnia Niepodległości mamy dla Was poradę o autonomii. Czy zauważyłaś, że Twój dotąd nieustraszony mały mężczyzna nagle zaczyna się wszystkiego bać, gdy tylko znikniesz z zasięgu jego wzroku? Słodka psina sąsiada jest teraz przerażającym drapieżnikiem. Cień na suficie bezrękim upiorem. To normalne, że Twój maluch zaczyna wyczuwać zagrożenia w otaczającym go świecie. Twoim zadaniem jest pomóc mu zapanować nad tymi lękami, przekonać go, że jest bezpieczny nawet wtedy, gdy Cię nie widzi, że mama zawsze będzie go chronić, choćby walił się świat.

Jak ten czas szybko płynie.

Czy nie to zawsze powtarzają ludzie? Nieznajomi kładący nam dłonie na brzuchu, przekonujący, że powinniśmy hołubić każdą chwilę. Że to wszystko minie w mgnieniu oka. Jak, zanim się zorientujemy, dzieci będą chodziły, mówiły, odejdą od nas.

Upłynęło czterysta jednaście dni i czas wcale nie pędził jak

szalony. Zastanawiałam się, co by powiedział doktor H. Czasami zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem w jego gabinecie, wizyta dobiega końca, kolejny pacjent niecierpliwie stuka stopą o podłogę poczekalni. *Ma pani skłonność do brania wszystkiego pod lupę, powiedziała by. Ale, co ciekawe, nigdy pozytywnych aspektów życia. Przyjrzyjmy się im.*

Pozytywne aspekty życia.

Twarz mojej mamy, to, jak łagodnie czasami wygląda, gdy jesteśmy tylko we dwie, jeżdżąc samochodem i załatwiając sprawy, w drodze nad jezioro.

Światło o poranku. Dotyk deszczu.

Te leniwe popołudnia w parku na ławce – dziecko robiło mi w brzuchu salta, spuchnięte stopy, wyglądające jak poobijane brzoskwinie, wylewały mi się z sandałów. Zanim zaczęły się wszystkie problemy, gdy Midas nie był jeszcze „Małym Midasem”, sprawą najwyższej wagi i tematem numer jeden dla wszystkich, gdy był zwykłym noworodkiem z Brooklynu, jednym z miliona, niczym się niewyróżniającym spośród tuzina innych dzieci, z jasno malującą się przyszłością i dziwacznymi imionami, śpiących w kręgu na spotkaniu Majowych Mam.

„Majowe Mamy”. „Klub mamusiek”. Nigdy nie lubiłam tego określenia. „Mamuśka”. Jest takie manieryczne, takie upolitycznione. Nie byłyśmy mamuškami. Byłyśmy matkami. Ludźmi. Kobietami, które akurat w tym samym czasie przechodziły owulację, a potem w tym samym miesiącu urodziły dziecko. Obce kobiety, które postanowiły – dla dobra swoich dzieci, dla własnego zdrowia psychicznego – zostać przyjaciółkami.

Zarejestrowaliśmy się na stronie The Village – „Ulubiony portal brooklyńskich rodziców™” – najpierw przez całe miesiące poznawaliśmy się poprzez mejle, a dopiero potem spotkałyśmy, na długo przed przyjściem na świat naszych dzieci. Analizowałyśmy każdy szczegół nowej sytuacji życiowej z drobiazgowością, której nie znieśliby nasi dotychczasowi przyjaciele. Rozwodziłyśmy się nad tym, jak dowiedziałyśmy się o ciąży. Nad pomysłowymi sposobami zakomunikowania tej informacji naszym matkom. Przerzucaliśmy się pomysłami na imiona dla dzieci i obawami o przeponę miedniczną. To Francie zaproponowała, żebyśmy spotkały się osobiście, pierwszego dnia wiosny, więc pięknego marcowego poranka wszystkie dotaszczyłyśmy nasze trzeciosemestralne do parku. Usiadłyśmy w cieniu i napawając się zapachem świeżo przebudzonej trawy, cieszyłyśmy się swoją obecnością, tym, że w końcu możemy przypasować twarze do imion.

Kontynuowałyśmy spotkania. Zapisaliśmy się razem do szkoły rodzenia, na ten sam kurs pierwszej pomocy, na zajęciach jogi razem wyginałyśmy kręgosłup w pozycji kot-krowa. Potem, w maju, zaczęły przychodzić na świat dzieci, wprost na najgorętsze lato w historii Brooklynu.

„Brawo! Spisałaś się na medal!”, odpowiadałyśmy na wiadomość o narodzinach dziecka, gruchając jak zaprawione babacie nad załączonym zdjęciem noworodka opatulonego niebiesko-różowym szpitalnym kocykiem.

„Co za polisie!”.

„Witaj na świecie, maleństwo!”.

Niektóre z nas bały się przez długie tygodnie wyjść z domu, a inne nie mogły się doczekać spotkania i pokazania sobie dzieci. (Byłyśmy jeszcze tak onieśmielone tym wszystkim, że nie odnosiłyśmy się do nich po imieniu – Midas, Will, Poppy, ale po prostu „dziecko”). Wolne od konieczności chodzenia do pracy przez najbliższych kilka miesięcy, może także od trosk o karierę, spotykałyśmy się dwa razy w tygodniu, zawsze w parku, najczęściej pod wierzbą, obok boiska do bejsbolu (o ile któraś z nas przysłała na tyle wcześnie, by zająć to oblegane miejsce). Skład grupy bardzo się zmienił. Dołączyły nowe mamy, a te, do których twarzy się przyzwyczaiłam, odeszły – sceptyczki, doświadczone matki, które nie mogły znieść zbiorowej hysterii, te, które przeniosły się na ekskluzywne przedmieścia Maplewood czy Westchester. Zawsze jednak mogłam liczyć na trzy regularne bywalczynie.

Przede wszystkim na Francie. Jeśli nasz klub miał jakąś cheerleaderkę, kogoś, kogo można by ubrać w piórka, by z okrzykiem poprowadził naszą drużynę ku macierzyństwu, to była nią właśnie ona. Nieustannie dążąca do ideału Panna Przymilna, napuchła nadzieją i kalorycznymi południowymi węglowodanami.

Potem Colette, pupilka wszystkich, zaufana przyjaciółka. Jedna z tych pięknych kobiet z kasztanowymi włosami jak z reklamy szamponu, z nabytym w rodzinnym Kolorado naturalnym sposobem bycia, orędowniczka domowych porodów – kobiecość w postaci doskonałej, przyprószona cukrem pudrem.

I wreszcie Nell: Brytyjka, chłodna, wystrzegająca się poradników i eksperckich zaleceń. Pani Zaufajcie-Swojemu-Instyktowi. Pani No-jak-Boga-kocham-nie-powinnam. (No jak

Boga kocham nie powinnam jeść tej czekoladowej muffinki. Tych chipsów. Pić trzeciego dzinu z tonikiem). Pod jej niewybredną powierzchownością skrywało się jednak coś jeszcze, coś, co zauważyłam już pierwszego dnia: Nell, podobnie jak ja, miała swój sekret.

Nigdy nie zamierzałam być zaprzysiężonym członkiem klubu, ale jak tylko dałam radę, taszczyłam swój ciężowy brzuch, a potem pchałam wózek przez wzgórze do parku. Siadałam na kocu, wózek parkowałam obok innych w trójkątnej łacie cienia pod wierzbą i powoli zapadłam w stan odrętwienia, słuchając ich pomysłów na rodzicielstwo, na to, jak należy robić to czy tamto. Karmienie wyłącznie piersią. Rozpoznawanie preferencji dziecka co do „usypiaczy”. Noszenie dziecka w chuście, gdzie tylko się da, jakby było ekskluzywnym ciuchem upolowanym w Bloomingdale. Nic dziwnego, że w końcu je znienawidziłam. Kto byłby w stanie słuchać tych wszystkich peror wygłaszanych tonem nieznoszącym sprzeciwu? Tych osądów?

A co, jeśli nie nadążasz z tym wszystkim? Co, jeśli nie karmisz piersią? Jeśli na przykład prawie straciłaś mleko, niezależnie od tego, ile chińskich ziółek wypijasz i ile godzin siedzisz w nocy z laktatorem? Co, jeśli jesteś doszczętnie wyczerpana i nie masz już czasu ani pieniędzy, by wypróbować kolejne „usypiacze”? Co, jeśli zwyczajnie nie masz siły przygotowywać przekąski na spotkanie?

Colette przyniosła muffinki. Za każdym razem przynosiła dwadzieścia cztery minimuffinki z drogiej cukierni, którą niedawno otwarto w miejscu dawnego tapas baru. Rozpakowywała pudełko i rozdawała je, sięgając nad niemowlakami. „Winnie, Nell, Scarlett,

częstujcie się – mówiła. – Smakują nieziemsko”.

Oczywiście mnóstwo matek grzecznie odmówiło, informując, ile jeszcze kilogramów zostało im do zgubienia, po czym wyjęło swoje marchewki i pokrojone na cząstki jabłka, ale nie ja. Mój brzuch był tak samo płaski i jędrny jak przed ciążą. Powinnam podziękować za to mamie. Dobre geny – zawsze to słyszałam. Ludzie mówili, że jestem wysoka i smukła, że mam niemal symetryczną twarz. Nie wspominali jednak o drugiej puli genów, które odziedziczyłam. O tych, których nie przekazała mi moja będąca uosobieniem harmonii matka, tylko mój wybitnie nie zrównoważony emocjonalnie ojciec.

Geny Joshui nie są lepsze. Rozmawiałam z nim o tym czasami, pytając, czy się martwi swoim genetycznym obciążeniem, które da się przełamać tylko ciężką pracą. Schedą po swoim szalonym ojcu, genialnym lekarzu alkoholiku, ciepłym i czarującym dla pacjentów, brutalnym dla domowników.

Ponieważ jednak Joshua nie lubił, gdy mówiłam o jego ojcu, nauczyłam się na jego temat milczeć. Oczywiście o niczym z tego – ani o moich genach, ani o Joshui, ani o jego ojcu – nie wspominałam Majowym Mamom. Nie mówiłam im, jak wszystko jest trudne bez Joshui. Jak bardzo go kocham. Że oddałabym wszystko – absolutnie wszystko – by znowu z nim być. Choćby przez jedną noc.

Nie mogłam im tego powiedzieć. Nikomu nie mogłam tego powiedzieć. Nawet doktorowi H, wybitnemu psychiatrze, który zamknął swój gabinet właśnie w chwili, gdy najbardziej potrzebowałam jego pomocy, przenosząc się z żoną i trójką dzieci

na Zachodnie Wybrzeże. Byłam sama jak palec, więc owszem, na początku przychodziłam na ich spotkania, w nadziei, że odnajdę z nimi wspólny język, że połączy nas coś w naszym wspólnym doświadczeniu macierzyństwa, co rzuci promyk światła na mrok tych pierwszych kilku miesięcy, które są ponoć najtrudniejsze. „Będzie łatwiej”, piszą eksperci. „Czas goi rany”.

No cóż, wcale nie zrobiło się łatwiej. Obwiniano mnie o to, co stało się tamtej nocy. Czwartego lipca. Ale nie ma dnia, bym nie przypominała sobie, jaka jest prawda.

To nie moja wina. Tylko ich.

To przez nie Midas zaginął, a ja straciłam wszystko. Nawet teraz, rok później, gdy siedzę sama w więziennej celi, obmacując twardą postrzępioną bliznę na brzuchu, myślę, jak inaczej wszystko by się potoczyło, gdyby nie one.

Gdybym się nie zapisała do tej grupy. Gdyby umówiły się na inny dzień albo w innym barze, albo wybrały inną opiekunkę niż Almę. Gdyby nie zdarzył się incydent z telefonem.

Gdyby słowa, które wypowiedziała tego dnia Nell – z głową odchyloną ku niebu, z twarzą oblaną słońcem – nie okazały tak prorocze: „W upał taki jak ten po ludziach chodzą nieszczęścia”.

ROZDZIAŁ 2

ROK WCZEŚNIEJ

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 30 czerwca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 47 DNI

Większość Was przez ostatnie sześć tygodni zdążyła opanować karmienie piersią do perfekcji, ale dla tych, które nadal zmagają się z trudnościami, mamy słowa otuchy: nie poddawajcie się! Mleko matki jest najlepszym, co możecie dać swojemu dziecku. Jeśli napotykacie jakieś komplikacje, uważajcie na to, co jecie. Nabiał, gluten i kofeina mogą zmniejszyć waszą podaż. A jeśli odczuwacie dyskomfort albo ból, rozważcie wizytę u konsultantki laktacyjnej, która pomoże wam przezwyciężyć problemy. Mogą to być najlepiej wydane pieniądze w życiu.

– Co to ma niby znaczyć, że w upał taki jak ten po ludziach chodzą nieszczęścia? – pyta Francie z zatroskaną miną i szopą kręconych włosów opadających na szyję.

Nell odgania muchę gazetą, którą przed chwilą się wachlowała.

– Jest trzydzieści jeden stopni – mówi. – W Brooklynie. W czerwcu. O dziesiątej rano.

- No i?
- Może w Teksasie to normalne...
- Jestem z Tennessee.
- ...ale nie tutaj.

Gorący wiatr podwiewa skraj kocyka, który ląduje na twarzy syna Francie.

– Nie powinnaś mówić takich rzeczy – wzdycha Francie, biorąc dziecko na rękę. – Jestem przesądna.

Nell odkłada gazetę i otwiera torbę z pieluchami.

– Sebastian tak mówi. Dorastał na Haiti. Tamtejsi ludzie są bardziej wyczuleni na sygnały, które wysyła nam planeta, niż my.

Francie unosi brwi.

– Ale ty przecież jesteś Brytyjką.

– Wszystko tam w porządku? – Colette woła do Scarlett, która stoi w cieniu przy wózkach ze śpiącymi dziećmi.

Scarlett zawiązuje rogi kocyka z cienkiej bawełny na rączce swojego wózka i wraca do nas.

– Wydawało mi się, że się obudził – mówi, siadając obok Francie i wyjmując z torby buteleczkę z dezynfekującym płynem do rąk. – Mieliśmy ciężką noc, więc błagam, niech nikt do niego nie podchodzi. Co przegapiłam?

– Wygląda na to, że zbliża się koniec świata – odpowiada Francie, zlizując czekoladę z precla, jedyny słodki grzech, na jaki sobie pozwala.

– Nie zdziwiłabym się – wzdycha Nell. – Ale mam antidotum.

Podnosi wysoko butelkę wina, którą wyjęła z torby z pieluchami.

– Przyniosłaś wino? – Colette się uśmiecha, związując włosy w koczek i patrząc, jak Nell odkorkowuje butelkę.

– Nie jakieś tam wino. Najlepsze vinho verde za dwanaście dolarów, jakie można kupić o wpół do dziesiątej rano. – Nell bierze plastikowy kubeczek z piramidki, którą trzyma w torbie, napełnia winem do wysokości pięciu centymetrów i podaje Colette. – Pij szybko. Jest trochę za ciepło.

– Ja dziękuję – mówi Yuko, chodząc wokół koca i kołysząc córkę. – Idę potem na jogę.

– Ja też dziękuję – odmawia Francie. – Karmię.

– Chromolić to – rzuca Nell. – Wszystkie karmimy. – Podnosi dłoń, by doprecyzować. – Chyba że wy nie. Chyba że po przyjeździe do domu szczelnie zasłaniacie okna i potajemnie podajecie dziecku mleko modyfikowane. I nie ma w tym nic złego. Tak czy siak, odrobina wina nie zaszkodzi.

– W książkach mówią co innego – stwierdza Francie.

Nell wywraca oczami.

– Francie, przestań czytać propagandę. To żadne przestępstwo. W Anglii większość moich koleżanek przez całą ciążę piła małe ilości alkoholu.

Colette popiera Francie skinieniem głowy.

– Napij się, jeśli masz ochotę. Willowi nic nie będzie.

– Naprawdę? – Francie spogląda na Nell. – No dobra. Niech będzie. Ale tylko odrobinę.

– Ja też. W końcu mam co uczcić – mówi Scarlett, sięgając po kolejny kubeczek. – Mówiłam wam już? Kupujemy dom. W Westchester.

Francie kwituje to jęknięciem.

– Wy też? Dlaczego wszyscy nagle wynoszą się na przedmieścia?

– Ja, szczerze mówiąc, wolałabym się przenieść dalej na północ, ale profesor Mąż właśnie dostał etat na Columbii i musi być blisko uniwersytetu. – Scarlett rozgląda się po zebranych. – Bez obrazu. Wiem, że wiele ludzi je kocha, ale ja nie wyobrażam sobie wychowywania dziecka w tym mieście. Od małego widzę tu tylko syf. Chciałabym, żeby moje dziecko wiedziało, co to czyste powietrze i drzewa.

– A ja nie – wtrąca się Nell. – Ja chcę wychowywać moje w slumsach.

Francie upija łyk wina.

– Chciałabym, żeby było nas stać na przeprowadzkę do Westchester.

– Winnie? – pyta Nell. – Wina?

Winnie patrzy w dal na drugą łąkę, gdzie młoda para gra we frisbee, a między nimi biega border collie. Zdaje się nie słyszeć Nell.

– Winnie, skarbie, wróć do nas.

– Przepraszam – mówi Winnie, uśmiechając się do Nell, a potem zerkając na Midasa, który leży między jej kolanami, z piętami przy uszach, i właśnie zaczyna się wiercić. – Co mówiłaś?

Nell wyciąga rękę z kubkiem.

– Chcesz trochę wina?

Winnie podnosi Midasa do piersi, zanurza usta w jego ciemnych włosach i zerka na Nell.

– Nie, nie powinnam.

– Dlaczego nie?

– Alkohol nie zawsze mi służy.

– Co z wami, kobity? – Nell nalewa sobie i zakorkowuje butelkę.

Spod rękawa jej czarnego T-shirta wyziera na chwilę duży tatuaż pastelowego kolibra. Nell upija łyk. – Rany, co za paskudztwo. Posłuchajcie, co wam opowiem. Wczoraj wyszłam bez dziecka, po kawę. Jakaś pani patrzy na mój brzuch, gratuluje mi i pyta, na kiedy mam termin.

– Draństwo – prycha Yuko. – I co jej powiedziałaś?

Nell śmieje się.

– Że na listopad.

Francie zerka na Winnie, która znowu z kamienną miną wpatruje się w trawnik.

– Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest. – Zatyka pasmo włosów za ucho. – Ten upał mnie wykańcza.

– A skoro już o tym mowa, to może ustalimy jakieś inne miejsce spotkań? – pyta Yuko, kładąc syna na kocu i przekopując torbę w poszukiwaniu pieluchy. – Będzie się robiło coraz bardziej gorąco. Dzieci nam się tu usmażą.

– Może w bibliotece – proponuje Francie. – Mają z tyłu pustą salę, którą mogłybyśmy zarezerwować.

– Brzmi okropnie – kwituje Nell.

– Byłyście może w tym nowym ogródku piwnym, obok dużego placu zabaw? – pyta Colette. – Poszliśmy tam kiedyś z Charliem i zastaliśmy grupki mam z dziećmi. Może my też mogłybyśmy tam

posiedzieć raz na jakiś czas. Zamówiłybyśmy lunch.

– I sangrię – dodaje Nell, z błyszczącymi oczami. – Albo jeszcze lepiej, zrobmy coś podobnego wieczorem. W sensie, wyjdźmy na miasto bez dzieci.

– Bez dzieci? – pyta Francie.

– No tak. W przyszłym tygodniu wracam do pracy. Chciałabym trochę się rozerwać, póki jeszcze mogę.

– Nie jestem przekonana – mówi Francie.

– Dlaczego nie?

– Mały ma dopiero siedem tygodni.

– No i?

– Nie jest trochę za mały, by go zostawiać? Poza tym wieczorami jest nieznośny. Wygląda na to, że wszedł w szczytową fazę okresowej żarłoczności noworodków.

– Niech twój mąż nim się zajmie – odparowuje Scarlett. – To ważne, żeby już w najwcześniejszych miesiącach wytworzyła się między nimi więź.

– Mój mąż? – pyta Francie, marszcząc brwi.

– No tak – odpowiada Nell. – No wiesz, Lowell. Ten facet, z którego ejakulatu poczęła się połowa twojego dziecka.

Francie krzywi się.

– Jesteś obrzydliwa, Nell. – Spogląda na Winnie. – A ty byś poszła?

Winnie pakuje Midasa do chusty zawiązanej na piersi i składa jego kocyk.

– Sama nie wiem – odpowiada.

– No nie wygłupiaj się – mówi Colette. – Przerwa od dzieci

dobrze nam robi.

Winnie wstaje, jej jasnoróżowa sukienka opada kaskadą na kostki.

– Nie mam jeszcze opiekunki dla Midasa.

– A twój...

– Cholera – mówi Winnie, zerkając na wąski srebrny zegarek na przegubie dłoni. – Jest później, niż myślałam. Muszę lecieć.

– Dokąd? – pyta Francie.

Winnie zakłada wielkie okulary przeciwsłoneczne i bawełniany kapelusz z szerokim rondem, który osłania jej twarz i ramiona.

– Mam milion spraw do załatwienia. Do następnego razu.

Wszystkie patrzą, jak Winnie idzie przez trawnik, a potem wchodzi na wzgórze, z czarnymi włosami rozpuszczonymi na ramionach, z sukienką łopoczącą przy kostkach.

Gdy znika pod łukiem, Francie wzdycha i mówi:

– Szkoda mi jej.

Nell parska śmiechem.

– Szkoda ci Winnie? Dlaczego? Bo jest taką zabójczą laską? A nie, zaraz, pewnie dlatego, że jest taka chuda?

– Jest samotną mamą.

Colette przęłyka wino.

– Co takiego? Skąd wiesz?

– Mówiła mi.

– Żartujesz. Kiedy?

– Kilka dni temu. Zajrzałam do Spotu po rogalika i odrobinę chłodu. Will dostał ataku płaczu w kolejce. Umierałam ze wstydu, gdy nagle zjawiała się Winnie. Midas spał w wózku, a ona wzięła

Willa i przytuliła do piersi. Od razu się uspokoił.

Nell mruży oczy.

– Wiedziałam, że te cycki mają cudowną moc. Nawet mnie kilka razy zahipnotyzowały.

– Spędziłyśmy razem trochę czasu. Było miło. Jest taka cichutka, prawda? Ale mi powiedziała, że jest sama.

– Tak po prostu ci to wyznała? – pyta Nell.

– Tak jakoś wyszło.

– A kto jest ojcem?

– Nie pytałam. Zauważyłam, że nie nosi obrączki, ale żeby tak spytać wprost? To byłoby zbyt wścibskie. – Francie przybiera melancholijny wyraz twarzy. – Powiedziała mi też, że świetnie sobie radzę z Willem – mówi. – To bardzo miłe z jej strony. Za rzadko to sobie mówimy. Will bywa taki trudny. – Przełamuje precla na pół. – Przez większość czasu mam wrażenie, że wszystko partaczę. Miło od kogoś usłyszeć, że może nie do końca tak jest.

– Och, Francie, nie wygłupiaj się – mówi Colette. – Will jest super. Doskonale ci idzie. Żadna z nas tak naprawdę nie wie, jak powinno się postępować z dzieckiem.

– Czy to nie dziwne, że nie miałyśmy o tym pojęcia? – pyta Yuko. – Że jest sama?

– Niespecjalnie. – Nell odstawia wino i ściąga w dół luźny dekolt T-shirta. Podnosi córkę, Beatrice, i zaczyna ją karmić. – Rozmawiamy tylko o rzeczach związanych z dziećmi.

– Jakkolwiek by patrzeć, posiadanie męża – mówi Francie – jest związane z dziećmi. Rany, możecie sobie to wyobrazić? Robić to wszystko samej? Jak samotnym trzeba się czuć.

– Umarłabym – kwituje Colette. – Gdyby Charlie nie przejął kilku nocnych karmień, nie kupował pieluch, chybabym oszalała.

– Ja też, ale... – zaczyna Scarlett, ale urywa.

– Ale co? – pyta Colette.

– Nie, nic.

– No dokończ, Scarlett. – Francie wbija w nią wzrok.

Scarlett milczy przez chwilę.

– No dobra. Niech będzie. Martwię się, że jeszcze coś innego jest na rzeczy.

– Co masz na myśli?

– Nie chcę zdradzić nic z tego, co mi mówiła, ale byłyśmy razem na kilku spacerach. Jesteśmy sąsiadkami i maszerujemy tym samym szlakiem, gdy usypiamy dzieci. Nie mówiłabym wam tego, gdybym nie sądziła, że powinnam: ona jest w depresji.

– Tak ci powiedziała? – pyta Colette.

– Dała mi do zrozumienia. Jest tym wszystkim przygnieciona. Od nikogo nie ma pomocy. Powiedziała też, że Midas ma skłonności do kolek. Potrafi płakać godzinami.

– Midas jest kolkowy? – pyta Francie z niedowierzaniem. – Will też jest. Ale Midas wydawał się taki bezproblemowy.

– Mam przyjaciółkę w Londynie, u której zdiagnozowano depresję poporodową – mówi Nell. – Za bardzo się wstydziła swoich myśli, by komukolwiek o nich powiedzieć, aż mąż zmusił ją do poszukania pomocy.

– Sama nie wiem – mówi Colette. – Winnie nie wygląda na osobę w depresji. To pewnie tylko baby blues. Która z nas od czasu do czasu go nie przechodzi?

– Cześć, dziewczyny.

Podnoszą wzrok i widzą nad sobą Rodzyna. Na piersi ma chustę, pod którą zarysowuje się kształt niemowlęcia. Ociera czoło rękawem T-shirta.

– Rany, ależ upał.

Zrzuca tenisówki, wyjmuje z torby koc i rozkłada go obok Colette.

– Autumn zbuntowała się przeciw porannej drzemce. Łaziłem przez godzinę, żeby ją uśpić. – Siada. – Pijecie wino?

– Chcesz trochę?

– Jasne. Dobrze jakieś?

– Wystarczająco dobre, by zadziałać. – Francie nie spuszcza wzroku ze Scarlett. – Musimy coś zrobić, prawda? Może powinniśmy coś dla niej zorganizować, żeby się trochę zrelaksowała, odpoczęła bez dziecka.

– Dla kogo? – pyta Rodzyn.

– Dla Winnie.

Rodzyn milknie na chwilę, dłoń z kubkiem zatrzymuje w połowie drogi do ust.

– Coś się stało Winnie?

Francie obrzuca go spojrzeniem.

– Nic się jej nie stało. Mówiliśmy tylko, że przydałby się jej wolny wieczór.

Yuko marszczy czoło.

– Zaraz, zaraz... Może jej nie stać. Samotna mama? Z opiekunką, drinkami, kolacją wyjdzie jakieś dwieście dolarów za wieczór.

– Wątpię, żeby to był problem – odpowiada Francie.
– Widziałyście, jakie ma ciuchy? Nie wygląda na kogoś, kto ma problemy finansowe. Chodzi o to, żeby znaleźć opiekunkę.

– Spytałam Almy, czy dałaby radę – proponuje Nell.

– Almy?

Twarz Nell się rozpromienia.

– Oj, zapomniałam wam powiedzieć, dziewczyny. W końcu kogoś znalazłam. Zaczyna jutro na kilka godzin, a w przyszłym tygodniu, gdy wrócę do pracy, na cały etat. Jest niesamowita. Powiem jej, że zapłacę jej za noc. Mój pożegnalny prezent dla Winnie. – Nell sięga po telefon leżący na kocu i zerka w kalendarz.

– A co powiecie na czwartego lipca? – Przebiega wzrokiem po koleżankach. – Czy może wszystkie siedzicie w domu i recytujecie przysięgę na wierność sztandarowi?

– Owszem. Tak właśnie spędzam ten dzień – odparowuje Colette. – Ale w tym roku zrobię wyjątek.

– Wchodzę w to – rzuca Rodzyn.

– Ja też – mówi Francie. – Yuko? Scarlett?

– Jasne – odzywa się Yuko.

Scarlett marszczy czoło.

– Zdaje się, że moi teściowie przyjeżdżają zobaczyć nowy dom. Ale nie chcę, żebyście uzależniały swoje plany ode mnie. Kto wie, jak długo jeszcze będę w Brooklynie.

– Napiszę mejla do wszystkich Majowych Mam – mówi Nell.

– To będzie pamiętna noc. Poszukam jakiegoś fajnego miejsca.

– Świetnie – rzuca Francie. – Tylko żeby udało ci się przekonać Winnie do przyścia.

Nell kładzie Beatrice przed sobą na kocu.

– Będzie ekstra. Kilka godzin na mieście. Okruch wolności. –
Podnosi kubek i wypija resztkę wina. – Nic, z czego miałybyśmy
się spowiadać. Tylko jeden drink.

ROZDZIAŁ 3

CZWARTY LIPCA

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 4 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 51 DNI

W siódmym tygodniu swojego życia Twoje dziecko powinno zacząć naukę kontrolowania pracy mięśni – kopania, wierzenia, podnoszenia główki. Ponieważ coraz bardziej lubi kontakt fizyczny i dostosowuje się do otoczenia, nie skąp mu pocałunków, uśmiechów i kilku hip, hip, hurra! Pokaż mu, jaka jesteś dumna z jego wielkich postępów.

20.23

Powietrze jest gęste od oparów alkoholowych i upału, muzyka tak głośna, że przyprawia o ból głowy. Dudni z głośników, mieszając się z salwami śmiechu młodych ludzi. Dwudziestokilkulatki, którzy wrócili do domu z college'u, kłębią się przy barze, przebiegając palcami po kartach kredytowych rodziców; przy boisku do bocce, gdzie czekają na swoją kolejkę, by rzucić piłkę po piaskowym torze; w zaciemnionej bocznej salce, gdzie tańczą jeden przy drugim w rytm muzyki puszczanej przez mężczyznę z nagim torsem.

Nell przeciska się przez tłum i dostrzega ich na podeście na zewnątrz z tyłu. Rodzyn zestawia razem kilka stolików i przyciąga dodatkowe krzesła. Francie, w czarnej bawełnianej sukience, demonstrując szokująco głęboki dekolt, odbywa powitalną rundkę dookoła stołu, ściskając wszystkich po kolei – Yuko, Gemmę i Colette, która wygląda jeszcze ładniej niż zwykle, z błyszczącymi włosami rozpuszczonymi na plecach i ustami pomalowanymi na jaskraworóżowy. Obok zbiera się grupka innych kobiet, których Nell nie rozpoznaje; od jakiegoś czasu nie przychodziły na spotkania, a ich imion nigdy nie zapamięta.

– Cześć – mówi Nell, podchodząc do Rodzyna. Ubrany jest w swój typowy mundurek: sprana koszulka z nazwą zespołu, o którym nawet nie słyszał, szorty i zdarte converse’y. – Ten bar jest trochę szemrany, nie sądzicie?

– Zdecydowanie tak.

– Kto go wybrał?

– Ty.

– A tak. Jest trochę bardziej hałaśliwy, niż się spodziewałam. – Przebiega wzrokiem po tłumie w poszukiwaniu kelnerki, lekko zażenowana tym, że Rodzyn tak nachalnie jej się przygląda. Rodzyn bierze łyk piwa, po którym zostają mu na wardze wąsy z piany. Nell powstrzymuje się, by nie wytrzeć ich kciukiem.

– Skąd masz piwo?

– Trzeba iść do baru – odpowiada Rodzyn, nachylając się bliżej.

– Nie obsługują teraz stolików.

Nagle podchodzi Francie. Jej powieki połyskują srebrnym cieniem.

– Gdzie Winnie?

– Witaj, Francie. Czuję się ekstra, dzięki, że spytałaś.

– Wybacz – rzuca Francie. – Cześć i w ogóle. Ale czy ona przyjdzie?

– Tak. Niedługo powinna być – mówi Nell, choć wątpi, że Winnie w ogóle się zjawi.

Dwa mejle i telefon nic nie wskórały, Winnie twierdziła, że nie może przyjść. Jednak wczoraj późnym wieczorem Nell dostała wiadomość, że zmieniła zdanie.

Chętnie do Was dołączę – napisała. Alma nadal jest dostępna?

– Pewnie tłumaczy Almie, co i jak z małym – zwraca się Nell do Francie.

– Okej, super. Będę jej wypatrywać.

– A ja pójdę po drinka.

Nell przeciska się do środka, do baru. Zamawia dzin z tonikiem, myśląc o kłótni, którą miała w zeszłym tygodniu z Sebastianem. Myjąc zęby w łazience, powiedziała mu, że postąpiła wbrew jego woli i zaproponowała Almie pracę.

„Nell”. – W jego głosie była irytacja.

„Co?” – Spojrzała na jego odbicie w lustrze.

„Rozmawialiśmy o tym. Naprawdę wolałbym, żebyś tego nie robiła”.

„Dlaczego?”

„Wiesz dlaczego”. Zamilkł. „Jest nielegalsem”.

Splunęła do zlewu. „Chciałeś powiedzieć, że nie dostała dokumentów pobytu”.

„Nie warto ryzykować”.

„Ryzykować czego? Naszych kwitnących karier politycznych?” Nelly wypłukała usta i przeszła obok niego, kierując się do kuchni, by włączyć czajnik. „Moja kariera polityczna się skończyła, zdaje się, na podwórku Michaela Markhama, gdy miałam piętnaście lat”.

„Wiesz, że nie o to mi chodzi. Wiesz, że trzeba być ostrożnym...”

Czuje puknięcie w ramię – Colette staje obok niej, machając do barmana.

– Wyglądasz ekstra – rzuca Colette, zerkając na Nell przez ramię. – Mówiłam ci już, jak bardzo podoba mi się ten twój wspaniały tatuaż?

– Zdradzić ci sekret? – Nell nachyla się i unosi skraj koszuli. – To majtki ciążowe. Dziecko ma dwa miesiące, a ja wciąż noszę ciążowe gacie.

Colette parska śmiechem.

– Ciążowy bonus: odkrycie szerokich elastycznych wszywanych pasów. – Spogląda poza Nell. – O, nareszcie. Przyszła.

Nell odwraca się i w drzwiach wejściowych dostrzega stojącą Winnie. Ma na sobie dopasowaną żółtą sukienkę, eksponującą gładką linię szyi, mostek i zdumiewająco płaski brzuch jak na kobietę, która siedem tygodni wcześniej urodziła dziecko. Bada wzrokiem tłum zebrany w barze.

– Wygląda na... zaniepokojoną – mówi Nell. – Prawda?

– Tak myślisz? – Colette przygląda się uważniej. – No cóż, nie można jej winić. Pewnie nie jest jej łatwo po raz pierwszy zostawiać dziecko z nieznajomą. Ja jeszcze się nie odważyłam.

Nell macha do Winnie, żeby zwrócić jej uwagę, potem bierze

drinka i idzie za Colette do stolika na patio, mijając grupkę młodych mężczyzn spowitych oparami marihuany.

– Cześć – rzuca Winnie, przeciskając się przez tłum, z drinkiem w ręku.

– Wszystko w porządku? – pyta Nell.

– Tak. Midas już spał, gdy Alma przyjechała.

– O nic się nie martw – mówi Nell. – Jest absolutną profesjonalistką.

Siadają i stukają się szklankami.

– Za Majowe Mamy! – Francie przekrzykuje muzykę. – Błagam, tylko nie rozmawiajmy o dzieciach.

– No to o czym, u licha, będziemy mówić? – pyta Rodzyn oschle. – O naszych własnych zainteresowaniach?

– A ktoś ma jeszcze jakieś? – rzuca Yuko.

– Czytałyście ostatnio jakąś dobrą książkę?

– Właśnie kupiłam tę nową o treningu zasypiania – odpowiada Francie. – Dwanaście tygodni do spokoju.

– A czytaliście tę, o której wszyscy mówią? – pyta Gemma. – Francuskie podejście czy jakoś tak?

– To chyba nie zalicza się do tematów niezwiązanych z dziećmi – prycha Nell. – Colette, uratuj nas z opresji. Co teraz czytasz?

– Nic. Nie potrafię czytać, gdy jestem w trakcie pisania książki. Za bardzo mi to miesza w głowie.

– Pisziesz książkę? – pyta Nell.

Colette odwraca wzrok, jakby ta informacja wypnęła jej się wbrew woli.

– Zaraz, zaraz... – mówi Nell. – Przyjaźnimy się od czterech

miesiący, a ty dopiero teraz nam o tym mówisz?

Colette wzrusza ramionami.

– Nie mówiłyśmy dotąd o naszej pracy.

– O czym to książka? – pyta kobieta siedząca przy końcu stołu, z paznokciami pomalowanymi na jaskrawopomarańczowy kolor, która, zdaniem Nell, ma bliźniaki.

– Wspomnienia.

– W twoim wieku? Imponujące.

Colette wywraca oczami.

– Niezupełnie. To nie moje wspomnienia. Jestem ghostwriterką.

– Co masz na myśli? – pyta Francie. – Że piszesz książkę za jakąś znaną osobę?

– Coś w tym rodzaju. Chciałabym móc powiedzieć za kogo, ale... – Colette urywa i macha do Winnie, która od chwili, kiedy tylko usiadła, nie spuszcza wzroku z telefonu. – Wszystko w porządku? – pyta.

Winnie gasi ekran.

– Tak. Wszystko dobrze.

Nell zauważa paznokcie Winnie, obgryzione do mięsa, i zatroskaną minę ukrytą pod fasadowym uśmiechem. Jeszcze zanim Scarlett im powiedziała, że Winnie chyba ma depresję, Nell zauważyła, że czasami wydaje się rozkojarzona, przygnębiona, że zaczęła opuszczać spotkania.

Do stolika podchodzi kelner z ogoloną głową i rzędem wkręcanych kolczyków nad brwią.

– Od teraz obsługujemy stoliki. Co dla pań?

Nell kładzie dłoń na ramieniu Winnie.

– Czego się napijesz? Ja stawiam tę kolejkę.

Winnie się uśmiecha.

– Mrożonej herbaty.

Nell siada głębiej na krześle.

– Mrożonej herbaty?

– Tak. Robią dobrą. Bez cukru.

– Dobra mrożona herbata bez cukru? Coś takiego nawet nie istnieje. – Unosi brwi. – Nie chcę cię straszyć, ale dziś wieczorem zebrałyśmy się tutaj, żeby napić się czegoś konkretnego.

– Naprawdę. – Winnie zerka na kelnera. – Tylko mrożona herbata.

– Rób, jak chcesz – rzuca Nell, podnosząc szklankę. – Dla mnie jeszcze jeden dzin z tonikiem. Kto wie, kiedy powtórzy się taka okazja.

– Nie wiem, jak zamierzasz tego dokonać – mówi Francie, gdy kelner skończył zbierać zamówienia. – Wrócić do pracy w przyszłym tygodniu.

– Nie wygłupiaj się – odpowiada Nell. – Dam sobie radę. Szczerze mówiąc, to nie mogę się doczekać.

Odwraca wzrok, licząc, że nikt nie wyczuje fałszu, bo prawda jest taka, że na myśl o rychłym końcu urlopu macierzyńskiego dostaje bólu głowy. Nie jest gotowa zostawić dziecka, jeszcze nie teraz, ale nie ma wyboru. Jej firma, Simon French Corporation, największy wydawca gazet w kraju, zmusza ją do powrotu

„Oczywiście nie będziemy cię do niczego zmuszać, Nell – powiedział Ian, gdy trzy tygodnie wcześniej zadzwonił do niej z biura, żeby „sprawdzić, jak się sprawy mają” – ale tak się składa,

że jesteś główną odpowiedzialną za technologię, a przejście na nowy system bezpieczeństwa to główny powód, dla którego cię zatrudniliśmy. – Zamilkł na chwilę. – Tylko ty umiesz go obsługiwać. Może moment nie jest najdogodniejszy, ale to ważne”.

Ważne? Nell chciała spytać Iana, swojego marionetkowego szefa z fryzurą na Kaczora Donalda, Iana od zaczepnie eleganckich pasków – granatowego w różowe wieloryby, jasnozielonego z wyszywanymi ananasami – co jest niby takie ważne? Pilnowanie, by nikt nie włamał się do ich tajnych plików? Obrona przed rosyjskim wywiadem, chcącym za wszelką cenę zdobyć dostęp do tragicznie nudnego wywiadu z Catherine Ferries, telewizyjną celebrytką, zdradzającą sekrety swojej czystej cery (dwie łyżki stołowe tranu co rano, filiżanka jaśminowej herbaty wieczorem)?

Nell przebiega wzrokiem po wyrażających współczucie twarzach koleżanek.

– Dajcie spokój, dziewczyny – mówi. – Dobrze, gdy dzieci widzą, że ich mamy wychodzą do pracy. Stają się samodzielne.

A co mam zrobić?, chciałyby zapytać. Nie może ryzykować, że ją zwolnią, nie przy kosztach utrzymania w Nowym Jorku, nie z czynszem za trzypokojowe mieszkanie dwie przecznice za parkiem, nie z ich kredytami studenckimi. Zarabia dwa razy więcej niż Sebastian, który jest asystentem kuratora w MoMA, i to dzięki jej pensji mogą mieszkać w Nowym Jorku. Nie może wszystkiego postawić na szali za cztery dodatkowe tygodnie bezpłatnego urlopu macierzyńskiego.

– Byłam wczoraj w Whole Foods – rzuca Colette, błyskając kaskadą złotych bransoletek. – Kasjerka powiedziała, że po

urodzeniu dziecka dostała tylko cztery tygodnie urlopu. Bezpłatnego, oczywiście.

– To niezgodne z prawem – odzywa się Yuko. – Muszą trzymać jej miejsce przez trzy miesiące.

– To samo jej powiedziałam, ale tylko wzruszyła ramionami.

– Mam znajomą w Kopenhadze – włącza się Gemma. – Po urodzeniu syna dostała osiemnaście miesięcy urlopu. Płatnego.

– W Kanadzie – podejmuje Colette – muszą zachować dla matki stanowisko przez rok. Stany są chyba jedynym krajem, oprócz Papui-Nowej Gwinei, który nie zapewnia płatnego urlopu. Stany Zjednoczone! Kraj rodzinnych wartości.

Nell pije drinka, czując, jak alkohol rozluźnia jej mięśnie.

– Myślicie, że gdybyśmy przypominały ludziom, że niemowlęta nie tak dawno były płodami, to więcej osób popierałoby urlopy macierzyńskie?

– Posłuchajcie tego – mówi Yuko i zaczyna czytać ze swojego telefonu: – Finlandia: siedemnaście tygodni płatnego urlopu. Australia: osiemnaście tygodni. Japonia: czternaście tygodni. Ameryka: ani jednego.

Zmienia się piosenka i z głośników grzmi Rebel Yell Billy’ego Idola. Nell wymierza palec w powietrze i śpiewa razem z muzyką:

– She don’t like slavery. She won’t sit and beg. But when I’m tired and lonely, she sees me to bed. To powinien być hymn wszystkich matek – mówi. – Nasza pieśń bojowa. I walked the ward with you, babe. A thousand miles with you. I dried your tears of pain, babe. A million times for you.

Nell zauważa, że Winnie znów wpatruje się w telefon trzymany

na kolanach. Sięga, zabiera go jej z dłoni i kładzie na stole.

– Chodź, zatańczymy – mówi, wstając i ściągając Winnie z krzesła. – I'd give you all and have none babe, justa justa justa just to have you here by me, because... No to jazda!

Nell ściska Winnie za rękę, muzyka robi się coraz głośniejsza i wszystkie kobiety przy stole zaczynają śpiewać refren:

– In the midnight hour, we need more, more, more. With a rebel yell, we cry more, more, more.

Nell śmieje się i podnosi szklanekę.

– Na pohybel z patriarchatem! – ryczy.

Winnie uśmiecha się i łagodnie uwalnia rękę. Odwraca wzrok od stołu, spogląda poza Nell, poza tłum kłębiący się wokół, flesz czyjegoś aparatu rozświetla jej doskonałą twarz.

21.17

Przy barze Colette musi wrzasnąć dwa razy, żeby ją usłyszano – „whiskey z lodem!”. Kołysząc biodrami w rytm muzyki, zastanawia się, czy nie wziąć podwójnej. Gdy barman podsuwa jej drinka, bierze potężny łyk. Od miesięcy nie wychodziła napić się ze znajomymi, nie musząc zajmować się Poppy ani martwić terminem oddania książki. Zwykle o tej porze, kompletnie wykończona, siedzi z laptopem w łóżku (pokój, w którym planowała urządzić swój gabinet, gdy dwa lata wcześniej rodzice Charliego kupili im to mieszkanie, został ostatecznie pokojem dziecięcym), wpatrując się w pustą stronę, czując się niezdolna do sklecenia kilku sensownych zdań. Jak ja to kiedyś robiłam, że pisałam?, zapytuje się w myślach. Kiedyś napisała książkę – wspomnienia Emmanuel Dubois, starzejącej się supermodelki – w cztery miesiące, ale od kiedy

pojawiła się Poppy, słowa stały się nieuchwytnie, ulatniają się jak iskry z ogniska, zanim jej umysł zdoła je złowić.

Bierze jeszcze jeden łyk, rozkoszując się ciepłem whiskey spływającej po gardle, i nagle czuje czyjaś dłoń na łądźwiach. Odwraca się. To Rodzyn.

– Hej, Colette – mówi. Colette odsuwa się w bok, a on wślizguje się między nią a kobietę w słomianym kowbojskim kapelusza, która próbuje zwrócić uwagę barmana. – Gorąco tu jak w piecu.

– No co ty powiesz. Napijesz się?

– Przepraszam, co takiego?

Colette nachyla się bliżej.

– Postawić ci drinka?

– Mam, co trzeba. – Podnosi do połowy pełną szklanę.

– Zobaczyłem, że wchodzisz do środka, więc pomyślałem, że się przywitam i ponapawam chłodem klimatyzacji.

Colette uśmiecha się i odwraca wzrok. Jest z Charliem od piętnastu lat, czyli całą wieczność, ale Rodzyn to typ faceta, na którego kiedyś zwróciłaby uwagę: cichy, bezpretensjonalny i prawdopodobnie zaskakująco dobry w łóżku. Nell twierdzi, że jest gejem. („Sama słyszałam – powiedziała. – Użył słowa »partner«”), ale Colette ma wątpliwości. Obserwowała go przez ostatnie kilka tygodni, od kiedy razem z Winnie przyszedł na spotkanie Majowych Mam i sądząc po sposobie, w jaki czasem patrzy na Winnie, jak często podczas rozmowy muska jej ramię, dałaby sobie rękę uciąć, że jest hetero.

– Więc... – mówi Rodzyn – ...nie możesz nam zdradzić, dla kogo piszesz książkę, ale może chociaż wolno ci powiedzieć, jak ci

idzie pisanie? Nie wyobrażam sobie, że miałbym do napisania książkę, gdy zajmuję się niemowlakiem.

Colette zastanawia się, czy nie skłamać i nie sprzedać mu historyjki, którą wciska Charliemu – idzie dobrze, daję sobie radę – ale w końcu postanawia powiedzieć prawdę.

– Jest tragicznie. Przyjęłam to zlecenie dwa tygodnie przed tym, jak dowiedziałam się, że jestem w ciąży. – Żartobliwie marszczy twarz. – Dziecko nie do końca było zaplanowane.

Rodzyn spogląda jej w oczy i kiwa głową.

– Ale dokończysz ją?

Colette wzrusza ramionami; włosy wypadają jej z koczka i spływają na ramiona i plecy.

– Gdy piszę, chcę być z Poppy. A gdy z nią jestem, myślę tylko o tym, że powinnam pisać. Ale zapewniłam wydawcę i burmistrza, że dziecko nie przeszkodzi mi w oddaniu książki w terminie. Czyli za cztery tygodnie. Chcesz znać prawdę? Mam przynajmniej miesiąc opóźnienia.

Rodzyn unosi brwi.

– Burmistrza? W sensie: Teba Shepherda?

Colette czuje ukłucie winy.

– Zwykle umiem dochować tajemnicy. To pewnie sprawa tej pysznej whiskey. Ale tak, piszę jego drugą autobiografię.

Rodzyn kiwa głową.

– Jak cała reszta ludzkości przeczytałam jego pierwszą. – Powoli upija łyk piwa. – Tamtą też ty napisałaś?

Colette przytakuje skinieniem głowy.

– Jestem pod wrażeniem.

– Nie mów reszcie, dobrze? Nawet nie wiem, dlaczego o tym w ogóle wspomniałam. Dziewczyny to w większości zaprzysięgłe pełnoetatowe mamy. Moja sytuacja jest skomplikowana.

– Wyluzuj. – Rodzyn pochyla się. – Umiem dochować sekretu.

– Jakiś mężczyzna przeciska się z tyłu, popychając Rodzyna na Colette. Rodzyn skinieniem głowy wskazuje taras. – Wracamy?

Wychodzą z powrotem na zewnątrz i siadają przy stole akurat w chwili, gdy Francie uderza w szklanę nożem.

– Nie chcę przerywać rozmów – mówi Francie – ale już czas.

– Na co? – pyta Nell.

Francie odwraca się do Winnie.

– Winnie?

Winnie podnosi wzrok znad telefonu, który trzyma na kolanach.

– Tak?

– Twoja kolej.

– Moja kolej? – Winnie sprawia wrażenie zaskoczonej tym, że wszyscy na nią patrzą. – Na co?

– Żebyś opowiedziała nam swoją porodową historię.

Colette lubi Francie. Jest taka łagodna i młoda – pewnie nie ma nawet trzydziestu lat – dubeltowa kobieta. Ale Colette wolałaby, żeby odpuściła im ten rytuał. To Scarlett wpadła na pomysł – gdy były jeszcze w ciąży – żeby każde spotkanie zaczynać od tego, że jedna z nich będzie opowiadać, jak wyobraża sobie poród. Gdy dzieci pojawiły się na świecie, praktyka ta przerodziła się w rozwlekłe, szczegółowe relacje z doświadczeń porodowych i nie ma sensu udawać, że jest to czymś innym, niż jest. A jest zwykłą rywalizacją. Która najlepiej wypadła podczas tej wielkiej

inauguracji macierzyństwa? Która wykazała się największą zaciekłością? Które spośród nich (te po cesarce) nie podołały zadaniu? Colette ma nadzieję, że grupa niebawem zaprzestanie urządzania tych konkursów, ale musi przyznać, że jest ciekawa, co też Winnie ma do powiedzenia.

Ale ta tylko obrzuca spojrzeniem siedzących przy stole.

– Wiecie co? Posłucham rady Nell. Pójdę po coś do picia. Po coś konkretnego. – Kiwnięciem głowy wskazuje pustą szklanę Rodzyna. – Idziesz ze mną?

– Jasne – odpowiada Rodzyn.

Colette patrzy, jak się oddalają, a potem odwraca się, by z zaangażowaniem włączyć się do rozmów toczących się wokół. Dziwi się, że tak szybko wypila drugiego drinka, i zastanawia się, czy nie zamówić jeszcze jednego. W końcu wstaje, by skorzystać z toalety. Po drodze zerka na Winnie stojącą przy barze – rozmawia z jakimś facetem w jasnoczerwonej czapce bejsbolowej, zabójczo przystojnym. Mężczyzna nachyla się nad nią i mówi jej coś do ucha. Rodzyn gdzieś przepadł. Colette wie, że powinna odwrócić wzrok, że jest świadkiem czegoś, czego nie powinna widzieć, ale nie robi tego. Zamiast tego wymija parę stojącą z przodu, by mieć lepszy widok. Mężczyzna obejmuje Winnie w tali i bawi się wiązaniem jej sukienki. Szepcze coś, ona odsuwa się, patrzy mu w oczy, jest zirytowana. Coś w jego sposobie bycia, to, jak na nią napiera, coś w wyrazie jej twarzy...

– Wszystko w porządku? – pyta Nell.

Staje przed Colette, z menu w ręku, zasłaniając Winnie.

– Tak. Idę do łazienki.

– Jesteś głodna? Mogę ci coś zamówić.

– Nie, dzięki – odpowiada Colette. – Jadłam.

Nell podchodzi do stanowiska kelnerek, a Colette znowu zerka na bar.

Już ich nie ma.

Przebiega wzrokiem po tłumie, potem kieruje się w stronę łazienki, przeciskając się między ludźmi oblegającymi boisko do bocce; staje w kolejce za trzema niemal identycznie ubranymi młodymi kobietami, zapamiętale stukającymi w klawiatury telefonów. Potrząsa głową. Dochodzi do wniosku, że Winnie zna tego człowieka. Niepokój, który ją ogarnął, to pewnie zmęczenie i whiskey; umysł po prostu płata jej figle. W ostatnich dniach już kilka razy tak się zdarzyło, choćby dziś rano, gdy przez nieuwagę nalala kawy do butelki Poppy.

Kończy zabiegi w łazience i wychodzi przed bar, by zadzwonić do męża; Charlie mówi, że Poppy śpi, a on przegląda nowe poprawki do swojej powieści. „Zostań, jak długo chcesz – mówi. – Wszystko jest pod kontrolą”. Colette wraca do stolika i siada obok Francie. Na stole, przy krześle Rodzyna, leży telefon, wciśnięty między klejące się dzbanuszki z sosem.

– Gdzie Rodzynek? – Colette zwraca się do Francie, która właśnie wciska swój telefon do torebki.

– Wyszedł.

– Żartujesz. Kiedy?

– Minutę temu. Był jakiś nieswój. Spieszył się. Powiedział, że coś się stało w domu.

– Dziwne. Byłam właśnie na zewnątrz, żeby zadzwonić do

Charliego. Nie widziałam go.

Colette sięga po telefon.

– Zapomniał wziąć telefonu.

Wraca Nell, z dwoma talerzami parujących frytek.

– Co to za bar, gdzie do frytek nie dają octu? – prychna, zajmując miejsce. – W Anglii coś takiego ścigano by z urzędu. – Zerka na Colette. – Poważnie? Najpierw Winnie, a teraz ty, obie przyklejone do telefonu. Czy po to zorganizowałyśmy ten wieczór, żeby wgapić się w komórki?

– To nie jej – mówi Francie, odsuwając od siebie talerz i sięgając po wodę. – Tylko Rodzyna. Zostawił ją.

– Nie, ta jest Winnie. – Colette pokazuje telefon ze zdjęciem Midasa na ekranie. – Jest też klucz. W futerale.

– Gdzie ona się podziewa? – pyta Francie. – Nie wróciła jeszcze z baru.

Colette przesuwa ekran, na którym wyświetla się nieostre nagranie jarzące się na jasnozielono.

– Zaraz... a co to? – rzuca Colette. – Znowu obraca telefon w stronę Nell i Francie. – Czy to sypialnia Midasa?

Francie wyrywa Colette telefon z ręki.

– To filmik. Jego łóżeczko – mówi.

– Pokaż – mówi Nell, ale Francie się waha. – Francie, pokaż. To chyba aplikacja. – Nell zlizuje sól z palców i bierze telefon od Francie. – No, mówiłam, aplikacja. Znam człowieka, który ją stworzył.

– Naprawdę? – pyta Francie. – Skąd?

– Pracowałam z nim w DC po college'u, w ochronie danych. To

świetny pomysł. Można na telefonie obserwować monitor dziecka, o ile ma się dostęp do Wi-Fi.

– Słyszałam o tym – mówi Francie. – Nazywa się „A kuku!”. Chciałam ją sobie kupić, ale kosztowała ze dwadzieścia pięć dolarów. Za aplikację? To obłąd.

– Obłądem jest to, że Winnie cały czas nie spuszczała z niej oka – mówi Nell. – Wpatrywała się w ziarnisty obraz łóżeczka Midasa.

– Nie widzę w tym nic niewłaściwego – stwierdza Francie.

– Po co płacić opiekunce, skoro i tak zamierzasz przez całą noc patrzeć na swoje dziecko? – pyta Nell.

– Nigdy wcześniej go nie zostawiała. Daj jej spokój – odpowiada Francie. – Ale poważnie, gdzie ona się podziewa?

– Rozmawiała z jakimś facetem – odzywa się Colette. – Nieprzyzwoicie przystojnym.

– Też ich widziałam – podchwytuje Francie. – Podszedł prosto do niej, gdy stanęła przy barze. Ale to było jakiś kwadrans temu.

Francie wyciąga szyję, by rozejrzeć się w tłumie.

– Był dość bezpośredni. Widziałas, jak jej dotykał. Poszukam jej. Pewnie wolałaby mieć ze sobą telefon.

Francie wyciąga rękę, ale Nell przyciska telefon do piersi.

– Jest samotną mamą i po raz pierwszy wyszła bez dziecka. Dajcie kobiecie się trochę rozerwać.

– Nell – mówi Colette, zerkając na szklankę stojącą przed Nell i zastanawiając się, ile drinków wypila. – Nie wygłupiaj się. Będzie chciała swój telefon.

– Chwileczkę.

Nell klika w ekran aparatu.

- Co ty wyprawiasz? – pyta Francie.
- Posługiwanie się tym to fatalny pomysł.
- Czym? – pyta Colette.

Nell nie odpowiada, tylko przesuwa palcem po ekranie, naciska coś, a potem gasi telefon.

- Gotowe – rzuca w końcu.
- Co zrobiłaś?
- Skasowałam tę aplikację „A kuku!”. Już jej nie ma.
- Nell! – woła Francie i zasłania usta dłonią.

– Oj, przestańcie. Przecież to dla niej tu dzisiaj przyszliśmy. Żeby trochę odżyła, zrelaksowała się. A gapienie się na dziecko jej w tym nie pomoże. – Nell sięga, żeby schować telefon Winnie do swojej torebki. – To dla jej dobra. Jak będzie chciała, to ją sobie w dwie minuty znowu zainstaluje.

Colette czuje, jak z tyłu oczodołów narasta ból głowy – ta muzyka, tłum kłębiący się dookoła na patio, to, co właśnie zrobiła Nell. Najchętniej poszłaby już do domu.

– To chociaż daj mi jej telefon – mówi Francie. – Ma w nim klucz. Popilnuję go, aż wróci do stolika.

– Mam go. Wyluzuj. – Nell odwraca się do Colette tyłem i nachyla się do kobiety po drugiej stronie. – O czym rozmawiacie, dziewczyny?

– O mojej siostrze – odpowiada jedna z kobiet. – Jest w trzydziestym tygodniu i właśnie się dowiedziała, że ma wypadającą macicę. Koszmar. Będą jej robić podwieszenie pochwy.

- Rany, a co to podwieszenie pochwy?

– Ja wiem – rzuca Nell trochę za głośno. – Montują ci w środku taką siatkę. Na końcu jest haczyk, do którego przywiązuje się wózek. Łatwiej wtedy robić zakupy i kursować do pralni.
– Potrząska kostkami lodu w szklance i wypija resztkę drinka.
– Zaraz wrócę. – Wstaje, nucąc pod nosem i idzie w stronę baru.
– I want more, more, more. More more.

22.04

Moim zdaniem ma już dość, dość, dość – Francie zwraca się do Colette, rozganiając chmurę dymu papierosowego napływającą od strony palaczy stojących przy poręczy tarasu, tuż przed znakiem „Zakaz palenia”. Stara się jak najdłużej wytrzymać, ale w końcu się poddaje i zagląda do telefonu w torbie. Minęło dwanaście minut, a Lowell nie odpowiedział na wiadomość, którą mu wysłała. Noc robi się coraz bardziej wilgotna – ciężka wilgoć nieprzypominająca niczego z Tennessee. Zaczyna ją boleć głowa. Trzeci dzień bez kofeiny daje się we znaki. Marzy o choćby łyku kawy, ale nie wolno jej pić. Wszystkie poradniki podawały, że gdy zaczyna się tracić mleko, należy odstawić kofeinę. W ostatnich dniach Will był taki rozdrażniony i płaczliwy. Zresztą od początku dawał się we znaki – pielęgniarka, która odpowiada na telefony na linii porad pediatrycznych, powtarza Francie, że to klasyczny przykład kolkowego niemowlęcia. Minie około piątego tygodnia, mówi. Ale Will ma siedem tygodni i dwa dni i jest coraz gorzej. To nie kolka, stwierdziła Francie. Jest drażliwy, bo kończy jej się mleko, bo rodzona matka go głodzi. Oczywiście odstawi kofeinę, jeśli ma to pomóc.

Postanawia jeszcze raz napisać do Lowella, choć wie, że mąż

powie, by przestała się martwić i dobrze się bawiła. Ale od kiedy zamknęła za sobą drzwi mieszkania, nie jest w stanie oderwać myśli od syna, jest pewna, że przez ostatnie dwie godziny wrzeszczy wniebogłosy, tak jak zdarza mu się czasem wieczorem, i że w końcu się od tego pochoruje.

Wszystko w porządku? Dostałeś moje wiadomości?

Naciska „Wyślij” i czuje ulgę, gdy pojawiają się trzy kropki – znak, że Lowell odpisuje. Czeka, ściskając w dłoni telefon.

Chcesz dobrą wiadomość czy złą?

Ciało paraliżuje jej strach. Co się stało? – pisze i czeka. Lowell, odpowiedz. Co to za zła wiadomość?

Trzy kropki. Nic. Trzy kropki. The Cardinals są beznadziejni.

Francie oddycha z ulgą. Nie rób mi tego więcej, proszę. Jak mały?

To dobra wiadomość. Śpi. Przyssał się do butelki i odpłynął.

Francie czuje ukłucie niepokoju. Mówiła Lowellowi, żeby dał Willowi butelkę z mieszanką tylko wtedy, gdy mały będzie niespokojny. Will nigdy wcześniej nie pił mleka modyfikowanego. Przez ostatnie kilka dni nastawiała budzik na wczesną godzinę, chcąc obudzić się pierwsza i odciągnąć mleko, ale prawie nic nie zebrała, nawet kilkunastu gramów.

Pisze: Czy to znaczy, że był bardzo niespokojny?, ale ktoś siada na krześle obok. Francie podnosi wzrok, licząc, że to Winnie wróciła do stolika. Ale to Colette.

– Przeszłam się po barze – mówi. – Nigdzie nie mogę znaleźć Winnie.

Francie wsuwa telefon do torebki.

– Dziwne. Niemożliwe, żeby nadal rozmawiała z tamtym facetem.

– Dlaczego nie? – pyta Colette. – Jest singielką. Może poszła z nim do jego domu.

– Poszła z nim do jego domu? Nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Dlaczego nie?

– Bo nie wyszłaby bez telefonu i klucza. No i dlatego, że musi wrócić do Midasa.

– Nie wiem. Dziewczyny już wychodzą. Ja też bym już poszła.

– Nie możemy wyjść bez niej – mówi Francie, coraz bardziej zaniepokojona.

– A gdzie, u licha, jest Nell?

Na patio wchodzi grupka hałaśliwych dziewcząt, zapalają papierosy od jednej zapalniczki i przysiadają na kolanach młodych mężczyzn, zajmujących krzesła zwolnione przez Majowe Mamy, które poszły już do domu, do swoich dzieci.

– Idę jej poszukać – mówi Francie.

W środku obchodzi bar, sprawdza w bocznej salce, lawiruje między tańczącymi parami, czując w piersi łoskot basów. Winnie nigdzie nie widać. Nie ma jej też przy boiskach do bocce ball ani przed wejściem, ani – Francie zagląda pod drzwi kabin – w łazience. Zatrzymuje się na chwilę przed lustrem, dwa kieliszki szampana zamąciły jej w głowie. Przykłada do szyi mokry ręcznik papierowy i wraca do stolika, po drodze niemal wpadając na Nell.

– O, jesteś. Gdzie się podziewałaś?

Francie zauważa, że Nell idzie lekko chwiejnym krokiem, a oczy ma mętne.

Nell podnosi szklanę.

– Zamawiałam drinka.

– Przez tyle czasu? Byłaś z Winnie?

– Z Winnie? Nie. Nie widziałam jej od... no wiesz.

– Nie. Co masz na myśli Od kiedy?

– Od ostatniego razu, gdy ją widziałam.

Francie bierze Nell za łokieć.

– Chodź. Colette została sama przy stole.

– A gdzie wszyscy?

– Poszli. Już czas się zbierać.

– Już?

– Tak – mówi Colette. – Dasz mi telefon Winnie?

– Jej telefon... – Nell przysiada.

– Dokładnie. Jej telefon.

Nell bierze torebkę, ale upada jej na posadzkę i cała zawartość się wysypuje.

– Cholera – mówi, niezdarnie opadając na kolana. Wpycha do środka zdarty portfel i paczkę wilgotnych chusteczek.

– Dziadowska torebka.

Francie kuca i podnosi futerał od okularów.

– Tu jest?

– Nie – odpowiada Nell. Ścisza sobie nasadę nosa. – Mogliby ściszyć tę muzykę. Głowa mi pęka.

– Zadzwoń na numer Winnie i zobaczymy, czy słyhać dzwonek – proponuje Colette, gdy Francie i Nell wstają, Nell przytrzymując się stolika.

– Nie wróciła tutaj, prawda? Któraś z nas by ją widziała.

– Francie znów rozgląda się po sali. – Myślicie, że poszła do domu? Byłoby szkoda. Naprawdę chciałam, żeby się trochę rozerwała.

– Winnie powiedziała Almie, że będzie przed wpół do jedenastej – mówi Nell. – Alma ma roczne dziecko i nie lubi zostawać u kogoś na noc.

Podchodzi kelner.

– Jeszcze jedna kolejka?

– Nie – mówi Nell, odganiając go ręką. – Ani jednego drinka więcej.

– Ale wracamy do domu razem, tak? – pyta Francie. – Wiem, że to niedaleko, ale nie chcę wracać sama.

– Jestem gotowa – mówi Colette. – Wypiłam o jednego drinka za dużo, a jutro muszę pracować.

W torebce Nell dzwoni telefon.

– O, dzięki Bogu – wzdycha Francie. – To telefon Winnie?

Nell znowu przekopuje torbę.

– Nie, mój – odpowiada. Mruży oko i wpatruje się w ekran. – Dziwne. Halo? – Zakrywa palcem ucho. – Wolniej, nie słyszę. – Nell milczy przez chwilę, słuchając. Nagle zmienia jej się wyraz twarzy.

– O co chodzi? – pyta Francie. – Kto to?

Nell powoli kiwa głową.

– Nell – naciska Francie. – Powiedz...

Nell otwiera usta, ale ze zduszonego przerażeniem gardła dobywa się tylko jęknięcie:

– Bożeee...

Co to znaczy, że Midas zniknął?

– Nie wiem. Tak powiedziała Alma.

– Gdzie zniknął?

– Nie wiem. Zniknął. Nie ma go w łóżeczku.

– Nie ma go w łóżeczku?

– Tak.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Zajrzała do niego i zobaczyła, że łóżeczko jest puste. Nie wie, co się stało. Jest cała roztrzęsiona.

– Jest tam Winnie? Pewnie wróciła do domu i gdzieś go zabrała.

– Nie. Alma do niej dzwoniła, ale włącza się poczta głosowa.

Gdzie, do cholery, jest jej telefon?

– Czy Alma powiadomiła policję?

– Tak, ale jeszcze nie przyjechali. Czeka na nich. – Francie chwyta swoją torbę. – Chodź. Idziemy.

22.51

Ich kroki na chodniku i zduszone oddechy odbijały się echem po wyludnionych ulicach – wszyscy wyjechali na świąteczny weekend albo czekali nad rzeką na opóźniający się pokaz fajerwerków, zabrawszy ze sobą potomstwo i puste lodówki na piwo.

– Tędy! – woła Colette, idąc daleko przed Nell i Francie.

– Jeszcze jedna przecznica.

Zatrzymuje się przed ozdobnym neogotyckim budynkiem na rogu. Tabliczka z adresem – Nr 50 – połyskuje to na czerwono, to na niebiesko, odbijając światła policyjnego wozu zaparkowanego nieopodal.

– To jej kamienica? – pyta Francie.

– Numer pięćdziesiąt? – bełkocze Nell, z trudem łapiąc oddech.
– Taki adres kazała podać Almie.

Colette zatrzymuje się na wysokości drzwi wejściowych i wchodzi na podest w kształcie litery L. Szuka oczami rzędu dzwonek.

– Jest tylko jeden dzwonek. Jaki numer mieszkania?

– Zaraz, patrzcie. – Francie wskazuje coś palcem, a potem biegnie za róg, na ogrodową alejkę prowadzącą do czerwonych drzwi z boku budynku, lekko uchylonych; cztery marmurowe stopnie prowadzą do korytarza, z którego dobiega czyjś szloch.

– Rany – mówi Nell. – Ta cała kamienica to jej dom.

Kierują się ku źródłu dźwięku, przez korytarz, do przestronnej kuchni, od której odchodzi klatka schodowa ze świetlikiem. Umundurowany policjant z nazwiskiem CABRERA na plakietce staje na schodach i nasłuchuje komunikatów z trzeszczącej krótkofalówki doczepionej do ramienia.

– Kim panie są? – pyta.

– Koleżankami Winnie – odpowiada Colette. – Gdzie jest Winnie?

– Proszę wyjść – rzuca zirytowany.

– Możemy tylko... – zaczyna Francie.

– Proszę wyjść. To miejsce przestępstwa – powtarza, obmacując kieszenie w poszukiwaniu dzwoniącej komórki, po czym gwałtownie się obraca, by wbiec po schodach na górę.

Ignorują go i wchodzi do dużego salonu.

Jest. Winnie siedzi skulona na krześle, obejmując rękoma kolana, przed oblaną czernią nocy szklaną ścianą, z kremowym

kocem zarzuconym na ramiona. Patrzy pustym wzrokiem i gryzie dolną wargę. Jakieś dwa metry dalej siedzi policjant i coś notuje, obok na podłodze stoi zapomniana kawa na wynos.

– To przez makaron – mówi Alma między jednym szlochem a drugim. Jest w pokoju obok, więc Winnie jej nie słyszy. Z różańcem w ręku siedzi na miękkim skórzanym narożniku, milknie co chwila, przymyka oczy i wznosi ku górze pięść ze zgniecioną chusteczką, wypowiadając po hiszpańsku niezrozumiałą modlitwę. Zjadła za dużo pieczonych ziti, które przyniosła z domu. Przez to zachciało jej się spać. Usiadła na sofie i wzięła telefon, żeby powiedzieć dobranoc swojemu dziecku, które zostało w domu z jej siostrą. Najpewniej się zdrzemnęła – to do niej zupełnie niepodobne, przekonuje, rzucając Winnie zawstydzone spojrzenie, ale poprzedniej nocy jej ząbkująca córka budziła ją cztery razy. Gdy się obudziła, od razu zerknęła na monitor. Łóżeczko wyglądało na puste.

– Coś pani słyszała? – pyta drugi policjant.

Zmierzwiłone siwe brwi ma tak krzaczaste, że zaraz zasłonią mu całe czoło, na grubym palcu nosi sygnet. Plakietka z imieniem i nazwiskiem wydrukowanymi wielkimi literami – STEPHEN SCHWARTZ – wisi na cienkim łańcuszku na szyi, kołysząc się niemrawo w przód i w tył niczym wahadło cichnącego zegara.

– Nic – odpowiada Alma i znowu wybucha szlochem.

– Zupełnie nic? Żadnych kroków? Płaczu?

– Nic. Żadnego płaczu.

Schwartz bierze ze stołu pudełko chusteczek i podaje jej. Alma wyciąga jedną, posyłając w powietrze celulozowy obłoczek.

– Monitor. Był tutaj. – Ociera oczy i wskazuje miejsce, gdzie siedzi detektyw. – Właśnie tutaj, gdzie pan siedzi. Stał przez cały czas.

– Był włączony?

– Tak.

– Nie wyłączyła go pani?

– Nie. Nie dotykałam go, tylko kilka razy zerknęłam.

– I co pani widziała?

– Dziecko. Spało. Dopiero gdy się obudziłam, zorientowałam się, że go nie ma.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Co zrobiłam?

– Dokładnie. Sprawdziła pani okno w jego pokoju? Rozejrzała się pani po domu? Sprawdziła na górze?

– Nie. Mówiłam panu. Przybiegłam tutaj po komórkę. Leżała na stole. Zadzwoiłam do Winnie, ale nie odebrała.

– A potem?

– Zadzwoiłam do Nell.

– Piła pani alkohol?

– Alkohol? Oczywiście, że nie. Tylko mrożoną herbatę, którą przygotowała dla mnie Winnie.

– Przygotowała dla pani mrożoną herbatę – powtarza Schwartz, gryzmołąc coś w kajecie. Ścisza głos. – I mówiła pani, że gdzie była wtedy matka dziecka?

– Spędzała wieczór na mieście.

– Na mieście. Nie powiedziała pani, gdzie konkretnie idzie?

– Zapomniałam. Napisała na kartce. Wyszła się napić.

Policjant podnosi wzrok i marszczy brwi.

– Mówi pani, że wyszła się napić, tak?

– Proszę pań, ostatnie ostrzeżenie – rzuca ze schodów pierwszy policjant idący obok kobiety w policyjnej kurtce. – Proszę skierować się do wyjścia i nie zmuszać mnie, bym powtarzał to jeszcze raz.

– Idziemy – mówi Colette.

Francie i Nell cofają się do holu i wychodzą na opustoszałą ulicę. Wcześniej jednak zdążyły podejść do Winnie i uścisnąć jej rękę. Przytulić ją na tyle długo, żeby zabrać do domu zapach jej szamponu. Francie zdążyła przyklęknąć, ująć w dłonie twarz koleżanki i powiedzieć, patrząc jej w oczy: „Znajdą go, Winnie. Znajdą. Odzyskamy Midasa. Obiecuję”. Stały jeszcze przez chwilę przy poręczy tarasu, patrząc na miliony okien brooklińskich domów, w których śpią dzieci, całe i bezpieczne, których mieszkańcy może patrzyli w tym samym czasie w ich stronę, w stronę trzech zdruzgotanych matek, z włosami trzepoczącymi na gorącym lipcowym wietrze, z sercami ściśniętymi strachem.

ROZDZIAŁ 4

DZIEŃ PIERWSZY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 5 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 52 DNI

Ile razy to słyszałaś: śpij, gdy śpi Twoje dziecko. Wiemy, że być może powtarzano Ci to już do znudzenia, ale jest w tym sporo racji. Jeśli trudno Ci się zrelaksować na zawołanie, akurat wtedy, gdy Twoja pociecha zapadła w sen, przygotowaliśmy dla Ciebie kilka porad: unikaj kofeiny i słodkich napojów. Wykonaj kilka ćwiczeń oddechowych, których nauczyłaś się przed porodem. Przed położeniem się spać wypij szklankę ciepłego mleka, zjedz kawałek sera albo nawet pierś z indyka – zawierają tryptofan, który pomaga zasnąć.

Francie stoi zdezorientowana w swojej ciasnej kuchni, przed otwartą szafką, oświetloną na różowawo przez zachodzące słońce, opierając się pokusie, by wypić niedozwoloną colę dietetyczną, która mignęła jej przed oczami, gdy otwierała lodówkę. Ostatniej nocy spała co najwyżej dwie godziny – zasnęła na ramieniu Lowella i obudziła się cała przerażona. Śniło jej się, że zostawiła

śpiącego w wózku Willa w sklepie spożywczym przy regale z jogurtami. Najpierw długo wybierała spośród ośmiu rodzajów jogurtu – wszystkie w różnych smakach – a gdy sobie zdała sprawę, co zrobiła, była już w połowie drogi do domu. Popędziła z powrotem do sklepu – słabnące mięśnie, ubranie mokre od potu. Gdy podniosła daszek, okazało się, że wózek jest pusty. Will zniknął.

Przebudziła się gwałtownie i usiadła na łóżku. Nachyliła się nad dostawianym łóżeczkiem. Dopiero gdy przycisnęła dłoń do piersi synka i poczuła, jak unosi się od oddechu i opada, uwierzyła, że to tylko sen. Will nie zniknął, śpi obok. Ale ruch wyrwał go ze snu i mały zaczął płakać tak głośno, że Francie nie pojmuje, jak to możliwe, że Lowell dalej spał jak zabity. Potem przez dwie godziny musiała nosić Willa na rękach po salonie, chodzić wte i wewte po wąskim przedpokoju, tulić go i kołysać, karmiąc z obolałej piersi, by w końcu zasnął na bujanym foteliku, z piąstkami zwiniętymi przy oczach w dwa małe cudzysłowy.

Francie zdążyła się w tym czasie całkowicie rozbudzić. Przez ostatnie dwie godziny przemierzała salon, siedem kroków do tyłu, siedem do przodu, z topniejącymi kostkami lodu zawiniętymi w dziecięcą myjkę ułożoną na karku, mając przed oczami twarz Winnie rozmawiającej z detektywem. Ciągle próbuje poskładać w całość wydarzenia poprzedniego wieczoru i coś z tego wszystkiego zrozumieć. Przyszła Winnie. Wyglądała na wycofaną, ale nie była przygnębiona. Francie próbowała wymóc na niej podzielenie się opowieścią o porodzie, a potem Winnie z Rodzynem poszli do baru po drinka. Winnie rozmawiała z tym

facetem. I nagle gdzieś przepadła.

Francie zadręcza się poczuciem winy. Gdyby tylko nie straciła Winnie z oczu. Gdyby tylko nie dała Nell jej telefonu. Pod koniec wieczoru Nell była już nieźle wstawiona. Pewnie nie tylko Francie zauważyła, że patrzyła przymglonym wzrokiem, wysypała sobie na kolana frytki, nie wspominając o tym, że na ostatnie spotkanie Majowych Mam przyniosła wino.

Francie otwiera lodówkę, żeby wyjąć jajka, i szuka zielonego pieprzu – mogłaby przysiąc, że go kupowała. Lowell zawsze jej powtarza, żeby nie „gdybała”, ale... co gdyby... Gdyby zachowała ten telefon, tak jak chciała? Gdyby Nell nie usunęła tej aplikacji? Trzymałaby telefon przed sobą na stole, jest pewna, że tak właśnie by zrobiła. A wtedy być może ruch w pokoju Midasa rozświetliłby ekran i zobaczyłaby synka w łóżeczku i tego, kto nad nim stoi. Kazałaby Nell zadzwonić do Almy, Alma by się obudziła. Powiadomiłyby policję. Midas byłby...

Czuje czyjąś dłoń na talii, na miękkim wałeczku tłuszczu nad ściągaczem pizamy i cofa się tak gwałtownie, że upuszcza na ziemię jajka, cały karton, żółtka rozlewają się po jej palcach u stóp.

– Przepraszam – mówi Lowell. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Jego skóra pachnie mydłem Irlandzka Wiosna.

– Nie słyszałam, jak wstajesz.

Trzy jajka rozbiły się na kuchennym blacie i Francie przez chwilę zastanawia się, czy da się je uratować, wyjąć kawałki skorupki i wymieszać żółtka z mlekiem. Na myśl o wyprawie do sklepu spożywczego wywraca jej się żołądek. Nie dzisiaj. Nie zniesie dzisiaj przepychania się wąskimi zatłoczonymi alejkami

i stania w niekończącej się kolejce do kasy, a potem długiego marszu do domu w upale z dzieckiem przypiętym do piersi – ocierające się o siebie uda pod ostatnią czystą spódnicą, torby z zakupami wrzynające się w przedramiona. Lowell idzie do schowka po mop, a ona papierowym ręcznikiem wyciera żółtka ze stóp. Nagle zauważa, że mąż jest ubrany jak do biura.

– Wychodzisz?

– Za kilka minut.

– Ale nie ma nawet siódmej. Myślałam, że zjemy razem śniadanie.

Lowell łaskocze mopem jej stopy, żeby się przesunęła.

– Przepraszam, muszę się przygotować na jutro.

– A co jest jutro?

Lowell unosi brwi.

– Żartujesz, nie?

No tak. Spotkanie. Przygotowywał się do niego od wielu dni – ostatnia runda rozmów; przerobienie dawnego kościoła na hotel butikowy. Jak mogła o tym zapomnieć? To zlecenie to jego najważniejszy kontrakt, największe pieniądze, jakie zarobią od dwóch lat, od czasu gdy Lowell postanowił odejść z firmy w Knoxville i przenieść się do Nowego Jorku – w którym nigdy wcześniej nie była – by wraz z kolegą z wydziału architektury założyć prywatne biuro. Namawiała go, by to przemyślał („Trzeba projektować budynki tutaj, w Tennessee”, powtarzała mu). To moje marzenie, powiedział, więc oczywiście zgodziła się na przeprowadzkę. „Plus – argumentował – w Nowym Jorku są najlepsze szpitale. Może in vitro lepiej się tutaj sprawdzi”.

– Przepraszam. Oczywiście, że pamiętam. – Wyciera dłoń w bluzkę, workowatą koszulkę na ramiączkach, którą nosiła przez całą ciążę, poplamioną serkiem topionym i mlekiem z piersi, i bierze od Lowella mop. – Potrzebujemy tej roboty. Jesteś na nią gotów?

Lowell potakuje skinieniem głowy i wymija ją, by otworzyć lodówkę.

– Prawie. U ciebie wszystko w porządku?

– Piszą już o tym w gazetach.

Lowell przystaje.

– Już?

– Tak, w „New York Post”.

Natrafiała na artykuł w swoim telefonie, o trzeciej nad ranem karmiąc małego, pod nagłówkiem drobnym drukiem: „Na Brooklynie zaginęło dziecko – podejrzewa się porwanie”.

– Zaledwie kilka zdań. Policja twierdzi, że nie ma śladów włamania. Nie wspomnieli imienia Winnie, ale oczywiście chodzi o nią.

– To musi być jakieś nieporozumienie. Może jego tata go zabrał.

– Jaki tata? Nie ma żadnego taty.

– Naprawdę? – Lowell robi głupią minę. – Niepokalane poczucie?

– Nie. Chodzi mi o to, że gdyby były takie podejrzzenia, toby o tym napisali. A piszą o porwaniu.

– Nie martw się, Francie. Znajdą go. – Dotyka jej ramienia. – To pewnie jakieś nieporozumienie. Zwykle na koniec okazuje się, że to

ktoś z rodziny. – Wsuwa dwa poczerńiałe banany z miski na blacie do bocznej kieszeni torby na laptopa. – Postaraj się o tym nie myśleć. Wrócę na lunch.

Francie żegna męża pocałunkiem, starając się ukryć swoje rozczarowanie, że Lowell idzie do pracy i zostawia ją samą w obliczu tych strasznych zdarzeń.

Robi to dla nas, powtarza w myślach, sprząając pustą butelkę po piwie, którą zostawił wieczorem na blacie. Zaharowuje się, by opłacić czynsz. Ubezpieczenie zdrowotne. Kupować jajka, które właśnie zbiła. Oczywiście, że musi długo zostawać w pracy, choć na pewno wolałby spędzać więcej czasu z dzieckiem, z nimi obojgiem. A ona musi to zrozumieć. W końcu sama go przekonała, by przeznaczyć pieniądze, które dostali od jego rodziców w prezencie ślubnym, na zapłodnienie in vitro, a potem, gdy za pierwszym razem się nie udało, błagała, by poprosił brata, cenionego anestezjologa z Memphis, o pożyczkę na jeszcze jedną próbę.

Will budzi się na dźwięk zamykanych za ojcem drzwi. Francie podnosi jego ciepłe ciało z bujaka, zanim mały zdąży się rozplakać, niesie go do sypialni i kładzie na przewijaku zaimprovizowanym na blacie komody. Poranek rozciąga się w nieskończoność – przynajmniej pięć godzin do zagospodarowania, zanim Lowell przyjdzie na lunch. Dlaczego nic sobie nie zaplanowała? Tak naprawdę chciałaby napisać do Majowych Mam i zapytać, czy któraś miałaby ochotę na nieplanowane spotkanie. Chce być wśród nich, razem z dziećmi, pod wierzbą, rozmawiać o Midasie, analizować to, co się stało. Ale

nie ma takiej możliwości. Poprzedniego wieczoru, po wyjściu od Winnie, Colette przekonała je, że nie powinny informować grupy; że to do Winnie należy przekazanie tej wiadomości. Francie wie, że nawet jeśli inne mamy czytały artykuł z „New York Post”, to nie przyjdzie im do głowy, że porwanie mogło się zdarzyć w ich okolicy, że może chodzić o jedną z nich.

Wie też, że gdy były z Colette i Nell u Winnie, Yuko w domu komponowała album zdjęć na stronie facebookowej Majowych Mam pod tytułem „Wypad do Wesołego Lamy”, zachęcając inne mamy, by wklejały własne zdjęcia z wieczoru. Francie nie miała odwagi go otworzyć, zobaczyć, jak wszystkie się świetnie bawiły, gdy w tym samym czasie Midasa wynoszono z jego łóżeczka, odbierano matce.

Zanosi Willa do salonu, wymijając przepełniony kosz z brudnym praniem. Jest go aż nadto, by zapełnić cały ranek, stwierdza, gdy właśnie odzywa się jej komórka.

– Halo? – Jej głos brzmi zbyt entuzjastycznie.

Nie rozpoznaje numeru i myśli – ma nadzieję – że to Winnie dzwoni, by powiedzieć, że Midas się znalazł. Że Lowell miał rację. Że to tylko nieporozumienie. Ale to nie ona.

– Witaj, Mary Frances. Tu twoja matka.

Francie zamiera.

– Mamo. Cześć. – Sięga po pilota i wycisza telewizor. Po drugiej stronie linii cisza. – Przepraszam – mówi Francie. – Nie rozpoznałam twojego numeru.

– Kupiłam sobie komórkę.

– Naprawdę?

Francie nie może w to uwierzyć. Marilyn Cletis, kobieta, która zabraniała słuchania muzyki w domu, która własnoręcznie szyła im wszystkie ubrania, która hodowała krowę, by jej dzieci miały świeże mleko – ta sama kobieta sprawiła sobie telefon komórkowy?

– Owszem. Przyjaciółka z kościoła przekonała mnie, że już czas. Mogę na niej nawet pisać wiadomości.

– To świetnie, mamó.

– Dostałam zdjęcie z porodu, które wysłałaś. Słodkie. Ale...?

– Ale co?

– Kalani?

– Tak. William Kalani. Mówiłam ci. Nazywamy go Will.

– Czy to murzyńskie imię?

Francie odparowuje, zanim zdoła się powstrzymać:

– Murzyńskie? Skądże. Jest hawajskie.

Usłyszała je, gdy byli na miesiącu miodowym. Oznacza „zesłany z nieba”. Idealne imię dla jej syna.

– A... Myślałam, że to może taka nowojorska moda. – Francie słyszy, jak mama ustawia naczynia. – Powiedziałam twojemu dziadkowi. Nie jestem pewna, czy wszystko dobrze zrozumiał, ale chyba był dumny, że wybraliście imię William.

Francie nie chciała jej mówić, że dziecko nie zostało nazwane na cześć przeważnie nieobecnego ojca Marilyn, który ma na drugie William. Kładzie Willa delikatnie na macie do zabawy, pod rozdzwonionym mostkiem ze zwisającymi zwierzątkami, i staje przed wiatrakiem na parapecie, który rozwiewa jej koszulę.

– Przepraszam, że ostatnio nie dzwoniłam – mówi. – Mamą

trochę napiętą sytuację.

– Nie musisz mi mówić. Też kiedyś byłam matką. – Marylin milknie na chwilę, ale Francie nie wie, co powinna na to odpowiedzieć. – Jak dziecko?

– Dobrze – odpowiada Francie. – Przeważnie. Mam kłopoty z karmieniem. Nie najada się chyba.

– To daj mu mieszankę. Wsyp do niej trochę płatków zbożowych dla dzieci.

– Nie, teraz się już od tego odchodzi. Staram się nie...

– Ludzie z kościoła modlą się za ciebie. Cora Lee spytała mnie, jaki miałś poród, i uświadomiłam sobie, że nie wiem. Nie opowiadałaś mi.

– Naprawdę? – Francie czuje, jak uchodzi z niej napięcie. – Przebiegł podręcznikowo. Urodziłam siłami natury, bez leków przeciwbólowych.

Nie było lekko. Jakies tysiąc razy w ciągu dziewięciu godzin porodu chciała się poddać i poprosić o znieczulenie zewnątrzoponowe, ale jakoś przetrwała, chodząc w kółko po szpitalnej sali, powoli tańcząc z Lowellem między jednym skurczem a drugim. Widzi, z jakim podziwem Lowell czasami na nią teraz patrzy: nie jak na swoją nienachalnej urody żonę wzrostu 156 centymetrów z grubymi udami i przedwcześnie posiwiałymi lokami, ale jak na niepowstrzymaną, ziejącą ogniem wojowniczkę, rodzącą zdrowego, trzyipółkilogramowego syna, a to wszystko w Dzień Matki, dziękuję za uwagę.

– Siłami natury? Co to znaczy? Nie wzięłaś znieczulenia zewnątrzoponowego?

– Nie. Nawet połowy tabletki advilu.

Cisza.

– Celowo?

– Tak.

– Dlaczego miałybyś robić coś takiego?

Francie przymyka powieki, znowu czując się jak dziesięciolatka. Stara się nie unosić głosu.

– Bo chciałam, oboje z Lowellem chcieliśmy, doświadczyć cudu narodzin w jego naturalnej postaci. Porody bez leków są teraz...

Marilyn chichocze.

– Och, Mary Frances, cała ty. Niczego nie możesz zrobić jak reszta ludzi. – Francie dziwi się, gdy na te słowa czuje w gardle gorycz łez. – No nic... dzwonię, bo mam coś dla Williama. Strój do chrztu. – Marylin zawiesza na chwilę głos. – No i chciałabym złożyć wam wizytę.

– Wizytę? – Francie nie sądziła, by Marylin kiedykolwiek chciała przyjechać do Nowego Jorku. Nigdy nie wyściubiła nosa poza Tennessee. – Nie musisz tego robić, mam. Oszczędzamy z Lowellem na bilety, żeby cię odwiedzić z Willem.

– Chrzest jest pewnie niedługo. Mogłabym poszukać lotu, może na przyszły weekend? Będzie ci potrzebna pomoc, powiedzmy to sobie szczerze.

– Przepraszam, mam. Przyszły weekend odpada. – Gorączkowo szuka w głowie jakiejś sensownej wymówki. – Lowell ma ważną rozmowę. Cały czas pracuje i byłoby mu przykro, że nie może spędzać z tobą czasu. No i jeszcze Majowe Mamy. Jesteśmy...

– Majowe Mamy?

– To grupka moich nowych przyjaciół. Klub mam. – Francie już sobie wyobraża, jak jej matka by je wszystkie podsumowała: Nell, z dużym krzykliwym tatuażem na ramieniu. Yuko, karmiąca w kawiarni na oczach wszystkich. Rodzyn, pełnoetatowy tatuś gej. – Zdarzyła się nam straszna rzecz...

– Będzie potrzebował tej wyprawki. Ty ją na sobie miałaś, a przed tobą ja. – Matka czeka. Wie, co robi. Wie, że Francie nie zamierza ochrzcić dziecka. Zmusza ją, by skłamała. – Kiedy chrzest?

– Jeszcze nie wiemy. Jak mówiłam, Lowell dużo teraz pracuje.

Pomimo chłodu płynącego z wiatraka po plecach spływają Francie krople potu. Odwraca się od okna, zerka na Willa leżącego na macie, na wyciszony telewizor, zastanawiając się, co powiedzieć.

I nagle serce jej zamiera.

To Winnie. W telewizji. Ale nie ta Winnie, którą znają. Ta na ekranie jest dużo młodsza – nastoletnia. Stoi na scenie, w złotej sukni bez ramiączek, z włosami związanymi na karku w luźny kok, opierając się na ramieniu niemal identycznej starszej kobiety, zapewne swojej matki. Wyświetla się kolejne zdjęcie: Winnie w różowawym trykocie i długiej tiulowej spódnicy, w baletkach zasnurowanych aż do kolan. Francie bierze z bufetu pilota i pogłania.

„Gwendolyn Ross jest najbardziej znana z roli w kultowym serialu Niebieski ptak, nadawanym na początku lat dziewięćdziesiątych”.

– Mary Frances?

– Przepraszam, mamó. Muszę kończyć. Mały się obudził.

Francie odkłada telefon na stół. Dziennikarka stoi na pokrytym liśćmi chodniku, za nią widać jasnożółtą taśmę policyjną. Francie podchodzi do telewizora. Budynek, przed którym stoi... To dom Winnie.

„Na tym etapie policja pilnie strzeże wszelkich informacji. Traktują tę sprawę jako porwanie i sprawdzają wszystkie tropy. Od zniknięcia dziecka minęło prawie dziewięć godzin. Zara Secor z Brooklynu”.

„Dziękujemy, Zaro. Teraz kolejna przygnębiająca wiadomość. Szczyt poświęcony zmianom klimatycznym...”

Francie bierze laptopa ze stolika nocnego. Niebieski ptak. Ktoś, może Gemma, wspomniał kiedyś, że Winnie jest aktorką, ale połowa ludzi, których Francie poznała od czasu przeprowadzki do Nowego Jorku, uważa się za aktorów. Nie wiedziała, że Gemma miała na myśli to, że Winnie jest sławna. Gwiazda telewizyjnego programu o młodej baletnicy, chcącej się dostać do New York City Ballet. Tą baleriną była Winnie, Gwendolyn. To ona była „Niebieskim ptakiem”.

Francie nie miała pojęcia. Gdy serial nadawano w telewizji, miała jedenaście lat, ale był to dokładnie ten rodzaj programu – z aluzjami do kielkującej seksualności, ukazujący mieszane związki – którego mama nigdy nie pozwoliłaby jej oglądać. Francie wchodzi do Wikipedii i znajduje stronę poświęconą Winnie. Odebrała klasyczne wykształcenie baletowe i odbyła letni kurs w Royal Ballet School. Istniała też rodzinna fundacja imienia jej matki, oferująca stypendia młodym tancerkom.

Francie nie powinna się dziwić. Już na pierwszym spotkaniu Majowych Mam, cztery miesiące wcześniej, gdy zobaczyła Winnie po raz pierwszy, dostrzegła w niej coś wyjątkowego. Nadal to widzi. Gemma opowiadała grupie, że Winnie zapłaciła za przechowanie krwi z pępownicy syna – Francie nigdy nie słyszała o takiej praktyce. „To kosztowne, ale może im uratować życie, jeśli kiedykolwiek, odpukać w niemalowane, zapadną na jakąś groźną chorobę” – mówiła Gemma, gdy jedna za drugą zaczęły odwracać głowy w stronę trawnika, po którym szła ku nim kobieta w krótkiej turkusowej sukience opinającej się na ciążowym brzuchu, z szerokimi srebrnymi bransoletkami na nadgarstkach. Wszyscy przesunęli się na bok, by zrobić dla niej miejsce, poprawiali kocyki, przenosili dzieci, a ona usiadła tuż obok Francie. Francie obciągnęła bawełniane szorty, które przykleiły jej się do brzucha, patrząc, jak Winnie siada z podwiniętymi nogami.

„Jestem Winnie – powiedziała, kładąc palce na wzgórku brzucha, tuż pod piersiami. – Przepraszam za spóźnienie”.

Francie z trudem odrywała od niej wzrok, nie mogąc nadziwić się, jaka jest piękna. Twarz jak z okładek pism i wybiegów: nosek przyprószony piegami, nieskazitelna oliwkowa cera obywająca się bez korektora, którego Francie była niewolnicą od mniej więcej dziesięciu lat. A potem to zajście w kawiarni. Francie była bardzo zażenowana z powodu nagłego ataku Willa, czuła na sobie krytyczne spojrzenia dwóch młodych mężczyzn pracujących na laptopach przy stoliku pod oknem, grymas dziewczyny za ladą, czekającej, aż Francie zdecyduje, co zamówić. Winnie jakby wyrosła spod ziemi, wzięła Willa z rąk Francie i zaczęła z nim

chodzić między stolikami, klepiąc go po pupie, szepcząc mu do ucha, aż w końcu go uspokoiła.

„Jak to zrobiłaś? – spytała Francie, dołączając do niej przy stoliku w rogu. – Czuję się, jakbym była jedyną osobą, która nie wie, co robić”.

„Nie wygłupiaj się – powiedziała Winnie. – Majowe Mamy bardzo się starają zrobić wrażenie, że to wszystko przychodzi im łatwo, ale nie daj się zwieść pozorom. – Miała w oczach figlarne spojrzenie, jakby od dawna były z Francie kumpelkami, zwierającymi się sobie z tajemnic. – Dla żadnej z nich to nie jest proste. Wierz mi”.

Ponad godzinę później, gdy Will w końcu zasnął w dostawianym łóżeczku, przy szumie odkurzacza, Francie natrafia na nekrolog Audrey Ross, matki Winnie. Zginęła w osiemnaste urodziny Winnie, jadąc do sklepu po lody. O jej śmierci pisano w ogólnokrajowych gazetach, bo Audrey Ross była nie tylko matką słynnej młodej aktorki Gwendolyn Ross, lecz także dziedziczką wartej miliony firmy obrotu nieruchomościami, jednej z największych w kraju.

Teraz wszystko układa się w całość. Dom Winnie. Jej ubrania. Drogi wózek, którego tak zazdrościła jej Francie (oglądała go z rozmarzeniem w Babies „R” Us, aż zobaczyła, że kosztuje prawie tyle, ile wynosi ich miesięczny czynsz). Znajduje zdjęcia z pogrzebu: Winnie z ojcem wchodzą do wiejskiego kościoła w pobliżu ich weekendowego domu na północy stanu, niedaleko od miejsca, w którym zginęła Audrey Ross. Dziwny był ten wypadek. Hamulce nagle przestały działać, nie wiadomo dlaczego. Samochód

Audrey przeleciał przez barierkę i spadł ponad dwadzieścia metrów w dół jaru. Winnie odeszła z Niebieskiego ptaka kilka miesięcy później. Niedługo potem program zdjęto z anteny.

Francie nie może w to wszystko uwierzyć. Nagle słyszy odległy dźwięk kościelnych dzwonów obwieszczających południe, na który podrywa się z krzesła. Zamyka laptopa, zerka na nietknięty stos prania i idzie do kuchni, by zabrać się do przygotowywania lunchu. Wycieńczona, z mętным wzrokiem, chce doprowadzić się do porządku, zanim wróci Lowell. Będzie wykończony i głodny, spragniony jej obecności. Ale nie może zaprzeczyć, że czuje ucisk w dołku na myśl o tym wszystkim, co Winnie straciła, o tym wszystkim, czego dokonała – udana kariera aktorska, gwiazda programu, szczęśliwy związek z muzykiem, o którym wspomniała w jednym z wywiadów udzielonych po śmierci matki. „Mam oparcie w Danielu – powiedziała, mając na myśli swojego chłopaka, gdy dziennikarz spytał ją, jak sobie z tym wszystkim radzi. – Tylko dzięki niemu udaje mi się przetrwać smutek”.

I to wszystko przed ukończeniem siedemnastego roku życia.

Francie wstawia wodę na makaron. Nie może przestać myśleć o tym, co sama robiła w tym wieku: śpiewała w kościelnym chórze, uczyła w niedzielnej szkółce, pozwalała panu Colburnowi, nauczycielowi przyrody, by w sali laboratoryjnej podciągał jej spódnice i włożył do środka palce. A przynajmniej tak to się zaczęło. Niedługo potem robił to po szkole w swoim samochodzie, zaparkowanym przed dawnym sklepem obuwniczym w galerii handlowej, a potem w swoim domu, obskurnej kawalerce dla wolontariuszy jakiejś katolickiej organizacji. Członkowie Ivy

League po uzyskaniu dyplomu musieli spędzić rok w jakiejś zapóźnionej szkole średniej, na obrzeżach kraju, na przykład w Naszej Pani Nieustającej Pomocy w Estherville, do której chodziła Francie. To w jego mieszkaniu po raz pierwszy spróbowała wina, po raz pierwszy zapaliła marihuanę. To także tam pan Colburn – James, jak się do niego zwracała na osobności – przytrzymał ją i mimo protestów ściągnął z niej strój siatkarski.

Wyskrobując ostatnie kawałki tuńczyka z puszki do miski, Francie słyszy ciężkie kroki Lowella na schodach. Wyciera dłonie o spodenki i biegnie do łazienki, by przejrzeć się w lustrze, przygładzić włosy i spryskać nadgarstki kwiatowym sprayem. Zanim Lowell zdąży włożyć klucz do zamka, otwiera mu drzwi.

– Zgadnij, co się stało! – woła. – Winnie była w wiadomościach. Jest słynną aktorką...

Nagle zauważa ciemny zarost na twarzy mężczyzny, szeroki pas na jego brzuchu, kaburę przy biodrze. Francie zamiera, jej słowa zawisają w powietrzu, gdy spogląda w szare oczy nieznajomego, patrzące pusto spod czapki z napisem „Policja Miasta Nowy Jork”.

– Nell. – Nell czuje na ramieniu czyjaś dłoń. – Nell, musisz się obudzić.

Nell, policja tu jest.

Cofnęła się w czasie o piętnaście lat, stoi w swoim mieszkaniu w Dystrykcie Kolumbii, rozsuwa zasłony i patrzy na ciemnego sedana zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, na opierającego się o niego mężczyznę w czarnym T-shircie, zapalającego papierosa, patrzącego w jej okno.

– Nell. – Sebastian potrząsa ją za ramię, odganiając wspomnienie. – Obudź się.

Czuje kwaśny smak w ustach, próbuje usiąść na łóżku, ale w głowie jej łupie. Sebastian stawia kubek kawy na stoliku nocnym i odgarnia jej włosy z oczu.

– Policja tu jest.

Nell siada.

– Mówisz poważnie? Dlaczego?

– Chcą z tobą porozmawiać. O wczorajszym wieczorze.

Wczorajszy wieczór.

Wszystko do niej wraca. Winnie. Midas. Powrót do domu, budzenie Sebastiana, opowiadanie mu, co się stało, a potem przerywany, męczący sen.

– Czekają w salonie.

Wstaje z łóżka, przechodząc, zerka na swoje odbicie w lustrze nad komodą – wciąż ma na sobie wczorajszą koszulkę, pod oczami rozmazany tusz, a usta jak rodzynki ze skorupą zaschniętej pomadki.

– Gdzie dziecko?

– Śpi.

Nell sięga po kubek. Kawa pali jej gardło.

– Okej. Już idę.

Wchodzi do łazienki. Podłoga faluje jej przed oczami. Odkręca kran, czeka, aż woda zrobi się zimna, i ochlapuje nią twarz. Zaciska powieki.

Co się stało?

Pamięta początek wieczoru. Jak sączyła wino, szykując się do

wyjścia. Jak przyjechała na miejsce i usiadła na zewnątrz. Ich tchnącą ciepłą obecność, rozmowy. Czuje bąbelki pierwszego drinka, dżin na ustach. Billy’ego Idola. Trzymała telefon Winnie, wsunęła go do swojej torebki. A potem – Nell nie może sobie przypomnieć szczegółów. Tylko to, że Francie i Colette martwiły się o Winnie. Nie wiedziały, gdzie jest. Zaczęła szukać jej telefonu, ale zniknął.

Sebastian właśnie stawia na stole talerz z herbatnikami od mamy z Anglii, gdy Nell wchodzi do pokoju, w spodniach od jogi i cienkiej bawełnianej tunice, którą wzięła z wierzchu kosza z praniem. Policjant ma czterdzieści parę lat, jest przystojny, ma pełne wyrazu piwne oczy, cień zarostu na twarzy – przypomina trochę Toma Cruise’a. Na prawym przedramieniu widnieje duży tatuaż orła i numer 1775.

– Korpus Piechoty Morskiej – mówi, obracając rękę tak, by Nell lepiej widziała. – Rok założenia. Służyłem sześć lat. – Przenosi wzrok na jej prawe ramię i z uznaniem kiwa głową – Koliber?

– Tak. – Jej głos brzmi, jakby ktoś szurał nogą po żwirze. – A dokładniej, rudaczek liliobrody. Symbolizuje ucieczkę. I wolność.

Policjant podaje jej lepką dłoń.

– Detektyw Mark Hoyt. Przepraszam, że nachodzę panią w domu.

Z tyłu stoi mężczyzna z krzaczastymi siwymi brwiami. Stephen Schwartz, przypomina sobie Nell. To on rozmawiał z Alną u Winnie. Hoyt sięga po ciastko, a potem podaje talerz Schwartzowi, który częstuje się od razu trzema.

– Przepraszam – mówi. – Mieliliśmy długą noc. Nie zdążyłem zjeść śniadania.

– Staramy się odtworzyć to, co zdarzyło się wczoraj w nocy – wyjaśnia Hoyt, odstawiając talerz na stół i spoglądając Nell w oczy. – Dlatego chcemy porozmawiać z osobami, które towarzyszyły wczoraj Winnie Ross.

Nell siada na kanapie, w głowie czuje pulsowanie.

– Jasne.

Nell zauważa kamerę ustawioną na statywie. Schwartz staje za nią i naciska guzik.

– Nie ma pani nic przeciwko, żebyśmy nagrywali? – pyta Hoyt.
– Nowe zasady w wydziale.

– Oczywiście, proszę. Mogę napić się wody, zanim zaczniemy?

Hoyt bacznie jej się przygląda i uśmiecha pod nosem.

– Widzę, że działo się w nocy?

Nell nie odwzajemnia uśmiechu.

– Z niemowlęciem zawsze dzieje się w nocy – odpowiada.

– Przyniosę ci – mówi Sebastian.

– A więc... te Majowe Mamy – zaczyna Hoyt. – Może nam pani coś więcej opowiedzieć o tej grupie?

Nell odchrząkuje i stara się skupić.

– To klub matek, rozumie pan. Wszystkie mamy dzieci w tym samym wieku. Zaczęłyśmy się spotykać jakieś cztery miesiące temu, gdy byłyśmy jeszcze w ciąży.

– W barze Wesoły Lama?

Nell nie może się powstrzymać, by nie parsknąć pustym śmiechem.

- Nie. W parku.
- Czyj to był pomysł? Żeby się spotykać?
- Francie.

Schwartz zerka do swojego notesu.

- Mary Frances Givens, tak?

– Tak. To znaczy, nie żeby założyć grupę. Zapisaliśmy się do niej przez The Village, internetowy portal dla rodziców. Ale to Francie zaproponowała, żebyśmy zaczęły się spotykać osobiście.

Przez głowę przebiega jej myśl, by pójść do kuchni i nalać sobie kieliszek czerwonego wina – tylko to mogłoby zatrzymać pokój wirujący jej przed oczami – ale tylko zaciska palce na kubku z kawą.

– Aha... – Hoyt kiwa głową. – I czym się panie zajmują na tych spotkaniach?

- No wie pan. Rzeczami, którymi żyją świeżo upieczone matki. Policjant unosi brew.

- Na przykład?

– Zamartwianiem się o swoje dzieci. Patrzeniem z uwielbieniem na swoje dzieci. Martwieniem się o nie jeszcze bardziej.

Hoyt się uśmiecha.

- Pani Ross przychodziła na wszystkie spotkania?
- Przychodziła często. Zwłaszcza na początku.

Nell ma przed oczami Winnie idącą w stronę ich kręgu, zwykle spóźnioną kwadrans, siadającą, roztaczającą subtelną woń drogich perfum, dokładnie takich, jakich używają kobiety jej pokroju.

- Dużo o sobie opowiadała?
- Niespecjalnie.

Hoyt uśmiecha się szeroko.

– Wie pani, że była aktorką?

Nell zatrzymuje kubek tuż przed ustami.

– Jest aktorką?

– Była. Gwiazdą kultowego programu telewizyjnego Niebieski ptak. Był popularny jakieś dwadzieścia lat temu.

– Nie miałam pojęcia.

– Oglądała go pani kiedyś?

Nell pamięta, jak koleżanki w szkole średniej o nim mówiły, świergocząc, jaki jest nowatorski, jakie podejmuje ryzyko – jeden z bohaterów był gejem, nastolatki zachodziły w ciążę.

– Słyszałam o nim, ale nigdy go nie oglądałam. Szczerze mówiąc, na tamtym etapie bardziej się zajmowałam matematyką niż telewizją.

Schwartz sięga po jeszcze jedno ciastko.

– I to pani zatrudniła Almę Romero do opieki nad dzieckiem tej nocy?

Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Tak.

Hoyt upija łyk kawy i kiwa głową w stronę Sebastiana, który wrócił z wodą dla Nell.

– Bardzo dobrze. Dziękuję. – Trzyma kubek w dłoniach.

– Nalegała pani, by pani Romero popilnowała Midasa, by pani Ross mogła wyjść na miasto.

– Nie wiem, czy można to nazwać naleganiem...

– Nie mogła sama sobie znaleźć opiekunki?

– Mogła, ale...

– W mejlu, który pani wysłała, zaoferowała pani, że zapłaci Almie, jeśli Winnie zgodzi się wyjść.

Nell bierze szklanę i opróżnia ją do połowy.

– Teraz to brzmi śmiesznie, ale wtedy żadna z nas nie wiedziała, że Winnie ma pieniądze.

– Aha. Gdzie pani znalazła panią Romero?

– Na stronie The Village.

– Jak długą ją pani znała, zanim powierzyła jej opiece swoje dziecko?

Nell sądziła, że rozmowa potrwa nie dłużej niż godzinę – Alma była szóstą opiekunką, z którą rozmawiała. Żadna inna nie była odpowiednia. I nagle zjawiała się Alma, rozpromieniona i uśmiechnięta. Została prawie całe popołudnie. Piły herbatę w salonie, chrupały M&M’sy, które przyniosła, przekazywały sobie Beatrice z rąk do rąk. Opowiedziała Nell o swojej wiosce w Hondurasie, gdzie była położną – pierwsze dziecko przyjęła w wieku dwunastu lat, o tym, jak przed trzema laty przyjechała do Stanów, pokonując płytki odcinek Rio Grande, w szóstym miesiącu ciąży, by zapewnić synowi lepsze życie.

Przed wyjściem Alma zaproponowała, że zajmie się Beatrice, żeby Nell mogła wziąć prysznic i zająć się sobą przez kilka chwil. Gdy Nell położyła się do łóżka, po raz pierwszy od dnia porodu ogoliwszy nogi, słyszała przez monitor, jak Alma śpiewa małej po hiszpańsku. Obudziła się gwałtownie po dwóch godzinach i pobiegła do pokoju dziecięcego. Beatrice spała słodko na piersi Almy, maleńkimi paluszkami ściskając jej rękę.

– Jakież pięć godzin – Nell odpowiada na pytanie Hoyta.

– Sprawdziła pani jej referencje? – pyta. – Poprosiła o zaświadczenie o niekaralności?

– Nie.

– Nie? To trochę zaskakujące.

– Naprawdę?

– Moja żona chciała kiedyś zatrudnić opiekunkę. – Sebastian posyła Schwartzowi pełne wyższości spojrzenie. – Rany, ile ona sprawdzała te kobiety. Powiedziałem jej, że to ja powinienem siedzieć w domu, a ona pracować dla FBI. – Wraca wzrokiem do Nell. – Ale czemu tu się dziwić? O tylu strasznych rzeczach się teraz słyszy...

– Nic mnie nie zaniepokoiło – mówi Nell. – Nigdy nie słyszałam o przestępcy, który śpiewałby kołysanki w dwóch językach. Ale może tylko ja jestem taka naiwna.

– A co pani sądziła o jej statusie imigracyjnym? – pyta Hoyt.

– Status imigracyjny? – Nell milknie, starając się nie patrzeć na Sebastiana. – Nie rozmawialiśmy o tym.

Sebastian siada na kanapie obok Nell, ruch poduszek wywołuje w niej falę mdłości.

– Nie rozumiem – mówi Sebastian, nachylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach. – Dlaczego zadajecie takie pytania? Chyba nie sądzicie, że Alma miała z tym coś wspólnego.

– Staramy się postawić kropkę nad i. – Hoyt chichocze ze swojego żartu i zerka do notatnika. – A w barze? Zauważyła pani coś nietypowego? Przychodzili albo wychodzili jacyś podejrzani ludzie?

– Nie, siedzieliśmy głównie we własnym gronie. Na patio.

– Winnie była z wami cały czas?

Nagle Nell widzi siebie, jak stoi przy umywalce w damskiej toalecie, wdycha smród moczu i wybielacza, pije wodę ze złożonych dłoni, zmaconym wzrokiem dostrzega w lustrze przemykający z tyłu cień.

– Proszę pani?

– Mniej więcej po godzinie Winnie poszła do baru. – Słowa odbijają się echem w jej głowie. – Rodzyn razem z nią. Potem już jej nie widziałyśmy.

– Jedna z matek w waszej grupie nazywa się Rodzyn?

– Nie. To mężczyzna. Ojciec.

Nell czuje na sobie czyjeś dłonie, ktoś ciągnie ją za bluzkę, zatapia palce w jej ramieniu. Czyjs gorący oddech na jej szyi.

Schwartz znowu unosi brwi.

– Ojciec? W klubie mam?

– Tak, chyba jest gejem.

Policjant kiwa głową, a Hoyt zapisuje coś w notesie.

– Rodzyn. Kto to? Jakiś skandynawski bóg?

– Nie. To przezwisko. Nazwałam go tak na jednym z pierwszych spotkań, bo był jedynym facetem – rozumiecie. I tak już zostało. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętam, jak ma naprawdę na imię. Nie wiem, czy którakolwiek z nas to wie.

Sebastian chichocze nerwowo i sięga po dłoń Nell.

– Moja żona ma fatalną pamięć do nazwisk.

– Wrócę za chwilę, dobrze? Chciałam skorzystać z toalety.

Nell wstaje, przytrzymując się ramienia Sebastiana, i idzie do ich sypialni, a potem do łazienki. Zamyka za sobą drzwi i spogląda

w lustro. To tylko sen. Nie może być inaczej.

Kuca na podłodze przed sedesem. Minęło kilka lat, od kiedy ostatni raz miała jeden z tych koszmarów, które prawie co noc ją gwałtownie budziły. Ktoś ją śledzi. Czeka ją na nią za rogiem. To musi być to. Pamiętałaby przecież, gdyby ktoś był z nią wtedy w łazience, dotykał jej.

Słyszy płacz Beatrice, a potem pukanie do drzwi. To Sebastian.

– Nell. Wszystko w porządku?

Zauważa bluzkę, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru, zwiniętą w kulkę na podłodze, gdzie ją rzuciła. Sebastian puka mocniej.

– Nell.

– Już wychodzę.

Podnosi bluzkę. Jest rozdarta wzdłuż szwu na prawym ramieniu.

Wraca do pokoju i przeprosza Hoyta.

– Nie ma za co. Jeszcze tylko kilka pytań i damy pani spokój. Co pani wie o ojcu?

– Ojcu Winnie? – pyta Nell, zerkając na kamerę. – Nic.

– Nie, proszę pani. O ojcu Midasa.

– Och, zupełnie nic. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że jest samotną mamą. – Czuje, jak wokół niej narasta gorąco. – Miałam przez chwilę telefon Winnie, ale potem nie mogłam go znaleźć. W futerale na telefon miała klucz. – Przełyka ślinę. – Czy ktoś go znalazł? Czy tak dostał się w ich ręce?

– Właśnie tego między innymi próbujemy się dowiedzieć – odpowiada Hoyt.

– Ile pani wczoraj wypła? – pyta Schwartz.

Nell obrzuca go spojrzeniem.

– Ile?

– Tak.

– Nie wiem. Może dwa drinki? Drugiego prawie nie tknęłam.

– Była pani pijana?

Nell wie, że powinna powiedzieć prawdę. Po prostu. Wie, z czym się wiąże okłamywanie policji.

– Nie – odpowiada, czując skurcz w brzuchu. – Oczywiście, że nie byłam pijana.

Sebastian staje tuż przed nią, okrążywszy stolik i dolawszy wszystkim kawy. Nell zerka na niego ukradkiem. Na jego czapę kasztanowych włosów, na smukłe ciało piłkarza, wyobrażając sobie go takim, jakim ujrzała go po raz pierwszy: siedział na drugim końcu nastrojowego londyńskiego baru, popijał guinnessa w gasnącym popołudniowym słońcu i w skupieniu szkicował coś w notesie. Podszedł do niej potem i zapytał, czy może się dosiąść i postawić jej drinka, a z jego oczu emanowała życzliwość.

Nell zaciska dłonie na podołku, próbując się skoncentrować na kolejnym pytaniu policjanta, ale jej wzrok wędruje w stronę Sebastiana, który przemierza pokój powolnym krokiem, z ich córką na ramieniu, z zupełnie inną twarzą niż ta sprzed sześciu lat. Z twarzą dojrzałego mężczyzny, zmartwionego i przestraszonego. Dręczonego tą samą myślą, która jej nie daje spokoju. Proszę. Tylko nie to. Nie znowu.

ROZDZIAŁ 5

DZIEŃ DRUGI

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 6 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 53 DNI

Rozważasz spanie razem z dzieckiem? Nic straconego. Choć nie jest to rozwiązanie dla każdego, niesie ze sobą liczne korzyści. Dzieci śpiące razem z rodzicami zwykle śpią dłużej. Łatwiej jest je karmić piersią, co pozwala utrzymać odpowiednią ilość mleka w piersiach. Przede wszystkim zaś w ten sposób powstaje szczególna więź między rodzicem a dzieckiem. No i kto nie lubi przytulić się do ciepłego ciała w środku nocy?

Na peronie metra jest gorąco jak na patelni i tłoczno; ludzie wychylają się na tory, wypatrując świateł pociągu. Mężczyzna na lewo od Colette przeżuwa pasek suszonej wołowiny drogiej marki, która pojawiła się ostatnio w sklepach spożywczych w jej okolicy. Dwie kobiety po prawej z wielgachnymi modnymi torbami zwisającymi z łokcia rozmawiają zbyt głośno, ściskając w rękach telefony.

– Mam koleżankę, która swojego nie zdejmuje, nawet gdy

pływa. Odważyłabyś się?

– W oceanie?

– Tak.

– Nigdy w życiu. – Dziewczyna patrzy na rozpostarte palce swojej lewej ręki i poprawia duży pierścionek z diamentem.

– Szczerze mówiąc, nawet nie lubię w nim wchodzić pod prysznic.

Colette odchodzi dalej i staje przed stoiskiem z gazetami, gdzie mężczyzna w turbanie, cały dzień wdychając wyziewy metra, wydaje butelki wody i grzechoczące pudełka tic taców. Na okładce „New York Post” widnieje twarz Winnie – zdjęcie sprzed lat. Ma na sobie długi płaszcz i okulary przeciwsłoneczne, patrzy na ulicę. Colette powinna być zdziwiona, ale nie jest. Historia od wczoraj, gdy Winnie nagrała wideo, błagając o oddanie jej syna, stała się już w zasadzie wiadomością ogólnokrajową.

Colette obejrzała je wczoraj w łóżku z kilkanaście razy, z małą Poppy śpiącą obok. Charlie był w pracy, a ona pożegnała się z myślą o śnie, po tym jak przez godzinę leżała w ciemności, udręczona kołowrotem myśli. Na filmie Winnie siedzi w swoim domu, na szarym fotelu przed oknem wychodzącym na taras. Wygląda ślicznie – z włosami związanymi z tyłu, ostro zarysowaną linią szczęki, długą szczupłą szyją odcinającą się od prostej czarnej bluzki z krepy.

„Proszę. – Winnie patrzy prosto w kamerę, a głos jej się łamie. – Proszę, nie róbcie krzywdy mojemu dziecku. Proszę, kimkolwiek jesteście, oddajcie mi je”.

Colette słyszy zgrzyt hamulców nadjeżdżającego pociągu i wygrzebuje z dna torby dwie ćwierćdolarówki. W zatłoczonym

wagonie stara się utrzymać równowagę w falującym tłumie ludzi i otworzyć gazetę na stronie z artykułem. Napisał go niejaki Elliott Falk; nagłówek brzmi:

CO ZA GHOSHMAR!

Ludzie zaczynają kręcić nosem na poczynania komisarza Rohana Ghosha w śledztwie w sprawie zaginięcia siedmioletniego Midasa Rossa, który zniknął dwa dni temu. Zaginięcie dziecka zgłosiła czwartego lipca jego opiekunka Alma Romero. „New York Post” potwierdził, że policja zareagowała na zgłoszenie pani Romero dopiero po dwudziestu trzech minutach, co tłumaczy przeciążeniem wydziału w związku ze świętem Czwartego Lipca i koniecznością zapewnienia zwiększonych środków bezpieczeństwa oraz wypadkowi w pobliżu mostu Brooklyńskiego, w którym zderzyły się dwa autobusy i kilkanaście osób odniosło obrażenia, w tym dwoje dzieci i młoda matka – jej stan jest krytyczny. Po przyjeździe do domu pani Ross policja nie zabezpieczyła właściwie miejsca przestępstwa, być może nawet pozwalając osobom, które prawdopodobnie znajdowały się w środku, wyjść przez niepilnowane drzwi.

Matka dziecka, była aktorka Gwendolyn Ross, spędzała wieczór poza domem razem z koleżankami z tak zwanego klubu mam.

Colette przerywa i wraca wzrokiem do zdania: „...pozwalając osobom, które prawdopodobnie były w środku, wyjść przez niepilnowane drzwi”.

Czy to możliwe? Czy ten, kto zabrał Midasa, był wciąż w domu, gdy przyjechała policja? Czy to dlatego zastali otwarte drzwi?

Do artykułu dołączono kilka zdjęć. Na jednym Midas leży na plecach na dywaniku z owczej skóry, obok małej plastikowej żyrafy, patrzy prosto w obiektyw, ma porcelanową skórę, brązowe oczy tak błyszczące, że wyglądają jak wypolerowane. Na zdjęciu niżej Winnie siedzi w parku na kocu, z Midasem w ramionach. Colette wstrzymuje oddech, dociera do niej, że właśnie to zdjęcie dała detektywowi Markowi Hoytowi, gdy wczoraj wieczorem zjawił się u niej w domu – Charlie akurat wyszedł pobiegać z Poppy w wózku, a ona została, żeby przygotować obiad.

„Co pani wie o jej przeszłości? – spytał Hoyt. – Co o sobie mówiła?”

Colette odparła, że Winnie wydawała jej się dziwnie znajoma. Jednak występowała w telewizji ponad dwadzieścia lat temu i Colette nie połączyła jej z Gwendolyn Ross, choć zdarzało jej się oglądać program. Dziewczęta z jej szkoły spotykały się czasem, żeby wypić wino i zapalić jointa, ale Colette namawiała matkę – w te rzadkie weekendy, gdy Rosemary nie jechała do pracy – żeby usiadły razem na kanapie, z twarzami wysmarowanymi maseczką z białka i miodu, o której Colette przeczytała w piśmie „Seventeen”, i miską popcornu pośrodku, by oglądać Niebieskiego ptaka.

Pociąg zatrzymuje się na jej przystanku. Colette wysiada i idzie przez City Hall Park, mijając grupkę turystów fotografujących się przed fontanną. Była jedna interakcja między nią a Winnie, o której przypomniwała sobie dopiero wczoraj wieczorem i o której nie

wspomniała Markowi Hoytowi.

Miała miejsce tego popołudnia, gdy wracały we dwie do domu po pierwszym spotkaniu Majowych Mam. Nie spieszyły się, spacerując wzdłuż ogrodzenia parku. Colette wciąż czuje zapach prażonych orzechów od sprzedawcy na rogu, u którego Winnie kupiła paczkę nerkowców. To wtedy Colette pod wpływem chwili wyznała, jak bardzo była przerażona, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży.

– Całe miesiące nazywałam to błędem – powiedziała Colette.
– Teraz się cieszę, ale nie było tak od razu. Nie byłam na nią gotowa.

Winnie spojrzała surowym wzrokiem.

– Doskonale to rozumiem.

– Naprawdę? – spytała Colette z ulgą.

Od chwili dołączenia do Majowych Mam czuła się jak odszczepieniec – a nawet oszustka – wśród kobiet sprawiających wrażenie, jakby przez całe życie czekały tylko na to, by zostać matkami. Jakby przez całe lata prowadziły wykresy cykli menstruacyjnych, mierzyły temperaturę, a po stosunku leżały z nogami do góry, z nadzieją, że w tym miesiącu padnie na nie. Kobiety takie jak Yuko, która w dniu zaręczyn przestała brać pigułki. Jak Scarlett, która przeszła na weganizm, sądząc, że w ten sposób lepiej przygotowuje swój organizm do ciąży i porodu. I Francie, która na jednym z pierwszych spotkań zwierzyła się, że ma za sobą dwa poronienia i że zaszła w ciążę dopiero po drugiej próbie in vitro, która zostawiła ich z tysiącami dolarów długu.

– A jaka jest twoja historia? – spytała ją Colette.

Winnie tylko machnęła ręką.

– Zostawmy to na inny raz – odparła, przerzucając kieszonki portfela.

Starsza kobieta stojąca przed nimi z papierowym kubkiem pełnym prażonych orzeszków w ręku odwróciła się i uśmiechnęła, spostrzegłszy u nich wzgórki ciążowego brzucha. Położyła dłoń na ramieniu Winnie.

– Nie macie pojęcia, co się wam przytrafiło – powiedziała z wilgotnymi oczami. – Najwspanialszy dar świata.

– To było bardzo miłe – powiedziała Colette, gdy kobieta odeszła.

– Tak myślisz? – spytała Winnie, nie patrząc na nią, ale gdzieś dalej, poza kamienny mur, w stronę parku. – Dlaczego wszyscy się uparli, by mówić nowo upieczonym matkom, co zyskają? Dlaczego nikt nie chce mówić o tym, co stracimy?

Gdy Colette wchodzi po schodach City Hall, wędruje myślami do podpisu pod zdjęciem Midasa: „Zniknęły także żyrafa Sophie, plastikowa piszcząca zabawka z Francji często kupowana przez amerykańskich rodziców, i niebieski kocyk niemowlęcia. Policja prosi wszystkich, którzy mają jakiegokolwiek informacje, o kontakt pod numerem 1-800-NYPD TIP”.

Dlaczego ten, kto zabrał Midasa, wziął też te rzeczy? To dobra wiadomość, stwierdza Colette, wchodząc do windy. Przecież tylko ktoś, kto go kocha – a przynajmniej ktoś, kto nie ma zamiaru zrobić mu krzywdy – pomyślałby o tym, by wziąć jego ulubiony kocyk i zabawkę.

Pytanie to nie opuszcza jej, gdy drzwi windy otwierają się na

czwartym piętrze. W holu jest nadzwyczaj cicho, Allison siedzi przy swoim biurku, wpatrzona w komputer. Podnosi wzrok, słysząc stukot obcasów Colette o marmurową posadzkę.

– Dzień dobry – mówi Allison.

Colette patrzy na zdjęcia na ekranie jej komputera – krzesło do karmienia, fotelik samochodowy, niebieską plastikową wannę w kształcie wieloryba.

– Niech zgadnę – mówi Colette. – Wyprawka dla dziecka?

Allison wyznała Colette, że jest w ciąży, tydzień wcześniej, w ścisłym zaufaniu: „To dopiero ósmy tydzień, więc nikomu nie mów – powiedziała – zwłaszcza burmistrzowi Shepherdowi. Ma teraz na głowie wybory i książkę”.

– To jakiś obłąd – wzdycha teraz Allison, nachylając się bliżej.
– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko jest potrzebne, gdy ma się dziecko.

Colette zerka na ekran komputera.

– Tak naprawdę wcale tego nie potrzebujesz. Dziecko przeżyje myte wilgotną chusteczką w temperaturze pokojowej.

– To samo powiedziała moja siostra – mówi Allison. – Chyba powinnam ufać ekspertom. Dzięki. I nie zgadniesz, ale się spóźni.

– Żartujesz. – Colette unosi brew w udawanym zdziwieniu.
– Burmistrz Shepherd się spóźni?

Allison się śmieje.

– Powiedział, że powinnaś wypić całą jego kawę. Za karę. Właśnie zaparzyłam świeży dzbanek, zostało też trochę ciastek z porannego spotkania.

– Dzięki – mówi Colette, nagle uświadamiając sobie, jaka jest

głodna.

Od czasu frytek w Wesołym Lamie dwa wieczory wcześniej niewiele jadła, zbyt zestresowana sprawą Midasa, by myśleć o jedzeniu.

W gabinecie burmistrza panuje spokój. Chociaż przychodziła tutaj regularnie przez ostatnie kilka miesięcy, za każdym razem jest pod wrażeniem. Duże okna z widokiem na most Brooklyński, kominek, biurko, które niegdyś należało do Jamesa Baldwina – dar od rodziny – taka odmiana w porównaniu z pozbawionym okien gabinetem dyrektora szkoły państwowej numer 212 na Brooksie, gdzie przy piwie i burrito z pobliskiego baru powstawały jego pierwsze wspomnienia. Książka sprzedawała się lepiej, niż się spodziewano: recenzje na pierwszych stronach gazet, ogólnokrajowe spotkania autorskie, a rok później udany start na fotel burmistrza Nowego Jorku. Wydawca zaproponował mu fortunę za sequel opowiadający o relacji burmistrza z matką, aktywistką walczącą o prawa obywatelskie i maszerującą z Martinem Lutherem Kingiem juniorem na Selmę.

Colette nalewa sobie kubek kawy i siada przy okrągłym stole z widokiem na City Hall Park, starając się nie wpadać w irytację, że po raz kolejny musi czekać. Powinna wykorzystać czas na pracę nad nowym materiałem, który ma dostarczyć za kilka dni. Wyjmuje laptopa z torby i otwiera plik tekstowy, a potem przebiega wzrokiem po rozdziałach, które wczoraj po południu wysłała Aaronowi Neeleyowi, szefowi kancelarii Teba. Ze wstydu przechodzą ją ciarki. Tekst jest okropny. Styl pisania nienaturalny i infantylny, dialogów w zasadzie nie da się czytać.

Telefon sygnalizuje, że dostała nowego mejla. Sięga po aparat, wdzięczna, że ma pretekst, by oderwać się od pracy. To Francie. Przez ostatnie dwa dni często kontaktowała się z Nell i Francie – wymieniały się artykułami o „Małym Midasie”, jak zaczęto go nazywać w prasie, i pytały, czy któraś z nich ma jakieś wieści od Winnie.

Colette poprzedniego dnia wysłała Winnie mejla, a ta odpowiedziała po kilku godzinach:

Kto ma moje dziecko? Jak ja to przetrwam?

Colette natychmiast odpisała, pytając, czy może potrzeba jej towarzystwa albo pomocy w zrobieniu zakupów. Ale Winnie nie odpowiedziała już ani na tego mejla, ani na esemesa, który Colette wysłała kilka godzin później.

Widziałyście to? – napisała Francie. Do mejla dołączyła link do bloga poświęconego kryminalistyce – jednego z wielu prowadzonych przez detektywów amatorów, o których istnieniu Colette nie miała dotąd pojęcia – ludzi poświęcających zdumiewającą ilość czasu na próby wyjaśnienia nierozwiązanych przestępstw. Colette czyta post:

Sąsiadka powiedziała, że około 21.30 wieczorem w pobliżu mieszkania Winnie minęła jakąś kobietę schodzącą ze wzgórza z płaczącym dzieckiem, które mogło być w wieku Midasa.

—

W tej samej chwili przychodzi nowa wiadomość od Nell: Ludzie wiedzą, że to Brooklyn, tak? Tutaj wlepią się kobietom mandaty,

jeśli prędzej czy później nie pokażą się na ulicy z płaczącym dzieckiem.

– Witaj, Colette. Przepraszam, że musiałaś czekać.

Colette zamyka pocztę kliknięciem. W drzwiach stoi Aaron Neeley. Ma pomarszczoną koszulę, a na podbródku pasek zarostu, który pominął podczas golenia.

– Wszystko w porządku? – pyta Colette.

Aaron przyciska do piersi plik teczek, a potem jedną po drugiej odkłada na biurko Teba.

– Tak, rozmawia z Ghoshem. Chodzi o to porwanie. Co za koszmarna historia. – Aaron obrzuca Colette wzrokiem. – Słyszałaś, prawda?

Colette odchrząkuje. Powinna wyjaśnić sytuację – powiedzieć Aaronowi, że Winnie to jej koleżanka, że była z nią tamtej nocy – ale coś jej każe poczekać, pomówić o tym z Tebem na osobności. Zdaje sobie sprawę, co to będzie dla niego oznaczać, gdy opinia publiczna dowie się, że ktoś z jego otoczenia jest w tę sprawę zamieszany.

– Tak.

– Ile ma teraz Patty?

– Poppy. Prawie osiem tygodni.

Aaron kręci głową.

– Bliźniaki mają po siedem. Nie chcę sobie tego nawet wyobrazić.

– Co nowego w tej sprawie? – pyta Colette.

– Nie mam pojęcia. Ghosh jest w defensywie. Jeden z policjantów, jakiś dzieciak, tydzień po ukończeniu akademii

policyjnej, schrzanił sprawę. Nie założył rękawiczek, wszędzie pozostawiał swoje odciski. Straszna afera. – Aaron wzdycha i podnosi wzrok na Colette. – W każdym razie Teb niedługo przyjdzie. Chce z tobą porozmawiać o tym, co wczoraj przysłałaś. Wszystko na ostatni dzwonek, co?

– Nie da się ukryć.

Gdy Aaron wychodzi, Colette wraca wzrokiem do ekranu. Spotkanie z Rohanem Ghoshem. Ghosh i burmistrz byli przyjaciółmi w SUNY Purchase, a potem Teb wyrwał Ghosha z Cleveland, gdzie ten był zastępcą komisarza. Wszyscy mówili, że to klasyczny przypadek nepotyzmu. Ghosh wydawał się najmniej doświadczoną osobą na najwyższe stanowisko w Policji Miasta Nowy Jork.

Colette znowu otwiera plik, starając się skoncentrować. Spogląda jednak na teczki, które Aaron zostawił na biurku, i zastanawia się, czy są tam notatki na temat rozdziałów, które oddała wczoraj. Wstaje i podchodzi do komody po herbatnika, zerkając na stos. Zatrzymuje się, patrzy raz i drugi, by upewnić się, że dobrze odczytała imię napisane zwartym pismem odręcznym na etykietce leżącej na wierzchu teczki z szarego papieru.

ROSS, MIDAS.

Idzie przymknąć drzwi. Wraca do biurka i z herbatnikiem w dłoni otwiera teczkę. W środku znajduje zdjęcie mężczyzny. Jest wysoki i szczupły. Ma na sobie bluzę z kapturem i podaje coś sprzedawcy w sklepie. Jest jeszcze jedno, ujęcie z profilu, zrobione przez kamerę monitoringu – mężczyzna z podniesionym wzrokiem odwraca się od lady. Potem idzie do wyjścia, patrząc prosto

w obiektyw. Colette przegląda papiery pod spodem: kopie odręcznych notatek, zdjęcie łożeczka Midasa, z miętowo zieloną pościelą i naklejkami ptaków na ścianie. I jeszcze jedna fotografia tego samego mężczyzny, tym razem ostra, w kolorze. Pochodzi ze Środkowego Wschodu, mężczyzna patrzy się w kamerę, na głowie zatknięte ma okulary, a na przedramieniu trzyma dziecko, częściowo przykryte kocym.

Colette bierze zdjęcie, by mu się przyjrzeć z bliska, ale nagle słyszy kroki przed drzwiami. Szybko odkłada fotografię, zamyka teczkę i wraca do stołu. Kroki oddalają się i cichną. Colette spogląda na swoje notatki – opowieść Teba o tym, jak w końcu skonfrontował się z agresywnym amantem matki – ale przed oczami nadal ma to zdjęcie. Uśmiech tego mężczyzny. Jego dłonie. Jak obejmowały główkę dziecka.

Kto ma moje dziecko? Jak ja to przetrwam?

Niemal nieświadomie Colette bierze swoją torebkę z fotela obok, podchodzi do biurka Teba i wsuwa do niej teczkę. Najspokojniej w świecie wychodzi na korytarz, idzie do pokoju ksero i zamyka za sobą drzwi na klucz. Pot na jej dłoniach rozmazuje tusz pieczętki widniejącej u góry każdej ze stron – „Poufne”. Wie, jak bardzo narusza zasady umowy zawartej z Tebem. Zgodnie z klauzulą poufności, którą podpisała, nie wolno jej zdobywać żadnych informacji, które nie zostaną jej udostępnione. Nie wolno jej z nikim rozmawiać o tym, czego się dowie podczas pracy nad książką. Nie wolno jej nawet zdradzić „osobie spokrewnionej, znajomej ani postronnej” – że to ona jest autorką książki.

Pukanie do drzwi.

– Halo? – To Allison. Klamka się obraca. – Czy ktoś tam jest?

Colette pośpiesznie chowa dokumenty z powrotem do teczki i kładzie ją na półkę nad kserokopiarką. Chwyta swoją torbę z podłogi, nerwowo w niej szpera, odpinając cztery górne guziki koszuli i odsłaniając krawędź biustonosza dla karmiących. Uspokaja oddech i otwiera drzwi.

– Przepraszam. – Posyła Allison skruszony uśmiech i pokazuje laktator. – Burmistrza jeszcze nie ma, a ja muszę odciągnąć mleko. W łazience to mało higieniczne.

Allison marszczy czoło, skrępowana.

– O Boże, przepraszam, że ci przeszkodziłam. Oczywiście. Przypilnuję, żeby nikt nie wszedł.

– Jesteś niezastąpiona.

Colette ponownie zamyka drzwi na klucz, odczeka kilka chwil, po czym sięga po teczkę. Dziesięć minut później wychodzi na korytarz i powoli podchodzi do Allison.

– Widzisz, co cię czeka?

W gabinecie Teba odkłada teczkę na stos dokumentów, z którego ją wzięła. Siada i otwiera laptopa, gdy wchodzi Teb. Nie ma na sobie marynarki, a rękawy koszuli podwinął do łokci, materiał napina się na jego umięśnionych plecach.

– Pewnie zdążyłaś mnie znienawidzić? – pyta, rzucając notes na biurko.

Posyła jej szeroki i promienny uśmiech – uśmiech ten ozdabia teraz billboardy w całym kraju w ramach kampanii reklamowej dla Ralphi Laurena „Prawdziwi bohaterowie” – nie dając po sobie poznać, że właśnie odbył trudną rozmowę.

– Nie, oczywiście, że nie, panie burmistrzu.

Ted robi niezadowoloną minę.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś mnie tak nie nazywała?

W twoich ustach brzmi to nienaturalnie.

– Przepraszam. Nie, nie znienawidziłam cię, Ciebie Marcusie Amadeo Shepherdzie.

– No proszę. Jednak musimy szaleć na całego. – Przegląda teczki, które zostawił dla niego Aaron, potem odkłada je na komodę obok biurka. – Mam złe wieści.

Colette zamiera.

– Chodzi o Midasa? – pyta.

– Midasa?

Colette potrząsa głową.

– Midas Ross. To dziecko, o którym mówią w wiadomościach. Aaron powiedział, że masz spotkanie z Ghoshem. Sądziłam, że chcesz powiedzieć, że...

– Tak myślałem, że ta sprawa cię poruszy. Ten mały jest w wieku Poppy. – Odwraca się do niej tyłem i nalewa sobie kawy. – Jakim trzeba być potworem, żeby porwać dziecko...

– Masz jakieś...

Ted macha ręką, zbywając pytanie.

– Nie, te złe wiadomości nie są z nim związane. Dotyczą mnie i ciebie. – Odwraca się do niej, a Colette przygotowuje się na cios. – Muszę odwołać nasze spotkanie. Nie zdążyłem przeczytać tego, co mi wczoraj wysłałaś, a teraz mam kolejne spotkanie.

Napięcie, które skumulowało się w jej piersi, ustępuje. Nie będzie musiała przez najbliższą godzinę mówić o tej okropnej

książce. Może stąd wyjść, zastanowić się nad tym, co właśnie przeczytała.

– Teb... – stara się, by w jej głosie zabrzmiała irytacja.

– Wiem – odpowiada. – Jestem żalonym dupkiem.

Przepraszam. Mogłabyś wpaść jutro?

Colette zaczyna pakować laptopa i notes.

– Jasne.

– Nie, zaraz. Cały dzień będę na Long Island na kweście.

A pojutrze?

Colette kiwa głową.

– Jak ci pasuje.

– Dzięki.

Teb siada za biurkiem, cały czas stukając palcami w swój telefon.

– Jak twoje dziecko?

– Jest rozkoszna.

– Tak? Nie daje mamie popalić? Bo jeśli tak, to chyba sobie z nią porozmawiam.

– Obawiam się, że nawet ty nie zdołasz przemówić jej do rozsądku, ale proszę bardzo, możesz spróbować ją przekonać, żeby przesypiała całe noce.

Teb nie spuszcza wzroku z telefonu i wyciąga dłoń.

– Pokaż ją. – Podnosi wzrok. – Jakieś najnowsze zdjęcie.

Colette ma telefon w torbie. Teb wstaje, a ona odwraca się do niego tyłem. Ostrożnie rozsuwa suwak torby, gdy w drzwiach zjawia się Aaron.

– Przepraszam, ale czekają na pana. Nie mają dużo czasu.

– Jasne, rozumiem. – Teb upija potężny łyk kawy i odstawia kubek na komodę, tuż obok teczek. – Prześlij mi telefonem – mówi, dotykając jej ramienia w drodze do drzwi.

Colette żegna się z Allison i wychodzi. Na ulicy szybko maszeruje przez tłum w kierunku metra, wdychając z powietrzem woń przypalonego oleju ze stoiska z preclami. W pociągu zajmuje puste miejsce z tyłu chłodnego wagonu. Dziesięć minut później, gdy pociąg wyjeżdża z tunelu na most Brookliński, patrzy na rzekę przechodniów brnących przejściem w gorącym lipcowym słońcu. Wyjmuje telefon, po policzkach spływają jej piekące łzy.

Możecie do mnie wpaść jutro rano? Muszę Wam coś powiedzieć, pisze.

ROZDZIAŁ 6

NOC DRUGA

Nie wiem, co robić.

Staram się trzymać tego, co powiedziała mi położna: głęboki oddech aktywuje parasympatyczny układ nerwowy, wprowadzając w stan relaksacji. Ale to nie działa. Moja klatka piersiowa jest sztywna jak pancierz i brakuje mi tlenu. Muszę stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza, ale na zewnątrz są dziennikarze, krążą, czatują, by zasypać mnie pytaniami. Ten facet z „New York Post”, Elliott Jak-mu-tam, ze swoimi tandetnymi ubraniami, tanią fryzurą i przetłuszczonymi włosami, wbijający swoją matkę w dumę, gdy jego nazwisko ukaże się w druku. Sterczy tam cały czas i rozmawia z sąsiadami. Gdzie państwo byli wczoraj wieczorem? Co się państwa zdaniem wydarzyło? Co mogą mi państwo powiedzieć na temat matki dziecka?

Chodzę wte i wewte po korytarzu, instynktownie unikając skrzypiącej szóstej deski w podłodze przed pokojem dziecięcym. Nie rozsuwam zasłon. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, że tu jestem. Nie chcę kolejnej wizyty detektywa i pytań, czy może chciałabym coś jeszcze dodać.

Nie mam nic do dodania. Jak miałabym mieć, skoro tak niewiele pamiętam, gdy obrazy z tamtej nocy ukazują się i znikają jak

nieostre, szybko zmieniające się kadry.

Pamiętam, że przeczytałam mejla od Nell, z propozycją, byśmy wyszły na miasto i spędziły kilka godzin bez dzieci.

Pamiętam, że pomyślałam, że nie, oczywiście, że z nimi nie pójdę. Potem jednak przeczytałam tę wiadomość jeszcze kilkakrotnie i zaczęłam się zastanawiać. Nell bardzo naciskała. Przyjdźcie wszyscy, zwłaszcza Ty, Winnie. Nie przyjmujemy odmownych odpowiedzi.

Dobrze, zdecydowałam pod wpływem impulsu. Nie odmówię. Czemu miałabym? Należy mi się wolny wieczór jak każdemu innemu. Należy mi się chwila oddechu. Dlaczego zawsze muszę być tą jedną, która zostaje w domu, zamartwiając się o dziecko, skoro wszystkie inne matki świata najwyraźniej nie mają problemu, by wyjść z domu, świętować, wypić drinka czy dwa. Jakimś cudem udaje im się bezkolizyjnie poruszać w tej nowej sferze życia. Są tak spokojne. Pewne siebie. Tak cholernie idealne.

Dlaczego nie miałabym być taka jak one?

Ubrałam się. To pamiętam. Pamiętam, jak wybrałam sukienkę, która opinała mnie w pasie ciasno jak pancierz. Pamiętam, jak szłam do baru, jak je zauważyłam, zmęczone oczy obwiedzione kohlem, cienie ukryte pod grubą warstwą korektora, usta połyskujące od szminki, której nie miały na sobie od miesięcy.

Rebel Yell. Śpiewałam razem z muzyką, tańczyłam, byłam jedną z nich, należałam do tego samego plemienia. Pamiętam, jak nagle poczułam się chora, jak zapragnęłam natychmiast stamtąd wyjść. A potem jak spod ziemi wyrósł tamten facet, głębokie spojrzenie, pełne wargi. zaproponował mi drinka. Tacy jak on przez całe moje

zasrane życie pakowali mnie kłopoty.

Potem już niewiele pamiętam.

Czasami, gdy zamykam powieki i staram się zasnąć, widzę, jak chodzę po parku, trzymając się w cieniu. Modliłam się.

Panie Boże, proszę, zwróć mi Joshuę. Zrobię wszystko.

– Wszystko w porządku?

Siedziałam na ławce, stanął przede mną mężczyzna, z psem przy nogach, tyłem do latarni, z twarzą w cieniu. Nadal nie wiem, czy był człowiekiem z krwi i kości, czy może zjawą.

Dlaczego mnie zostawił? – chciałam wykrzyczeć do tego człowieka. Nie zasługuję na to, nie po tym wszystkim, co dla niego zrobiłam.

– Tak, nic mi nie jest – odpowiedziałam, a on usiadł obok mnie, dotykając udem mojego uda, z ramieniem opartym na ławce za moimi plecami. – Dziękuję. Potrzebuję tylko porozmawiać z pewną osobą.

Naprawdę tylko tego chciałam. Tylko porozmawiać z Joshuą. Powiedzieć mu, że bycie z nim to jedyna rzecz, jaka się dla mnie liczy. Powiedzieć mu o listach, które do niego pisałam, może zaproponować, że mu przeczytam jeden czy dwa, żeby wiedział, jak się czuję, jak bardzo wciąż go pragnę. Jak bardzo żałuję wszystkiego, co być może zrobiłam źle.

Nie, panie detektywie. Przykro mi, nie mogę panu nic z tego powiedzieć.

Wybacz, podtuczony gryzpiórku Elliotcie. Nie mam nic do dodania.

Ręka mi drży, gdy to piszę. Czuję się słaba i zagubiona. Tak

bardzo się starałam być dobrą matką. Ze wszystkich sił, naprawdę.
Mój Boże, co ja zrobiłam?

ROZDZIAŁ 7

DZIEŃ TRZECI

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 7 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 54 DNI

Porozmawiajmy o leżeniu na brzuszku! Kładzenie dziecka na brzuszku to sprawa wielkiej wagi – nawet jeśli będzie to tylko dziesięć minut co kilka godzin – wzmacnia mięśnie brzucha i szyi. Na tym etapie niemowlę powinno już w tej pozycji sięgać po zabawki, łapać Cię za palec, a nawet za nos. (Może się okazać, że trzeba zainwestować w obcinacz do paznokci dla niemowląt!).

Francie zerka na swoje pomarszczone odbicie w srebrnych drzwiach windy, odwracając wzrok od fałd tłuszczu wypływających spod pasków chusty; jak niska jest w porównaniu ze stojącą obok Nell, przynajmniej o dziesięć centymetrów wyższą, przeczesującą krótką odważną blond fryzurę, eksponującą rozległy tatuaż. Francie przygląda swoje loki, żałując, że nie miała czasu umyć włosów albo chociaż nałożyć maskary i błyszczyka. Ale ten poranek był wyjątkowo ciężki. Will obudził się o piątej, płakał przez godzinę, nie chciał jeść.

Francie nachyla się do przodu i zerka za koszulę na plasterki ziemniaków, które rano wsadziła sobie za biustonosz.

Nell obrzuca ją spojrzeniem.

– Robisz tam frytki?

– Nie. – Francie poprawia plasterki tak, by zakrywały czerwoną piekącą gulę. – Scarlett kazała mi tak zrobić.

Francie, sądząc, że ma zablokowany kanalik mleczny, poprosiła Scarlett o radę. Scarlett jest jedną z tych mam, które zdają się instynktownie wiedzieć, co robić, które zawsze przysyłają mejle z przydatnymi radami: Yuko, dodaj dwanaście torebek rumianku do kąpieli i wyleczysz wysypkę na pupie swojego dziecka; recenzja nowego becika ze sklepu z artykułami dziecięcymi obok Starbucksa.

Dobrze, że spytałaś, bo mam na to świetny sposób – wczoraj wieczorem Scarlett odpisała zrozpaczonej Francie. Po pierwsze, zero kofeiny. Po drugie, przez trzy godziny co rano noś za stanikiem plasterki organicznych ziemniaków. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale powinno przynieść natychmiastową ulgę. Choć minęło pięć godzin, piersi Francie wciąż są obolałe. Karci się w myślach za to, że postąpiła wbrew swoim przekonaniom i kupiła zwykłe ziemniaki zamiast organicznych, żałując trzech dolarów więcej. Powinna zrobić dokładnie tak, jak radziła Scarlett. Pewnie dlatego nie poskutkowało.

Drzwi windy się otwierają i kobiety kierują się do mieszkania 3A. Colette otwiera im drzwi, zanim zdążą zapukać. Francie rumieni się na jej widok – Colette jest naga od pasa w górę, pełne piersi wylewają jej się zza różowego koronkowego stanika, ramiona

i brzuch obsypane ma konstelacją cynamonowych piegów.

– Przepraszam – mówi, związując włosy z tyłu i ukazując czarne kropki odrastających włosów pod pachami. – Mała właśnie zwymiotowała mi na ostatnią czystą koszulę. – Zaprasza je do salonu. – Rano składałam ubrania i gdy poszłam je odłożyć, Charlie powiedział mi, że właśnie złożyłam w kostkę dwa kosze brudnych ciuchów. Mogłam kogoś zamordować.

– Poważnie? – mówi Francie, ale jest zbyt zachwycona mieszkaniem Colette, by usłyszeć, co ta właśnie powiedziała. Nie licząc domu Winnie, nie widziała w Nowym Jorku równie ładnego mieszkania. Lśniące drewniane podłogi. Salon tak duży, że mieszczą się w nim dwie sofy i dwa fotele. Dziesięcioosobowy stół pod ścianą z wielkimi oknami. Sam ten pokój jest większy niż całe mieszkanie Francie, które jest tak małe, że nie mogą zaprosić gości na obiad; w którym ubranka dziecka muszą trzymać w plastikowych koszach w rogu jedynej sypialni; w którym musi karmić w salonie, patrząc na mieszkańców luksusowego apartamentowca niedawno wybudowanego po drugiej stronie ulicy. Lowell namawiał ją, żeby kupili coś większego, dalej od centrum, może nawet w Queens, ale nie chciała o tym słyszeć, za bardzo jej zależało na dobrej dzielnicy i szanowanej szkole. Muszą zacisnąć zęby dla dobra dziecka i jego edukacji.

– Jak było? – Colette pyta Nell.

Nell ciężko opada na kanapę.

– Okropnie. – Napisała do nich wczoraj mejla, że zwolniła Almę i że po raz pierwszy zaprowadzi Beatrice do żłobka Happy Baby, żeby mała przyzwyczała się przez kilka godzin, zanim za dwa dni

zacznie tam chodzić na cały dzień, gdy ona wróci do pracy.

– Histeryczny ryk. Koszmarna scena. Wszystkie matki patrzyły.

– Wiedzieli, jak uspokoić Beatrice? – pyta Francie.

– Nie Beatrice – odpowiada Nell. – Tylko mnie. – Wyciera nos mokrą zgniecioną chusteczką, którą ściska w dłoni. – Strasznie się wygłupiłam.

Colette siada obok Nell i otacza ją ramieniem, ale Francie ani drgnie. Jak Nell może tak postąpić? Zostawić swoje dziecko na cały dzień pod opieką obcych ludzi? Najlepsze, co można zrobić dla dziecka, to przez przynajmniej pierwsze pół roku życia tulić je do siebie jak najczęściej. Pani w żłobku ani niania nie zastąpią w tym matki. Czasami podczas karmienia Willa Francie bierze do ręki telefon i przegląda najnowsze posty na forum dla rodziców opisujących, na czym przyłapali swoje opiekunki – na ignorowaniu dzieci, krzyczeniu na nie, rozmawianiu przez telefon, podczas gdy dziecko jest pozostawione samo sobie.

– Będzie dobrze, prawda? – pyta Nell, szukając w torebce czystej chusteczki. – Nic jej nie zrobią, co?

– Oczywiście, że nie – odpowiada Colette. – Miliony kobiet robią tak codziennie.

– Wiem. – Nell potakuje ruchem głowy. – I zważywszy na sumę, jaką płacimy za to miejsce, to pewnie jak wrócę po południu, zastanę ją z wypolerowanymi paznokietkami, plasterkami ogórka na powiekach i kielichem mleka przy łokciu. – Ociera oczy, rozsmarowując tusz na prawym policzku. – Okropnie się czuję z tym, że zwolniłam Alnę, ale co innego miałam zrobić? Prześladują ją dziennikarze. Nie chcę, by Beatrice była w środku

tego wszystkiego.

– To obrzydliwe – mówi Colette. – Charlie przyniósł dziś rano gazetę. Zamieścili jej zdjęcie z córką na placu zabaw. Zmusili ją do opuszczenia tego miejsca.

– Jestem wykończona – mówi Nell. – Cały czas się czepiam Sebastiana. Irytuje mnie wszystko, co mówi. Dziecko budzi się co kilka godzin.

Colette idzie do kuchni po papierowe pudełko.

– Niewielka pociecha, ale kupiłam dzisiaj muffinki z płatkami czekoladowymi. Pomyślałam, że dobrze ci zrobią. – Wykłada ciastka na talerz i stawia go na stoliku, a potem idzie w stronę sypialni w głębi korytarza. – Muszę znaleźć jakąś koszulę. Zrobiłam kawę, jeśli masz ochotę.

Nell siada na kanapie.

– Ja dziękuję. Wypiłam już dzisiaj cztery.

Francie wchodzi do kuchni, oddzielonej od salonu dużą wyspą kuchenną. Przejeżdża dłonią po gładkim drewnie i idealnie czystym blacie biegnącym do podwójnego zlewu. Zanim otworzy lodówkę, zatrzymuje się na chwilę, by przyjrzeć się wystawie zdjęć wiszących na drzwiach. Poppy na miękkiej różowej narzucie, ułożona na poduszce do karmienia. Colette i wysoki przystojny mężczyzna, zapewne Charlie, ich opalone, wysportowane ramiona splecione na wysokości talii, długie kasztanowe włosy Colette rozwiane wiatrem, jej twarz oprószona nowymi piegami; podpis męskim odręcznym pismem z zawijasami, poblakły od słońca wpadającego przez duże okno:

Uwaga! Wszystkie urządzenia kuchenne, niedokończone książki,

„niepotrzebne przedmioty dziecięce” i inne przedmioty użytku domowego: miejcie się na baczności. Colette wije gniazdko. Żadne z was nie jest bezpieczne.

Colette zjawia się w męskim białym T-shircie, kilka rozmiarów za dużym.

– Znasz ją? – Nell pyta Colette.

Nell stoi przed półką z książkami, trzymając w ręku oprawioną fotografię.

Colette obrzuca Nell wzrokiem, a potem idzie do kuchni nalać filiżankę kawy.

– Tak – rzuca.

– Skąd?

– To moja mama.

– Żartujesz.

– Kto? – włącza się Francie.

Nell obraca fotografię i Francie podchodzi, żeby się przyjrzeć. Na zdjęciu jest starsza kobieta o równo obciętych siwych włosach do ramion, stojąca na długiej desce surfingowej, z rękami triumfalnie wzniesionymi nad głową.

– Rosemary Carpenter.

Sądząc po zdumionej minie Nell, Francie powinna wiedzieć kto to.

– Przykro mi, nie znam.

– Założyła WFE – informuje ją Nell.

Francie jest zaszokowana.

– Stowarzyszenie wrestlingowe?

Colette i Nell śmieją się, a Francie z zażenowania czerwienieje

na twarzy.

– Nie – wyjaśnia Nell. – Women for Equality. Taka organizacja feministyczna.

– W sumie to coś w rodzaju organizacji wrestlingowej – mówi Colette.

Nell odstawia zdjęcie.

– Dostałam jej książkę z dedykacją od mojej mamy na zakończenie szkoły średniej.

– No patrz – śmieje się Colette – ja też.

Francie nie bardzo wie, co powiedzieć; zastanawia się, czy w Nowym Jorku mieszkają sami znani ludzie albo ludzie znający znanych ludzi. Winnie. Matka Colette. Jediną sławną osobą, jaką Francie poznała przed przeprowadzką do Nowego Jorku, był dealer samochodowy, właściciel największej sieci w zachodnim Tennessee, który robił sobie portret w studiu fotograficznym, gdzie pracowała.

– Jak to było? – Nell pyta Colette.

– Chodzi ci o to, jak to było mieć za matkę kobietę, która ukuła powiedzenie: „Jedynę, co jest gorsze dla kobiety od bycia zależną od mężczyzny...”.

– „...to zrobienie sobie dziecka, które będzie zależne od niej” – kończy zdanie Nell.

– Straszne słowa – mówi Francie, nie mogąc się powstrzymać.

– Nie było lekko, ale nie będziemy teraz tego roztrząsać. Charlie zaraz wróci, a ja chcę wam coś powiedzieć.

– Chodzi o Midasa? – pyta Francie.

– Tak.

– To dobrze. Sporo o tym myślałam. – Francie wyjmuje Willa z chusty i kładzie go na podłodze, po czym wyjmuje z torby notes. Klęka na miękkim dywaniku i otwiera notes na osi wydarzeń tamtej nocy, którą narysowała. – Próbowałam uporządkować wszystko, co się wtedy stało, zobaczyć, czy ktoś może wypełnić luki. Gdzie była Winnie? O której wyszła? Sama czy z kimś?

Nell siada na podłodze obok Francie.

– To, jak zajmuje się tym policja... coś tu nie gra – kontynuuje Francie. – Wujek Lowella pracuje w organach ścigania. Czytałam mu wiadomości. Jest oburzony liczbą błędów popełnionych przez policję. Widziałyście to? – Wyciąga z torby artykuł Elliotta Falka, który wydrukowała rano ze strony „New York Post”. – Wygląda na to, że ktoś otworzył okna w pokoju Midasa i przesunął pościel, zanim zrobiono fotografię.

– A czytałyście wczorajszy artykuł? – pyta Colette. – Sugerują, że porywacz mógł być w domu, gdy przyjechała policja.

– Wiem, też to widziałam – mówi Nell. – To dlatego zastałyśmy otwarte drzwi?

– Zaczniemy od tego, jak ten ktoś dostał się do środka. – Francie siada wygodniej. – Nell, muszę cię o to znowu zapytać. Zastanawiałaś się jeszcze nad jej kluczem i telefonem? Nie wiesz, co się mogło z nimi stać? Niemożliwe, żeby tak po prostu zniknęły.

Nell wbija wzrok w notes Francie.

– Nie wiem. Włożyłam jej telefon do torebki. Pamiętam. Same widziałyście.

– Gdy upuściłaś torebkę i wysypały się z niej rzeczy, myślisz, że telefon też mógł wypaść? Może wylądował pod sąsiednim

stolikiem?

– Upuściłam torebkę?

– Nie pamiętasz? – Francie stara się ukryć irytację. – Gdy szukałaś telefonu Winnie.

– A tak – mówi Nell, ale Francie wyczuwa niepewność w jej głosie. – Nie sądzę, by telefon wypadł.

– Opowiedz po kolei wszystko, co pamiętasz – mówi Francie.

Nell przyciska dłonie do oczu.

– Poszłam do stanowiska kelnerek, żeby zamówić frytki. Potem poszłam ze Scarlett do baru. Wróciłyśmy...

– Nie, pomieszałaś. – Francie spodziewała się tego. Nell była jeszcze bardziej pijana, niż sądziła. – Scarlett tam nie było.

– Nie było?

Francie czuje nowy przypływ wyrzutów sumienia. Dlaczego pozwoliła Nell wziąć telefon Winnie? Doskonale wiedziała, że Nell wypija za dużo. Dlaczego nie była mądrzejsza?

– Nie. Słuchaj. – Podsuwa notes w stronę Nell i wskazuje listę imion. – Scarlett w ogóle nie przyszła.

– Okej, Francie, wyhamuj. Pomyliłam imiona – odpowiada Nell obronnym tonem. – Mówiłam wam, dziewczyny, że nie mam pamięci do imion. Jak się nazywa kobieta, która wyszła jako jedna z pierwszych? Ta od pilatesu. Poszła ze mną się napić.

– Gemma? W niebieskiej koszulce na ramiączkach i džinsach?

– Tak, Gemma. To o nią mi chodziło.

– A potem co? – dopytuje Francie.

– Potem poszłam do toalety. Wróciłam do stolika, chwilę pogadałyśmy i zadzwoniła Alma.

– Jesteś pewna? – ciśnie Francie. – Nie dawałaś nikomu torebki do potrzymania? Ani na chwilę nie wypuszczałaś jej z rąk?

– Francie, weź głęboki oddech – mówi Colette. – Zaraz zemdlejesz.

Francie siada wygodnie na piętach.

– To wszystko się nie składa. Gdzie była Winnie, gdy zadzwoniła Alma? I o której wróciła do domu? Słyszałyście, co Patricia Faith powiedziała dziś rano w Godzinie Faith?

Nell wzdycha z poirytowaniem.

– Patricia Faith. Gardzę tą kobietą. Czy teraz każda eksmiss Kalifornii będzie miała własny godzinny talk-show w telewizji?

– Wiesz, jaki zaprezentowała talent podczas wyborów? – pyta Colette. – Komentatorka spraw społecznych.

– Błagam – mówi Nell. – Nie mów, że stała na scenie w stroju bikini i argumentowała za wyposażeniem uczniów w broń?

– Już jej ślinka leci – stwierdza Colette. – Porwano bogate dziecko. Matka, piękna była aktorka, samotna matka. Zarobi dla swojej stacji fortunę.

– Wiem, ale dziewczyny... – mówi Francie. – Słyszałyście, co powiedziała dziś rano? Wiedzą o nas. Że byliśmy w środku.

Nell otwiera szeroko usta ze zdumienia i ściska Francie za nadgarstek.

– Rany! Jak to? – Pobladła. – Mówiła o nas? Wymieniła nas z nazwiska?

– Nie z nazwiska – mówi Francie, wstając i podnosząc Willa, który zaczął kwilić. – Nazwała nas „koleżankami Gwendolyn Ross”. Powiedziała, że wpuszczono nas na miejsce przestępstwa.

Francie nie może zaprzeczyć, że na te słowa poczuła dziwne łaskotanie, wie, że to o niej mówiła Patricia Faith, o Francie Givens z Estherville w Tennessee liczącego 6360 mieszkańców (choć nie wymieniono jej z nazwiska) jako o przyjaciółce Winnie Ross. Bierze artykuł ze stosu i podsuwa go Nell.

– Prasa to podchwyciła.

Nell czyta na głos:

– „Jak podała Patricia Faith, trzy znajome Gwendolyn Ross, niezidentyfikowane z nazwiska, weszły do rezydencji pani Ross i opuściły ją dopiero, gdy siłą zmusił je do tego policjant”.

– Zmusił je siłą? – powtarza Colette. – Trochę przesadzili.

– Wiem – mówi Francie. – Ale nie to jest najgorsze.

Najgorsze było coś innego, co powiedziała Patricia Faith – Francie czytała o tym w jeszcze innym miejscu – stwierdzenie, na którego wspomnienie wnętrzości zawiązują jej się teraz w supeł. Dla tego, czy porwane dziecko zostanie znalezione żywe, czy nie, pierwsze dwadzieścia cztery godziny mają krytyczne znaczenie.

– Jeśli prawdą jest, że policja dała ciała, jak sugeruje artykuł – podejmuje Francie – to zdajecie sobie sprawę, co to może znaczyć?

Boi się o tym nawet myśleć. Że z powodu niekompetencji jakiegoś policjanta Midas może być teraz w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Colette stawia kubek z kawą na stoliku przed sobą. Coś w wyrazie jej twarzy każe Francie przestać kołysać Willa.

– Co się dzieje? – pyta Francie.

– Okej, słuchajcie. Dziwnie się czuję, mówiąc wam o tym, ale mam nowe informacje. O Midasie.

– Jak to? – rzuca Francie. – Czytałam wszystko. Jeśli to było w doniesieniach...

– Nie było. Znalazłam to dzięki mojej pracy.

– Twojej pracy?

– Tak. Te wspomnienia, które piszę. To wspomnienia Teba Shepherd'a.

– Żartujesz? – mówi Nell. – Burmistrza Shepherd'a?

– Tak. Jestem jego ghostwriterką.

– Dlaczego potrzebuje ghostwritera? Jego pierwsza książka była genialna.

– Ja ją napisałam – mówi Colette.

– Ty? – pyta Francie.

Nawet ona słyszała o tej książce. Wszyscy przez całe miesiące mówili tylko o tym – pięknie napisanych wspomnieniach Teba Shepherd'a, młodego, zabójczo przystojnego dyrektora szkoły średniej w południowym Bronksie. Lowell czytał ją przez całą noc; klub książkowy jego matki o niej dyskutował. W greckiej restauracyjce w pobliżu mieszkania jego matki na Washington Heights, o której Shepherd napisał, że często do niej chodził, interes nadal świetnie się kręcił – grupki kobiet w średnim wieku wystawały w kolejce, licząc, że wypatrzą go przy stoliku w głębi, jedzącego swoje typowe sobotnie śniadanie: opiekana babeczkę kukurydzianą z bekonem.

– Tym się właśnie zajmuję – mówi Colette. – Piszę książki za ludzi, którzy potem twierdzą, że napisali je sami. Nie wolno mi wam tego mówić. Ale byłam wczoraj u burmistrza i natknęłam się na teczkę Midasa. Z dokumentami ze śledztwa.

– Żartujesz – mówi Nell. – I co? Zajrzałaś do niej?

– Gorzej. – Colette klęka na podłodze i sięga pod kanapę, spod której wyciąga cienką tekturową teczkę. – Zrobiłam kopie.

– O mój Boże – mówi Francie. – Ktoś o tym wie?

– Nie. Mogłam się wpakować w poważne kłopoty. Nie powiedziałam nawet Charliemu. Mam takie zaległości z tą książką. Strach się przyznać, ile czasu spędziłam wczoraj w nocy na czytaniu tego, co jest w środku, gdy Charlie myślał, że pracuję.

– Burmistrz wie, że znacie się z Winnie?

– Nie. Miałam mu powiedzieć, ale po tym, jak wzięłam tę teczkę, wydało mi się to trochę ryzykowne. Teraz nie mogę. Będzie się zastanawiał, dlaczego nie powiedziałam mu od razu.

Francie nie może oderwać wzroku od teczki w rękach Colette.

– Co jest w środku?

– Chyba jakieś najnowsze raporty, konkretne rzeczy, które chcieli, żebyś zobaczył. Jeśli spojrzycie... – Słysząc dzwonek do drzwi. – Cholera. – Colette odczekuje chwilę. – Zignoruję go. To pewnie przesyłka dla Charliego. Zostawię ją na dole.

– A mnie się wydaje, że to Rodzyn – mówi Francie.

Colette posyła jej poirytowane spojrzenie.

– Zaprosiłaś Rodzyna?

Napisał do Francie mejla wcześniej tego ranka z pytaniem, czy pójdzie z nim na kawę do Spotu. Było to dość dziwne. Nigdy nie proponował, by spotkali się tylko we dwoje, poza tym Francie prawie go nie zna. Nigdy nie zapomni swojego zdumienia, jeszcze na początku czerwca, gdy spieszyła się do wierzby, dziesięć minut spóźniona na spotkanie Majowych Mam, i zauważyła wśród nich

mężczyznę. Siedział obok Winnie i szeptał jej coś do ucha. Winnie słuchała rozbawiona, a potem oboje parsknęli śmiechem. Francie uznała, że to mąż Winnie (choć nie był nawet w połowie tak przystojny, jak jej zdaniem powinien być mąż Winnie). Na głowie miał wytartą czapkę bejsbolową, idealnie pod kolor swoich oczu, i ubrany był jak tysiące mężczyzn na Brooklynie – sprany T-shirt, krótkie spodenki, podniszczone tenisówki, lotnicze okulary przeciwsłoneczne zatknięte za dekolt koszulki. Gdy usiadła, zauważyła, że przez pierś ma przewieszoną chustę, a w środku leży skulone dziecko. Nie był mężem Winnie. Był tatą.

– Jestem PO – rzekł później, przedstawiając się.

– A po ilu?

– Nie. Nie piłem. Jestem PO, czyli Pełnoetatowym Ojcem. Rany, zwykle ten kawał się sprawdza. – Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Mój partner pracuje w świecie mody i dużo podróżuje. Ja nie płacę rachunków i siedzę w domu z Autumn. Robiąc co w mojej mocy, by jej nie okaleczyć psychicznie.

Prawie od razu został regularnym bywalcem na naszych spotkaniach, ale nigdy nic więcej o sobie nie mówił – a przynajmniej nic na tyle istotnego, by Francie to zapamiętała. Francie nadal nie rozumie, gdzie przepadł tamtego wieczoru w Wesołym Lamie, po tym jak odszedł od stolika, tak więc dziś rano, gdy napisał do niej w sprawie spotkania, powiedziała mu prawdę – że razem z Nell wybiera się do Colette – i zaproponowała, by dołączył, licząc, że wydobędzie z niego jakieś informacje.

– Spytał, czy może przyjść – odpowiada Francie cicho, słysząc jego kroki przed drzwiami. – Nie wiedziałam, że będziemy

rozmawiać akurat o tym.

– Hej! – mówi Rodzyn, gdy Colette otwiera drzwi.

Wygląda jak siedem nieszczęść: nieogolony, w T-shircie mokrym od potu. Francie ze zdziwieniem zauważa, że nie ma chusty, w której zwykle nosił Autumn.

– Mała została z moją mamą – wyjaśnia, zanim Francie zdąży zapytać.

– To po co przyszedłeś? – Francie przyłapuje się na swoim oskarżycielskim tonie. – Bo gdybym ja miała wolne od dziecka, to położyłabym się spać.

Rodzyn siada na kanapie.

– Chciałem was zobaczyć. – Opiera czoło na dłoniach i Francie zauważa plamy siwizny przy jego skroniach. – Tak się martwię o Midasa. Wszystko to, co się stało... tylko z wami tak naprawdę mogę o tym porozmawiać.

Colette nalewa mu kawy i siada z powrotem na podłodze.

– Okej, no więc... – mówi. – Rodzyn. Wy wszyscy. Tego, co wam powiem, nie możecie nikomu powtórzyć. – Otwiera teczkę i kładzie na podłodze trzy fotografie. – Mają podejrzanego.

Rodzyn podnosi głowę.

– Mają podejrzanego?

– Tak, to ten facet. Nazywa się Bodhi Mogaro. Myślą, że ma związek ze sprawą.

Francie klęka obok Colette. Mężczyzna na zdjęciu ma piwne oczy i jasnobrązową skórę, czarne włosy ogolone prawie do skóry.

– Co na niego mają? – pyta Rodzyn.

– Widziano go przy domu Winnie dwa razy. Trzeciego lipca

kupował piwo i papierosy po drugiej stronie ulicy. Płacił kartą debetową. Stąd znają jego personalia. Sprzedawca twierdzi, że zachowywał się nienaturalnie. Potem podobno poszedł i usiadł na pobliskiej ławce, przy murze parku, i obserwował jej dom. Najwyraźniej robił rekonesans. Następnego nocy znowu widziano go przed jej budynkiem. Zachowywał się, jakby był niezrównoważony. Wrzeszczał coś do telefonu.

– Tej nocy, gdy porwano Midasa? – pyta Nell.

– Tak.

– Mieszka w Detroit... – Rodzyn czyta gazetę, którą wyjął z teczki; promienie słońca padają przez okno na tę część kanapy, po której siedzi, rozmazując rysy jego twarzy tak, że Francie nie potrafi wyczytać, co się na niej maluje.

– Zgadza się – mówi Colette. – Przyleciał do Nowego Jorku trzeciego lipca. Lot powrotny miał na piątego, ale nie wszedł na pokład. Nie wiedzą, gdzie teraz przebywa.

– Jak to nie wiedzą, gdzie przebywa? – pyta Francie.

– Policja nie może go znaleźć. Zniknął.

– Rany – wzdycha Nell.

– Uważają, że porwał Midasa dla okupu? – pyta Francie.

– Aktorki pewnie spotyka to cały czas. Ale Lowell powiedział mi, że gdyby chodziło o okup, to już by go zażądali.

Ona jest nadal przekonana, że Lowell może nie mieć racji. W końcu wujek Lowella – jego jedyny kontakt w organach ścigania – jest tylko szeryfem w Estherville. Co może wiedzieć o tak dużej sprawie, dotyczącej słynnej aktorki, milionerki, córki znanego dewelopera?

– Nie było nic o okupie. Przynajmniej w tej teczce.

– Pochodzi z Jemenu? – pyta Nell.

– Tak, ale mieszka tu od dwunastu lat – odpowiada Colette.

– Znalazłam go w sieci. Nie ma o nim dużo. Ma konto na Facebooku, ale osobiste i wszystko napisane jest po arabsku. Znalazłam kogoś o tym nazwisku w Detroit, kto jest mechanikiem w firmie wynajmującej prywatne odrzutowce bogatym klientom. To musi być on.

Samoloty?

– Ma dostęp do samolotów? – pyta Francie.

Z korytarza dobiega płacz Poppy.

– Dzwoniłam jeszcze raz do Winnie – mówi Colette, wstając.

– Już trzeci. Nie odbiera.

Nell przeciera oczy.

– A ta scena przed jej domem, z kamerami i dziennikarzami. Wymknęła się spod kontroli. Jakiś kretyń próbował mnie zatrzymać, gdy tamtędy przechodziłam w drodze do was, pytał, czy mieszkam w pobliżu, czy może chciałabym to jakoś skomentować.

Więcej niż kilku sąsiadów Winnie udzieliło już wywiadów, odpowiadając na pytania, co o niej wiedzą i czy tamtej nocy zauważyli coś podejrzanego. Francie jest zdegustowana tym, jak wielu ludzi chce się wtrącać, gotowych powiedzieć cokolwiek, byle tylko zobaczyć swoje nazwisko w druku: że Winnie wydaje się cicha, trzyma się na uboczu. Że nigdy jej nie widzieli w towarzystwie mężczyzny. Że, trzeba przyznać, zastanawiało ich, kto jest ojcem dziecka.

Rodzyn wstaje, powoli podchodzi do okna i spogląda na park po

drugiej stronie ulicy.

– Zrobią z tego pieprzony cyrk – mówi. – Już to widać.

Colette idzie do płaczącej Poppy, a Francie nie przestaje przeglądać zawartości teczek, przerzucając wzrokiem notatki Marka Hoyta. Nie chce nic mówić, ale w ostatnich trzech dniach sama też była kilka razy pod domem Winnie, wieczorami, gdy dziennikarze już się porozchodzili. Will robi się taki marudny około siódmej, a Lowella nie ma jeszcze wtedy w domu, by mógł jej pomóc. Trudno wytrzymać w dusznym mieszkaniu, gdy mały tak płacze, więc wychodzi z nim na spacer.

Często przysiada na ławce naprzeciw domu Winnie, po drugiej stronie ulicy. W jej domu było ciemno. Ale jest pewna, że wczoraj wieczorem po zmroku, gdy wylęgły się komary, a ona przycisnęła Willa do piersi, szepcząc mu do ucha, by się uspokoił, widziała w środku jakiś ruch.

ROZDZIAŁ 8

DZIEŃ CZWARTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 8 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 55 DNI

Uważasz, że uśmiech Twojego partnera jest uroczy? Zaczekaj tylko. Pierwszy uśmiech Twojego dziecka pojawia się mniej więcej w tym samym czasie we wszystkich kulturach, więc jeśli jeszcze go nie widziałaś, spodziewaj się nagrody za swoją czułą opiekę w postaci promiennego bezzębnego uśmiechu przeznaczonego tylko dla Ciebie. Prawdopodobnie na jego widok skoczysz z radości (nawet jeśli z niewyspania słaniasz się na nogach).

Nell przegląda sukienki na wieszaku zwisające z cienkiego stalowego drążka niczym bezgłowe zwłoki. Spogląda na zegarek – jeszcze dwie godziny do odebrania Beatrice ze żłobka. Podchodzi młoda kobieta, z karminowymi ustami i zdumiewająco białymi zębami.

– Zarezerwować dla pani przymierzalnię? – W jasne loki ma wpiętą czarną materiałową różę, a krótka koszulka odsłania jej ostry

zarys żeber.

– Nie, jestem już gotowa – odpowiada Nell, idąc za nią na tył sklepu, do małej przymierzalni oddzielonej od stojaków tą samą cienką kwiecistą kotarą, którą Nell chciała kupić w Ikei.

– Proszę powiedzieć, jeśli będzie pani potrzebowała inny rozmiar – mówi dziewczyna, zasuwając kotarę.

Nell zdejmuje koszulę i spodenki, a do oczu napływają jej łzy, już trzeci raz tego ranka. Nie wierzy, że jutro będzie musiała wrócić do pracy i na całe dziewięć godzin zostawić Beatrice pod opieką obcych ludzi. Musiała błagać Sebastiana, by to on zadzwonił do Almy i powiedział, że zdecydowali, że będzie lepiej, jak – przynajmniej na razie – Beatrice pójdzie do żłobka. Alma była zdruzgotana. Nell nasłuchiwała przy uchu Sebastiana, jak Alma przepraszała, jak mówiła, że nie może spać, że ciągle wydzwanają do niej dziennikarze i nachodzą ją w mieszkaniu, że trzy razy przesłuchiwała ją policja.

„Pytają mnie o wszystko, od nowa i od nowa. Co widziałam. Co słyszałam. Jak zachowywała się matka. Jest tu ksiądz. Modlę się o wybaczenie”.

Nell próbuje zasłonić przerwę między kotarą a ścianą, zanim wciągnie spodnie. Są dwa rozmiary większe od tych, które nosiła przed ciążą, a i tak zatrzymują się na biodrach. Z bluzką, którą przymierza, nie jest lepiej. Uciska w ramionach tak, że krew niemal przestaje płynąć, i piłuje w biuście. Strużki potu spływają Nell po krzyżu, gdy przeciska przez głowę bezkształtną czarną szmizjerkę. Z irytacją stwierdza, że w przymierzalni nie ma lustra. Po cichu odsuwa kotarę i lokalizuje wysokie lustro przy stojaku z przeceną.

Kilka sekund później sprzedawczyni jest przy niej.

– Ładnie wygląda – mówi.

Nell nie odpowiada, licząc, że jej milczenie zmusi dziewczynę do odejścia, ale ta tylko przechyliła głowę na bok, marszcząc drobne ptasie rysy twarzy w zadumie i przygryzając dolną wargę.

– Wie pani, czego brakuje tej sukience?

– Sześćdziesięcioprocentowego rabatu?

Dziewczyna się śmieje.

– Akcentu w postaci naszyjnika. Czegoś, co wyeksponuje szyję, a odwróci uwagę od miejsc, które chciałyby pani ukryć.

– A co, jeśli chcę ukryć szyję?

Dziewczyna podnosi palec i obraca się na klockowatym obcasie.

– Zobaczmy, co my tu mamy.

Nell wraca do przymierzalni zaniepokojona i zirytowana – tym, jak źle wygląda w sukience, i zachowaniem sprzedawczyni. Zastanawia się, dlaczego czuje się tak nieswojo od czasu, gdy wczoraj po południu zobaczyła zdjęcia Bodhi Mogaro. Rzuca sukienkę na stos innych ubrań, a potem ucieka najpierw z przymierzalni, potem ze sklepu, zostawiając za sobą odbijający się echem dźwięk dzwonka. Wymija przechodniów, nie do końca wiedząc, dokąd idzie, nie zwraca uwagi na butiki, w których miała znaleźć jakieś ubrania do pracy – coś, co będzie na nią pasowało, po tym, jak przytyła siedem kilo. Ale nie da rady. Nie dzisiaj. Nie zniesie wizyty w jeszcze jednym sklepie. Przymierzania kolejnej sukienki. Jeszcze jednej sprzedawczyni noszącej rozmiar 2, pachnącej produktami do stylizacji włosów i cynamonową gumą do żucia.

Czy to był on?

Czy Bodhi Mogaro był tamtej nocy w barze?

Nie może odgonić od siebie tego pytania.

Czy to on rozerwał jej koszulę? Czy to jego widzi, gdy zamyka oczy? Rozmyta postać w lustrze, dotyk czyichś dłoni na ramionach.

Czy poszedł za nią, wyrwał klucz Winnie, a ona nic z tego nie pamięta?

Nie.

Co za absurdalny pomysł. Wymija dwóch chłopców na skuterze i młodą mamę kupującą córeczce z kucykiem tęczowy sorbet w papierowym kubku od sprzedawcy lodów. Pamiętałyby; umysł płata jej figle. Jest wykończona niewyspaniem i zmartwieniami. Ostatniej nocy godzinami chodziła po salonie, czesząc włosy, starając się wypełnić luki we wspomnieniach z tamtej nocy.

Gdyby tylko w prasie napisano coś, co by jej pomogło. Nie wspomniano o Bodhim Mogaro, ani słowa o tym, że policja namierzyła podejrzanego. Zamiast tego wszyscy prezenterzy wiadomości i mędracy od siedmiu boleści rozprawiają o błędach popełnianych przez policję. Dziś rano Elliott Falk napisał w „New York Post”, że policjant James Cabrera – ten, który kazał im opuścić dom Winnie – został skierowany na płatny urlop, posądzony o to, że zostawił niezamknięte drzwi, że pozwolił, by po domu kręcili się jacyś ludzie, zanim zebrano dowody. Źródła podają, że prawdopodobnie zostanie zwolniony.

Dobrze, Francie napisała w mejlu. Powinni go zwolnić. Ktoś musi ponieść odpowiedzialność za uchybienia w toku śledztwa.

Patricia Faith ma używanie: apeluje o natychmiastową rezygnację komisarza Ghosha, a całą winę zrzuca na burmistrza Shepherdę, za to, że na czele wydziału policji postawił swojego niekompetentnego znajomego, że bardziej przejmował się swoim wyglądem na billboardach dla marek ubraniowych niż bezpieczeństwem niewinnych dzieci. „Czy ja oszalałam? – spytała Patricia Faith. – Czy jednak wygląda na to, że burmistrzowi wcale nie zależy, by sprawę rozwiązano?”

Nell zatrzymuje się na rogu i czeka na zielone światło, ukrop spowija jej ciało jak wełniany koc, potrącają ją śpieszący obok przechodnie. Biała plama światła słonecznego odbija się od przeszklonej ściany banku po drugiej stronie. Nell zamyka oczy.

Wraca pamięć. Stoi przy barze, z zimnym drinkiem w dłoni. More, more, more. Ktoś śpiewa jej te słowa. Czuje dotyk czyjejs brody na szyi, ust na uchu. Zaciska oczy mocniej, czuje dłonie na talii. Ktoś trzyma ją w ramionach.

I want more, more, more.

Otwiera oczy i zaczyna biec.

Mężczyzna siedzący na drugim końcu baru ma trzydzieści parę lat. Ubrany w czarny T-shirt, szorty w panterkę; obie ręce aż za łokcie ma pokryte czarno-szarymi tatuażami. Sący piwo i zerka na mecz piłki nożnej wyświetlany na jednym z wielkich ekranów nad barem, w ręku trzyma długopis zawieszony nad krzyżówką „New York Timesa”. Oprócz niego jest tylko barman, myjący szklanki nad zlewem. Gdy podchodzi Nell, barman strząsa z rąk mydło.

– Co dla pani?

– Woda sodowa.

Nell wypija połowę, po czym ześlizguje się ze stołka i idzie przez bar, przez powietrze gęste od oparów wybielacza i piwa, na patio. Przesuwa krzesło na miejsce, gdzie siedziała tamtego wieczoru, i próbuje w myślach odtworzyć tę scenę. Naprzeciw niej siedzą Colette i Francie. Winnie po prawej. Rodzyn – przynajmniej przez jakiś czas – też jest gdzieś w naszej ferajnie. Nell zamyka oczy i widzi Winnie, popijającą mrożoną herbatę i ukradkiem zerkającą na telefon leżący na kolanach.

Gdy otwiera powieki, mężczyzna przy barze na nią patrzy. Znowu zamyka, tym razem widzi siebie. Czuje gorąco i słyszy huk muzyki. Tłum wokół gęstnieje. Bierze od Francie telefon Winnie.

Kasuje aplikację.

Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Niczego się nie nauczyła? Jedna impulsywna decyzja może zniszczyć życie. Kto jak kto, ale ona powinna o tym wiedzieć najlepiej.

Wstaje i maszeruje przez puste patio.

Myśl, myśl, myśl.

Wchodzi do środka, mija szafę grającą, mija boisko do bocce – teraz zatopione w ciemności i opustoszałe. Podchodzi do stanowiska kelnerek, gdzie zamawiała frytki. Zaniosiła je do stolika, a na końcu poszła z Gemmą, czy kim tam, po kolejnego drinka.

Nell gwałtownie otwiera oczy. Papieros. Obrzuca salę spojrzeniem – na przeciwległej ścianie, obok łazienek, są drzwi. Odstawia szklanekę na kontuar. Drzwi na patio dla palących są otwarte; wychodzi na małe żwirowe podwórko, na którym stoją chybotliwe stoliki i taborety otoczone płótnem oplecionym lampkami

choinkowymi. Prosimy o zachowanie ciszy. Szanujmy sąsiadów. Czuje dym we włosach, smolisty nikotynowy osad na języku. Rozmawia z kimś, prosi go o papierosa, zapomina, by nie używać brytyjskiego określenia, nieznajomy się śmieje. To dlatego tak źle się czuła nazajutrz rano, przez papierosa. Od roku nie paliła, od kiedy postanowili z Sebastianem, że będą się starać o dziecko.

Chodzi po patio, przywołując obraz mężczyzny rozmyty na konturach, podaje jej paczkę papierosów, pstryknięcie zapalniczki, płomień. Miał ciemne oczy; powiedziała mu, dlaczego tu przyszła: „Należę do klubu mam – oznajmiła, rozciągając ostatnie dwa słowa, jakby wyznawała coś oburzającego. – Ja. W klubie mam. Uwierzyłbyś?”. Czuje dłoń na ramieniu, śmiech we włosach, narastającą temperaturę wokół siebie.

– Jeszcze jedną wodę sodową? – pyta barman, gdy Nell wraca do środka.

– Tak – odpowiada Nell. – Tym razem dolej trochę wódki.

Podsuwa ku niej drinka. Nell bierze łyk, czuje łaskotanie bąbelków na języku.

– Cholera. – Barman patrzy na najbliższy telewizor, ustawiony na lokalne wiadomości. Sięga po pilota. – Tylko nie to znowu.

Kobieta na ekranie ma na sobie czarną bluzkę bez rękawów i jaskrawożółtą spódnicę, czoło zmarszczone od zatroskania. Nell przygląda się bacznie, potem wstaje i podchodzi do okna. Po drugiej stronie ulicy widzi to samo – trzmielową żółć spódnicy, światło kamery, telewizyjną furgonetkę zaparkowaną nieopodal.

Barman pogłośnia muzykę i z głośników pod sufitem zaczyna płynąć krzykliwy kobiecy głos: „Dziecko zaginęło cztery dni temu,

a ponieważ nie ma żadnych wieści o podejrzanych, sprawa wygląda nie najlepiej. Źródła podają, że dziś rano opiekunka, pochodząca z Hondurasu Alma Romero, została wezwana na dodatkowe przesłuchanie. Policja apeluje do każdego, kto dysponuje jakimikolwiek pomocnymi informacjami, by zadzwonił pod numer wyświetlony na ekranie”. – Kobieta obraca się i wskazuje na wejście do baru. „Jak wiesz, Jonah, w czasie porwania dziecka jego matka, była aktorka Gwendolyn Ross, spędzała wieczór w barze z koleżankami z klubu mam. Bar, o którym mowa, Wesoły Lama, mieści się...”

Ekran gaśnie. Barman ciska pilota obok zlewu, przewracając schnący kufel do piwa.

– No i proszę. Ilekroć mówią o nas w wiadomościach, mamy najazd nastolatków okazujących fałszywe dowody, chcących zobaczyć „słynny” bar od Małego Midasa, o którym przeczytali na Facebooku. – Z powrotem wkłada ręce w mydliny. – Te dupki nie zostawiają napiwków.

Nell patrzy, jak dziennikarka razem z kamerzystą przechodzą na drugą stronę ulicy. Wygrzebuje z torby dziesięciodolarowy banknot, zostawia go na kontuarze i pośpiesznie wychodzi bocznymi drzwiami na patio dla palących.

Dziennikarka wchodzi i przedstawia się barmanowi.

– Kelly Marie Stenson z CBS. Czy mogłabym spytać...

Nell przystawia stółek do ogrodzenia. Wspina się na niego, chwyta drut nawojowy i podciąga się do góry. Przerzuca nogę. Dłonie ma wilgotne, mimo woli puszcza się, a sandały ześlizgują się z drutu. Upada po drugiej stronie, ciężko lądując na chodniku

sąsiadującego z barem parkingu. Czuje smak krwi w miejscu, gdzie przygryzła sobie wargę, na dłoniach i kolanach ma otarcia. Wstaje i kiedy pośpiesznie przechodzi przez parking na chodnik, jakiś mężczyzna potrąca ją ramieniem.

– Patrz, bucu, jak chodzisz! – wrzeszczy Nell.

Wracając pod górę w stronę parku, zwalnia kroku. Po drugiej stronie ulicy orientuje się, że ktoś idzie tuż za nią, i wszystko do niej wraca. Ludzie czekający za rogiem, przyglądający się jej, śledzący każdy jej ruch. Znowu rzuca się w ociężały, niezręczny bieg, nie zwracając uwagi na rwanie w miejscu rany po cesarce i ból rozprzestrzeniający się po wewnętrznej części prawego uda; przez ulicę, do następnej przecznicy, w kierunku żłobka. Ma jeszcze godzinę do odebrania Beatrice. Pieką ją stopy w cienkich sandałach, ale nie zwalnia. Dziesięć minut później jest na miejscu. Zagląda przez szybę między naklejkami ze słoneczników i motyli. Na podłodze przed bujakiem klęczą dwie kobiety, nachylają się nad wpiętym w niego dzieckiem. Jedna naciska mu klatkę piersiową. Wyglądają na zdenerwowane. Niemowlę się dławi. Nell przesuwa się, by spojrzeć pod innym kątem. Dziecko, przed którym klęczą, to Beatrice.

Nell rzuca się do drzwi, naciska klamkę, ale są zamknięte na klucz. Wali w szybę, wyobrażając sobie, jak Beatrice się dusi, połknąwszy jakiś przedmiot bezmyślnie zostawiony w zasięgu jej rączki, jak twarz jej sinieje. W końcu zamek ustępuje. Nell biegnie korytarzem i otwiera drzwi wprost na zdziwioną młodą kobietę w postrzępionych dzinsach i koszulce z różową muffinką i napisem ŻŁOBEK BOBOLANDIA.

– Pani Mackey. Jest pani...

Nell mija ją i opada na podłogę obok tamtych dwóch kobiet. Wyciąga ręce do swojego dziecka, ignorując dzwonek telefonu w torbie, gdy nagle spostrzega wyraz twarzy córki.

Beatrice promiennie się uśmiecha.

Nell odwraca się do kobiety. To, co trzymała w dłoni, to telefon. Robiła zdjęcie.

– Niech pani spojrzy na ten niesamowity uśmiech – mówi kobieta, z radością spoglądając na Beatrice.

– Uśmiech?

– Tak.

– To nie gazy?

Kobieta się śmieje; znowu odzywa się telefon Nell.

– Nie tym razem. To uśmiech. Nie widziała pani go u niej wcześniej?

– Nie – odpowiada Nell. – Wyczekiwałam go.

Kłęka, opierając się na piętach, i sięga po telefon, a do oczu napływają jej łzy. Gdy odczytuje wiadomość od Francie, traci oddech.

Znaleźli go.

Chcę do mamy.

Colette wbiega na szczyt wzgórza i pędem pokonuje ostatni odcinek. Jest za stara na takie myśli, a mimo to cały czas sobie wyobraża, jak siedzi ze swoją mamą przy dużym kuchennym stole w ich domu w Kolorado, z psami przy nogach, przeszklone drzwi otwarte są na ogród, ojciec przygotowuje im coś do picia, a Colette

opowiada o wszystkim matce. O tym, jak bardzo się martwi, że Midas nigdy się nie odnajdzie. O teczce z gabinetu Teba, skopiowaniu jej zawartości i pokazaniu jej Nell i Francie. Jak bardzo żałuje, że podzieliła się informacjami z Rodzynom, którego ledwo zna. Jak fatalne jest to, co napisała, i o porannej wizycie kontrolnej u doktor Bereck, podczas której ze szlochem wyznała, jak jest przeciążona i pełna lęku, jakie ma problemy z zaśnięciem.

– Czym się pani najbardziej niepokoi? – spytała lekarka.

– Wszystkim, ale głównie Poppy. Boję się, że coś jej dolega.

Colette próbowała – bez powodzenia – ignorować swoje obawy: że Poppy wydaje się mieć osłabione napięcie mięśniowe, że nie umie jeszcze do końca unosić główki, że czasem trudno z nią nawiązać kontakt wzrokowy.

– Gdy widzę dzieci moich koleżanek z klubu mam, to, sama nie wiem... Wydają się jakieś inne. Silniejsze – powiedziała Colette, w końcu pozwalając sobie na łzy. – I dostaję codziennie te listy z The Village. Poppy nie spełnia kryteriów, o których piszą.

– Po pierwsze, niech pani przestanie to czytać – odparła doktor Bereck. – Ci, co to piszą, zakładają, że wszystkie dzieci rozwijają się w takim samym tempie. A tak nie jest.

– Wiem, ale mimo wszystko. Nie mogę znieść takiej myśli. Charlie mówi, że zwariowałam. Że z naszą córką jest wszystko w porządku. Ale jestem jej matką. Czuję, że coś jest nie tak, jak powinno.

Colette chce o tym wszystkim powiedzieć swojej mamie, ale nie może. Nie wie nawet, gdzie ona jest. Ostatni raz rozmawiały ponad dwa tygodnie temu całe dziesięć minut przez trzeszczący telefon

– Rosemary była na wyspach San Blas u wybrzeża Panamy, gdzie prowadziła badania nad ostatnimi istniejącymi społecznościami matriarchalnymi. Towarzyszył jej ojciec Colette, który ostatnio odszedł na emeryturę, zwalniając stanowisko dziekana biologii na uniwersytecie w Boulder. („Jako członek rodziny matriarchalnej czuję, że idealnie się tam odnajdę”, powiedział, gdy na tydzień przed terminem narodzin Poppy zadzwonił do niej z wiadomością, że wyjeżdżają na trzy miesiące).

Colette z trudem łapie oddech, gdy Alberto, portier, otwiera przed nią drzwi. Wsiadłszy z windy na trzecim piętrze, przystaje, by rozwiązać sznurówki w tenisówkach. Słyszy, jak w mieszkaniu Charlie rozmawia z kimś przez telefon.

Gdy wchodzi, jej mąż opuszcza rękę ze słuchawką.

– Rany – mówi bezgłośnie. – Bije od ciebie gorąco.

Colette zerka w lustro wiszące nad stolikiem w korytarzu. Ma mokre włosy, purpurowe piegi, zrolowaną warstwę kremu z filtrem, którą nałożyła, wychodząc od lekarza. Biegła po raz pierwszy po porodzie i kilka razy musiała zwolnić do marszu.

– Sugerujesz, że się zgrzałam? – pyta Charliego.

– Nie – szepcze. – Chodzi mi o to, że wyglądasz zniewalająco seksownie. – Całuje ją w rękę i mówi do słuchawki: – Jakoś się uda. Nie pozwolę, by takie rzeczy przeszkodziły mi w skończeniu nowej książki. – Nalewa kawy do filiżanki i podaje ją Colette. – I pewnie nie będę mógł poświęcić żadnych większych świąt. Dziecko by mi tego nigdy nie wybaczyło.

– Ani matka dziecka – rzuca Colette, sądząc, że mąż rozmawia z wydawcą o kolejnym zaproszeniu na odczyt.

Dwa miesiące wcześniej zakończył cykl spotkań autorskich w różnych miastach w kraju, ale wciąż przychodzą zaproszenia. Nalewa szklanę wody i zauważa, że stół – rustykalny, postarzany, który Charlie kupił im na ostatnią Gwiazdkę – jest nakryty dla dwóch osób, zastawą jej babki i lnianymi serwetkami. Na środku w stalowym kubku podróżnym tkwi pęczek jasnoniebieskich stokrotek, z częściowo oklapłymi i zeschniętymi płatkami.

Bierze winogrono z miski przy łokciu Charliego i otacza go w pasie ramieniem, przyciskając policzek do znajomego zagłębienia między łopatkami i wdychając jego woń – antyperspirantu w żelu i prażonego czosnku. W tle słychać „Kołysanki prenatalne” płynące z monitora na półce. Rozkoszuje się prostą radością tej chwili. Ciepłem ciała Charliego. Tym, że Poppy śpi w swoim pokoiku. Rytmem mieszkania. Gdyby tylko mogła tu zostać, w tej właśnie chwili, na zawsze.

Odkleja się w końcu od męża i na blacie kuchennym obok dzbanka do kawy zauważa książkę. Stając się rodziną. Bierze kawę i książkę i przysiada na stołku przy kuchennej wyspie, podczas gdy Charlie szybkimi pewnymi ruchami, z telefonem wciśniętym między ramię a ucho, kroi gruby pęczek pietruszki. Colette otwiera poradnik na jednym z pierwszych rozdziałów, poświęconym ciąży, i przebiega wzrokiem notatki zrobione przez Charliego na marginesie, zagięte rogi, którymi zaznaczał strony.

Dziewięć tygodni: dziecko jest rozmiaru winogrona.

Jak przygotować twojego towarzysza porodu.

Czego unikać: surowych ryb, niedogotowanego mięsa, wyczerpujących ćwiczeń, gorących kąpiel.

Czytając te słowa i wspominając te pierwsze tygodnie, Colette czuje gułę w gardle. Ból w piersi, gdy wchodziła po schodach. Wywracający trzewia na nice zapach mydła i perfum podróżnych w metrze. Wymiotowanie w łazience wydawnictwa podczas spotkania, na którym omawiali wytyczne dotyczące drugiej książki.

Druzgoczący szok na widok dwóch kresek na teście ciążowym.

To była jakaś usterka w pracy jej organizmu. Znała swoją fizjologię wystarczająco dobrze, by nie stosować antykoncepcji, przez którą – kilka miesięcy brania pigułek – zaczęła cierpieć na wahania nastroju i stany depresyjne. (Charlie żartował, że gdyby wszystkie kobiety reagowały na tabletki hormonalne tak jak ona, to rozumie, na czym polega ich skuteczność. Doprowadzają kobiety do takiej frustracji, że nikt nie chce się z nimi kochać). Poszła do doktor Bereck, by się upewnić. Organizm się zmienia, powiedziała ginekolożka. Cykle zwalniają. Colette miała prawie trzydzieści pięć lat. W tym wieku ciało nie działa już jak szwajcarski zegarek.

Pięć tygodni: dziecko jest wielkości ziarenka maku.

Piąty tydzień: wrześnieowy wieczór, gdy powiedziała Charliemu o ciąży. Potem się kochali, leżał obok niej, z piersią przyciśniętą do jej pleców, z dłonią na zagłębieniu jej talii. „Ty. Dziecko. Moja książka – powiedział. – Wszystko, o czym zawsze marzyłem”. Leżała tam nieruchomo, próbując to sobie wyobrazić. Ciężę. Dziecko. Macierzyństwo.

Nie potrafiła. Nie potrafiła nic z tego sobie unaocznić. Jej głowę zaprzętały inne sprawy. Dwumiesięczna wycieczka do Azji Południowo-Wschodniej, na którą mieli pojechać, gdy Charlie

skończy książkę. Maraton, do którego właśnie zaczęła się przygotowywać. To, by w końcu skończyć z byciem ghostwriterem i wydać własną książkę. Te rzeczy potrafiła sobie wyobrazić. Ale to?

Nazajutrz rano zadzwoniła do matki, zastanawiając się, jak sobie poradzi, jak uda jej się pozostać sobą, wyznała, że poprzedniego wieczoru, zanim dowiedziała się o ciąży, wypła cztery whiskey; że zaliczyła kilka morderczych biegów.

„A co jeśli przez to dziecku coś się stało?”

„Colette – powiedziała matka – gdy aborcja była zakazana, kobiety musiały skakać ze schodów. Nie zabijesz swojego dziecka ot tak, niechący”.

Wspomnienie się rozwiewa, gdy Charlie odkłada telefon i podchodzi, by pocałować ją w czoło. Colette zamyka książkę.

– Zrobiłeś dla mnie jajecznicę? – mówi. – Co to za okazja?

– Twoja wizyta u lekarza. – Kiwnięciem głowy wskazuje książkę. – Skonsultowałem się z ekspertami i ich zdaniem jesteśmy na prostej.

– Na prostej?

Podchodzi do chłodziarki na wino zamontowanej obok zmywarki, wyjmuje butelkę szampana i zgrabnym ruchem ją odkorkowuje.

– Tak. Nasza córka niedługo zacznie się uśmiechać. Rozkład dnia się unormuje, gdy zacznie rozumieć różnicę między nocą a dniem. A, i... – nalewa trochę szampana do kieliszka i pomaga jej wstać – znowu możemy uprawiać seks. Do dna, kobieto!

Ciało jej sztywnieje, gdy Charlie obejmuje ją w talii,

przyciskając biodra do jej bioder; prowadzi ją do tyłu, opiera o lodówkę. Seks? Sama myśl budzi w niej odrazę. Jest wykończona i wyczerpana; bolą ją piersi i kręgosłup. Ostatniej nocy spała niespokojnie. Poppy obudziła się o północy. Colette słuchała, jak Charlie urzęduje w salonie, jak nastawia płyty z jazzem, żeby ją uspokoić, jak czyta jej fragmenty swojej powieści – rozdział, w którym młody żołnierz opuszcza swoją matkę i wyrusza na wojnę. Wiedziała, że powinna wstać i zaproponować, że nakarmi Poppy, co by ją natychmiast uspiło, ale była zbyt zmęczona, by się przemóc, by wygramolić się spod ciężaru koców w klimatyzowanej sypialni, przerwać rozmyślenia o Midasie. O Winnie. O Bodhim Mogaro. Czy zabrał Midasa? Czy mały żyje?

Colette delikatnie odtrąca męża.

– Wiesz, że muszę zaraz wyjść, prawda? Mam spotkanie z Tobem.

Charlie nieruchomieje, zamyka oczy i przyciska czoło do jej czoła.

– Spotkanie z Tobem.

– Zapomniałeś.

– Zapomniałem.

– Dziś ty się zajmujesz małą – mówi Colette. – Ja siedziałam z nią wczoraj. Mówiłam ci, że ostatnie spotkanie przełożył...

– Wiem, wiem. Wypadło mi z głowy. Poppy trzy razy budziła się w nocy. Padam na twarz.

– Przykro mi – mówi Colette. – Ale dzisiaj mam wolny wieczór, a ty będziesz miał przerwę przez większą część jutrzejszego dnia.

Charlie wzdycha i puszcza ją.

– Musisz dopompować. Zużyłem całe mleko z zamrażarki.

– Już to zrobiłam. Rano. Jest w środku.

– I musimy o tym wszystkim porozmawiać.

– O czym wszystkim?

– O tym, jak funkcjonujemy. O dzieleniu opieki nad dzieckiem pół na pół. To nie działa.

Colette natychmiast wpada w irytację.

– Nie mogę poświęcić więcej czasu – mówi, starając się nie podnosić głosu i zjadając odrobinę jajecznicy z patelni. – Jestem trochę spóźniona z książką Teba.

Nie powiedziała mu, jak bardzo... nie powiedziała, że jest niemal przekonana, że nie wyrobi się w terminie i jak opornie idzie jej pisanie. Jest zbyt przejęta, by powiedzieć, jak ciężko jej zapanować nad tym wszystkim, nad tym, że skończył się płyn do prania, że słuchawka prysznicowa przecieka, a jej dźwięk doprowadza ją do szaleństwa, i że właśnie umówiła Poppy do pediatry, za radą doktor Bereck.

– Nie oczekuję, że przejmiesz całą opiekę nad dzieckiem, Colette. Sugeruję, że powinniśmy zatrudnić opiekunkę. – Twarz mu łagodnieje. – Wiem, że się boisz. Ta sprawa z Midasem to jakiś koszmar. Ale inaczej nam się nie uda. Nie możemy oboje pracować w pełnym wymiarze godzin, zajmować się noworodkiem i obejść się bez pomocy. – Ujmuje jej dłoń. – Stać nas na to. Możemy wziąć trochę z pieniędzy moich rodziców.

Colette zabiera rękę.

– Nie chcę zatrudniać opiekunki, Charlie.

Nie może znieść myśli, że zostawiłaby dziecko z obcą osobą.

Wymija męża i idzie do łazienki, ściągając wilgotny T-shirt przez głowę.

– No to jakie widzisz rozwiązanie? – Charlie idzie za nią. – Jeśli nie zgadzasz się na opiekunkę, musisz wziąć na siebie więcej.

Colette odkręca prysznic i wyjmując różową plastikową wanienkę z wanny, odwracając wzrok od grubej kępki włosów w odpływie, które wypadły jej podczas ostatniej kąpieli.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Wiem. Ale wychowywanie dziecka okazało się nieco trudniejsze, niż się spodziewaliśmy. Trzeba poczynić nowe ustalenia. Za dwa miesiące muszę oddać książkę.

– A ja za miesiąc.

– Wiem, skarbie. – Charlie zaciska szczękę. – Ale wiesz, ile zależy od mojej.

– Muszę się szykować.

Colette zamyka drzwi, bierze szybki prysznic, nacierając skórę nowo nabytym peelingiem solnym, chcąc spłukać z siebie frustrację i zmęczenie. Gdy dwadzieścia minut później wychodzi z sypialni w czystej bluzce i spódnicy, Charlie jest w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Colette zakrada się do Poppy, do przyciemnionego pokoju, w którym rozbrzmiewają nawoływania waleni z płyty z „Kołysankami prenatalnymi”, w którym powietrze pachnie jej córką. Nie może się powstrzymać i nachyla się nad łóżeczkiem, by dotknąć policzka córki i odgarnąć z czoła jej cieniutkie, rude jak dynia włoski. Buzia tak bardzo podobna do twarzy matki Colette.

Nie chcąc przeszkadzać Charliemu, po cichu wychodzi

z mieszkania i idzie do metra. Na peronie staje jak najdalej od stoiska z gazetami, by mieć kilka godzin wytchnienia, bez oglądania nagłówków z Midasem. W pociągu przemyka oczy i myśli o tym, jak żenująca była kłótnia z Charliem. Jej mąż jest u szczytu kariery. Dostał gigantyczną zaliczkę za swoją debiutancką powieść, pochlebne recenzje obwołujące go jednym z najbardziej obiecujących głosów dekady, pisze drugą, niecierpliwie wyczekiwaną książkę.

A ona?

Drepcze do gabinetu burmistrza, gdzie będzie na niego czekać, a potem pisać książkę, o której ten powie, że napisał ją sam i na której zarobi fortunę, zbyt strachliwa, by napisać coś własnego. Jej pierwsza książka, biografia Victorii Woodhull, pierwszej kobiety, która kandydowała na urząd prezydenta, ukazała się sześć lat wcześniej. Colette pracowała nad nią latami i była nieskończenie dumna z jej ostatecznej postaci. Ale sprzedawała się fatalnie i choć Colette napisała konspekty dwóch kolejnych książek, żadne wydawnictwo nie okazało zainteresowania. Z asekuranctwa i za radą agenta zaczęła przyjmować zlecenia ghostwriterskie. Tylko na jakiś czas, przekonywał agent. Do czasu, aż będzie miała lepszy pomysł na nową książkę. Było to cztery lata temu.

Gdy wchodzi po schodach metra na przystanek City Hall, telefon sygnalizuje nową wiadomość. Charlie.

Myślę nad czymś – napisał.

Nad czym?

Nad globalnym ociepleniem. Co za lipa, nie? Colette czeka. I nad tym, co byś powiedziała na romantyczną kolację w domu dziś wieczorem? Gdy mała zaśnie.

Brzmi ekstra.

Pozwolę ci nawet pokucharzyć.

Colette przystaje przy wózku z kawą przy wejściu do City Hall Park.

– Dużą mrożoną bez mleka, poproszę – mówi do sprzedawcy.

– I pączka w lukrze.

Cóż za wspaniałomyślność – odpisuje.

Też tak sądzę. Co przygotujesz?

Suflet.

Bosko. Jaki?

Niewidzialny.

Przecież taki był wczoraj.

Ma jeszcze dziesięć minut do spotkania z Tebem, więc postanawia posiedzieć na ławce w parku, obok obsypanej fioletowymi kwiatami budlei, i w spokoju wypić kawę. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby potrafiła powiedzieć Charliemu prawdę, stwierdza w myślach. Chce przestać pracować. Chce się skupić na Poppy. Rozłamuje pączka, wyobrażając sobie swoje idealne życie na ten moment: być tylko matką. Dbać o Poppy. O to, by była kochana, zdrowa, miała wszystko, czego potrzebuje.

Odpędza od siebie ten pomysł. Nie może tego powiedzieć mężowi.

Ona nie może taka być.

Colette Yates, córka Rosemary Carpenter, tej Rosemary Carpenter, która zdobyła rozgłos, pisząc o bolączkach macierzyństwa, seksizmie, jakim skażone są związki, o tym, by kobiety nie stawały się zależne od mężczyzn. Ona miałyby zostać kurą domową?

Kończy pączka i otwiera pocztę, wiedząc, że musi się zebrać w sobie i przygotować na spotkanie z Tebem. Jest nowa wiadomość od Aarona Neeleya, z notatkami do rozdziałów, które mają dzisiaj przedyskutować.

Nie rozumiesz tego kawałka – emocjonalnych kosztów śmierci Margeaux. Kolejność wydarzeń w tej części jest całkiem pomieszana. Wróć i znajdź profil na Esquire. Tamten autor to rozgryzł.

Colette unosi twarz ku niebu, czując ciepło słońca na skórze i słysząc sygnał przychodzącego esemesa. Stara się nie myśleć o liście Aarona ani o najbliższej godzinie, którą będzie musiała spędzić na rozmowie o tej książce, ani o Winnie siedzącej samotnie w mieszkaniu, przy pustym łóżeczku Midasa, wśród tych wszystkich przedmiotów przypominających o jego nieobecności. Przez kolejne pięć minut chce się skupić tylko na słońcu na twarzy, na kolacji z mężem, na jutrzejszej wizycie u pediatry, na której usłyszy, że z Poppy jest wszystko w porządku, że jest normalnym dzieckiem, a jej matczyne lęki są zupełnie bezpodstawne.

Sięga po telefon, by przeczytać, co napisał Charlie. Ale wiadomość nie jest od niego.

Jest od Francie.

Witając się z Allison, Colette stara się sprawiać wrażenie opanowanej.

– Wejdz i rozgość się – mówi Allison. – Już kończy spotkanie.

W gabinecie Teba Colette siada przy dużym okrągłym stole i otwiera swój laptop.

Znaleźli go. Tylko tyle napisała Francie.

Wpisuje adres strony „New York Post”, szykując się na najgorsze wieści. Artykuł jest na pierwszej stronie.

PODEJRZANY W ZWIĄZKU Z ZAGINIĘCIEM MIDASA ROSSA UJĘTY W PENSYLVANII

Colette wypuszcza powietrze, opierając czoło na dłoni. Francie nie miała na myśli Midasa, tylko Bodhiego Mogaro.

Dwudziestoczteroletni Jemeńczyk uznawany za zamieszanego w porwanie Midasa Rossa został aresztowany dziś rano w Tobyhannie w stanie Pensylwania, dwie godziny drogi na zachód od Nowego Jorku.

Policja zatrzymała go za bezprawne wtargnięcie, gdy zauważono jego samochód na terenie składowni sprzętu do inwigilacji używanego przez Ministerstwo Obrony. Policja potwierdza, że szukała Mogaro od dwóch dni, po tym, jak pewien świadek zeznał, że widział go w okolicy miejsca zamieszkania Gwendolyn Ross w nocy 4 lipca, dokładnie o tej godzinie, o której porwano jej syna. W bagażniku samochodu Mogaro, forda focusa z roku 2015, wynajętego na lotnisku JFK rano 5 lipca, znaleziono torbę zawierającą prawie 25 tysięcy dolarów w gotówce.

Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce.

Colette czyta ostatnie zdanie raz jeszcze. Skąd miał te pieniądze?

Zaangażowano Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego,

który stara się dociec, dlaczego Mogaro chciał się włamać do składowni, jak również stwierdzić, czy personel wojskowy był z nim w porozumieniu. Żona Mogaro, profesor ekonomii, nie odpowiedziała na wielokrotne prośby o komentarz.

Telefon Colette znowu buczy. Wiadomość od Nell. Co to znaczy?

– Colette. – Allison stoi w drzwiach. – Przepraszam, że przeszkadzam ci w pisaniu, ale burmistrz spóźni się kilka minut.

Colette kiwa głową.

– Okej – mówi, z trudem dobywając z siebie głos.

– Dzięki.

– A, i jeszcze jedno. Kopiarka się zepsuła. – Allison ścisza głos.
– Konserwator przyjdzie dopiero za godzinę, mówię w razie, gdybyś potrzebowała skorzystać z pokoju. Dam ci znak. Nikt ci nie będzie przeszkadzał.

Colette zerka na artykuł.

– Co za wycucie czasu – mówi. – Właśnie miałam sprawdzić, czy łazienka jest wolna.

Allison uśmiecha się szeroko.

– Daj mi minutkę.

Colette bierze swoją torbę spod krzesła i podchodzi do komody przy biurku. Teczka wciąż tam leży – wydaje się grubsza niż przed dwoma dniami. Colette idzie do pokoju ksero, a Allison pokazuje jej nad biurkiem uniesiony kciuk. Colette zamyka za sobą drzwi na klucz. Gdy wyjmuje teczkę z torby, coś wypada ze środka i ląduje na podłodze. Pamięć przenośna. Odkłada ją na kopiarce

i pośpiesznie kartkuje zawartość teczki, szukając nazwiska „Bodhi Mogaro”. Jedna z kartek rozcina jej skórę między kciukiem a palcem wskazującym, zostawiając bolesne skaleczenie i ślad krwi na pierwszej stronie.

– Cholera – rzuca szeptem, rozcierając krew na słowach „Lista członkowska: Majowe Mamy”.

Przegląda kopię kwestionariusza, który musiała wypełnić, gdy zapisywała się do Majowych Mam przez stronę The Village. Jest profil Nell. Yuko. Scarlett. Francie. Skąd policja ma do tego dostęp?

Widzi swój.

Bierze kwestionariusz do ręki, patrząc na załączone zdjęcie – z wycieczki na Sanibel Island, na którą pojechali z Charliem przed narodzinami Poppy. Tego wieczoru jej się oświadczył, w rocznicę ich pierwszej randki i pierwszej nocy, po której obudzili się w jego mieszkaniu na Brooklyn Heights i zobaczyli, jak pierwszy samolot uderza w wieżę. „Będę z tobą na zawsze”, powiedziała tamtego dnia na plaży, z włosami ciężkimi od piasku i słonej wody, trzymając w dłoni pierścionek. „Ale znasz mnie, Charlie. Małżeństwo to nie dla mnie”. Z trudem rozpoznaje się na zdjęciu. Minęły zaledwie dwa lata, a wyglądała tak młodo.

Nagle uświadamia sobie: Teb to zobaczy. Dowie się, że zna Winnie. Będzie wiedział – o ile jeszcze tego nie wie – że była tam tamtej nocy. Będzie chciał wiedzieć, dlaczego mu nie powiedziała. Zerka na niszcarkę stojącą obok ksero i bez namysłu wsuwa kartkę w szczelinę maszyny. Sekundę potem z drugiego końca urządzenia wypadają papierowe paseczki. Colette wraca do przeglądania

zawartości teczki. Zdjęcia z patio w Wesołym Lamie. Zdjęcia domu Winnie. Jej kuchni. Jakiś raport laboratoryjny, z którego Colette nic nie rozumie. Zatrzymuje wzrok na kilkustronicowym protokole przesłuchania.

HOYT: Czy może pani przeliterować swoje nazwisko?

MERAUD SPOOL: M-E-R-A-U-D S-P-O-O-L.

HOYT: Jest pani przyjaciółką pani Ross, tak?

SPOOL: Byłą przyjaciółką. Nie rozmawialiśmy od lat, ale kiedyś byliśmy sobie bliskie.

HOYT: Wiem. Chciałbym, żebyśmy przeszli do incydentu z Danielem, którego była pani świadkiem, ale zanim to zrobimy, proszę mi opowiedzieć o swojej znajomości z panią Ross.

SPOOL: Poznałyśmy się na przesłuchaniach do Niebieskiego ptaka. Wiele nas łączyło i od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Gdy po angażu razem z mamą przeprowadziłyśmy się do Nowego Jorku, pani Ross zaproponowała, byśmy się u niej zatrzymały na czas remontu mieszkania, które kupiłyśmy. Weekendy spędzałyśmy w ich wiejskiej posiadłości, na północy stanu. Mieszkałyśmy z Winnie w jednym pokoju. Była dla mnie jak siostra.

HOYT: Rozumiem.

SPOOL: Obie dostałyśmy rolę. Winnie, oczywiście, główną.

[Śmiech].

HOYT: Jak pani się z tym czuła?

SPOOL: Jak się z tym czułam? Szczerze mówiąc, trochę mnie to zabolalo. Wszystkie dziewczyny, nie tylko mnie. Nie była najlepszą tancerką. Ale była z nas najładniejsza.

HOYT: Z pozostałymi dziewczętami utrzymywała dobre relacje?

SPOOL: Nie, raczej nie. Jest dość dziwna.

HOYT: Dziwna?

SPOOL: Tak, jakby nigdy nie umiała być po prostu sobą. Zawsze zmieniała swój image, starając się dostosować do oczekiwań innych. Była w stanie przybrać dowolny wizerunek, jeśli tylko służył sytuacji. Dopiero przy Danielu nabrała pewności siebie.

HOYT: Gdzie go poznała?

SPOOL: Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Pryszczaty. Tyczkowaty. Wszystkie byłyśmy w szoku, że się spotykają. Ale nie ja, nie po tym, jak widziałam ich razem. Tworzyli dobrany tandem. Był do niej bardzo podobny. Wystudiowane zachowanie. Pretensjonalność. Naprawdę się kochali. [Śmiech]. To znaczy tak, jak się kocha, mając siedemnaście lat. Po szczenięcemu. Choć w wieku trzydziestu dziewięciu, z trójką dzieci i dwunastoletnim stażem małżeńskim, zaczynam myśleć, że tak naprawdę to jedyna prawdziwa miłość. A to co teraz? To harowa. Czy ja nie za dużo mówię? Nie jestem pewna, czy odpowiadam na pańskie pytanie.

HOYT: Świetnie pani idzie.

SPOOL: Tak czy inaczej, program odniósł sukces. Winnie miała Daniela. Miała mnie. I nagle zginęła jej matka. I...

HOYT: Tak? Proszę kontynuować.

SPOOL: Wtedy wszystko, no... proszę mnie zrozumieć... skontaktowaliście się ze mną, by mnie przesłuchać, i chętnie wam pomogę. Mam trzech synów. Naprawdę aż boję sobie wyobrazić, co ona przeżywa. Ale obawiam się, że powiem coś, czego nie powinnam.

HOYT: Proszę się o to nie martwić. Po prostu zbieramy fakty.

SPOOL: Oszalała. No bo kto w takiej sytuacji zachowałby zimną krew. Stracić matkę w tak młodym wieku. To straszne. Ten niepojęty wypadek, którego nikt nie potrafił wyjaśnić. Hamulce psują się w chwili, gdy zjeżdża z góry? Bardzo dziwne. Jakby

tego było mało, znowu pojawił się ten facet. Archie Andersen.

Colette przerywa. We wczorajszym mejlu Francie wspomniała, że Winnie miała stalkera, i pytała, czy kontaktował się z Winnie od czasów Niebieskiego ptaka.

SPOOL: Zniknął na kilka miesięcy po tym, jak dostał sądowy zakaz zbliżania się. Nagle pojawił się na pogrzebie jej matki, gdzie zrobił straszną scenę. Urządził histerię przed kościołem. Dla niej to było za dużo.

HOYT: Wszystko w porządku?

SPOOL: To po prostu strasznie smutne. Winnie była ze swoją mamą bardzo żyta. O takiej relacji marzy każda nastolatka. I nagle, puf, matki nie ma. Winnie zaczęła mieć ataki paniki. Napady strasznego płaczu. Przypominała mi moją macochę.

HOYT: Pani macochę?

SPOOL: Tak. Mniej więcej właśnie wtedy urodziła moją przyrodną siostrę. Była, powiedzmy, o kilka lat młodsza od mojego taty. Kompletnie po tym zwariowała. Płakała. Nie mogła spać. W końcu trafiła do szpitala. Psychoza poporodowa.

HOYT: W jakim sensie przypominała pani Winnie?

SPOOL: Bo cóż, Winnie... nie była sobą. A potem zdarzył się ten incydent.

HOYT: Proszę mi o nim opowiedzieć.

Rozlega się pukanie do drzwi. Colette w pośpiechu wciska papiery do teczki i wsuwa ją do torby, razem z pamięcią przenośną.

– Chwileczkę! – woła. – Już prawie skończyłam.

Wyjmuje laktator, rozpina koszulę, ukazując biustonosz,

i otwiera drzwi.

Stoi w nich Aaron Neeley.

– Wszystko w porządku? – pyta i obrzuca wzrokiem jej stanik.

Colette w pośpiechu zapina koszulę, czerwona na twarzy z zażenowania.

– Tak.

– Czekamy na ciebie.

– Dobrze. Już idę. – Wrzuca laktator do swojej torby.

– Wszystko gotowe.

Allison posyła Colette przepaszające spojrzenie, gdy idą z Aaronem do gabinetu Teba. Teb siedzi na swoim fotelu, z nogami opartymi o stół, zadarte spodnie odsłaniają skarpetki w białoczerwone groszki. Czyta jej maszynopis. Aaron wskazuje puste krzesło przy biurku.

– Daj mi jeszcze chwilkę – rzuca Teb.

Colette trzyma torbę na kolanach, spogląda na Aarona, potem na ścianę za biurkiem, na której wisi kolekcja oprawionych fotografii przedstawiających Teba z różnymi znanymi osobami. Pojawiło się kilka nowych. Teb z Bette Midler. Z młodym mężczyzną, który niedawno dołączył do New York Mets. Z byłym sekretarzem stanu, Lachlanem Raine'em, który, jak podano do wiadomości wcześniej tego ranka, ma szansę na nominację do Pokojowej Nagrody Nobla za działania, jakie podejmuje jego fundacja w Syrii.

– Nieźle, co? – mówi Teb, patrząc na nią.

– Bardzo nieźle.

– Spotkałem się z Raine'em dwa tygodnie temu, na moim evencie u Ciprianiego. Zbiera miliony na moją kampanię, ale to

kompletny świr. Nie żartuję, nie przepuścił żadnej kelnerce.

– Jestem w szoku. – Colette chce, by jej głos zabrzmiał śmiało. Teb chichocze.

– No tak. – Odkłada ostatnią kartkę. – Okej, Colette. Będę szczerzy. Wydaje mi się, że w kilku miejscach poszło to w złym kierunku.

Colette zakłada włosy za uszy, starając się zachować obojętność.

– Rozumiem – odpowiada. Aaron patrzy pustym i zmęczonym wzrokiem. – Możesz powiedzieć coś bardziej konkretnego?

Teb odchyła się i wbija wzrok w sufit.

– Pierwsza książka. Do czego ten krytyk przyrównał moje pisanie? – pyta Aarona.

– Proza na miarę Hemingwaya. Dowcip na miarę Sedarisa – recytuje Aaron.

Colette prychnęła.

– Powiedzmy to szczerze, Teb, trochę przesadził.

– Tak czy siak, ale ta? Nikogo nie wbija w fotel. – Spogląda na Aarona. – Dobrze mówię?

Aaron powoli wydycha powietrze.

– Tak, w pełni się zgadzam. Rozumiem, że prosimy cię, żebyś pracowała szybko, Colette, ale nie możemy przystać na produkt średniej jakości. Nie przy poprzeczce, jaką ustawiła pierwsza książka burmistrza.

– Okej. – Colette kiwa głową. – Przeanalizujemy tekst.

Przez kolejną godzinę stara się skupić na tym, czego od niej oczekują, ale rozprasza ją ciężar teczek w torbie – a co, jeśli Teb

zdązał już ją przejrzeć? Co, jeśli widział jej formularz członkostwa? Nie może się powstrzymać i co chwila zerka na wyciszony telewizor w rogu pokoju, ustawiony na program informacyjny. W końcu na ekranie miga zdjęcie Bodhiego Mogaro, które zapewne dostarczyła prasie policja – to samo ma w domu, w teczce pod kanapą. Aresztowano Jemeńczyka, podejrzewa się związek z porwaniem Midasa Rossa. Colette czuje ulgę, gdy Allison cicho puka do drzwi i wsuwa głowę do środka.

– Panie burmistrzu, przyszli już goście na następne spotkanie. Czekają w 6B. Umówiłam pana na lunch.

– Dziękuję, Allison. – Teb układa kartki w równy stosik i podsuwa je Aaronowi, a potem sprawdza telefon. – Dzisiejsze spotkanie było potrzebne, prawda? Ustawiło nas na właściwych torach, no nie?

– Jak najbardziej – odpowiada Aaron.

Colette bierze ze stołu swój komputer i notes i wkłada je do torby, tuż obok teczki. Idzie do holu, gdzie jeden z asystentów z biura prasowego oprowadza zwiedzających, pokazując obrazy na ścianach i prowadząc ich do wielkiego okna wykuszowego z widokiem na most Brooklyński. Colette wymija ich i kieruje się do łazienki, gdzie staje w drzwiach i obserwuje korytarz przed gabinetem Teba. Gdy Teb i Aaron wychodzą na następne spotkanie, podchodzi do Allison, która akurat rozmawia przez telefon.

– Chyba wypadł mi portfel w środku – mówi szeptem.

Allison gestem daje jej znak, by weszła do środka. Colette udaje, że szuka go na podłodze, obok krzesła, na którym siedziała, a potem obok biurka Teba, i niespostrzeżenie odkłada teczkę na

miejsce.

Macha Allison na pożegnanie i naciska guzik windy. Tuż przed zamknięciem drzwi do środka wślizgują się dwie kobiety, z kawami i zapalniczkami w dłoniach.

– Podobno jest z Jemenu. Jakiś muzułmanin – mówi jedna do drugiej chrapliwym głosem palaczki. – To nie wróży nic dobrego.

Ta druga potrząsa głową.

– Ciekawa jestem, gdzie jest matka. Dlaczego nie udziela żadnych wywiadów? Gdyby nie miała nic do ukrycia, to chyba rozmawiałaby z prasą, no nie?

Obie spoglądają na Colette. Colette naciska guzik i uśmiecha się, przyciskając torbę z pamięcią przenośną do piersi, a serce wali jej jak oszałałe.

ROZDZIAŁ 9

NOC CZWARTA

Tutaj czuję się lepiej.

Oślonięta drzewami, cieniami, rondem kapelusza. Tylko dwie godziny od miasta, a wydaje się, że oddziela mnie od niego cały świat. Dzięki Bogu. Nie byłam pewna, czy dam radę wyjechać, ale nie mówiąc nikomu ani słowa, w środku nocy po prostu zapakowałam rzeczy do samochodu i ruszyłam przed wschodem słońca, a potem otworzyłam drzwi kluczem zostawionym w doniczce, gdy sąsiedzi jeszcze spali.

Dobrze, że zdecydowałam się wyjechać z miasta i zatrzymać tutaj. Wróciły opanowanie i klarowność myśli. Wręcz czuję przypływ euforii. Szczerze mówiąc, nie czułam się tak dobrze od miesięcy. To pewnie zasługa zdrowego wiejskiego powietrza i tabletek, które przed opuszczeniem szpitala przepisał mi lekarz.

Dobrze, przejdę do rzeczy. Nie wiem, dlaczego piszę to ze wstydem, ale...

Znowu jesteśmy razem. Joshua i ja.

To zbyt piękne, by było prawdą. W końcu się odważyłam i zrobiłam to. Poszłam do niego. Myślałam, że będzie zły, że zjawiam się tak bez uprzedzenia, i mówię mu, że chcę przedstawić moje stanowisko, raz na zawsze. Ale się nie zezłościł. Zebrałam się

w sobie i powiedziałam, jak mi bez niego ciężko, w jaką popadam rozpacz, wspominając, jacy szczęśliwi byliśmy na początku, długie nocne godziny spędzane razem w wannie. Niedzielne poranki w łóżku, gdy czytaliśmy sobie na głos. Szekspira. Mayę Angelou. Na Brooklynie rośnie drzewo.

I wiecie co? Pozwolił mi mówić. Więcej nawet, chciał tego wszystkiego słuchać.

– Zajmę się wszystkim – powiedziałam. – Dla ciebie. Dla nas.

Uśmiechnął się.

– Jeśli to zrobię, wrócisz ze mną do domu? – Przysunęłam się bliżej, przyciągając go do siebie, zatracając się w dotyku jego skóry, jego zapachu, jego bliskości. – Potrzebujesz mnie tak samo jak ja ciebie. Przecież wiesz.

Nie umiem kłamać. Jestem zdenerwowana. Nie do końca ufam swoim decyzjom i tym razem nie jest inaczej. Ale potem myślę o tej tabliczce z poczekalni u doktora H.

—

Jedni pragną. Drudzy marzą.

Jeszcze inni działają.

Teraz chce mi się śmiać na wspomnienie tej pierwszej wizyty, podczas której zdjęłam ten tandetny napis ze ściany i wniosłam do jego gabinetu. Pokój pachniał płynem do prania dywanów i smużką leśnej wody kolońskiej pozostawionej przez ostatniego pacjenta.

– To chyba żart – powiedziałam, siadając, zrzucając klapki i podwijając stopy pod siebie, a tabliczkę kładąc na kolanach.

– Co? – spytał, składając dłonie na udach i spoglądając na mnie dobrotliwym wzrokiem. (Jest z Milwaukee). – Co jest żartem?

– Ta tabliczka. O co chodzi? Czyżby wykupiono wszystkie plakaty z kotami i napisem GŁOWA DO GÓRY!?

Ale ten napis głosił prawdę. Nie mogę siedzieć do końca życia i myśleć o tym, żeby być z Joshuą. Nie mogę tylko marzyć. Muszę działać, sprawić, by nasze bycie razem się ziściło, za wszelką cenę.

Nie będzie łatwo. Chyba oboje to wiemy. Zostaniemy tutaj tak długo, jak się da, dopóki zdecydujemy, gdzie udać się dalej. Myślałam o Indonezji, jak w tej książce, która wszystkim się podobała. Obetnę włosy. Wynajmiemy domek na polach ryżowych, będziemy ćwiczyć jogę, poszukiwać siebie. Nauczę się gotować.

Ale te szczegóły mogą poczekać. W tej chwili chcę po prostu być tutaj, rozkoszować się świeżym powietrzem i ciepłym powiewem wiatru, z Joshuą u boku. Tego wieczoru na kolację zrobiłam grillowane steki i otworzyłam butelkę najdroższego wina, jakie znalazłam w piwnicy. Leżeliśmy potem w łóżku, a gdy zasnął, wpatrywałam się w niego, nie mogąc oderwać wzroku. Wiem, że gdy się obudzi, będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam, ale jestem tak szczęśliwa, otulona jedwabnym szlafrokiem, słuchając świerszczy, patrząc na rozświetlone gwiazdami opuszczone pola.

Powiem jedno: muszę przestać czytać wiadomości. Media – wszystkie bez wyjątku – dostały obsesji. Była aktorka, która miała wszystko, o czym można zamarzyć.

Pieniądze!

Urodę!

Prześliczne dzieciątko!

Patricia Faith kombinuje nawet z datą – dziecko porwano w Dzień Niepodległości, a wraz z jego zniknięciem matka odzyskała niezależność. Data, podobnie jak imię, nabrała symbolicznego wymiaru. Midas. Grecki król, który dotykami zamieniał wszystko w złoto, a potem, przynajmniej według Arystotelesa, umarł z głodu za swą „próżną modlitwę”. (W innej wersji tej opowieści w ostatniej chwili został oczywiście uratowany).

Ale czego się spodziewałam? Oczywiście, że dostali obsesji. Niejedna kariera wyrosła na takich historiach. Joshua złości się, że o tym czytam, ale trudno mi się oderwać. Muszę wiedzieć, co ludzie mówią. Gdzie wskazują palcami. Zwłaszcza teraz, gdy znaleziono Bodhiego Mogaro. Rozjuszona tłuszcza rzuciła się do komentowania.

Mężczyzna złapany z dwudziestoma pięcioma tysiącami w gotówce? Ktoś właśnie zaklepał sobie miejscówkę na krześle elektrycznym.

W Afryce i małych miastach Ameryki co chwila znikają dzieci i nikogo to nie obchodzi. Nie trafiają na pierwszą stronę „New York Timesa”.

Dlaczego gazeta nie pisze o zeznaniach świadków, którzy twierdzą, że widzieli tej nocy białego mężczyznę w średnim wieku na ławce naprzeciw jej kamienicy. Można o tym przeczytać na wszystkich blogach kryminalnych i zostało to potwierdzone przez przynajmniej dwóch anonimowych informatorów. Facet jest notowanym przestępcą seksualnym skazanym za molestowanie małego chłopca; przebywa pod nadzorem sądowym.

Powiedzmy to sobie szczerze: ta ostatnia informacja wywołuje u mnie uśmiech. Sama ją podłożyłam. Dlaczego? Bo ktoś musi zapłacić za to, co się stało, i, jak Boga kocham, zadbam o to, bym nie była to ja.

Tak czy inaczej, powinnam uciszyć myśli i cieszyć się spokojem, który mnie wypełnia. Albo który mógłby mnie wypełniać, gdybym nie czuła tego napięcia, gdybym sobie nie wyobrażała, w każdej chwili, że słyszę płacz mojego dziecka.

ROZDZIAŁ 10

DZIEŃ PIĄTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 9 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 56 DNI

Wszystkiego najlepszego, maleństwo! Twoja pociecha kończy dziś osiem tygodni. Udało Ci się! (Trudno sobie w ogóle przypomnieć, jak to było, zanim zostałeś mamą, prawda?) Czas uczcić te kilka tygodni spędzone na karmieniu, pieszczaniu, tuleniu i kochaniu Twojego małego cudu. Odwagi! Ten kawałek tortu Ci się należy.

Znaleziono chłopczyka, w New Jersey.

Wezwano wszystkich policjantów z okolicy, ale natrafił na niego ktoś z drużyny poszukiwaczy ochotników. Mały był milę od plaży, błąkał się wzdłuż trzcinowiska, szukając muszelek, po tym jak dwie godziny wcześniej oddalił się od rodziców w jednej krótkiej chwili, na którą matka spuściła go z oczu, by rozpakować kanapki.

W Maine dziewczynka wysiadła ze szkolnego autobusu pod domem, a potem więcej jej nie widziano. Policja szukała całą noc, przy Route 8 urządzono bazę dowodzenia; sprowadzono psa

ratownika. Nazajutrz rano małą znaleziono w domu wujka.

Takie rzeczy zdarzają się cały czas: dziecko ginie, a chwilę potem odnajduje się całe i zdrowe. Ale przeglądając stronę Centrum Poszukiwań Dzieci Zaginionych, Francie raz jeszcze zwraca uwagę na jeden szczegół: wszystkie te dzieci odnaleziono w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin.

Pięć dni.

Minęło równo pięć dni, a policja nie ma nic do powiedzenia. Ani słowa o tym, czy natrafiła na jakiś ślad Midasa, ani słowa o tym, czy jest bezpieczny. Nie ujawnili nawet informacji o związku Bodhiego Mogaro – który nadal jest zatrzymany pod zarzutem bezprawnego wtargnięcia – z porwaniem.

Francie wyjmuje butelkę z garnka z parującą wodą i idzie z Willem do bujaka stojącego obok okiennego wiatraka. Osłaniając go od słońca wpadającego przez zasłony, układa syna w zagłębieniu łokcia i przystawia mu do buzi butelkę, licząc (mimo wszystko), że nie będzie chciał pić mleka modyfikowanego, że na jego chemiczny zapach rozplącze się z obrzydzenia, tolerując mleko wyłącznie z matczynej piersi. Jednak gdy tylko przykłada mu do ust gumowy smoczek, mały otwiera buzię – rzadki szary płyn spływa na dolną wargę – i chłepcze zawartość szybkimi, łapczywymi haustami.

Francie czuje ukłucie rozczarowania, ale stara się je zignorować i sięga po pilota do telewizora. Na CNN jest rozmowa z mecenasem Oliverem Hoodem, obrońcą praw obywatelskich, który zasłynął staraniami o zwolnienie sześciu więźniów z Guantanamo – wczoraj podał do wiadomości, że wziął sprawę Bodhiego Mogaro. Pro bono.

„O ile rozumiem – mówi gospodarz programu, mężczyzna w średnim wieku, w okularach z ciemnymi oprawkami i w koszuli w grubą kratę – pan Mogaro przebywa obecnie w areszcie pod zarzutem bezprawnego wtargnięcia. W istocie jednak policja interesuje się jego osobą ze względu na domniemany związek z porwaniem małego Midasa. Oliverze Hood, czy mógłbyś to skomentować?”

Hood jest drobnym mężczyzną o dużych okrągłych oczach.

„No cóż, mógłbym powiedzieć wiele, ale przede wszystkim to, że mój klient jest niewinny. Naruszył własność prywatną bezwiednie, a ze zniknięciem małego Midasa nie ma absolutnie nic wspólnego. To podręcznikowy przykład typowania przestępców ze względu na przynależność rasową. Jakie są przeciw niemu dowody? Widziano go w pobliżu domu Winnie Ross i pochodzi z Bliskiego Wschodu. Nic więcej”.

„No cóż, jeśli mowa o...”

„Sytuacja przedstawia się coraz gorzej. Rozmawiałem z dwoma detektywami, którzy twierdzą, że mężczyzna zidentyfikowany przez naocznego świadka jako Bodhi Mogaro, człowiek, który rzekomo przechodził obok domu pani Ross, a w czasie porwania krzyczał coś do telefonu i zachowywał się podejrzanie – Oliver Hood milknie na chwilę dla lepszego wrażenia – to nie Bodhi Mogaro”.

„Jak to?”

Hood podnosi zdjęcie mężczyzny w białym fartuchu chirurgicznym.

„Tak naprawdę nazywa się Raj Chopra i jest ordynatorem

chirurgii w Brooklyn Methodist Hospital. Spieszył się do pracy, by asystować przy operacji dwóch małych dzieci i ich młodej matki, ofiar wypadku autobusowego.

Francie zamyka oczy, starając się przetrwać te informacje. A więc tamtej nocy Bodhi Mogaro nawet nie był w pobliżu domu Winnie? Jeśli to prawda, czy możliwe, że policja nie ma żadnego sensownego tropu?

„No cóż, niektórzy powiedzieliby, że słów detektywa nie powinno się traktować poważnie. Nie po tym, jak policja zrobiła z tej sprawy farsę. A pańskie twierdzenie z pewnością nie wyjaśnia, dlaczego Mogaro miał w samochodzie pieniądze”.

„Długo rozmawiałem z Bodhim, jego żoną i rodzicami. Bodhi przyjechał na Brooklyn, by zebrać pieniądze od przyjaciół i krewnych na pokrycie kosztów pogrzebu ciotki, która zmarła w Jemenie. Taka muzułmańska tradycja”.

Gospodarz programu uśmiecha się ironicznie.

„A picie piwa i palenie papierosów też się do niej zalicza? Bo prawdopodobnie to właśnie robił Bodhi Mogaro w nocy trzeciego lipca, siedząc na ławce przed domem Winnie i go obserwując.

Oliver Hood się śmieje.

„Proszę pana... Pan i pani Mogaro są świeżo upieczonymi rodzicami. – Bierze z biurka jakąś inną kartkę i pokazuje ją do kamery. Francie nieruchomieje. To zdjęcie Bodhiego Mogaro, które widziała w mieszkaniu Colette; uśmiecha się na nim szeroko, z dzieckiem w ramionach i okularami przeciwsłonecznymi na głowie. – Oto nasz domniemany porywacz ze swoim sześciotygodniowym synem. Czy raz wieczorem zdarzyło mu się

wypić i zapalić? Tak, ale litości... Dopiero co został tatą. Dajcie człowiekowi żyć”.

„A jego samolot?”

„Spóźnił się na lot. Zaspał. Bardzo tego żałuje. Ponieważ nie było go stać na drugi bilet do domu, wynajął samochód”.

Prowadzący z powątpiewaniem mruży oczy.

„Zgarnięto go trzy dni po tym, jak spóźnił się na lot. Podróż z Brooklynu do Detroit nie zajmuje chyba trzech dni. Nawet osiemdziesięcioletnia babcia mojej żony dotarłaby tam w ciągu jednego dnia”.

„Po drodze zajechał do wujka w New Jersey. Potem zgubił drogę. Nie wiedział, że wjeżdża na teren wojskowy. Mówię ci, Chris, ten facet jest niewinny. To straszne, jak go potraktowano. Niech policja lepiej pokaże jakieś wiarygodne dowody i postawi mu zarzuty albo go wypuści.

„No dobrze, muszę przyznać, że twoja argumentacja zasługuje na uwagę. Będę śledził tę sprawę z prawdziwym zainteresowaniem. Dziękuję, Oliverze. Teraz przez połączenie satelitarne z Santa Monica porozmawiamy z moim kolejnym gościem, pisarką Antonią Framingham”.

Francie przesuwa się na skraj fotela. Uwielbia tę autorkę. Kobieta zarobiła majątek na serii książek kryminalnych dla starszych nastolatków – Francie przeczytała wszystkie od deski do deski. Framingham ogłosiła wczoraj, że przekazuje nowojorskiej policji 150 tysięcy dolarów na dofinansowanie śledztwa. Jej córkę także porwano piętnaście lat wcześniej. Policja nie miała ani jednego wiarygodnego tropu.

„Antonia, dlaczego postanowiłaś przekazać tę darowiznę?”
– pyta prowadzący.

„Bo wiem, że nie ma większego bólu niż ból matki, której odebrano dziecko. – Francie spogląda na Willa pijącego z butelki, na jego błyszczące oczy wpatrzone w nią. – Każda matka, która straciła dziecko, wie...”

Francie wycisza dźwięk i odkłada pilota na stolik. Za oknem autobus hamuje z piskiem i do pokoju wpadają wyziewy silnika, osadzając jej się na ustach. Nie chce myśleć o bólu Antonii Framingham. Ani o bólu Winnie. A zwłaszcza nie chce już myśleć o tym, o czym myśli od trzech dni – o swoich utraconych dzieciach. Trójce.

Pierwsza była córeczka. Widuje ją w chwilach samotności, jej obraz jest wtedy bardzo wyraźny. Biała wykafelkowana sala, przykra woń środka bakteriobójczego, przerażone twarze nastolatek siedzących na twardych plastikowych krzesłach poczekalni. One przynajmniej nie były same – przyszły z równie wystraszonymi chłopcami lub koleżankami, które teraz siedziały obok nich, żując nerwowo jedną przedzieloną na pół gumę. Jedna dziewczynka była nawet z matką; matka miała w uszach duże koła i ścisnęła ją za rękę, mówiąc pielęgniarce, że nie interesują jej przepisy, że zamierza towarzyszyć córce w gabinecie zabiegowym. Mama Francie czekała w samochodzie; krążyła wokół parkingu w pobliżu kliniki, bojąc się, że zobaczy ją ktoś z kościoła.

– Rozumiesz, jakim ryzykiem jest dla twojego organizmu ten zabieg? – w chłodnym sterylnym gabinecie pielęgniarka spytała Francie, podając jej niebieską bibułową tunikę.

– Tak.

– Masz zgodę ojca?

– Nie wiem, gdzie jest mój ojciec – odparła Francie. – Odszedł, gdy byłam małą.

– Nie twojego ojca. Ojca dziecka.

– Ach... – Spanikowała. – A jest potrzebna?

Pielęgniarka podniosła wzrok.

– Nie jest to formalny wymóg. Ale wypadaloby.

Francie nie odrywała wzroku od podłogi.

– Poproszę imię i nazwisko ojca.

– Jego imię i nazwisko?

Pielęgniarka czekała z długopisem zawieszonym nad kartką.

– Tak, jego imię i nazwisko – westchnęła z irytacją. – Zakładam, że je znasz?

Oczywiście, że je znała. James Christopher Colburn. Dwadzieścia jeden lat. Absolwent St. James University, wolontariusz w Catholic Volunteers, nauczyciel przyrody w liceum Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Została po lekcji i powiedziała mu o porannych mdłościach i dwóch kreskach na teście ciążowym. Zebrał swoje rzeczy, wymamrotał, że musi iść i że zadzwoni wieczorem. Nazajutrz na lekcji zastąpił go wuefista. Więcej go nie zobaczyła.

– Nie. Nie znam jego nazwiska.

Pielęgniarka pokręciła głową – jej sztywne loki zakołysały się, ocierając o ramiona – mruknęła coś pod nosem i zapisała na kartce.

– Proszę tu podpisać. To zgoda na zabieg.

Francie strzeliła z gumy balonowej.

– Musimy się upewnić, że nie będziesz tego żałowała.

Francie drżała dłoń, gdy się podpisywała. Chciała powiedzieć tej kobiecie, że nie zgadza się na zabieg. Chciała zatrzymać dziecko. Da radę, myślała. Dziecko przysłoby na świat dopiero latem. Zdążyłaby skończyć szkołę, potem znalazłaby jakąś pracę.

Ale matka jej zabroniła. „Nie, Mary Frances. Nie chcę o tym słyszeć. Jeszcze tego mi brakowało – powiedziała Marilyn, brutalnie miętosząc kulkę ciasta. – Dość mam trudów z dwiema córkami, które muszę wychowywać samotnie. Jeszcze jedno dziecko do wykarmienia jest mi potrzebne jak dziura w płocie”.

„Wszystko w porządku?” – spytała Marilyn, gdy godzinę po zabiegu Francie ostrożnie wsiadła do jej samochodu.

„Tak. Poszło szybko”. Nigdy więcej o tym nie rozmawiały.

Dwoje kolejnych dzieci, które straciła – poronienia – pozostawiło równie wielką ranę w jej sercu. Pierwsze, zaledwie cztery miesiące po ich ślubie, było tak maleńkie, że w zasadzie nie zdążyło się urzeczywistnić. Tak przynajmniej powiedział jej położnik z Knoxville. „To bardzo wczesna ciąża. Tylko zlepek komórek. Proszę się nie przejmować. Niech państwo starają się dalej”.

Co było w nim nierzeczywistego?, chciała spytać, gdy Lowell trzymał ją za rękę w gabinecie zabiegowym, a sinoniebieski żel do USG zasychał jej na podbrzuszu. Imiona, które wybierała? Życie, które sobie wyobrażała?

Drugie straciła dwa lata później, po siedemnastu miesiącach uciążliwych prób zajścia w ciążę i pierwszym cyklu in vitro – zaburzenia w rozwoju zarodka. „Nie potrafimy tego wyjaśnić

– powiedział lekarz. – Rzadko się zdarza, by kobieta w wieku dwudziestu kilku lat miała problemy z poczęciem. Ale niech państwo spróbują jeszcze raz. Nie traćmy nadziei”.

Francie potrafiła to wyjaśnić. Właśnie przed tym przestrzegala ją tamta pielęgniarka – że będzie żałować swojej decyzji. Że będą konsekwencje. W dniach poprzedzających wizytę, przekonana, że nosi w sobie dziewczynkę, leżała w łóżku, wyobrażając sobie, jak by wyglądała jej córeczka; żałowała, że nie jest wystarczająco silna, by przeciwstawić się matce, by dla swojego dziecka zrobić wszystko, co się da. Wychowywać je tak, jak by chciała. Ale nie zrobiła nic. Była bezsilna.

Ociera łzy z kącików oczu, a potem znowu spogląda w telewizor. Na ekranie pojawia się zdjęcie Midasa. Leży na pleckach, z piąstkami przy policzkach, patrząc prosto w obiektyw. Francie sięga po pilota i pogłasnia. Antonia Framingham przykłada do nosa chusteczkę.

„Nie mogę się powstrzymać, by nie wyobrażać sobie Midasa, tak wyobrażałam sobie moją córkę po jej zaginięciu. – Pociąga nosem. – Jakbym go widziała. Jest sam, bez mamy, boli go malutkie serduszko, zastanawia się, gdzie jego mamusia. Nie wie, czy po niego przyjdzie”.

Francie wyłącza telewizor i rzuca pilota na kanapę. Na dzisiaj ma już dość wrażeń. Idzie do kuchni, po cichu odkłada butelkę do zlewu. Po mleku modyfikowanym Will jest spokojny i senny. Francie delikatnie zapina go w wózek, znosi przez cztery kondygnacje schodów do foyer, a potem wychodzi z nim na skwar i pcha wózek pod górę w stronę parku, pokonując sześć przecznic.

Zatrzymuje się w sklepie po dietetyczną colę – pierwsza dawka kofeiny od ponad tygodnia. Gdy siada na ławce, swojej ławce, przed domem Winnie, koszulka klei się jej już do pleców. Stawia wózek w cieniu i sięga do torby po aparat. Zdmuchuje kurz z obiektywu, staje na ławce, by zajrzeć za kamienny mur do parku. Omiata wzrokiem łączkę i zatrzymuje się na wierzbie, gdzie za pół godziny mają się spotkać Majowe Mamy.

Nie może się doczekać, aż je wszystkie znowu zobaczy. Minął ponad tydzień, od kiedy ostatni raz siedziały pod tym drzewem, i zdążyła zatęsknić. Niecierpliwe wyczekiwanie spotkań. Jej miejsce w kręgu pośród innych matek z dziećmi, udzielających sobie porad. Schodzi z ławki i kieruje obiektyw na drugą stronę ulicy – przed domem Winnie siedzi kilku dziennikarzy i stoi furgonetka kanału informacyjnego. Najeżdża na jedno z okien; w środku dostrzega rząd czarno-białych portretów rodzinnych wiszących nad sofą i kilka dużych palm doniczkowych stojących w rogu. Przybliży obraz, aż udaje jej odczytać tytuły książek na półce.

Nagle rozlega się szczekanie psa i Francie kieruje obiektyw na chodnik, po którym idzie mężczyzna w grubych okularach. Jest po czterdziestce. Widziała go tu wcześniej, łąził tam i z powrotem przed domem Winnie, z małym brązowym pieskiem na smyczy. Zawsze zerkał w okna, jakby kogoś w środku wypatrywał.

Czy to Theodore Odgard? – Francie zapytuje się w myślach. Skazany przestępca seksualny, mieszkający gdzieś w okolicy. Wczoraj wieczorem znalazła jego nazwisko w rejestrze przestępców seksualnych, który przeglądała na telefonie, karmiąc

Willa. Może to ten sam mężczyzna, o którym czytała na blogu kryminalnym – ten, którego rzekomo widziano w nocy czwartego lipca na ławce przed domem Winnie.

Francie patrzy, jak prowadzi na smyczy małego psa. Akurat w chwili, gdy przechodzi przed domem Winnie, otwierają się drzwi wejściowe. Serce zaczyna bić jej szybciej – Winnie jest w domu!

Najeżdża na drzwi, ale ku swemu rozczarowaniu stwierdza, że to nie Winnie, tylko jakiś mężczyzna. Zamyka za sobą drzwi i ostrożnie schodzi po stopniach. Jest starszy, może po sześćdziesiątce, ubrany w żółtą koszulkę polo z imieniem Hector wyhaftowanym na przedniej kieszonce. Pies rzuca się w jego stronę, szczekając piskliwie. Hector wyciąga rękę, by go pogłaskać, skinieniem głowy wita mężczyznę trzymającego smycz i trzech dziennikarzy siedzących obok na krawężniku. Potem maszeruje wte i wewte przed drzwiami wejściowymi do kamienicy, z dłońmi splecionymi za plecami, przystaje, by dotknąć kwitnącego krzewu przy alejce, urywa kilka przywiedłych płatków. Francie cały czas go obserwuje w bezruchu. Niewiele pisano o ojcu Winnie i Francie zastanawia się, czy to nie on. Nie, stwierdza, sądząc po sposobie, w jaki chodzi, jest ochroniarzem. Może emerytowanym policjantem, którego Winnie zatrudniła do pilnowania domu, by nie wpuszczał dziennikarzy i przepędzał ludzi dobrej woli przychodzących, by zostawić bukiet róż, który po kilku chwilach uschnie na słońcu, albo jeszcze jedną Zosię Żyrafę w rzędzie Zoś oblegających chodnik od jednej przecznicy do drugiej.

Dzwoniła do Winnie. Trzy razy. Winnie nie odebrała, ale Francie za każdym razem zostawiła wiadomość: że o niej myśli, że

może jej zrobić zakupy, że chętnie przygotowuje dla niej coś do jedzenia. Chciałaby też jej powiedzieć, jak bardzo podoba jej się Niebieski ptak. Znalazła na eBayu zestaw DVD z trzema sezonami za jedyne sześćdziesiąt dolarów (ma nadzieję, że Lowell nie zauważy tej płatności na wyciągu z konta). Pokochała ten program. Winnie jest taka zabawna, taka naturalna, tak cudownie tańczy.

Francie jest wciąż zła na Lowella za to, jak zareagował, gdy rano powiedziała mu o telefonach do Winnie.

– To nie było mądre, Francie.

– Dlaczego nie?

– Winnie pewnie potrzebuje teraz prywatności. Plus to, że...

– Plus co?

– No cóż, nigdy nie wiadomo.

– Co to ma niby znaczyć? – spytała. – Czego nigdy nie wiadomo?

Westchnął, nie chcąc już nic dodawać, ale Francie naciskała.

– Gdzie była, gdy zniknął Midas? Jak to możliwe, że nie ma śladów włamania? Mówię tylko, że to nie najlepszy pomysł, żeby wchodzić z nią w komitywę. A już na pewno nie chcę, żeby Will przebywał w jej towarzystwie.

Francie wpadła we wściekłość.

– Co to za wstrętne insynuacje!

Francie patrzy, jak Hector znika za rogiem kamienicy Winnie. Chce zapomnieć o tej rozmowie. Czuje w torbie wibracje telefonu i zawiesza aparat na szyi. Wiadomość od Lowella. Pewnie chce przeprosić.

Złe wieści. Nie dostałem tej fuchy przy remoncie. Wzięli innych

fachowców.

Francie, pomarkotniała, wsuwa telefon z powrotem do torby. Ta praca była ich jedyną nadzieją na zastrzyk gotówki. Zalegają z czynszem za trzy miesiące. Will wierci się w wózku, więc Francie chowa aparat do futerału i pcha wózek w stronę parku, licząc, że Will znowu zaśnie. Do głowy zakradają jej się czarne myśli.

Stara się je odgonić.

Kocha Lowella. Jest dobrym mężem, dobrym człowiekiem.

A jednak. Dlaczego nie wybrała mężczyzny podobnego do mężów jej koleżanek z klubu Majowych Mam? Kogoś takiego jak Charlie, którego stać na eleganckie mieszkanie przy parku, który nieustannie wrzuca na Facebooka zdjęcia Colette i Poppy okraszone słodkimi wyznaniem, jakim to dla niego są szczęściem. Albo jak mąż Scarlett, profesor, który kupuje dom na przedmieściach i ma dość pieniędzy, żeby żona nie musiała pracować. Scarlett wspominała nawet kiedyś, że stara się codziennie wracać do domu przed szóstą, by usiąść z nią do obiadu, wykąpać dziecko i pomóc w jego usypianiu. Mężczyzny w niczym nieprzypominającego Lowella, który nieustannie pracuje; który nigdy, ani razu, nie wykąpał swojego dziecka; który do niewielu rzeczy się nadaje i wciąż jej powtarza, coraz częściej, że powinna znaleźć jakiś sposób na zarabianie pieniędzy. To on wyszedł z pomysłem, żeby Francie zorganizowała to spotkanie i zaproponowała, że obfotografuje „majowe” niemowlaki, żeby stworzyła sobie portfolio i założyła firmę specjalizującą się w portretach dziecięcych – jej przelotne hobby, o którym mu kiedyś wspomniała.

Gdy kwadrans później dociera do wierzby, uginając się pod

ciężarem torby z akcesoriami dziecięcymi i aparatem, z lokami zmierzwionymi i wilgotnymi, Colette już jest na miejscu i rozkłada swój koc. Ma na sobie krótką jasnoniebieską sukienkę, po plecach spływa jej francuski warkocz. Francie nie ma pojęcia, jak Colette to robi, że zawsze wygląda na wypoczętą i doskonale zorganizowaną, bo ona sama nawet nie wie, czy rano umyła zęby.

– Miałaś jakieś wieści od Nell? – pyta, ustawivszy wózek Willa w cieniu.

– Jeszcze nie. – Colette otwiera papierową torebkę z minimuffinkami i częstuje Francie. – Ma do mnie zadzwonić w przerwie na lunch. Mam nadzieję, że jakoś znosi ten pierwszy dzień w pracy.

Podchodzi Rodzyn. Zdejmuje okulary, ukazując podkrążone oczy.

– Wszystko w porządku? – pyta Colette.

– Tak – odpowiada, odwracając wzrok. – Poza tym, że wykańcza mnie ten upał i moja alergia.

Schodzą się też inne matki, ale Francie nikogo nie rozpoznaje. Kobiety, których nigdy wcześniej nie widziała, którym dotąd – gdy w programie nie było darmowych zdjęć maluchów – nie chciało się pofatygować na spotkanie, niepewnie podchodzą do drzewa, pytając, czy to tutaj spotykają się Majowe Mamy. Tych jednak, na których obecność Francie liczyła – Yuko, Scarlett czy Gemmy – nie ma. Stara się ukryć swoje rozczarowanie, rozstawiając przyniesione akcesoria fotograficzne i zapraszając chętnych. Nigdy wcześniej nie fotografowała dzieci, więc rzuca się do pracy, chcąc zapomnieć o kłopotach finansowych, o Lowellu, o Midasie i słowach Antonii

Framingham: że jest sam, przerażony, stęskniony za matką.

– Słuchajcie, wiem, że to ponury temat, ale może porozmawiamy o Midasie? – rozlega się głos gdzieś znad koców za plecami Francie.

– Byliśmy dziś rano u pediatry – mówi ktoś inny. – Czekaliśmy półtorej godziny na wizytę i padł mi telefon. Są jakieś nowe informacje?

Francie stara się je ignorować i skupić się na świetle, na cieniach, na skłonieniu upartego i marudnego dziecka przed obiektywem do współpracy.

– Rano pokazywali wywiad z tym doktorem od metodystów, tym, którego wzięli za Bodhiego Mogaro. Skończył z wyróżnieniem medycynę na Harvardzie. Wcale nie zachowywał się „w sposób podejrzany”, był zdenerwowany, bo dawał przez telefon polecenia sanitariuszowi. Ta młoda matka w stanie krytycznym? Zmarła wczoraj w nocy.

– Jakie to smutne.

– Ta sprawa z Bodhim Mogaro też jest niepokojąca – wtrąca się inna mama. – Jego żona udzieliła wywiadu. Chcieliby, żeby to wyglądało, jakby dopiero co przyjechali z Jemenu, ale mają amerykańskie obywatelstwo. Ona jest z Connecticut.

– Moja mama nie wierzy w ani jedno słowo jego żony. – Osoba, która to mówi, się śmieje. – Ale ponieważ mama czerpie wiedzę tylko z Godziny Faith, więc nie wiem, czy jej opinie są wiarygodne.

– Nadal nie mogę w to wszystko uwierzyć. – Słysząc westchnienie. – Że coś takiego spotkało jedną z nas.

Kruche sosnowe igły kłują Francie w kolana, gdy klęczy na ziemi, wstrzymując oddech, by nie wdychać smrodu z pobliskiego śmietnika kipiącego kubkami po kawie i plastikowymi opakowaniami po daniach na wynos, okupowanego przez rój wirujących much. Pochyliła się nad dzieckiem, modląc się, by leżało nieruchomo, tak jak na pewno leżą dzieci pozujące dla tej kobiety, jak jej tam, która układa je w wielkich kielichach kwiatów, z główkami nakrytymi liściem sałaty.

– Mogłaby go pani trochę przesunąć? Jest w cieniu.

– Nie mogę przestać o tym myśleć: że nagle odbieram telefon i słyszę, że moje dziecko zniknęło. Wczoraj wieczorem mieliśmy pójść z mężem na naszą pierwszą randkę, ale nie potrafiłam. Nie potrafiłam jej zostawić z nianią. Czytałam gdzieś, że tamta opiekunka, Alma, należy do szajki handlującej dziećmi.

Francie czytała wczoraj to samo i natychmiast napisała do Nell. Alma? Członkiem szajki handlarzy dziećmi? Czy to prawda?

Nell odpowiedziała jednym słowem: Tak.

Francie od razu do niej zadzwoniła.

– Nell, to straszne. Skąd...

– No jak to skąd... Podała to w CV – odparowuje Nell.

– „Niania z trzyletnim stażem. Mama uroczej dwójki. Członkini gangu handlarzy dziećmi”. – Nell cmoknęła. – Musiałam ją zatrudnić. Miałam jakieś wyjście? Musiałam wrócić do pracy, a wiesz, jak trudno dziś na Brooklynie o nianię, prawda?

Francie nadal nie pojmuje, jak Nell może widzieć w tym cokolwiek zabawnego.

– Nie ma w tym nic śmiesznego, Nell.

– Wiem, Francie. Ale to, jak wciągają Almę w całą tę aferę, budząc strach w każdej kobiecie, która zatrudnia opiekunkę, doprowadza mnie do szału. Alma nie skrzywdziłaby muchy. Muszę z tego żartować, bo inaczej pójde i kogoś ukatrupię.

– Dobra robota, chłopczyku – mówi Francie do malucha na kocyku. – O to chodzi. Wytrzymaj tak jeszcze minutkę.

– Oglądałaś wczoraj Us Weekly? – Francie jest do nich odwrócona tyłem i nie wie, kto to mówi. Głosy zlewają się w jedno.

– Według jednego z artykułów Patricia Faith zaproponowała Winnie dwa miliony dolarów za wywiad w studiu.

Francie słyszy sygnał przychodzącej wiadomości i przerywa, by spojrzeć na telefon leżący na ziemi obok torby. To znowu Lowell.

Powiedz wszystkim o tym pomysle na firmę. Postaraj się od razu kogoś umówić.

– Ja słyszałam, że chcą jej zapłacić za nagranie treningu fitness dla świeżo upieczonych mam. Obrzydliwe.

Telefon znowu buczy, ale tym razem Francie go ignoruje – nie może się teraz zajmować Lowellem.

Zwraca się w stronę grupy, z głową obolałą od słońca i upału.

– Kto następny? – pyta, zauważając, że Colette ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w telefon.

Colette napotyka wzrok Francie i posepnieje.

– Spójrz na swój telefon – szepcze.

Francie w pośpiechu rzuca aparat na koc. Wiadomość jest od Nell.

Włączcie program Patricii Faith. Szybko.

Nell ma uniesione nad głowę ręce i zadartą koszulę, eksponującą pomarszczoną skórę brzucha wylewającego się z niej elastycznej gumy ciążowych dżinsów. W jednej ręce trzyma drinka, drugą ściska Winnie za nadgarstek. Nell pamięta, kiedy zrobiono to zdjęcie. Na początku tamtego wieczoru. Narzekały na brak urlopów macierzyńskich. Nell wstała, wtórując Billy'owi Idolowi w Rebel Yell i ciągnąc za sobą Winnie. Tańczyły. Ludzie śpiewali. Wszyscy się śmieli.

Kto mógł to zrobić? Kto spośród nich mógł przekazać to zdjęcie Patricii Faith, której emanująca próżnością twarz zastąpiła teraz Nell na ekranie? Ma na sobie gładką sukienkę bez rękawów i najwyraźniej zdążyła sobie odświeżyć pasemka na włosach. Patrzy w kamerę tak świdrującym wzrokiem, że Nell ma wrażenie, że Patricia ją widzi: siedzącą samotnie przy stoliku w korporacyjnej kafeterii, ze spoconymi dłońmi, z żółcią podchodzącą do gardła.

„A więc podsumujmy – mówi Faith, opierając brodę na splecionych palcach – dziś rano przysłano nam to niepokojące zdjęcie zrobione Gwendolyn Ross tej nocy, być może w tej samej chwili, gdy jej dziecko, zaledwie siedmiotygodniowe, zostało zabrane z łóżeczka”.

Kamera najeżdża na twarz Winnie. Winnie patrzy prosto w kamerę, ma oszołomioną minę, półprzymknięte powieki, patrzy bezmyślnym wzrokiem.

„Powiedzmy to sobie szczerze. Jest pijana – podejmuje Patricia Faith. – I z bólem serca muszę postawić jedno pytanie: co oznacza zdjęcie takie jak to? Czy zmienia nasze postrzeganie całej tej historii? Wiem, że skupialiśmy się na innych zagadnieniach.

Niekompetencja burmistrza i wołające o pomstę do nieba działania policji. Bodhi. Opiekunka. Ale, no cóż, sama nie wiem. Świeżo upieczona matka, zaledwie kilka tygodni po porodzie, zostawia dziecko same w domu, by zachowywać się w ten sposób? Czy tak chcemy definiować nowoczesne macierzyństwo?”

Kamera najeżdża na jednego z gości programu – starszego mężczyznę z wytrzeszczonymi czarnymi oczami i siwiejącą bródką.

„Mamy to szczęście, że jest z nami w studiu Malcolm Jeders, zwierzchnik Calgary Church i członek zarządu Family America. Oraz Elliott Falk z »New York Post«. Dziękuję wam, panowie, za przybycie. Malcolmie, chciałabym zacząć od ciebie. Co myślisz o tym wszystkim?”

„Zaginęło dziecko. To tragedia. Ale skoro mnie pytasz, to myślę, że przyszło nam zbierać owoce koncepcji, że kobietom nie wolno się w żaden sposób ograniczać. Co to znaczy tak naprawdę? Że kilka tygodni po urodzeniu dziecka mają wychodzić do baru, upijać się i zachowywać jak studentki oblewające zdany egzamin?”

„...w barze Wesoły Lama – dodaje Patricia – a raczej Wesoła Mama. – Posyła ironiczny uśmiezek do kamery, zaczepnie unosząc brew nad jaskrawopomarańczową oprawkę okularów. – Zgadzam się. Nikt nie zamierza twierdzić, że kobiety mają zamienić się w roboty do smażenia kotletów mielonych. Ale gdybym to ja miała dziecko, tym bardziej maleńkie, czy zostawiłabym je, by przesiadywać w barze? Nie. Gdy moja matka urodziła swoje pierwsze dziecko, stało się dla niej priorytetem i było tak do czasu, aż najmłodsze poszło do przedszkola. Nigdy nie...”

Cztery hałaśliwe młode kobiety z papierowymi miseczkami wypełnionymi sałatą siadają przy stoliku obok Nell, zagłuszając dźwięk telewizora. Nell bierze swoją tacę i idzie do boksu w rogu sali, pod większym telewizorem, na którego ekranie u dołu wyświetlają się napisy kodowane. Patricia Faith zwraca się do drugiego z gości.

„Elliocie Falk, miło cię znowu widzieć. Te kobiety, które widnieją na zdjęciu obok Winnie Ross, dla wygody nazwijmy je Wesołymi Mamami, co o nich wiemy i jaką rolę odegrały tamtej nocy?”

„No więc na razie, Patricio, nie ujawniono ich tożsamości. Wiemy jednak, że Winnie spędzała wieczór z koleżankami z klubu mam. Takie kluby to dość nowe zjawisko. Pozwól, że o nim opowiem. Historycznie rzecz biorąc, kobiety zawsze były zależne od kręgu kobiet wspierających je po porodzie. Oczywiście nie zapisywały się z tego powodu do żadnych klubów. Działo się to naturalnie. Były to ich matki, ciotki, siostry. W krajach rozwijających się nadal jest to praktykowane. Dziś jednak...”

– Nell? – Jakaś kobieta staje przy stoliku, z tacą w rękach, włosami gładko związanymi w kucyk. Plakietkę z imieniem ma odwróconą, więc Nell nie może przeczytać jej imienia. Ma w głowie gonitwę myśli. Były na tej samej konferencji, wypily kiedyś razem butelkę wina przy okazji jakiejś kolacji w Los Angeles. – Nie widziałam cię od czasu twojego urlopu macierzyńskiego. Kiedy wróciłaś?

– Dzisiaj.

– Rany. A ile ma twoje maleństwo?

– Dwa miesiące. – Nell podnosi wzrok na ekran.

Kobieta się krzywi.

– Jak leci?

– Świetnie.

– Naprawdę? To takie świetne zostawić dziecko i iść do pracy?

Jakoś trudno mi w to uwierzyć. – Kobieta siada naprzeciw Nell.

– Moje ma osiem miesięcy, a wciąż dręczy mnie poczucie winy.

Nell kiwa głową i z trudem przełyka ślinę. Nie zamierza płakać, nie w korporacyjnej kawiarni, nie na oczach tej kobiety. (Zamierza ograniczyć się do trzech kwadransów trzy razy dziennie, na które zamknie się w toalecie dla niepełnosprawnych, by wpatrując się w zdjęcie Beatrice, odciągnąć mleko).

Kobieta jednak zauważa.

– Och, Nell. Tak mi przykro. Jakoś się to ułoży. – Potrząsa butelką gęstego koktajlu proteinowego. – Mają nam zrobić pokój do karmienia...

I nagle Nell to widzi. Na innym ekranie, w rzędzie odbiorników na drugim końcu sali. Twarz byłego sekretarza stanu Lachlana Raine'a. Z posępną miną odpowiada na pytania dziennikarzy przed swoim domem letniskowym w Vermont. Nell doskonale zna to spojrzenie – powolny ruch głową, wystudiowane współczucie.

– Muszę iść. – Nell bierze tacę z nietkniętym lunchem. – Za kilka minut mam spotkanie.

– Jasne. Wiesz, w firmie jest grupka mam, które się spotykają...

Nell kręci się w głowie, gdy odkłada tacę na metalowy wózek obok pojemników na śmiecie. Przed windą zebrała się gromadka z kubkami mrożonej kawy w rękach i plastikowymi daniami na

wynos. Nell mija ich, kierując się do schodów. Wchodzi na szóste piętro, pokonując po dwa stopnie naraz. Gdy zamyka za sobą drzwi biura, dzwoni jej komórka. Czuje ulgę, spoglądając na numer. To tylko Francie.

– Jesteśmy u Colette – mówi Francie. – Pobieglyśmy do niej. Zaczekaj. Przełączę cię na głośnik.

Nell opada na fotel przy biurku, z trudem łapiąc powietrze.

– Widziałaś moje zdjęcie?

– Tak.

Nell zamyka oczy i przywołuje je w pamięci. Plamy potu pod pachami. Guma uciskowa na talii. Fałda tłuszczu na brzuchu.

– Kto jej to przesłał?

– Jakiś oportunistyczny gnojek, ot kto – mówi Colette. – Nie sądzę, żeby to był ktoś z nas. Można to stwierdzić po kącie, pod jakim zrobiono zdjęcie. Ktokolwiek je zrobił, był na drugim końcu patio. Nell, naprawdę, nikt nie będzie wiedział, że to ty. Jest nieostre. Nie widać rysów twarzy.

– No to dlaczego wypytują Lachlana Raine’a? – pyta Nell.

– Jak to?

– Widziałam go na CNN-ie czy gdzieś. Odpowiadał na pytania.

– Podobno jest brany pod uwagę jako kandydat do Pokojowej Nagrody Nobla. Myślałaś, że komentował twoje zdjęcie? – Colette parska śmiechem. – Zdaję sobie sprawę, że niektórzy będą traktować zdjęcie matki pijącej alkohol jako sprawę wagi państwowej, ale wplątywanie w to byłego sekretarza stanu to już drobna przesada, nawet jak na Patricię Faith i jej znajomych z kanałów informacyjnych.

Nell opiera czoło na dłoni, czując ulgę. Słyszy ciche pukanie w szybę. Na korytarzu stoi Ian i pokazuje na swój zegarek. Nell podnosi palec, dając znak, że zaraz wyjdzie.

Francie brzmi, jakby miała się rozpląkać.

– Jest coraz gorzej. Co sobie ludzie pomyślą?

– A kogo obchodzi, co pomyślą – odpowiada Colette. – Nie zrobiłyśmy nic złego.

Dzwoni telefon na biurku Nell.

– Cholera. Zaczekaj. Dzwoni Sebastian. Mała obudziła się z gorączką i został z nią w domu.

Pewnie widział zdjęcie w programie Patricii Faith. Będzie się zamartwiał.

– Uff, dzięki Bogu, że odebrałaś. – Sebastian ma zdenerwowany głos. – Wiem, że masz spotkanie i bałem się, że nie uda mi się z tobą porozmawiać.

– Wiem. Muszę iść. Widziałaś je?

– Co widziałem?

– Zdjęcie. U Patricii Faith.

– Nie, ale...

– Nie dlatego dzwonicz?

– Nie, kochanie, posłuchaj. – Ścisza głos, jakby ktoś był obok. – Jest tu policja. Chcą z tobą rozmawiać. Chyba musisz wrócić do domu.

Mark Hoyt stoi w salonie Nell i lustruje wzrokiem biblioteczkę. Od czasu swojej ostatniej wizyty cztery dni wcześniej zdążył odwiedzić fryzjera.

– Pani Mackey – mówi, gdy Nell zamyka za sobą drzwi i rzuca torebkę na podłogę obok kanapy.

Nell nie potrafi odczytać wyrazu jego twarzy. W taksówce, po tym, jak powiedziała Ianowi, że musi wracać do domu, bo Beatrice dostała wysokiej gorączki, powtarzała sobie, że wszystko jest w porządku, że przecież nie zrobiła nic złego. A przynajmniej nic niezgodnego z prawem. A jednak nie może zaprzeczyć, że czuje narastający lęk. Czy Mark Hoyt wie coś na temat tamtej nocy? Czy odkrył, co się działo w momentach, których Nell nie może sobie przypomnieć?

Rozprasza ją odgłos kroków w korytarzu. Do pokoju wchodzi Sebastian.

– O, dobrze, że jesteś – mówi, stawiając na stole kubek kawy.
– Wszystko w porządku? – pyta szeptem, ale Nell wyczuwa w jego głosie niepokój.

– Tak. Jak Beatrice?

– Dobrze. Gorączka spadła. Śpi.

– Proszę sobie usiąść, pani Mackey – mówi Hoyt.

Nell sięga po kawę, którą przyniósł Sebastian, choć wie, że prawdopodobnie była dla Hoyta, i siada na kanapie.

– Czemu zawdzięczamy tę wizytę, panie detektywie?

Hoyt powolnym krokiem podchodzi do dużego fotela pod oknem i przysiada na jednym z podłokietników. Nell już ma powiedzieć, żeby usiadł normalnie i nie niszczył ramy, ale się powstrzymuje. Ten fotel to prezent ślubny od matki i Nell wie, ile ta musiała przepracować nadgodzin w szpitalu, by go kupić.

– Tylko kilka pytań – mówi Hoyt, podwijając rękawki szarego

bawełnianego T-shirta. – Kilka niewyjaśnionych wątków, z którymi być może z pani pomocą się uporamy.

– W porządku.

– Przede wszystkim jak się pani miewa?

– Dobrze.

Hoyt wstaje i podchodzi do biblioteczki.

– Tak? Ma się pani dobrze? – Bierze z półki ich ślubne zdjęcie, kciukiem wycierając ze szkła kurz. – To pani ojciec?

– Ojczym.

Hoyt kiwa głową.

– Ładna sukienka.

Nell wskazuje dolną półkę, na której obok albumów Sebastiana stoi duży album ze zdjęciami.

– Ma tam pan cały album. Na okładce napisane jest „Ślub”. Czy po to nas pan odwiedził? Żeby obejrzyć zdjęcia z naszego ślubu?

Hoyt parska śmiechem.

– No niezupełnie.

– A szkoda. To była piękna uroczystość. Tylko szesnaście osób. Teściowa przygotowała haitański poczęstunek.

Hoyt odstawia zdjęcie na półkę. Jego milczenie jest uciążliwe.

– No więc, panie detektywie, dziś pierwszy raz wróciłam do pracy po urlopie macierzyńskim. Nie najlepszy moment, by zakomunikować szefowi, że muszę wyjść wcześniej. Poza tym moje dziecko po spędzeniu czterech godzin w żłobku po raz pierwszy się rozchorowało. Jestem wobec tego trochę zmęczona. Moglibyśmy przejść do rzeczy?

– Przykro mi to słyszeć. – Hoyt kręci głową, a w jego głosie

słysząc nutę współczucia „dobrego gliny”. – Pomyślałem, że lepiej będzie, gdy zadam moje pytania tutaj niż, no wie pani, na posterunku.

– Jakie pytania?

– Nadal staramy się wyjaśnić niejasności dotyczące tamtej nocy.

– Sebastian wchodzi do pokoju z kolejną filiżanką kawy, ale Hoyt macha odmownie ręką. – Nie, dziękuję. Mam nadmiar kofeiny we krwi. – Zwraca się do Nell: – Proszę mi wybaczyć, jeśli już o tym mówiliśmy. Pamięć mnie czasem zawodzi. Ale, o ile rozumiem, to pani zorganizowała wyjście do Wesołego Lamy. Czy tak?

– Niezupełnie. Wszystkie...

– To pani nalegała, by Winnie Ross do was dołączyła.

– Wszyscy chcieliśmy, żeby przyszła.

– Ale to pani rozesłała mejla. Jak to szło... „Przyjdźcie wszyscy, zwłaszcza Ty, Winnie. Nie przyjmujemy odmownych odpowiedzi”. Dobrze mówię?

– Nie pamiętam dokładnie.

– Nie? – Wyjmuje notes z tylnej kieszeni spodni i otwiera go.

– Tak. Tak to właśnie brzmiało. Może z moją pamięcią nie jest tak źle, jak myślałem.

Nell przytakuje skinieniem głowy.

– Nie mogę powiedzieć tego samego o sobie. Ostatnio ledwo pamiętam, by włożyć spodnie. Brak snu.

Hoyt uśmiecha się szeroko, chłopięcym uśmiechem, któremu, jak podejrzewa Nell, jego żona nie może się oprzeć.

– Zobaczmy, co my tu jeszcze mamy. A tak. – Podnosi wzrok.

– Aplikacja telefoniczna pani Ross. Dlaczego ją pani usunęła?

– Dlaczego ją...?

– „A kuku!”, tak się chyba nazywała. Pozwala na obserwowanie monitora na odległość. Czy wykasowała pani tę aplikację z telefonu pani Ross?

Nell czuje na sobie wzrok Sebastiana. Za bardzo się wstydziła, by mu powiedzieć, że zrobiła coś tak idiotycznego.

– Głupia sprawa, naprawdę. Żartowałyśmy sobie.

– Żartowały panie sobie?

– No tak, chciałyśmy zrobić jej psikus. Winnie cały czas wpatrywała się w swój telefon, nie spuszczała oczu z syna. A nam chodziło o to, by odpocząć od dzieci. Więc gdy poszła po drinka, a Colette zobaczyła, że zostawiła telefon na stole... – Nell stara się opanować drżenie w głosie. – Oczywiście teraz mam z tego powodu okropne wyrzuty sumienia. Myślę sobie, jak inaczej mógł się potoczyć ten wieczór, gdybym tak się nie zachowała. – Sebastian bierze ją za rękę, splatając palce z jej palcami. – I bez trudu mogła sobie tę aplikację na nowo zainstalować. Nie zajęłoby to więcej niż minutę.

– Naprawdę? – Hoyt kiwa głową i głucho chichocze. – Muszę przyznać, że zupełnie się nie znam na tych nowych wynalazkach. Moja jedenastoletnia córka mówi, że żyję jak w średniowieczu. Swoją drogą jestem pewien, że sądzi, iż wieki średnie datują się mniej więcej od 1995 roku. Ale laptopa żony potrafi obsłużyć z zamkniętymi oczami.

Nell nie ma ochoty słuchać o jego córce i żonie. Chce, żeby sobie poszedł.

– A dlaczego dwukrotnie tego wieczoru dzwoniła pani na

komórkę Winnie Ross?

– Dlaczego dzwoniłam...

– Według rejestru połączeń w telefonie pani Ross było to między 22.32 a 22.34, czyli mniej więcej wtedy, gdy porwano dziecko. Dzwoniła pani do niej dwa razy. A może – podnosi dłoń, by uściślić – powinienem powiedzieć, że dzwoniło do niej z pani komórki.

Nell czuje, jak jej dłoń się poci w uścisku Sebastiana. Hoyt unosi brwi, czekając na wyjaśnienie, ale ona go nie zna. Nie pamięta, że to zrobiła.

– Dlaczego pani do niej dzwoniła?

– Byłam... Pewnie...

– Ile pani wypła tego wieczoru?

– Już mówiłam. Dwa drinki.

– No tak. A pani Ross? Czy wie pani, ile wypła pani Ross?

– O to też już pan pytał. – Stara się mówić w sposób wyważony.

– A zresztą co za różnica?

– Co za różnica?

– Tak, jakie to ma znaczenie? Nie sądzę, by w ogóle piła tego wieczoru. Zamówiła mrożoną herbatę. Wie pan, niezależnie od tego, co twierdzi się na ten temat na kanałach informacyjnych telewizji kablowej, matki mają prawo wypić drinka, jeśli mają ochotę.

– Alkohol może sprawić, że jej wersja wydarzeń straci nieco na wiarygodności – odpowiada Hoyt z kamienną twarzą. – To samo dotyczy pani.

Beatrice zaczyna kwilić w swoim pokoiku, a umysł Nell mętnieje, gdy stara się odczytać głos córki. Czy wróciła gorączka?

Czy mała jest głodna? Zdaje sobie sprawę, że Hoyt się w nią wpatruje, czekając, aż coś powie.

– Przepraszam, wyłączyłam się – mówi Nell. – O co pan pytał?

– Czy ktoś był obok niej, gdy zamawiała drinka? Ktoś, kto mógłby mieć złe zamiary. Kto mógł jej coś dorzucić do szklanki.

– Nie, nikogo takiego nie zauważyłam.

Beatrice zaczyna płakać coraz głośniejsze i Sebastian wybiega na korytarz. Zamyka za sobą drzwi pokoju dziecięcego, a Nell zwraca się do Hoyta:

– Skoro mamy rundę pytań, detektywie, to ja też chciałabym o coś spytać. Można?

Dostrzega na jego twarzy przelotny grymas.

– Proszę bardzo.

– Kto rozmawiał z prasą na temat Almy?

– Kto roz...

– Tak, o tym, że jest w szajce handlującej dziećmi, że mogła być zamieszana w porwanie. – Nell wie, że powinna się powstrzymać, ale gniew i niecierpliwość biorą górę. – Jeśli nie ma mi pan nic konkretnego do powiedzenia, to jestem w stanie przysiąc na życie mojej córki, że Alma nie miała z tym nic wspólnego. Pan i pańscy ludzie muszą uciąć wszelkie sugestie, że mogło być inaczej. To może zniszczyć tej kobiecie życie. – Nell się uśmiecha. – Być może jest imigrantką, ale to nie znaczy, że nie jest człowiekiem.

– Nic nie sugerowałem...

Sebastian wychodzi na korytarz, wygląda na zaniepokojonego.

– Wróciła gorączka – oznajmia. – Chyba powinnaś ją nakarmić.

Nell wzdycha i przyciska pięści do oczu, chcąc poskromić ból

narastający w tyle głowy.

– Niech pan posłucha, detektywie, świetnie się rozmawiało, ale muszę wracać do dziecka. Chyba mam prawo pana poprosić o zakończenie wizyty?

Hoyt przytakuje skinieniem głowy.

– Oczywiście, że ma pani takie prawo. Chętnie wrócę w bardziej odpowiednim momencie. Wiem, jak to jest z dziećmi. – Wywraca oczami. – Mam trójkę.

Nell wstaje, z ciężkimi nogami, i idzie do drzwi. Demonstracyjnie otwiera je na oścież.

– No to pan doskonale wie, jakie są uciążliwe, gdy chorują.

Hoyt zastyga na moment.

– Oczywiście, proszę pani. Nie jest lekko. Rodzicielstwo to prawdziwa orka. A na pewno, gdy dzieci są jeszcze małe. – Przeszywa ją świdrującym wzrokiem. – Czyż nie?

Nell milczy, gdy Hoyt wstaje z fotela i powoli kieruje się do wyjścia. Zatrzymuje się jeszcze i wyjmuje z tylnej kieszeni spodni wizytówkę

– To mój bezpośredni numer – mówi, wręczając ją Nell.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli przypomni się pani coś, co mogłoby nam pomóc, dobrze?

Nell bierze wizytówkę.

– Dobrze.

Zanim zdąży zamknąć drzwi, policjant blokuje je butem i wsuwa głowę do środka, posyłając ciekawskie spojrzenie.

– To pani prawdziwe imię i nazwisko, tak? Nell Mackey?

ROZDZIAŁ 11

DZIEŃ SZÓSTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 10 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 57 DNI

Jeśli nie udało Ci się jeszcze wdrożyć rytuałów przedsennych, mamy jedno pytanie: na co czekasz? Takie nawyki pomogą maleństwu rozpoznać, że pora na spanie, więc spędzaj jak najwięcej czasu, kołysząc je, śpiewając, kąpiąc, czytając mu, przytulając. Po takiej sesji oboje zapadniecie w słodki sen!

Z rozcięcia biegnącego od nadgarstka do przedramienia leci Francie krew, zbierając się w zgięciu łokcia. Francie przytrzymuje się blatu, gdy Lowell biegnie w jej stronę ze szmatką do naczyń. Wziął najlepszą, tę żółtą ze słonecznikami. Krew zostawi na niej niespialne plamy. I będzie się nadawała do wyrzucenia.

– Jezu – mówi Lowell, przyciskając ścierkę do nadgarstka Francie.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Uciśnij mocniej.

– Ale ten talerz... Był z zastawy twojej babci.

– Nie przejmuj się nim.

Lowell wyciera krew ze zdartego linoleum pod jej stopami, a potem wybiera ze zlewu kawałki porcelany. Posprzątawszy, opiera się o blat.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Nie jest tak źle, jak wygląda. Dziwne. Ten talerz wyslizgnął mi się z rąk.

Lowell ze zrozumieniem kiwa głową.

– Słyszałem, jak się krzątałaś wczoraj w nocy. Co robiłaś?

– Wydawało mi się, że słyszałam Willa, a potem nie mogłam zasnąć. Czytałam trochę...

Lowell kręci głową.

– Nad tą sprawą pracuje cała ekipa, Francie. Profesjoniści. Jeśli Midas gdzieś jest, to go znajdą.

Francie nie podnosi wzroku, uciskając ranę.

– Wiem.

– Jesteś taka niespokojna i rozkojarzona. To nie służy Willowi.

Francie odwraca się w stronę męża.

– Co to znaczy, że nie służy Willowi?

– Musisz teraz myśleć o nim. O jego...

– Mówisz poważnie? Przecież ja o niczym innym nie myślę.

– Francie. Uspokój się.

– Uspokój się? Nie, Lowell, to ty się uspokój. Pracuje nad tym cała ekipa? To zgraja niekompetentnych bufonów. Sam to mówiłeś. I niby co? Mam tak po prostu zapomnieć? – Rzuca szmatkę na blat kuchenny. – A ta sprawa z Bodhim Mogaro? Czytałeś o tym? Ludzie go bronią. Twierdzą, że wytypowano go ze względu na

pochodzenie. ACLU zaczyna się temu przyglądać. Nic na niego nie mają. Nigdy niekarany. Żadnego motywu. Jego żona przekonuje, że spóźnił się na lot, bo zasnął. – Słyszysz w swoim głosie oskarżycielski ton. – Mówi, że mąż prawie wcale nie sypia, bo wstaje w nocy do syna. Żeby ona mogła odpocząć.

Lowell milczy z niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Nawet Patricia Faith twierdzi, że policja nie ma prawa trzymać go w areszcie. Facet się zgubił. Dlatego znalazł się na tym rządowym terenie. Gdyby coś na niego mieli, to już dawno postawiliby mu zarzuty.

– Nie do końca bym wierzył, w co mówi ta kobieta, mimo że ma na nazwisko „Wiara”. – Lowell unosi brew i uśmiecha się z przekąsem.

– To nie jest śmieszne, Lowell.

– Wiem, że nie jest, ale nic na to nie poradzisz, Francie. To nie są żarty. Nie sypiasz. Ledwo co jesz. – Kładzie jej ręce na ramionach. – Wiem, że nie wolno mi sugerować, że Midas nie żyje...

– Lowell, przestań.

– ...ale wiesz co? Trzeba wziąć taką ewentualność pod uwagę.

Francie wyrywa się z uścisku.

– Lowell, przestań. Zachowujesz się, jakbyś był ponad to. A tu chodzi o życie dziecka...

– Francie, posłuchaj. Być może nie żyje. Wiem. To straszne. Ale musisz się przygotować na taką wiadomość.

– Żyje. – Przypomina sobie, że Will jest w zasięgu ich głosu, na bujaku w salonie, więc ścisza głos. – Wiem to.

– Skąd? Skąd to wiesz? Zdarzają się straszne nieszczęścia.

Francie zamyka oczy i wraca wspomnienie: siedzi pod wierzbą wśród Majowych Mam, zaledwie dziesięć dni temu, słońce grzeje ją w kark, gdy Nell wypowiada to swoje „W upał taki jak ten po ludziach chodzą nieszczęścia”. Ściany wokół niej się zakrzywiają.

– Najlepsze, co możesz zrobić, to zadbać o siebie – mówi Lowell, jego głos brzmi cicho, jakby z oddali. – Nic dobrego z tego nie wyniknie, jak będziesz w rozsypce. Wezmę dzisiaj wolne. Mogę odwołać spotkanie.

Francie podnosi wzrok na męża.

– Dlaczego?

– Żebyś mogła odpocząć.

Francie rozkoszuje się tą wizją: kładzie się do łóżka, mając kilka godzin tylko dla siebie. Od miesięcy nie przebywała sama dłużej niż kwadrans – gdy Lowell pilnował małego, a ona pędziła do sklepu po słoik sosu. Powinna się zgodzić. Powinna pozwolić sobie na przerwę od Willa i jego płaczu, od myślenia o Midasie i czytania strony internetowej Patricii Faith z jej ohydnyimi komentarzami i pytaniami na temat Winnie. Gdzie była tamtej nocy? Dlaczego nie rozmawia z prasą, nie udziela wywiadów, nie błaga o oddanie jej syna?

Ale Francie nie może na to przystać. Lowell nie powinien odwoływać spotkania, nie po tym, jak właśnie stracił pracę, z którą wiązali duże nadzieje.

– Nie, nie trzeba – mówi. – Zaplanowałam spacer z małym. Muszę zacząć dbać o formę.

– Jesteś pewna?

– Tak. Masz rację. Muszę zacząć o siebie dbać. Porządny spacer zwawym krokiem dobrze mi zrobi.

Lowell jakby łagodnieje.

– Jeszcze raz ponawiam propozycję. Ostatnia szansa.

– Musisz pracować. Dam sobie radę.

– No dobrze, skoro tak. – Lowell całuje ją w czoło. – Wezmę prysznic.

Francie czeka, aż usłyszy szum wody, a potem biegnie do sypialni, cicho zamyka za sobą drzwi, wyjmuje notes schowany w górnej szufladzie pod koronkowymi majtkami, których nie wkładała od miesiący. Otwiera go na własnoręcznie sporządzonej liście osób obecnych tego wieczoru w barze i przewraca na następną stronę – spis wszystkich podejrzanych.

Stawia znak zapytania przed pierwszym nazwiskiem z listy.

Bodhi Mogaro.

A, co jeśli jego prawnik ma rację? Jeśli to naprawdę nie on? Francie rozważa inne możliwości.

Ktoś związany z firmą dziadka Winnie.

Alma. Nell jest przekonana, że Alma nie miała w tym żadnego udziału, ale Francie sama już nie wie, w co wierzyć. Czy to naprawdę możliwe, by ktoś wszedł do domu Winnie, zabrał Midasa z łóžeczka, a Alma nic nie usłyszała? Wczoraj Francie czytała, że brat Almy w Tucson był aresztowany kilka lat temu za kradzież samochodu. Źe jakiś jej wujek z Hondurasu zabił człowieka.

Naprawdę jednak nie daje Francie spokoju jedna postać – stalker Winnie. Archie Andersen. Zakreśla jego nazwisko kółkiem. Niewiele o nim pisano i nie znalazła w internecie nawet jego

zdjęcia. Było to lata temu, jeszcze przed internetem, Facebookiem i całodobowymi kanałami informacyjnymi, i jedyna konkretna informacja, na jaką natrafiła, to artykuł w „People”, podający, że Archie Andersen pojawił się w studiu Niebieskiego ptaka, kilka razy wdarł się na plan. Matka Winnie zgłaszała to na policję i w końcu wystarała się o sądowy zakaz zbliżania się do córki. Miał wtedy szesnaście lat i był przekonany, że są z Winnie dla siebie stworzeni. A potem zjawił się na pogrzebie matki Winnie, lamentując, jakby stracił rodzoną matkę. Ówczesny chłopak Winnie musiał go usunąć siłą.

Archie miałby teraz jakieś trzydzieści kilka lat. Tak jak tamten facet z Wesołego Lamy – ten, który nagle podszedł do Winnie, gdy została sama w barze. Ostatnia osoba, z którą ją widziano.

Francie napisała mejla do Nell i Colette kilka godzin wcześniej, pytając, czy także ich zdaniem policja powinna się zająć Archiem Andersenem.

Moim zdaniem rozpracowują go – odpisała Colette. Niezależnie od tego, co sugeruje prasa, policja nie jest taka głupia.

Ale skąd Colette może mieć pewność? Jeśli Mark Hoyt i jego ludzie pomylili się co do Bodhiego Mogaro, to co jeszcze spartaczyli? Francie słyszy, że szum wody pod prysznicem cichnie, a po chwili rozsuwa się zasłonka. Zamyka notes i pośpiesznie chowa go do szuflady. W salonie wyjmuje Willa z bujaka, chwytając chustę i torbę z pieluchami i woła na pożegnanie do Lowella.

Wychodzi z łazienki w bokserkach, wycierając włosy ręcznikiem, w chwili gdy Francie zbiera się do wyjścia z mieszkania.

– Dokąd idziesz?

– Do Majowych Mam – odpowiada Francie, odkasłując.

– Spotykamy się w kawiarni. Właśnie dostałam mejla.

– Cieszę się, kochanie. – Na powrót chowa się w łazience.

– Właśnie tego ci trzeba.

Francie stara się osłonić uszy Willa od buczenia lampy sufitowej, bujając go na kolanach w chłodnej, pustej poczekalni. Zerka na ulotki leżące na stole. „Zarządzanie informacją w walce z terroryzmem”. „Pomoc osobom LGBTQ”. „Widzisz, reaguj”.

Francie niemal podskakuje, gdy za jej plecami trzaskają drzwi. Odwraca się i widzi, jak Mark Hoyt wchodzi na posterunek w towarzystwie mężczyzny ze zmierzwioną brodą i zmaconym spojrzeniem, w czarnym T-shircie i workowatych dżinsach. Mężczyzna zerka na Francie – przez ułamek sekundy patrzą sobie w oczy – po czym nerwowo odwraca wzrok. Hoyt zwraca się do Francie, a mężczyzna wychodzi z posterunku.

– Pani Givens, przepraszam, że musiała pani czekać. Może pójdziemy do mojego biura?

Francie idzie za nim obok policjanta siedzącego za szklaną szybą przy biurku i rozwiązującego sudoku z ostatniej strony „New York Post”, a potem jasno oświetlonym korytarzem.

– Czy ten mężczyzna, który był z panem, przyszedł w sprawie śledztwa? – pyta Francie Hoyta.

– Nie.

– Czy jest podejrzanym?

– Nie.

Przy korytarzu znajduje się kilka małych pokojów, a gdy

dochodzą do gabinetu Hoyta, ten staje z boku i puszcza Francie przodem. Wnętrze wygląda jak z planu filmowego o złym glinie: zniszczone biurko zawałone piętrzącymi się stosami tekturowych teczek, z których bezładnie wysypują się dokumenty. Trzy papierowe kubki po kawie, do połowy puste, stoją w rzędzie obok przedpotopowego komputera. Jeden z kubków ma brązowo-zieloną obwódkę z pleśni.

– Kawy? – pyta Hoyt.

– Nie, dziękuję. Odstawiłam kofeinę. – Ruchem głowy wskazuje na syna wiszącego przy jej piersi. – Dla dziecka.

Francie czuje ukłucie winy, okłamując policję, ale nie ma obowiązku informować ich, że w zasadzie to przestała już karmić piersią. A poza tym na pewno się rozplacze, jeśli wypowie to głośno.

– Mógłbym zorganizować bezkofeinową, jeśli pani sobie życzy.

– Skoro tak, to bardzo proszę – odpowiada Francie. – Dziękuję.

Hoyt przymyka drzwi i Francie rozgląda się po jego gabinecie. Mark Allen Hoyt. Urodzony w Bay Ridge, na Brooklynie. W policyjnej rodzinie, od dwóch pokoleń. Sześć lat w Marine Corps. Absolwent Nowojorskiej Akademii Policyjnej. Znalazła jego życiorys w internecie, dołączony do pogadanki, którą rok temu odbył na szkolnej giełdzie zawodów w liceum na Staten Island. Francie nachyliła się nad jego biurkiem, lustrując wzrokiem stosy teczek, które – jak sądzi – dotyczą sprawy Midasa. Niemożliwe, by w tym samym czasie pracował nad czymś innym. Nieśmiało wyciąga rękę po jedną z nich, ale właśnie otwierają się drzwi. Szybko cofa rękę, strącając łokciem kubek i wylewając jego

zawartość sobie na nogi i sandały i poplamiony dywan.

To Stephen Schwartz.

– Najmocniej przepraszam – mówi Francie, sięgając do torby po paczkę wilgotnych chusteczek. – Zaraz posprzątam. Nie chciałam...

– Proszę ze mną.

Ton głosu ma nieprzyjazny, wręcz irytująco surowy. Być może nie powinna myszkować po biurku detektywa Hoyta, rozlewając jego obrzydliwą zapleśniałą kawę, ale Schwartz powinien się ucieszyć na jej widok – Francie może mu przecież dostarczyć cennych informacji mogących pomóc w śledztwie i odnalezieniu Midasa żywego. Ale w jego głosie nie ma cienia wdzięczności, gdy rzuca, wskazując korytarz:

– Proszę to zostawić. Ktoś inny się tym zajmie.

– Czekam na detektywa Hoyta. Poszedł po kawę.

Schwartz macha ręką.

– Proszę ze mną.

Francie idzie za nim, ciesząc się, że Will mocno śpi. Mleko modyfikowane, którym go ostatnio karmi, ułatwia mu sen i Francie liczy, że te dwieście mililitrów, które wydudnił na ławce przed komendą, utrzyma go w tym stanie jeszcze przynajmniej przez godzinę.

Schwartz otwiera drzwi na końcu korytarza. Wnętrze jest chłodne i surowe, fluorescencyjne światło rzuca żółtawą poświatę na prosty biały stół i cztery składane metalowe krzesła. Francie zerka na swoje odbicie w szklanej ścianie naprzeciw – odznaczające się siwe odrosty, wystający brzuch – i natychmiast odwraca wzrok.

Hoyt siedzi na jednym z krzeseł, z nogami wyciągniętymi do przodu, jedną założoną na drugą. Wskazuje krzesło i podsuwa w stronę Francie styropianowy kubek z kawą.

– Proszę usiąść.

– Postoję, jeśli można. Mały nie lubi bezruchu. – Francie bierze kubek, czując, jak dopadają ją nerwy. – Dzieci często tak mają.

Upija łyk. Kawa jest prawie zimna i gorzka, a na powierzchni pływa osad; najchętniej wypłułaby ją do kubka, ale się powstrzymuje. Schwartz zamyka drzwi i opiera się o nie plecami.

– A więc pani Mary Frances Givens. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

Francie odstawia kawę i wraca do kołysania Willa.

– Chciałabym uzyskać informacje na temat przebiegu śledztwa.

Hoyt unosi brwi.

– Chciałaby pani uzyskać informacje na temat przebiegu śledztwa?

– Tak. Od porwania Midasa upłynęło sześć dni. Chciałabym się dowiedzieć, jakie poczyniliście postępy. – Stara się, by do jej głosu nie zakradła się lęklivość. – Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego policja nie znalazła jeszcze tego dziecka.

Schwartz spogląda na Hoyta.

– Trzeba było nam to powiedzieć wcześniej – wzdycha.

Odsuwa krzesło, siada i wyjmuje z kieszonki koszuli ołówek i notesik. Z zafrasowaną miną liże koniuszek ołówka.

– Proszę mi podać swój adres mejlowy.

– Mój adres mejlowy?

– Tak.

– Dlaczego?

– Prześlę pani szczegółowy raport. Będę panią informował na bieżąco.

– Esemesy są skuteczniejsze – wtrąca Hoyt. – Może weź numer pani komórki.

– Dobra myśl. – Schwartz trzyma ołówek nad kartką, krzaczaste brwi uniósł wyczekująco. – Jaki jest numer pani komórki?

– Zgrywus z pana.

Schwartz chichocze i rzuca ołówek na stół.

– Tak – mówi. – Chyba można tak mnie nazwać.

Francie czuje, jak twarz purpurowieje jej ze złości.

– Możecie mi przynajmniej powiedzieć, co się dzieje z Bodhim Mogaro? Postawicie mu zarzuty? Czy może ta pomyłka z chirurgiem to prawda?

– Droga pani – mówi Hoyt. – Przecież zdaje sobie pani sprawę, że nie możemy komentować śledztwa będącego w toku. – Upija łyk kawy i patrzy na Francie. – Czy po to dzisiaj tu pani przyszła? Dowiedzieć się, co wiemy?

– No tak... Myślałam też o pewnych rzeczach. O których być może powinniście wiedzieć. – Francie nie spuszcza z Hoyta wzroku. Zauważa, że w odróżnieniu od Schwartza ma na palcu obrączkę. Może ma i dzieci. – Kilka przecznic od Winnie mieszka pewien facet.

– Rozumiem – mówi Hoyt.

– Skazany za przestępstwa seksualne.

Nie myliła się. Hoyt jest życzliwie nastawiony. Coś w wyrazie jego twarzy mięknie na jej słowa. Policjant nachyla się bliżej,

oparty na łokciach.

– Proszę pani, mam dla pani radę. Niech pani przestanie czytać blogi kryminalne. Można od tego oszaleć.

– Nie, nie rozumie pan. Tamtej nocy na ławce przed domem Winnie siedział biały mężczyzna w średnim wieku. Ma na koncie przestępstwa seksualne. Owszem, przeczytałam o tym na blogu kryminalnym, ale co z tego? Każdy może sprawdzić, gdzie mieszkają przestępcy seksualni. Jeden mieszka na osiedlu apartamentowców kilka przecznic dalej. – Francie zdaje sobie sprawę, że mówi zbyt szybko i stara się zwolnić. – Obserwowałam jej dom. – Sięga do przedniej kieszeni torby na pieluchy i wyjmuje zdjęcie, które zrobiła, a potem wydrukowała w aptece. – Ten facet często tam się kręci. Wyprowadza na spacer małego psa. Wygląda na to, że wykazuje osobliwe zainteresowanie jej budynkiem. Zawsze przy nim przystaje, zagląda do okien. Zupełnie jakby przeprowadzał rekonesans.

– Dlaczego obserwowała pani jej dom?

– Nie obserwowałam, to znaczy, nie żeby przez lornetkę czy coś. Mieszkam w pobliżu. Chodzę tamtędy na spacer z dzieckiem. To, że sąsiad zabrał Midasa, miałoby sens. Proszę się nad tym zastanowić. Winnie po raz pierwszy wyszła wtedy na dłużej z domu. Pierwszy raz bez dziecka. Porywacz musiał o tym wiedzieć. Obserwował ją.

– Wygląda na to, że pani też ją obserwowała – mówi Hoyt.

– Że co? Nie. To znaczy... – Francie milknie na chwilę, by się opanować. – Jest moją przyjaciółką.

– Jak długo ją pani zna?

– Trochę. Cztery miesiące. Ale przedtem przez wiele miesięcy do siebie pisałyśmy.

– Cztery miesiące? To nie jakoś specjalnie długo.

– Owszem, długo. I to jest coś zupełnie innego. Od niedawna jesteśmy matkami. Nie rozumie pan. To szczególny rodzaj przyjaźni.

Hoyt milczy, pozwalając jej mówić dalej, ale Francie już nie chce. Nie chce tłumaczyć, jak to jest; dlaczego Majowe Mamy rozumieją ją lepiej niż ktokolwiek inny; ile razy mogła na nie liczyć, gdy była w ciąży, gdy zamartwiała się, że straci to dziecko tak jak poprzednie; jak bardzo jej pomogły po urodzeniu Willa – przysyłały artykuły, odpowiadały na pytania, słuchały jej refleksji na temat macierzyństwa, pomagały znieść samotność.

– Nie przyszłam rozmawiać o przyjaźni – podejmuje. – Chcę panu powiedzieć co innego. To coś w rodzaju wyznania. – Hoyt zerka na szklaną ścianę i przez chwilę Francie zastanawia się, czy ktoś po drugiej stronie ich obserwuje. – Tamtej nocy coś się zdarzyło i dopiero teraz dotarło do mnie, jakie to było dziwne.

– A cóż to było? – pyta Schwartz znudzonym głosem.

– Pamiętacie tamtego mężczyznę, o którym wspominałam podczas przesłuchania? Tego przy barze, który ni stąd, ni zowąd podszedł do Winnie?

– Tak.

– No to powinniście go szukać.

Schwartz opiera się o krzesło i odchyła do tyłu tak, że krzesło staje tylko na dwóch tylnych nogach. Splata dłonie na potylicy.

– Nie jestem prawnikiem, szczerze mówiąc, ledwo udało mi się

skończyć akademię policyjną, ale wydaje mi się, że zaproponowanie kobiecie drinka jest zgodne z prawem. Przynajmniej w stanie Nowy Jork.

– Nie twierdzę, że to niezgodne z prawem, panie detektywie.

– Nell stara się nie unosić głosu. – Sugeruję, że takie zachowanie jest trochę podejrzanę.

Schwartz chce coś powiedzieć, ale Hoyt ucisza go gestem.

– No dobrze. Załóżmy, że się z panią zgodzę. Ale co podejrzanego w tym, że mężczyzna zagaduje w barze kobietę? Czy nie po to ludzie chodzą do barów?

– Być może. Ale...

– Pani koleżanka, Winnie, to bardzo piękna kobieta.

– Wiem, ale... – Will zaczyna się wiercić. Francie uświadamia sobie, że przestała go kołysać. – Mam pewien pomysł, kto to mógł być. Dopiero dzisiaj rano to sobie uświadomiłam. Musicie pójść tym tropem.

– Mianowicie jakim? – pyta Schwartz.

– Obiło wam się o uszy nazwisko Archie Andersen? Stalkera Winnie?

Schwartz wzdycha ciężko, wstaje i kieruje się do drzwi.

– Wracam do pracy.

Po wyjściu Schwartza Francie spogląda na Hoyta, czując przypływ ulgi, że zostali sami.

– Naprawdę wydaje mi się, że ten facet przy barze to mógł być Archie Andersen. Sprawdzaliście go?

Hoyt przeciera oczy.

– Proszę mi wierzyć, że robimy, co do nas należy. Traktujemy tę

sprawę bardzo poważnie.

– Ma pan dzieci? – W jej głosie daje się wyczuć napięcie, więc strofuje się w duchu. Nie czas na płacz.

– Trójkę. – Sięga do tylnej kieszeni spodni po portfel, wyjmując z niego pomarszczoną fotografię trzech dziewczynek stojących w baseniku. – Jestem staroświecki. Nadal wolę je w wersji papierowej. To sprzed kilku lat. – Hoyt bacznie przygląda się zdjęciu, jakby od dawna go nie widział. Kręci głową. – Rosną tak szybko.

– Może pan sobie wyobrazić, detektywie, jaka to byłaby tragedia stracić jedną z nich, zanim miałyby szansę dorosnąć? Tak jak spotkało to Winnie?

Podnosi torbę z pieluchami, niechętnie trącając nią główkę Willa. Niemowlę budzi się gwałtownie, otwiera oczy, buzia mu różowieje, jest na skraju płaczu. Francie czuje strużki potu w miejscach, gdzie opina ją nosidełko, potrzebuje zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Powiedziała, co miałam do powiedzenia. Nie mogłabym spojrzeć w lustro, gdybym tego nie zrobiła.

Rusza do drzwi, ale Hoyt zastępuje jej drogę.

– Proszę pani. Robimy wszystko co w naszej mocy, by znaleźć Midasa. Tak samo jak wszyscy chcę, żeby to dziecko żyło. – Francie kiwa głową i chce go wyminąć, ale Hoyt kładzie jej dłoń na ramieniu. – Chce pani znać prawdę? W takich sprawach, gdy ginie dziecko, a nie ma śladów włamania ani motywu związanego z zemstą, trzeba szukać w miejscach, do których wolelibyśmy nie zaglądać.

Francie wyszarpuje się i pośpiesznie rusza korytarzem do

wyjścia. Will płacze coraz głośniej, zagłuszając buczenie światła, ale mimo to, wchodząc do holu, Francie słyszy słowa Hoyta:

– Czas zacząć pytać o motywów osób, które go znały. Z otoczenia tej rodziny, droga pani.

ROZDZIAŁ 12

NOC SZÓSTA

Mama zawsze mówiła, że jestem naiwna. Najczęściej oczywiście miała na myśli mój stosunek do ojca: decyzje, by wybaczyć mu coś, co powiedział albo zrobił, że znowu wrócił do domu pijany, wyciągnął mnie z łóżka za rękę, wyrwał mi bark ze stawu, każąc mi postawić na miejsce moje cholerne buty, zostawione na środku korytarza, by się o nie zabił.

– Ma wyrzuty sumienia – mówiłam nazajutrz rano, unikając jej wzroku, gdy przykładała mi do ramienia okład z lodu. – Nie chciałam tego.

Kręciła głową z niedowierzania.

– Jesteś taka mądra, a dajesz się nabrać. – Widziałam rozczarowanie w jej oczach. – Kiedy w końcu się nauczysz?

Może miała rację. Może nigdy się nie nauczę. Prawda jest taka, że to wszystko jest trudniejsze, niż się spodziewałam. Jakże byłam głupia, sądząc, że mogę po prostu się z tego wszystkiego otrząsnąć i być szczęśliwa. Nudzę się na śmierć. Nie ma tu nic do robienia. Nic, czym można by zająć myśli. A nuda to ostatnia rzecz, która by do mnie pasowała. Bezczyenne ręce i tak dalej.

Joshua też się męczy. Jest najszcześniejszy, gdy wychodzimy z domu, idziemy do miasta na kanapkę z indykiem i lodowate piwo

ze sklepiku przy bibliotece albo popływać w odludnej sadzawce, którą odkryliśmy, pod mostem, przy drewnianej alejce – leżymy potem nago na kamieniu, senni i zaróżowieni od słońca. Ale dzisiaj powiedziałam mu, że nie czuję się już bezpiecznie. Wokół są ludzie – spacerują z psami, dowożą pocztę; zaczynają pytać, co u mnie. Tak już jest na wsi. Ludzie są strasznie wścibscy. Zajmijcie się sobą, chciałabym im odparować. Wracajcie do swoich ściegów krzyżykowych, mrożonego makaronu z serem i całodobowych kanałów informacyjnych. Ćwiczyłam moje odpowiedzi; ćwiczyłam moją historię raz po raz z Joshuą, starając się nie popełnić błędu, uwierzyć we własne kłamstwa.

Powinnam być w tym już zawodowcem. Całe życie kłamię.

Mama nie czuje się dobrze. Ma grypę. Jest jej przykro, ale prosiła, żebym zadzwoniła i odwołała w jej imieniu.

Nie bądź śmieszny. Nie proszę cię, żebyś odszedł od żony. Nie chcę niczego ponad to, co mamy.

Dawca nasienia, mówiłam, nachylając się z uśmiechem, jakby ta osoba – na tyle źle wychowana, by spytać, kim jest ojciec, gdy w piątym miesiącu brzuch stał się już widoczny – była jedyną, której zwierzyłam się ze swojej tajemnicy. Skoro poczułam instynkt macierzyński, to przecież nie mogę w nieskończoność czekać na tego idealnego faceta, prawda?

Ale tym razem nie jest tak prosto. Kłamstwa są piętrowe, łatwiej się pogubić. Tak więc koniec z wychodzeniem, choćbyśmy umierali z nudów. I dość narzekania. Nawet w najgorszej sytuacji można znaleźć dobre strony. Nabrałam w tym wprawy przy „tatu”.

Już zaczęłam. Dziś rano. Joshua obudził się markotny

i wycofany. Czy się zezłościłam? Czy zażądałam, by mi powiedział, co się dzieje. Nie. Posadziłam go przed telewizorem, a sama wyszłam na słońce, pospacerować, pozbierać kwiatki rosnące nad potokiem. Przyniosłam je do domu i włożyłam między strony książek kucharskich, tak jak robiłyśmy to kiedyś z mamą. Gdy wróciłam, Joshua był już w lepszym nastroju i po śniadaniu zabraliśmy się do porządków. Wyrzuciliśmy rzeczy, które nam się nie podobały – wytarte poduszki w drapiących poszewkach, niemodne zasłony z naszej sypialni, rodzinne zdjęcia, na które nie mogę już patrzeć – by poczuć się tutaj bardziej jak w domu.

Prowadzę także ten dziennik, jak zalecał doktor H. „Myślę, że powinnaś to zapisywać – mówił. – Pomoże ci to pracować z emocjami. Da poczucie spójności”.

Robię tak, starając się przyjąć właściwe nastawienie, choć nie podoba mi się ten pomysł. Nie chcę pisać. Wolę do niego mówić, z miękkiej skórzanej kanapy w jego gabinecie, z kubkiem mięty w dłoniach, przy wietrze wydymającym delikatne firanki, przy uspokajającym buczeniu urządzenia generującego biały szum.

Chciałabym, żeby poprowadził mnie przez ćwiczenia, które robiliśmy, gdy czułam się wyjątkowo zestresowana, te, podczas których zamykam oczy i wyobrażam sobie szczęśliwsze miejsce.

Chciałabym powiedzieć mu, gdzie teraz jestem i jak się czuję, i że naprawdę nie chciałam nikogo zabić.

Ale oczywiście nie mogę tego zrobić. Zastanawiałam się już nad tym – musiałabym oddać się w ręce policji. To byłoby straszne dla nas obojga. Chciałabym mu powiedzieć o głosach, które słyszę w nocy pośród nawoływania cykad i świerszczy. Mark Hoyt,

zasypujący mnie pytaniami. Gdzie pani była tamtej nocy? Co pani wie?

Zależy od tego, co się rozumie przez słowo „gdzie”.

Fizycznie: wydawało mi się, że wiem, ale już nie mogę sobie przypomnieć. Ta noc prysła, jakby nigdy nie miała miejsca. Jakby się nigdy nie zdarzyła.

Emocjonalnie, duchowo: to wiem doskonale. W piekle. Zagubiona. Udręczona. Nie wiedząc, jak to przetrwam. Jak dam sobie z tym radę. Z przygniatającym smutkiem. Poczuciem porażki. Winy, że jestem tak niedoskonałą matką.

Muszę nawiązać ze sobą kontakt. Najlepsze, co mogę teraz zrobić, to podjąć decyzję, gdzie udamy się dalej, i wyjechać jak najszybciej. Nie ma wątpliwości, że nie możemy tu dłużej zostać.

Nie po tym, co właśnie zrobiłam.

ROZDZIAŁ 13

DZIEŃ SIÓDMY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 11 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 58 DNI

Wciąż zawijasz swoją pociechę w becik? Być może czas już przestać. Choć opatulanie noworodka może pomóc mu czuć się bezpiecznie, ciasne owijanie starszego maleństwa wystawia je na podwyższone ryzyko nagłej śmierci łóżeczkowej, ponieważ dzieci robią się bardziej ruchliwe i uczą obracać. Choć więc w beciku dziecko łatwiej zasypia, lepiej dmuchać na zimne.

Colette zaciska spocone dłonie na uchwycie wózka, a słońce praży ją w kark, choć jest dopiero siódma rano.

– Umieram – mówi Nell, purpurowa i zlana potem. – Nie wierzę, że jesteś w stanie tyle przebiec.

Colette zwalnia.

– Już prawie jesteśmy na miejscu.

Wbiegają na wzgórze, a potem kierują się w dół ocienioną ścieżką, pod łukiem, kółka wózków trzeszczą na żwirze.

– Zeszczuplałam trochę? – pyta Nell, gdy zatrzymują się na

dużym otwartym placu, po którym drepcze grupka przedszkolaków, w strojach kąpielowych i kamizelkach odblaskowych, ściskających się za ręce w drodze do parku.

– Sebastian spodziewa się, że jeszcze kiedyś zobaczy mnie nagą. Gdy do tego dojdzie, nie chciałabym, by rozmiar mojego tyłka przyprawił go o zawał.

– Odwróć się. Niech spojrzę.

Nell śmieje się i ustawia się tyłem do Colette, ale nagle dostrzega coś w oddali i markotnieje.

– O rany – mamrocze. – Spójrz.

To Midas.

Jego twarz widnieje na banerze trzymanym przez dwie starsze kobiety, które próbują go przymocować do kamiennego muru otaczającego park. Colette podchodzi bliżej, do otyłej staruszki z siwymi włosami zebranymi w wysoko upięty kucyk, wspartej na metalowym balkoniku do chodzenia. Obok grupka kobiet układa w kole na rozgrzanym chodniku różowe goździki.

– Co panie robią? – pyta Colette.

Kobieta wyciąga szyję, by zajrzeć do wózka, w którym śpi Poppy, twardo, z rączkami przy głowie.

– Jaka słodka – szczebiocze kobieta. – Urządzamy czuwanie modlitewne w intencji Małego Midasa. Zacznie się mniej więcej za godzinę.

Nell staje przy Colette i kobieta wręcza im po ulotce ze stosu leżącego na składanym plastikowym stoliku za jej plecami.

MODLITWA ZA MIDASA

Czyż może niewiasta zapomnieć o swym niemowlęciu, ta, która kocha syna swego łona?

A nawet, gdyby ona zapomniała, ja nie zapomnę o tobie.

Księga Izajasza 49,15

Colette patrzy na napis pod cytatem: ZANIEDBYWANIE DZIECKA TO PRZESTĘPSTWO i na zdjęcie. To samo, które pokazywała Patricia Faith – Nell i Winnie w Wesołym Lamie. Ujęcie jest bezlitosne: Nell z drinkiem w dłoni, z odsłoniętym brzuchem; Winnie z półprzymkniętymi oczami, pustym wzrokiem patrząca do obiektywu.

Colette odkłada ulotkę i bierze Nell za rękę.

– Chodź, idziemy.

– Powinny panie do nas dołączyć – mówi kobieta. – To dzieciątko potrzebuje jak najwięcej modlitw. Będzie też specjalny gość. – Nachyla się i kończy szeptem: – Patricia Faith.

– Nie, chyba podziękujemy.

Colette prowadzi wózek jedną ręką, a drugą popycha Nell. Gdy wychodzą na chodnik przed parkiem, Nell jest bliska łez. Z furgonetki za rogiem wysiada młody mężczyzna z ciemną brodą, w luźnej zimowej czapce – mimo upału, z kamerą telewizyjną w ręce.

– To zdjęcie. – Nell łamie się głos. – Nie jest... Wyglądamy na nim...

– Chodźmy do mnie – proponuje Colette.

– Muszę się przygotowywać do pracy. – Do oczu Nell napływają

ły.

– Tylko na kilka minut – mówi Colette. – Nie ma Charliego. Zrobię nam kawy.

Colette bierze Nell pod ramię i przyspieszają.

– Co to za ludzie? – pyta Nell, gdy zbliżają się do apartamentowca Colette, kilka przecznic dalej. Alberto przytrzymuje im drzwi, gdy wprowadzają wózki do windy. Nell spogląda na ulotkę, którą wciąż trzyma w dłoni. – O co im chodzi?

– Może o to, żeby wytatuować nam na czole: „Wyrodne matki”.

W mieszkaniu jest cicho. Colette nastawia wodę na kawę i kroi ciasto cytrynowe, które upiekła wcześniej rano, po tym jak córka obudziła ją o piątej. Nell siada na kanapie, tuląc Beatrice do piersi.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

– Robi się nieciekawie. Sama widzisz. Będą przypisywać jej całą winę.

– Tak, wiem.

Colette siada przy wyspie kuchennej. Czuje pulsowanie w głowie.

– Dziwię się tylko, że tak długo z tym czekali.

– To jakiś absurd. – Oddech Nell wypływa kaskadą. – Czy spędzenie wieczoru na mieście to aż taka zbrodnia?

– Nell, przestań. Nie zrobiłaś nic złego. Nawet nie...

– Oglądasz to wszystko, prawda? Widzisz, jaki ton nadaje tej sprawie Patricia Faith. We wczorajszym programie cały czas puszczała to nagranie z Winnie, zarejestrowane dzień po zniknięciu Midasa. Analizuje każdy gest, pyta, dlaczego od tamtej pory

Winnie milczy.

– Wiem – odpowiada Colette. – Po prostu przestańmy oglądać to gówno.

– To niemożliwe, żeby Winnie... – Colette przyciska palce do skroni. – Sama nie wiem.

– Nawet nie mów takich rzeczy. Niemożliwe, żeby zrobiła coś tak strasznego. Znamy ją.

Colette patrzy na Nell z wahaniem.

– Naprawdę? Czy naprawdę tak się dobrze znamy?

– No, przynajmniej na tyle, by zorientować się, czy któraś z nas jest psychopatką, czy nie. Wiem, że wszyscy zawsze doszukują się winy w matce, ale nie chcę wierzyć, że Winnie jest za to odpowiedzialna. – Nell rozsmarowuje dłońmi łyżę na policzku.

– Czytałam wczoraj ten okropny artykuł. O Winnie i o kompleksie Medei, jakiejś lasce z greckiej mitologii. Królowie, która zabiła własne dzieci, by zemścić się na mężu za zdradę.

– Przestań to czytać, Nell. Mówię poważnie. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– To, co ludzie pisali o Winnie w komentarzach... Świąte oburzenie, że zostawiła dziecko z obcą kobietą, żeby pójść się upić. Że nawet jeśli Midas się odnajdzie, to należy go jej odebrać, bo nie nadaje się na matkę. – Nell dusi szloch. – Mają w ogóle pojęcie, jakie to wszystko trudne? Ile trzeba się nastarać, by w ogóle utrzymać dziecko przy życiu? Myślą, że to łatwe kochać kogoś w ten sposób, podołać tym wszystkim wymaganiom, które, jak pewnie sądzimy, przerosły nasze matki. – Głos jej się łamie. – Są dni, że padam z nóg, tak jestem umordowana. Wiem, że takie

rzeczy się zdarzają, ale możesz to sobie wyobrazić? Zrobić krzywdę własnemu dziecku?

Colette spogląda na Poppy śpiącą obok w wózku.

– Dlaczego to zrobiłam? – podejmuje Nell. – Dlaczego usunęłam tę aplikację. A potem zgubiłam jej klucz. Nie mogę...

– Nell, przestań. Nie pozwól, by ci ludzie namieszali ci w głowie. Nie zrobiłaś nic złego. Żadna z nas nie zrobiła. Nawet jeśli upuściłaś jej klucz, to przecież nie było tak, że ktoś go znalazł i pomyślał: „O proszę, klucz do mieszkania Winnie. Wejdę tam i zabiorę jej dziecko”. Cokolwiek się stało, zaplanowano to wcześniej.

Nell kiwa głową.

– Też to sobie powtarzam, ale kto to ukartował? Dlaczego nie mają żadnego tropu? Dlaczego nie znaleziono jej telefonu ani klucza? – Odwraca wzrok. – Muszę ci coś wyznać.

Ton głosu Nell niepokoi Colette.

– Okej.

– Wypiłam za dużo.

Colette parska śmiechem.

– No co ty, Nell.

– Powiedziałam, że wypiłam tylko...

– Nell, wiem. Nie ty jedna wypiłaś wtedy za dużo. Wyszliśmy się rozerwać. Bez dzieci. To żadna zbrodnia...

– Dziwne – mówi Nell. – Wypiłam kilka drinków, a potem nagle... nie mogę sobie przypomnieć części nocy. To do mnie niepodobne. Doprowadzić się do takiego stanu, by nic nie pamiętać. To mi się nie zdarza. – Waha się przez chwilę. – A po powrocie

miałam rozdartą koszulę. Zauważyłam to nazajutrz rano. Boję się, że mogło się wydarzyć coś jeszcze, a ja tego nie pamiętam.

– Co na przykład?

– Nie wiem. Mam takie wspomnienie: ktoś stoi obok, dotyka mnie. Może porywacz Midasa był tam wtedy, szukał jej, zabrał mi jej telefon i klucz, a ja tego nie pamiętam. Ale potem myślę: nie. To niemożliwe. Przecież bym to pamiętała, prawda? Boję się, że tracę rozum. – Nell zerka na Colette. – Dlaczego całą noc patrzyła na swój telefon, nie spuszczała wzroku z Midasa w łóżeczku? Zastanawiałaś się nad tym?

Colette przytakuje skinieniem głowy.

– Jakby na coś czekała.

– Chcę, żeby to się już skończyło – mówi Nell. – Chcę usłyszeć, że Winnie była w jakimś sensownym miejscu. Że mały żyje. – Szłocha coraz głośniej. – Jeśli nie żyje, nigdy... – Urywa i bierze chusteczkę z pudełka na stole, wydmuchuje nos, zostawiając na skórze połyskującą warstewkę. – Chcę usłyszeć, że ona tego nie zrobiła.

– No tak – odpowiada Colette cicho, spoglądając na sofę w salonie. Wstaje. – Ja też.

Nell podsuwa stołek bliżej wyspy kuchennej. Cały czas trzyma na ramieniu Beatrice.

– Od jak dawna to masz?

– Od trzech dni.

– I jeszcze nie otworzyłaś?

– Nie.

Colette związuje włosy gumką zsuniętą z nadgarstka i wsuwa pamięć USB do komputera. Wyświetla się folder z kilkoma plikami.

– Nie powinnam była jej brać. Postanowiłam do niej nie zaglądać, odłożyć ją na miejsce, gdy następnym razem będę u Teba.

Klika na pierwszy plik i na ekranie pojawia się wideo.

– O Boże! – stęka Nell. – To ja.

Nell siedzi na kanapie obok mężczyzny, który, jak podejrzewa Colette, jest Sebastianem. Ma bladą twarz i oczy nabiegłe krwią. Colette naciska „Odtwórz”.

„Nie ma pani nic przeciwko, żebyśmy nagrywali? – pyta Hoyt. – Nowe zasady w wydziale”.

„Oczywiście, proszę. Mogę napić się wody, zanim zaczniemy?”

Hoyt bacznie jej się przygląda i uśmiecha pod nosem.

„Widzę, że działa się w nocy?”

Nell nie odwzajemnia uśmiechu.

„Z niemowlęciem zawsze dzieje się w nocy” – odpowiada.

– Błagam, zobaczmy, co jest dalej – prosi Nell. – Nie mogę na siebie patrzeć.

Colette zamyka wideo i klika na drugi plik. Znowu włącza się nagranie.

– To Scarlett – mówi Colette. – Widocznie przeszłuchiwali każdą z nas.

Zza kamery wychodzi Stephen Schwartz i siada naprzeciwko Scarlett.

„Rozumiem, że nie wychodziła pani wczoraj wieczorem?”

„Nie. Rodzina męża przyjechała w gości. Nie mogę w to uwierzyć. To straszne. – Ma strapioną twarz. – Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić. Macie jakiś pomysł, co się mogło stać?”

„Dlatego właśnie rozmawiamy z osobami, które znają Winnie. Ten mężczyzna z waszego klubu...”

Schwartz zerka do notesu.

„Rodzyn, tak na niego mówicie, zgadza się?”

„Tak”.

„Dobrze go znacie?”

„Nie, w zasadzie to nie. W ciąży często przychodziłam na spotkania, ale teraz się przeprowadzamy i nie mam czasu. Szczerze mówiąc, zawsze mi się wydawało, że to przezwisko jest dziecinne”.

– Ochhh – wzdycha Nell. – Możemy dalej?

Colette zamyka wideo i otwiera trzeci plik z listy.

– Yuko – mówi i od razu go zamyka, przechodząc do następnego: Gemma siedząca przy stole w jadalni. Za nią stoi jakiś mężczyzna z jej synem na rękach.

„Dotarłam tam chyba dwadzieścia po ósmej. Mogę sprawdzić w telefonie. Jak tylko tam weszłam, napisałam do Jamesa wiadomość, by dowiedzieć się, co z dzieckiem”.

Colette czuje ucisk w trzewiach. Czy jej rozmowa z Markiem Hoytem też została tu zapisana? Czy Teb już wie, że była tam tamtej nocy? Klika na ostatni z plików, szykując się na najgorsze. Słyszy, jak Nell bierze gwałtowny wdech. Na ostatnim nagraniu jest Winnie. Siedzi na narożniku u siebie w domu. Włosy zwisają jej strąkami na ramiona, oczy ma zapuchnięte. Pustym wzrokiem

patrzy w kamerę.

„Udało się pani trochę przespać?” – Tym razem słyhać głos kobiety.

„Trochę”.

„To dobrze. – Kobieta wychodzi z za kamery. Ma czarne spodnie i różową bluzkę bez rękawów. – Mam tylko kilka dodatkowych pytań. Po pierwsze, rozumiem, że leczy się pani u psychiatry”.

Kobieta siada na otomanie naprzeciwko Winnie.

„To nie zabrzmiało jak pytanie”.

Głos kobiety łagodnieje. „Wspominała pani o tym wczoraj w rozmowie z detektywem Hoytem”.

„Naprawdę?”

„Nie pamięta pani?”

„Zadajecie za dużo pytań. Trudno to wszystko zapamiętać”.

„Jak długo chodzi pani do tego lekarza?”

„Od dawna”.

„Z powodu?”

„Depresji. – Wzrusza ramionami. – I z lojalności. Ojciec w pewnym sensie zmusił mnie do tego po śmierci matki”.

„A kiedy ostatni raz się pani z nim spotkała?”

„Kilka miesięcy temu”.

Kobieta unosi brwi. „A po urodzeniu dziecka już nie?”

„Nie”.

Detektyw zaczyna mówić, ale Winnie jej przerywa.

„Po urodzeniu Midasa czułam się dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich latach”.

„Rozumiem. Chciałabym z panią porozmawiać o Danielu”.

Winnie porusza się gwałtownie na te słowa.

„O Danielu? Dlaczego?”

„Spotykaliście się w szkole średniej. Dlaczego ze sobą zerwaliście?”

Winnie posepnieje.

„Z niczym sobie wtedy nie potrafiłam poradzić. Ze związkiem też nie”.

„Ale zostaliście sobie bliscy?”

„Tak. Był moją pierwszą miłością”.

„Czy po tym, jak się ożenił, mieliście romans?”

„Romans?”

„Wiem, że to krępujące pytanie, ale muszę...”

„Nie, nigdy nie mieliśmy romansu. Nie jestem pewna, co...”

Colette słyszy dźwięk klucza obracającego się w zamku.

– Kto to? – pyta szeptem Nell.

Drzwi się otwierają i do mieszkania wchodzi Charlie, z dwiema kawami na wynos i białą papierową torbą.

– O, cześć – mówi, wyjmując z uszu słuchawki.

Colette zamyka laptopa.

– Cześć, skarbie. – Stara się stłumić drżenie w głosie.
– Wcześniej wróciłeś.

– Wygląda na to, że urządzają teraz w kawiarni konkurs piosenki. Wypłoszyły mnie nianie z dziećmi. – Zagląda do wózka, a potem wraca wzrokiem do Colette. – Co oglądacie, dziewczyny?

Colette składa dłonie na podołku.

– Film. O treningu zasypiania.

– Tak?

– No tak, wiesz – podejmuje Nell. – Położyć dziecko do łóżeczka z zupą w puszcze. Zamknąć drzwi. Wrócić po kilku tygodniach.

Charlie parska śmiechem.

– Po tym, co przeżyliśmy ostatniej nocy, chętnie wypróbuję pomysł z zupą! – Podchodzi do wyspy kuchennej i stawia kawę i torebkę na blacie obok laptopa Colette. – Kupiłem ci croissanta z migdałami i kawę. Nell, gdybym wiedział, że tu jesteś...

– Nie szkodzi. Właściwie to muszę już uciekać do pracy.

Charlie całuje Colette w czoło.

– To tak jak ja – mówi. – Do zobaczenia.

Colette czeka, aż Charlie zamknie za sobą drzwi do gabinetu. Gdy z pokoju zaczyna dobiegać jazz, ścisza dźwięk i klika „Odtwarzaj”.

„Nie, nigdy nie mieliśmy romansu. Nie jestem pewna, do czego pani zmierza”.

„Przykro mi. Wiem, że to trudne, ale musimy zadać pani te pytania, by mieć pełny obraz sytuacji”.

Po twarzy Winnie powoli spływają łzy.

„Daniel jest tylko moim przyjacielem”.

„Rozumiem. – Policjantka podaje Winnie chusteczkę i nachyla się w jej stronę na krześle. – Porozmawiajmy o czymś innym. Proszę mi powiedzieć, gdzie była pani wczoraj w nocy. Po wyjściu z baru”.

„Już mówiłam”.

„Mówiła pani detektywowi Hoytowi, ale chciałabym usłyszeć to od pani osobiście”.

Winnie przymyka oczy.

„Poszłam do parku”.

„Do parku”.

„Pierwszy raz miałam okazję pobyć sama ze sobą, od kiedy urodziłam dziecko. A bar to ostatnie miejsce, w którym miałam ochotę wtedy przebywać. Wyszłam i postanowiłam iść przed siebie. Zaszłam do parku”.

„Czy ktoś panią widział?”

„Nie wiem”.

„Po drodze? Albo w parku? Czy rozmawiała pani z kimś albo kogoś mijiała?”

„Nie przypominam sobie”.

„Czy ma pani problemy z pamięcią?”

„Nie. – Winnie wpatruje się w swoje dłonie splecione na podołku, a potem gwałtownie podnosi głowę. – Słyszała pani?”

„Co?”

„To Midas”.

„Midas?”

„Ciii... – Winnie wstaje, nasłuchując czegoś w oddali. – Teraz. Słyszała pani?”

„Nie. Co...”

„Płacze. – Winnie wychodzi poza kadr. – Słyszę, jak płacze”.

„Winnie...”

Znowu pojawia się na ekranie.

„Teraz jest cicho. – Spogląda na korytarz w kierunku pokoju dziecięcego. – Ale skąd to dochodzi?”

„Winnie, niech pani posłucha. Chcę zadzwonić do pani lekarza.

Chyba powinna pani umówić się na wizytę...”

„Nie potrzebuję lekarza. – Przeczesuje palcami włosy, a potem zaciska na nich pięści. – Muszę odnaleźć mojego syna. On płacze. Chce do mnie. A pani tu siedzi, zadając mi w kółko te same pytania. Dlaczego w ogóle pani tu przyszła? – Podchodzi do drzwi na taras i je otwiera. – Dlaczego nie szukacie mojego dziecka?”

Policjantka wstaje i sztywnym krokiem podchodzi do kamery. „Zróbmy przerwę”. Mówi coś jeszcze, ale jej słowa są nie do rozszyfrowania, a potem ekran ciemnieje.

Cisza. Colette czuje ból w piersi.

– Mój Boże... – odzywa się w końcu Nell. – Ona oszalała. Czy myślisz... Czy ona...

Nell siada na sedesie z laktatorem w rękę. Znowu wbrew sobie zerka na telefon, zamyka zdjęcie Beatrice i wpisuje adres strony Patricii Faith. Prowadząca, tak jak Nell się spodziewała, nadaje na żywo z placu w parku, pod wielkim banerem z napisem **MÓDLMY SIĘ ZA MIDASA**.

Nell waha się chwilę, ale w końcu odtwarza wideo – Patricia w obcisłej sukience w kwiaty woła za kobietą idącą za podwójnym wózkiem: „Przepraszam panią! Poświęci nam pani chwilkę?”. Kobieta przystaje, a Patricia podchodzi do niej, ostrożnie stąpając na swoich dziesięciocentymetrowych szpilkach. Z tyłu stoi krąg kobiet z różowymi goździkami w dłoniach, z głowami pochylonymi w modlitwie. „Jestem Patricia Faith z programu Godzina Faith”.

„Tak – odpowiada kobieta. – Wiem”.

„Zebraliśmy się tu dzisiaj, by porozmawiać o tym, co niektórzy

określają zjawiskiem »Wesoła Mama«”.

„Chyba tylko pani tak to określa”.

„A więc wie pani, o czym mówię?”

„Owszem – odpowiada matka. – Niestety”.

„Cudownie. Jest pani matką, tak? Widać, że kocha pani swoje dziecko. – Patricia unosi brew. – Co pani sądzi o klubach mam spotykających się w barach i pijących alkohol? Słyszałam, że niektóre umawiają się nawet popołudniami, przynosząc swoje dzieci”. Dyskretnie wyciera palcem kroplę potu znad brwi i podsuwa kobiecie mikrofon.

„Sądzę, że wszyscy normalni ludzie nie robią z tego dramatu”.

Patricia zerka do kamery i robi niezadowoloną minę.

„To nie dzieci piją alkohol, rozumiesz, Patricio, prawda?”

„Tak, ale piją ich rodzice. Jest tyle innych miejsc do spotkań. Czy takie zachowanie jest odpowiedzialne? W nocy, gdy porwano Midasa Rossa, jego matka przebywała w barze. – Pokazuje kobiecie ulotkę ze zdjęciem Nell i Winnie. – Widziała to pani? To z wieczoru...”

Nell gasi telefon i wyłącza laktator. Nawet w połowie nie zebrała tyle mleka, ile by chciała, ale w łazience panuje nieznośna duchota, a ona musi wracać do pracy. Zapina koszulę, chowa butelkę i czeka, aż zrobi się pusto, by wyjść z kabiny. Musi napić się kawy, od czasu wyjścia od Colette kręci jej się w głowie, przed oczami wciąż ma obraz Winnie. Na korytarzu ze zdziwieniem stwierdza, że czeka na nią Ian. Ręce opiera na framudze drzwi, kosmyk włosów na czole wywinął mu się w fikuśny znak zapytania – podobno wiele młodych pracownic firmy uważa ten element jego fizis za

niezwykle pociągający. Najnowszy pasek: różowe flamingi na błękitnym tle.

– Hej – mówi, gdy Nell wchodzi do swojego biura i stawia laktator na biurku. – Masz chwilę?

– Jasne.

Jest z młodą kobietą – Nell już gdzieś ją widziała, prawdopodobnie w dziale wydawniczym. Ma dwadzieścia parę lat, białą koronkową tunikę zarzuconą na czarne dżinsy i pomarańczowe balerinki. Włosy upięte w kok w dopracowanym artystycznym nieładzie, w rękach teczka.

– Poznałaś już Clare? – pyta Ian.

Nell przytakuje skinieniem głowy i prostuje plecy, czując, jak napięta koszula marszczy jej się między guzikami. Nadal nie znalazła czasu, by kupić ubrania w odpowiednim rozmiarze. Ian podchodzi do okna i rozsiada się na parapecie, odsuwając na bok zdjęcia Beatrice, które Nell ustawiła tam dziś rano.

– Drugi dzień w pracy, co? Jak idzie?

– Świetnie. Dzięki.

– Tak? Nie masz problemów z powrotem do pracy?

Ma dwie różne skarpetki, co, jak sądzi Nell, jest celowym zabiegiem.

– Kilka spraw wymaga dopracowania. Ale cieszę się, że znowu tu jestem.

– No tak. Wiem, jak to jest.

Nell uśmiecha się. Nie, nie ma pojęcia, jak to jest. Jest czterdziestoczteroletnim kawalerem, spotykającym się – jak głosi plotka – z jedną z sekretarek „Wedded Wife”, pisma poświęconego

ślubom wydawanego przez ich korporację. Co on może wiedzieć o zostawianiu dziecka, w zasadzie noworodka, w żłobku na dziewięć godzin dziennie?

– Przyznam, że cieszę się z twojego powrotu – oznajmia Ian.

– Tyle świetnych pracownic odeszło już z powodu dzieci. Idą na urlop macierzyński, mówią, że wrócą, a potem pstryk, przepadają!

Nell unosi brwi.

– Pstryk?

– Tak, pstryk! Dzwonią kilka dni przed końcem urlopu. – Ian zaczyna parodiować cienkim głosem: – „Nie dam rady. Nie mogę zostawić dziecka”. Cieszę się, że z tobą jest inaczej.

Nell ma przed oczami tylko jedno: kopniakiem powala tego idiotę na ziemię, siada na nim, wciera mu twarz w dywan.

– Dzięki, Ian.

– Nie ma za co. A teraz potrzebujemy z Clare pomocy. – Gestem zaprasza Clare, by podeszła bliżej. – Nie możemy dojść do porozumienia w kwestii okładki i postanowiliśmy przyjść po radę do ekspertki. – Clare wyjmuje z teczki dwa wydruki i kładzie jeden przy drugim na biurku Nell. Atrapa nowej okładki „Gossip!” – największego pisma wydawanego przez korporację – ukazującej aktorkę Kate Glass, która niedawno urodziła dziecko. Celebrytka stoi na plaży w dwóch różnych pozach, w staniku od bikini i krótkich spodenkach, z amerykańską flagą w ręku, pod nagłówkiem wydrukowanym tłustą czcionką: JAK ODZYSKAŁAM SWOJE CIAŁO.

– I co sądzisz? – pyta Ian.

– Co sądzę?

Nell czuje na sobie wyczekujący wzrok Clare.

– No tak. Jesteś świeżo upieczoną mamą. Co o nich myślisz?

– Niech spojrzę. – Nell podnosi zdjęcia. – No cóż, to wspaniała wiadomość.

Ian przekrzywia głowę.

– Ale która konkretnie?

– Że odzyskała swoje ciało.

– Niesamowite, co? – mówi Clare. – Jest dopiero pięć tygodni po porodzie.

– Wow – rzuca Nell. – Musiało jej być strasznie ciężko. Zajmować się noworodkiem, karmić, przewijać i robić to wszystko bez ciała. – Nell zwraca się do Clare. – Więc co się stało? Ktoś je ukradł? Czy odnaleziono jej brzuch w siłowni CrossFit w Cleveland?

Ian parska śmiechem.

– Mówiłem ci, że jest z nią kupa śmiechu – mówi do Colette, patrząc na wydruki. – Może to trochę głupie, wiem. Ale te pociągowe okładki zawsze robią furorę. Kobiety uwielbiają takie rzeczy. – Przygląda się obu zdjęciom. – Zastanawiam się, czy nie powinniśmy wymazać tej flagi.

– Nie sądzę.

– Nie?

Nell nie może się powstrzymać.

– Nie. Wszystkie świeżo upieczone matki, szykując się na plażę, zawsze pakują flagę swojego kraju.

Ian znowu się śmieje, ale tym razem jakoś anemicznie. Najwyraźniej się niecierpliwi.

– Przepraszam – mówi Nell. – Po prostu... – Zerka na Clare.
– Ten akurat tytuł nie należy do moich ulubionych.

– Wiem, wiem. Ale pamiętaj. Gdyby nie dochody z reklam, jakie przynosi „Gossip!”, nie byłoby nas stać na wydawanie „Miesięcznika artystyczno-literackiego”.

– Jasne. Przepraszam. Spojrzę jeszcze raz. – Ponownie obrzuca wzrokiem zdjęcia. – To mi się podoba – stwierdza, podnosząc zdjęcie lewą ręką. – I wymażcie tę flagę. Wygląda groteskowo.

Clare bezgłośnie klaszcze w dłonie, błyskając pomalowanymi na różowo paznokciami.

– A nie mówiłam, że to zdjęcie jest lepsze.

Ian przytakuje skinieniem głowy, z twarzą pogrążoną w zadumie zbierając wydruki.

– No nie wiem. Nadal uważam, że robimy poważny błąd – oznajmia.

– Poważny błąd? – Nell lekceważąco macha dłonią.

Dać się sfotografować w barze, w stanie upojenia alkoholowego, z wałkami tłuszczu wylewającymi się z ciężowych majtów noszonych jeszcze dwa miesiące po porodzie, a potem pozwolić, by zdjęcie zobaczyła połowa Brooklynu – to się nazywa poważny błąd.

– Wszystko będzie okej. Te zdjęcia są prawie identyczne – rzuca.

Ian potrząsa głową.

– Nie o to mi chodziło – mówi, wracając do okna i spoglądając na Hudson River kilka przecznic dalej. – Źle robimy, że nie dajemy na okładkę historii z Małym Midasem.

Nell wybałusza oczy, gdy Ian wraca do niej spojrzeniem.

– Przecież rozmawialiśmy o tym milion razy – mówi Clare.

– Wszyscy inni rzucają to na okładkę. A my zgarniemy tych czytelników, którzy są już zmęczeni tematem Małego Midasa.

– Nikt nie jest umęczony tematem Małego Midasa – rzuca Ian.

– Ludzie wciąż chcą o tym czytać. – Spogląda na Nell. – Prawda? Nie chciałabyś dowiedzieć się o tej sprawie czegoś więcej?

– Nie – odparowuje Nell. – Po co cały czas wałkować tę historię? Pomijając dochody z reklam, oczywiście. Ta rodzina potrzebuje...

– Kto jest ojcem tego dziecka? – Ian jest coraz bardziej zdenerwowany. – Dlaczego ta kobieta nic o tym nie mówi?

– Słyszałam, że to dawca nasienia i...

– Okej, Clare, ale dlaczego w takim razie nie powiedzieć tego głośno? Dlaczego nie pójść do Oprah, jak zrobiłyby inne matki w podobnej sytuacji?

– Oprah jest na emeryturze.

– Wiesz, o co mi chodzi, Nell. Tego wszyscy oczekują i Gwendolyn Ross o tym wie. To wyjadaczka medialna. Od dziecka. Dlaczego tak uparcie milczy? Co ukrywa?

– Nie zapomnij, że damy o niej całe sześć stron – przypomina Clare łagodnie. – Teraz mowa tylko o okładce.

– Rozumiem. Ale czy czytelnicy w ogóle do nich dobrną? Nie lepiej skupić się na Midasie? Czas przedstawić jakieś odpowiedzi. Mamy niezależnego dziennikarza w Queens, który stara się zrobić wywiad z tą opiekunką. Z tego, co słyszałem, nigdy nawet nie widziała dziecka. Nie weszła do jego pokoju. Ale ten dziennikarz to

dupek. A fenomen „Wesołej Mamy”? Moglibyśmy pisać o tym tygodniami.

– Myślę, że nie powinniśmy upadać tak nisko – stwierdza Nell.

Ian zarzuca głową w jej kierunku.

– Upadać tak nisko? Przecież na tym właśnie polega nasza praca.

To my kreujemy ten świat.

Nell wie, że nie ma sensu się spierać.

– Tak czy siak, nadal zgadzam się z Clare co do okładki.

Chętniej kupiłabym to pismo, gdyby na okładce była Kate Glass.

Ian wzdycha.

– Okej, niech będzie. Obyście miały rację. Sprzedaż spada. „Pani na Piętrze” nie jest najszcześniejsza. – Wstaje z parapetu. – Chyba powinniśmy wracać do pracy. – Podchodzi do drzwi, ale zatrzymuje się jeszcze. – Rany, byłbym zapomniał, Nell. Co miałem ci przekazać. Delegujemy cię.

– Delegujecie mnie?

Ian się śmieje.

– Nic się nie bój. Chcemy, żebyś wybrała się na wycieczkę, jakoś w ciągu następnych dwóch tygodni. Na cztery dni. Na...

– zawiesza głos dla większego efektu – Bahamy. Chcemy tam otworzyć nową serwerownię i zależy nam, żebyś zrobiła rozeznanie. Poznasz głównych graczy. Trochę pracy, trochę rozrywki. Co ty na to?

– Cztery dni?

– Tak. Przy samej plaży.

– Brzmi ekstra – odpowiada Nell z wymuszonym uśmiechem.

– To lecę pakować flagę.

Nell po raz czwarty czyta ten sam akapit w podręczniku szkoleniowym, próbując się skoncentrować, ale nie może przestać o tym myśleć.

Cztery dni poza domem.

Za trzy tygodnie jest otwarcie pierwszej wystawy, której Sebastian jest kuratorem. Sebastian codziennie pracuje teraz do późna i nie zdąży wrócić na Brooklyn przed zamknięciem żłobka. Kto odbierze Beatrice? A ona? Jak zgromadzi zapas mleka na cztery dni? Jak zniesie tak długą rozłąkę z córką? Odgania tę myśl, wyjazd (może mama przyjechałaby na kilka dni z Rhode Island?) i próbuje się skupić, ale rozkojarzenie bierze górę. Zamyka plik.

Odejdzie.

Zaraz tam pójdzie, do biura Iana. Pstryk!, powie. Wytrzymałam dwa dni, a to już coś.

Nie, nie pójdzie. Pójdzie na górę, na ósme piętro, osobiście spotkać się z „Panią na Piętrze”, Adrienne Jacobs, trzydziestopięcioletnią dyrektorką kreatywną Simon French Corporation, była blogerką modową, pierwszą kobietą i najmłodszą osobą na czele przedsiębiorstwa istniejącego od dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Żoną brata Sebastiana. Swoją szwagierką.

Nell już to widzi. Jak tam wmaszerowuje, mija sekretarki Adrienne, otwiera drzwi do jej gabinetu o nieskazitelnie białych ścianach, z dwoma białymi sofami i białym dywanem sprowadzonym z Turcji za sumę większą niż roczne zarobki Nell. Pstryk!

A potem co? Z pensji Sebastiana nie starczy im na zapłacenie ani

czynszu, ani kredytów studenckich, ani wakacji, które sobie obiecali zrobić w Święta Bożego Narodzenia – pierwszych od czterech lat.

Po raz pierwszy, od kiedy są razem, nie mają problemów finansowych. Radzą sobie dużo lepiej, niż im się to śniło, gdy mieszkali w Londynie, gdzie Sebastian studiował historię sztuki, a ona robiła dyplom i prowadziła zajęcia z bezpieczeństwa w sieci w college'u. Gdy żywili się zupkami w proszku, a do kina przemycali własny popcorn, żeby zaoszczędzić kilka funtów.

I wcale nie jest tak, że bez problemu znajdzie nową pracę. Nie z taką historią zatrudnienia, przeszłością, tym wszystkim, co będzie musiała o sobie powiedzieć, starając się o nową posadę.

Ma szczęście, że trafiła jej się ta praca. Powtarza to sobie od pierwszego dnia spędzonego w Simon French Corporation półtora roku temu, a nawet jeszcze wcześniej, od chwili, w której Sebastian powiedział jej o wolnym stanowisku – wracała wtedy do swojego londyńskiego mieszkania po całym dniu uczenia, obwieszona zakupami.

– Żartujesz – wykrztusiła, nieruchomiejąc.

– Nie. – Oczy aż błyszczały mu z podekscytowania. – Adrienne sama zadzwoniła. Proponuje ci to stanowisko. Wicedyrektor do spraw technologii. Odpowiedzialna za bezpieczeństwo w sieci.

– Za bezpieczeństwo w sieci? Tak to się oficjalnie nazywa?

– Będiesz mogła znowu robić to, co lubisz.

– Sebastian, nie. Nie ma potrzeby, żeby ona...

– Ale to żadna łaska z jej strony, Nell. Sama to powiedziała. „Nie znajdę nikogo lepszego od Nell”. Chce, żebyś dołączyła do jej

zespołu. Powiedziała, że wszystkim się zajmie. – Odchrząknął.
– Wszystko jej wyjaśniłem. Że nazywasz się teraz Nell.

– Nie mogę tam pracować.

– Dlaczego nie?

– Bo wydają „Gossip!”. A ja mam swoje zasady.

Nell chodzi po biurze, przypominając sobie wyraz oczu Sebastiana. Jakiś czas temu odezwali się do niego z MoMa, zaproponowali pracę marzeń, ale zamierzał odrzucić tę ofertę. Nie mogą się przenieść do Nowego Jorku i utrzymywać się z pensji muzealnika, zwłaszcza teraz, gdy zaczęli się starać o dziecko. Ale czy teraz potrafiłaby mu odmówić? Po tym wszystkim, co dla niej zrobił? Nigdy nie osądzał błędów jej przeszłości. Zaakceptował ją taką, jaka jest, nie musiała przed nim niczego udawać. Poza tym była to szansa na powrót do domu, do Stanów, na znalezienie się bliżej matki.

– Dobra – powiedziała. – Porozmawiam z Adrienne.

Sebastian podszedł do niej z promiennym uśmiechem, ucałował ją i zabrał od niej siatki.

– Dziękuję ci. Tylko nie wspominaj jej o planach ciążowych.

Rozlega się dźwięk przychodzącej wiadomości. Nell wraca do biurka, wiedząc, że musi się zająć pracą. W skrzynce znajduje sześć nowych mejli od Majowych Mam. Grupa znowu się uaktywniła po kilku dniach milczenia, jakie zapadło po zniknięciu Midasa, gdy nikt nie wiedział, co powiedzieć.

Yuko napisała z zapytaniem: Hej, mamuśki. Potrzebuję Waszej pomocy. Nicholas obudził się z wysypką na plecach. Załączam zdjęcie. Powinnam się martwić?

Nell przegląda odpowiedzi. Wygląda na potówki – odpisała Gemma. Tylko nie bierz go do lekarza! – dodała Scarlett. Naszprycuje go jakimiś toksynami, a krem nagietkowy w zupełności wystarczy.

Nell usuwa wiadomości, zastanawiając się, czy Winnie nadal dostaje mejle od Majowych Mam. Wciąż widzi ją podczas tego przesłuchania, z wymizerowaną twarzą, rozbieganym wzrokiem. Słyszy słowa Iana.

Kim jest ojciec Midasa? Co ona ukrywa? Czas uzyskać jakieś odpowiedzi.

Nell zamyka oczy. Po raz dziesiąty, od kiedy zobaczyła to nagranie z Winnie, i po raz setny, od kiedy zniknął, nawiedza ją myśl: na ile bezpieczna jest strona The Village? Na ile trudno byłoby się do niej włamać, znaleźć kwestionariusz, który wypełniała Winnie, zapisując się do Majowych Mam – wszystkie go wypełniały. Twoje imię. Imię twojego partnera. Opowiedz o swojej rodzinie.

Nell wstaje, zamyka drzwi i wraca do biurka. Serce jej wali, gdy otwiera portal The Village i hakuje stronę administratora. Zajmuje jej to niecałe pięć minut. Ma do tego wrodzony talent, który ujawnił się już na pierwszych zajęciach z informatyki – instynkt, jak określił to potem jeden z profesorów, lub – jak sama woli go postrzegać – jej supermoc. W college’u była pierwszym w historii pierwszorocznikiem, który wygrał krajowy konkurs programowania, co pomogło jej dostać się na prestiżowe praktyki studenckie – ona jedna spośród ponad ośmiu tysięcy kandydatów – w Departamencie Stanu, gdzie pracowała bezpośrednio dla

sekretarza stanu Lachlana Raine'a.

Nell widzi profil Francie na górze listy i otwiera go. Zdjęcie jest dokładnie takie, jak Nell się spodziewała: selfie z Lowellem i USG maleństwa. Nell szybko czyta, co Francie napisała: poznali się z Lowellem w ich rodzinnym mieście w Tennessee, pojechała za nim do Knoxville, on studiował architekturę, a ona uczęszczała na kurs fotografii, pracując jako asystentka w studiu fotograficznym i chałturząc jako portrecistka kotów. „Dopiero od niedawna mieszkamy w Nowym Jorku i nie mogę się doczekać, aż poznam resztę mamusiek!” – napisała Francie.

Nell zamyka profil Francie i przebiega wzrokiem po innych, dziwiąc się temu, co czyta; jak słabo tak naprawdę zna te kobiety. Yuko przed urodzeniem syna pracowała w administracji Sądu Najwyższego. Gemma pochodzi z tego samego miasta na Rhode Island co Nell; chodziła do rywalizującej szkoły średniej.

Dzwonek telefonu na biurku wyrywa ją z zamyślenia i Nell zamyka stronę.

– Dzień dobry, tu Nell Mackey.

W słuchawce słychać ciężkie dyszenie.

– Halo? Kto mówi?

– Nell, to ja.

Nell odsuwa się od biurka.

– Colette?

Cisza. A potem Colette wybucha płaczem.

– Colette, co się stało? Nic ci nie jest?

– Jestem w pokoju ksero u burmistrza – szepcze. – Wydaje mi się, że ktoś jest na zewnątrz.

– Co masz na myśli? Nic ci się nie stało?

– Nie. – Milknie na chwilę. – Zajrzałam do teczki policyjnej. Znalazłam coś. Nie umieszczono tego w raporcie. Nie wiem...

– Co takiego, Colette? O co chodzi?

– Znaleźli zwłoki.

Francie sunie dłonią po zmechaconym pokryciu sofy Ektorp, a potem idzie dalej labiryntem, przystając, by sprawdzić cenę bujanego krzesła obitego białą skórą ekologiczną. Poklepuje Willa po pupie i sprawdza telefon. Colette miała dziś po południu spotkanie z burmistrzem i zgodziła się zajrzeć do teczki Midasa, by sprawdzić, czy pojawiły się jakieś informacje o Archiem Andersenie. Francie ma nadzieję, że po jej wczorajszej wizycie na komendzie Mark Hoyt uświadomił sobie, że przeoczył ważny trop. Powinni już zdążyć namierzyć Andersena i wezwać go na przesłuchanie.

Francie zachodzi do działu z meblami sypialnianymi. To jej piąta wizyta w Ikei w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Lowell w końcu zamontował w salonie klimatyzator – używany, zakupiony okazjnie na The Village, złom nawiewający zatechłe ciepłe powietrze. Francie marzy o odrobinie ulgi od nasilającego się upału, ale boi się włączać ten rupieć – kto wie, jakie toksyczne wyziewy z siebie wykrztusi? Znajduje wytchnienie w bibliotece, na zajęciach muzycznych i tutaj w Ikei, gdzie Willowi najwyraźniej się podoba. Być może to kwestia fluorescencyjnego światła albo ogromu tej hali, może wydaje mu się, że weszli do wielkiego, jasno oświetlonego łona, grunt, że zawsze w środku się uspokaja, a Francie może liczyć na przynajmniej czterdzieści minut

względnej ciszy, podczas których może się wyciszyć, znaleźć w głowie jakąś przestrzeń.

W dziale pościelowym Will zaczyna stękać, więc Francie przyspiesza i kieruje się do kawiarni. Powietrze jest przesiąknięte duszącą wonią szwedzkich klopsików. Francie wybiera stolik pod oknem i wyjmuje z torby butelkę z wodą i paczkę mleka modyfikowanego. Nasypuje mieszanki do butelki i potrząsa. Zauważa młodą matkę siedzącą obok wózka – wkłada do ust widelec z porcją różowego łososia i wpatruje się w paczkę Enfamilu stojącą przed Francie.

Francie odwraca oczy, czuje falę wstydu i zażenowania, ilekroć przystawia Willowi do buzi smoczek; próbuje ignorować wzrok kobiety. Żałuje, że brak jej odwagi, by wytłumaczyć kobiecie, że doskonale wie, że mleko matki jest lepsze, ale ona mleka już nie ma. Jej ciało nie może już wykarmić syna.

Will prawie wypił zawartość butelki, gdy dzwoni telefon Francie. To Colette.

– Dobrze, że dzwonisz – mówi Francie, czując przyływ ulgi.
– Czekałam, aż się odezwiesz.

– Wiem. Przepraszam.

– No i? – pyta Francie. – Czego się dowiedziałaś?

– Niczego.

– Niczego? Jesteś pewna?

– Posłuchaj, Francie. Musisz przestać do mnie pisać na ten temat. Nie masz pojęcia, jakie miałabym kłopoty, gdyby ktoś tutaj się dowiedział, co zrobiłam.

– Wiem. Przepraszam. Ale nie rozumiem. Zajrzałaś do tej

teczki?

– Tak.

– No i?

– Nie było nic na temat tego Archiego.

Francie wzdycha z irytacją.

– Nic? Jak to możliwe? Czy Mark Hoyt ma w nosie swoje obowiązki? Czy naprawdę nie zamierza znaleźć tego faceta i go przesłuchać?

– To nie znaczy, że tego nie zrobił. Po prostu w teczce nic o tym nie było. To nie wszystko. Cholera, Francie, muszę...

– Okej, ale poczekaj. A ten facet, z którym Winnie rozmawiała w barze? Jest coś o nim?

– W teczce nie ma nic nowego. – Francie słyszy w tle jakieś głosy. – Muszę iść – mówi Colette i się rozłącza.

Francie jest na skraju łez, a gdy wstaje, robi jej się słabo. Była zbyt zdenerwowana, żeby zjeść coś rano, i teraz zastanawia się, czy czegoś nie zamówić, ale na myśl o jedzeniu skręca jej się żołądek. Wychodzi z kawiarni i kieruje się w stronę wyjścia, ale po chwili zdaje sobie sprawę, że poszła w złą stronę. Wracając tą samą trasą, gubi się w skomplikowanym labiryncie stoisk, nie wiedząc, gdzie jest wyjście. Will zaczyna płakać i Francie szybkim krokiem rusza w stronę działu z dywanami, gdy nagle drogę tarasuje jej kobieta z wózkiem.

– Przepraszam – mówi Francie, starając się ją wyminąć, ale potem zerka na twarz kobiety i się zatrzymuje. – Scarlett.

Scarlett patrzy na nią zmieszana i Francie zaczyna czuć się niezręcznie. Scarlett jej nie rozpoznaje.

– To ja, Francie.

Scarlett chichocze nieporadnie.

– Oczywiście. Przepraszam. Umysł mi się wyłączył na chwilę. Powiedziałabym, że to ciężowa demencja, ale chyba już za późno na takie usprawiedliwienia. – Scarlett spogląda na Willa, który wierci się w nosidełku, płacząc coraz głośniejszym głosem. – Jak tam zatkaany kanalik mlekowy? Ziemniaki pomogły?

– Tak – kłamie Francie, nie mając siły wysłuchiwać kolejnych rad.

– Oj, to się cieszę. I nadal zero kofeiny?

Francie się waha.

– Zero. Od tygodnia. Jak się masz?

– Jestem wykończona. Albo dziecko, albo przeprowadzka. Nie mam dla siebie chwili. – Scarlett zerka pod koczek na wózku i ścisza głos. – Śpi już dwie godziny, dzięki Bogu.

– Dwie godziny? Will nigdy jeszcze tyle nie przespał w ciągu dnia.

Scarlett unosi brwi.

– Nigdy? A jesteś pewna, że przed zaśnięciem najada się do syta?

– Tak – odpowiada Francie. – Tak mi się wydaje.

Scarlett kiwa głową, ale Francie dostrzega samozadowolenie na jej twarzy.

– Mam szczęście, że trafił mi się ten mały mężczyzna. Od początku sypia jak suseł.

Francie kwituje tę informację skinieniem głowy.

– Robisz zakupy do nowego domu? – sili się na pytanie.

– Tak. – Scarlett przebiega palcami po splocie leżącego obok dywanu. – Mąż wciąż powtarza, że sprzedają tu samą tandetę. Ma rację. Powinnam robić zakupy gdzieś w centrum. – Francie kołysze płaczącego Willa. – A co u ciebie? Brakuje mi naszych spotkań.

– Mnie też – mówi Francie łamiącym się głosem. – Jakoś się nie składało od czasu tej historii z Midasem...

Scarlett przymyka powieki.

– Robi mi się słabo, gdy o tym myślę. Nie mogę sobie wyobrazić, przez co przechodzi Winnie.

– Wiem. – Zanim zdoła się powstrzymać, Francie roni łzę. – Szczerze mówiąc, jestem teraz trochę przyłoczona tym wszystkim. Mały co chwila budzi się w nocy i to ja muszę się nim zajmować, bo Lowell musi się wyspać. Nasze mieszkanie jest takie ciasne. – Śmieje się. – Z pewnością nie jest to pięciopokojowy dom na przedmieściach. A potem, gdy już zaśnie, to ja nie mogę zasnąć, bo myślę o Midasie. Musi być jakieś wytłumaczenie tego, co się stało, prawda? Jak się dostali do środka albo dlaczego w ogóle ktoś miałby porywać dziecko. – Wie, że powinna przestać mówić, ale słowa same cisną jej się do ust. – Policja wszystko spartaczyła, nie sądzisz? Ten Hoyt. Chyba sam nie wie, co robi. Nie chcę wierzyć, że Midas nie żyje. Właśnie dzwoniła Colette. Robimy wszystko co w naszej mocy, by to rozszyfrować. – Chce powiedzieć Scarlett, że Colette była jej ostatnią nadzieją, jeśli chodzi o znalezienie Archiego Andersena, że wiele razy przeczesywała internet, żeby go namierzyć, sprawdzić, czy kiedykolwiek siedział w więzieniu, czy nadal mieszka w Nowym Jorku, czy to możliwe, by tamtej nocy znajdował się w pobliżu domu Winnie. Wyciąga wilgotną

chusteczkę z torby z pieluchami i wyciera nos. – Pewnie też nie jem wystarczająco dużo. Masz ochotę coś przekąsić albo przynajmniej wypić kawę? Miło by mi było, gdybyś mi towarzyszyła...

Gdy z powrotem podnosi wzrok na Scarlett, czuje tylko zażenowanie. Koleżanka przygląda jej się z przerażeniem wymalowanym na twarzy. Francie wbija wzrok w ziemię, upokorzona. Ależ ja muszę wyglądać – myśli – w poplamionej i pogniecionej bluzce wyciągniętej z kosza na pranie, z potarganymi włosami, becząca pośród ikeowskich dywanów.

– Przepraszam – mówi Francie. – Nie chciałam cię tym obarczać...

– Wszystko w porządku. Chętnie napiłabym się kawy – odpowiada Scarlett z bladym uśmiechem i litościwym spojrzeniem. – Ale za godzinę mam spotkanie z ekipą przeprowadzkową.

– Jasne. Rozumiem.

– Ale może spotkamy się na lunch? Jeszcze w tym tygodniu. W parku? – rzuca Scarlett i zaczyna odchodzić. – Przez najbliższe kilka dni będziemy jeszcze jeździć wte i wewte między Brooklynem a nowym domem, ale napiszę do ciebie.

Francie żegna się i odchodzi w przeciwnym kierunku, wrzucając paczkę różowych serwetek, które zamierzała kupić, do kosza z plastikowymi szczypcami do sałaty. Znajduje drogę do kas, wymija klientów pchających ciężkie wózki wyładowane długimi tekturowymi pudłami i wychodzi na skwierczący chodnik. Podbiega do autobusu po drugiej stronie ulicy.

Zajmuje miejsce z tyłu, przyciska głowę do szyby, starając się

zdusić poczucie wstydu. Po co, u licha, to zrobiła? Scarlett jest taka poukładana, taka pewna siebie – dom w Westchester, nowe meble, idealne dziecko, idealne życie. A ona? Szłocha w Ikei, nie potrafiąc uspokoić swojego dziecka, mając za męża człowieka, który nie zgadza się na zakup nowego klimatyzatora ani nowego wózka, choć w tym podarowanym przez jego ciotkę dwa dni temu zepsuły się hamulce. Oczami wyobraźni widziała, jak traci kontrolę nad wózkiem: Will jest w środku, wózek stacza się ze wzgórza, zbyt szybko, by go złapać, wpada na ulicę. Gdy Lowell zadzwonił wczoraj z biura, wpadła w panikę, żądając, by w drodze do domu zatrzymał się w Targocie i natychmiast kupił nowy. Odmówił.

Kołysanie autobusu działa na Willa uspokajająco, a Francie grzebie w torbie w poszukiwaniu puszki ciepłej coli dietetycznej z rana. Opróżnia ją, zastanawiając się, czy powinna rozważyć wczorajszą propozycję Lowella. Leżeli w łóżku, Will między nimi, Lowell nagle stwierdził, że powinna pójść do lekarza. „To pomysł mojej mamy – powiedział. – Dzwoniłem do niej dzisiaj. Uważa, że może są jakieś tabletki na te swoje lęki i mazgajstwa”.

„Nie potrzebuję tabletek – odparowała Francie. – Chcę, żeby znaleziono Midasa. Muszę pomóc temu dziecku wrócić do matki”.

Na pustym miejscu obok siada jakiś mężczyzna, więc Francie przysuwa się do okna. Nie chce już więcej myśleć – ani o Lowellu, ani o Scarlett, ani o opiniach swojej teściowej. Wyjmuje telefon z torby i sprawdza pogodę – przez kilka następnych dni będzie ponad trzydzieści stopni – a potem loguje się do Facebooka. Przebiega wzrokiem po przesłanym przez Yuko albumie zdjęć ze „Wspólnego wypadu”. Do tej pory nie miała odwagi do niego

zajrzeć, ale teraz, chcąc zająć czymś myśli, postanowiła go otworzyć. Yuko i Gemma stojące przy poręczu na patio Wesołego Lamy. Nell i Colette stukające się kieliszkami. Francie wstrzymuje oddech na widok zdjęcia Winnie – siedzi przy stole, z brodą wspartą na dłoni. Jest jeszcze jedno: na tle zachodzącego słońca patrzy na tłum, z dziwnym, niemal rozmarzonym wyrazem twarzy.

Nagle Francie dostrzega w tle plamę jaskrawego karmazynu.

Powiększa zdjęcie palcami. Czerwona czapka bejsbolowa.

To mężczyzna, z którym rozmawiała Winnie. Stoi na uboczu, z drinkiem w ręku. Jest jeszcze na innym zdjęciu, na którym wyraźnie widać jego twarz. Nie tylko stoi. On patrzy w ich stronę, obserwuje je, a wzrok ma skierowany wprost na Winnie.

– Przepraszam – mówi Francie do mężczyzny na siedzeniu obok, gdy kwadrans później autobus zatrzymuje się na jej przystanku.

Przechodzi nad jego nogami, wysiada i pośpiesznie kieruje się w stronę domu. Drzwi wejściowe są uchylone. Przynajmniej cztery raz prosiła Lowella, żeby naprawił zasuwkę. Nie jest bezpiecznie. W środku w korytarzu na chybottliwym drewnianym stoliku leży stos listów, a wśród nich wyciąg z karty kredytowej i duża koperta z imieniem Francie wypisanym na zielono wielkimi literami. List z banku wsuwa do torby na pieluchy, zdając sobie sprawę, że musi znaleźć jakiś sposób na zapłacenie stu dolarów wydanych na ubranka dziecięce u Cartera, jeszcze zanim się dowiedziała, że Lowell nie dostanie pracy remontowej, a drugą kopertę ignoruje – matka pewnie przysłała strój na chrzest, bo adres napisany jest znajomym charakterem pisma. Biegiem pokonuje trzy kondygnacje schodów, spod stosu przepisów kulinarnych wygrzebuje laptopa.

Kołysząc stopą bujany fotelik Willa, otwiera Facebook i jeszcze raz zagląda do albumu zdjęć Yuko.

Tak.

To on. Facet, z którym rozmawiała Winnie. Francie uważnie studiuje wszystkie zdjęcia, szukając go w tle. Nie może się powstrzymać, by znowu nie zerknąć na zdjęcia Winnie. To nieobecne spojrzenie. Obiektów uchwycił ją w momencie, gdy patrzyła na swój telefon. Dziwne, ale Francie stara się o tym nie myśleć. Chce się skupić na dobrych wiadomościach.

Ma już plan.

ROZDZIAŁ 14

DZIEŃ ÓSMY

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 12 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 59 DNI

Być może zostało Ci jeszcze kilka kilogramów do zgubienia. Nie pozwól, by pociągowa waga wpędzała Cię w zły nastrój. Po prostu wstań z fotela! Weź wózek (i może kilka koleżanek z klubu mam) i żwawym krokiem rusz na spacer po parku. Między posiłkami przegryzaj warzywa i owoce. Powoli przeżuwasz kęsy. Unikaj węglowodanów. Zanim się spostrzeżesz, znowu będziesz mogła włożyć swoje stare dzinsy.

Colette siedzi przy wyspie kuchennej. Charlie kładzie dłoń na jej nabrzmiącej piersi.

– Charlie, daj spokój – mówi Colette, odtrącając go. – Nie teraz. Muszę pracować.

– Wiem – mamrocze Charlie. – Ale mała właśnie zasnęła, a ty znowu pracowałaś do późna. Zasłużyłaś na ustawowy kwadrans przerwy na kawę. – Przesuwa dłonią po jej brzuchu, zatapia ją w bawełnianych spodniach od pidżamy i muska wewnętrzną stronę

jej ud. – Nie zmuszaj mnie, bym musiał donieść na tajnego współpracownika burmistrza, że nie przestrzega kodeksu pracy.

Colette wije się, oswobodzając z jego ramion.

– Charlie, proszę, przestań. Muszę skończyć ten rozdział.

Charlie wstaje, wzdychając.

– Kochanie, wykończysz mnie. To już trzy miesiące.

– Wiem.

– Musimy to jakoś przełamać.

Colette obraca się w stronę męża, starając się ukryć irytację.

– Charlie, wiem. Ale akurat teraz? Pracuję. Gdy ty piszesz, nie wchodzę do twojego pokoju i nie próbuję cię uwieść.

Charlie się śmieje.

– Wiesz co, skarbie? Gdyby kiedykolwiek naszła cię ochota, by wejść do mojego pokoju i mnie uwieść, gdy piszę, błagam, nie powstrzymuj się. Nawet gdybym rozmawiał przez telefon z wydawcą. Nawet gdyby byli tam moi rodzice. Nawet gdyby sam papież udzielał mi audiencji. Przerwę rozmowę i natychmiast, niezwłocznie i na miejscu sprawię ci rozkosz, i to w niewyobrażalnie spektakularny sposób.

Colette uśmiecha się.

– Dobrze wiedzieć.

– Chcesz spróbować? Przekonać się, czy nie kłamię?

– A jest u ciebie papież?

– Nie.

– No to chwilowo nie jestem zainteresowana.

Colette wyciąga nogę i muska palcami jego stopę.

– Przepraszam. Muszę się skupić. Przed chwilą sprawdzałam

synonim do słowa „chodzić”. Idzie mi opornie.

Charlie odsuwa stopę, podchodzi do lodówki i wyjmuję butelkę mleka, którą przygotowała wcześniej.

– Wychodzisz? – pyta Colette.

– Tak.

– Gdzie ją zabierasz?

– Pobiegać.

– Przejmę ją po powrocie. Spotkanie nie powinno potrwać długo.

Charlie potakuje skinieniem głowy.

– Weź żółty kapelusik od słońca – rzuca Colette. – Reszta jest za duża.

– Aha.

– Masz krem z filtrem?

– Aha.

– Podobno w ciągu dnia upał ma się nasilić.

– Wiem – mówi Charlie i zamyka lodówkę, stojąc tyłem do Colette. – Wiem, jak się zajmować własną córką.

– Jesteś na mnie zły?

– Aha. – Charlie odwraca się, rozdrażniony. – To strasznie frustrujące.

– Rozwiedziesz się ze mną?

Charlie nie może się powstrzymać, by nie zachichotać.

– Owszem, rozwiodę.

– A zostawisz mi ekspres do kawy?

Charlie stawia butelkę na blacie i podchodzi do Colette.

– Nie.

– No to może chociaż kawiarkę?

– Ustal to z moim prawnikiem.

– Kochasz mnie?

– Bardzo. Ale straszny z ciebie uparciuch. – Nachyla się i całuje ją w czoło. – Do zobaczenia.

Colette nalewa sobie świeżej kawy i podchodzi do okna, wygląda na ulicę – ze zmęczenia zbiera jej się na mdłości. Większą część nocy spędziła przy bujaku Poppy, zapadając w urywany sen między karmieniami, choć wie, że powinna położyć małą do łóżeczka, by ta przyzwyczała się do zasypiania sama, jak zalecają wszyscy eksperci, nawet jeśli trochę by przy tym popłakała. Ale Colette nie potrafi się do tego zmusić. Instynkt każe jej być przy dziecku, pozwolić córce przespać w swoich ramionach choćby całą noc.

Wizyta u pediatry nie przebiegła najlepiej. „Jest trochę opóźniona – orzekł lekarz. – W górnej części ciała ma obniżone napięcie mięśniowe, zwłaszcza po prawej stronie. Niepokoi mnie też to, jak trzyma głowę”.

„Co to znaczy?” – spytała Colette, tuląc Poppy do piersi.

„Za wcześnie na wnioski. Możemy ją tylko obserwować. Proszę wrócić za trzy miesiące”.

„Za trzy miesiące? Dlaczego tak długo? Wcześniej nie da się nic zrobić?”

„Nie w tym wieku. Musimy czekać i obserwować. Dzieci z tego wyrastają”.

Charlie wychodzi na chodnik przed domem. Poprawia słuchawki i zaczyna biec powoli, pchając wózek w stronę parku. Zareagował

na wiadomość tak, jak się spodziewała. Ze spokojem.

„No dobra, to pokażemy mu ją znowu za trzy miesiące – powiedział. – Jeśli lekarz powie, że należy się martwić, to zaczniemy się martwić”.

W chwili gdy Charlie, nie czekając, aż zmieni się światło, stawia stopę na przejściu dla pieszych, nadjeżdża samochód. Colette wstrzymuje oddech. Charlie cofa się na chodnik, wrzeszcząc coś do kierowcy. Gdy w końcu znajduje się po drugiej stronie ulicy, zaczyna biec w kierunku kamiennego muru. Colette zasłania okno, stawia kawę na stole i nachyla się przed sofą, wyjmując spod niej kopertę z pamięcią USB.

Wsuwa ją do wewnętrznej kieszonki torby, a potem wchodzi pod prysznic. Stoi długo w strumieniu chłodnej wody, starając się rozbudzić i oczyścić umysł; zmyć z siebie myśli, które dręczą ją od wczoraj. Znaleźli ciało.

Informacje były skąpe – notatka od Marka Hoyta wieńcząca stos dokumentów. „Szczątki znaleziono wczoraj około piątej po południu. Przesłano je do laboratorium, identyfikacja ma zostać przeprowadzona do jutra do 12.00. Będziemy informować na bieżąco”.

Colette zamyka oczy, przypominając sobie sen z ostatniej nocy. Winnie stoi na łące nad ciałem Midasa, tyłem do Colette. Colette podchodzi bliżej, już ma położyć dłoń na ramieniu koleżanki, ale Winnie się odwraca i Colette widzi, że to wcale nie Winnie. To Francie stoi nad Midasem.

Zakręca prysznic i szybko się ubiera. Gdy godzinę później wchodzi na czwarte piętro ratusza, Allison nie ma przy biurku.

Colette czeka przez kilka minut w holu, a potem idzie do gabinetu Teba i zagląda do środka. Pusto. Bezgłośnie stawiając kroki na dywanie, podchodzi do komody, wyjmując z torby pamięć USB. Już ma ją rzucić na podłogę pod rzędem krzeseł, gdy zza biurka Teba wstaje Allison.

– Hej – mówi.

– O Boże. – Colette zaciska pięść na pamięci. – Ale mnie wystraszyłaś.

– Przepraszam – mówi Allison, kładąc dłoń na podbrzuszu. – Trochę mi się zakręciło w głowie.

– Co robisz? – pyta Colette.

Allison wzdycha.

– Słuchaj, czy to możliwe, że ktoś przyszedł i zabrał coś z biurka burmistrza, gdy tu pracowaliście?

– Zabrał coś? – Colette chrząka. – Nie, nic takiego sobie nie przypominam.

– Cholera.

– Co się stało?

– Nic takiego. Przysięgłabym, że zostawiłam tutaj coś dla burmistrza, ale nie mogę znaleźć. Jest na mnie wściekły.

– Pomogę ci szukać – proponuje Colette. – Co to było?

Allison macha ręką.

– Nie wygłupiaj się. Masz dość własnych zmartwień. Ale – marszy czoło – muszę cię poprosić, żebyś zaczekała na zewnątrz. Nie wolno mi tutaj nikogo wpuszczać pod nieobecność Teba. Pewnie nie chodziło mu o ciebie, ale już i tak sobie nagrabiłam, więc...

– Oczywiście – mówi Colette. – Zaczekam na zewnątrz. Nie ma problemu.

Colette idzie za Allison z powrotem do holu. Za sofami, przed wielkimi oknami z widokiem na City Hall Park, młody mężczyzna montuje podium, a obok czeka inny ze znużoną miną, trzymając tekturowe godło miasta. Colette siada na jednym z obitych skórą foteli i wrzuca pamięć USB do torby akurat w chwili, gdy zjawia się Allison z dużą kopertą w ręku.

– Przyszło do ciebie.

Imię i nazwisko Colette jest napisane zielonymi drukowanymi literami, a pod spodem widnieje adres ratusza. Kto mógł wysłać do niej list do biura burmistrza? Nikt nie ma prawa nawet wiedzieć, że ona tu bywa.

– Kiedy? – pyta Colette.

– Wczoraj pod koniec dnia.

Colette bierze kopertę i wsuwa ją do torby.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że nie będziesz czekać długo, ale szczerze mówiąc, nie wygląda to dobrze. – Allison ruchem głowy wskazuje dwóch mężczyzn siedzących na podium. – Dzieją się tu dziś dziwne rzeczy.

Allison wraca do swojego biurka, a Colette rozsiada się wygodnie w fotelu, zaniepokojona przesyłką. Coś jej mówi, że nie powinna jej teraz otwierać. Nie tutaj, nie przy ludziach.

Przez następne pół godziny bezmyślnie przegląda stare wydania „New Yorkera”. W końcu słyszy kroki w korytarzu. Do holu wchodzi Aaron w towarzystwie jakiejś kobiety w ciemnoszarej

garsonce. Colette zauważa wyrzucenie pistoletu w kaburze przy jej talii. Ma wrażenie, że gdzieś już ją widziała.

– Do widzenia – mówi kobieta do Allison i na dźwięk jej głosu Colette sobie przypomina. To policjantka, która przesłuchiwała Winnie. Ta, którą widziała na nagraniu. Znika w windzie w chwili, gdy Aaron podchodzi do Colette, z telefonem w jednej ręce i pękata teczką w drugiej. Colette wstaje, ale Aaron daje jej znak, by jeszcze usiadła.

– Jeszcze nie. Przepraszam. Coś nam wypadło. Burmistrz przeprasza. Daj nam jeszcze dziesięć minut.

– Mogę przyjść innym razem.

– Nie, jakoś cię zmieszczę dzisiaj – mówi Aaron, zerkając nad ramieniem Colette na Joan Ramirez, rzeczniczkę prasową burmistrza, stojącą przed drzwiami do jego gabinetu. Kiwa w jej stronę głową. – Jeszcze dziesięć minut.

Dotyka ramienia Colette i odwraca się, by odejść, ale teczka wysuwa mu się z ręki, a dokumenty rozsypują na podłodze przy nogach Colette. Colette pochyla się, by je pozbiierać, ale dłoń zamiera jej w pół drogi.

Zdjęcie Midasa. Colette podnosi je i ogląda. Ma na sobie śpioszki w szare paski i ssie piąstkę. Leży na czymś w rodzaju białego dywanika.

– Colette?

Aaron trzyma wysuniętą dłoń. Colette wstaje i podaje mu zdjęcie.

– Dzięki – rzuca Aaron, puszczając do niej oko.

Prowadzi Joan do gabinetu burmistrza, a Colette siada. Ściany

wirują jej przed oczami. Opiera czoło na dłoniach, powstrzymując ochotę, by schować głowę między kolanami, jak w drugiej klasie podstawówki radził jej kierowca autobusu, gdy zauważył, że z powodu mdłości aż pozieleniała. Znalezione szczątki. To zdjęcie. Policjantka. Konferencja prasowa, którą przygotowują.

Midas nie żyje. O co innego mogłoby chodzić? Słyszysz głos Teba i podnosi wzrok. Idzie w jej stronę.

Colette wstaje, trzymając torebkę blisko ciała.

– Mam złe wieści, Colette – mówi Teb poważnym głosem. – Jest coś, czym muszę się tu zająć. Naprawdę mi przykro.

– Co takiego? – pyta, ale właśnie wchodzi Aaron z dzwoniącą komórką. Sięga do kieszeni marynarki.

– Tak? – mówi do telefonu. I za chwilę: – Okej, niech będzie. – Rozłącza się.

– Właśnie przyjechał komisarz Ghosh, proszę pana. Idzie już na górę. – Aaron zerka na podium przed oknami, a potem z powrotem na Teba. – Może zmieniłby pan krawat. Na coś mniej ponurego.

Teb potakuje skinieniem głowy i wraca do gabinetu.

– Przepraszam, Colette – mówi Aaron, prowadząc ją do windy i naciskając przycisk. – Wiem, że to pewnie strasznie frustrujące, gdy zdarzają się takie rzeczy, ale nie na wszystko mamy wpływ. Taka praca. – Drzwi windy się otwierają i staje z nich Elliott Falk z „New York Post”.

– Allison zadzwoni do ciebie z nowym terminem – mówi Aaron.

Drzwi się zamykają. Na dole Colette wypada na ulicę i zatrzymuje taksówkę. Wsiada i zatrzaskuje drzwi.

– Dokąd?

– Na Brooklyn – mówi, ślizgając się na rozpalonej, popękanej skórze siedzenia. – Prospect Park West.

Naciska przycisk telewizora i uruchamia ekran, samochód wypełnia głośna muzyka z reklamy materaca. Taksówkarz trąbi, wjeżdżając na most Brooklyński. Telewizja nadaje jakiś program o gotowaniu: jak sprawić, by dzieci jadły więcej warzyw. Kierowca włącza radio, zagłuszając telewizor. Słucha wiadomości.

Colette nachyla się do przodu.

– Słyszał pan coś o Midasie, tym porwanym dziecku?

– Tym z bogatej rodziny?

– Tak.

– Nie żyje – odpowiada kierowca. – Wygląda na to, że zabił je były chłopak matki.

– Nie... – Colette wydaje z siebie zdławione jęknięcie. – Gdzie pan to słyszał?

– Od żony. Wczoraj mi mówiła. – Krzywi się. – Dostała obsesji na punkcie tej sprawy.

Telefon Colette sygnalizuje nadejście mejla. To Nell.

MUSZĘ się z Tobą zobaczyć. Spotkajmy się o 5.00 w The Spot. Wyjdę z pracy wcześniej. O 6.00 muszę odebrać Beatrice.

Nie mogę – odpisuje Colette. Nie dzisiaj.

Trzy kropki. Nell odpowiada natychmiast: PROSZĘ. To ważne. Colette kładzie telefon na kolanach i zamyka oczy. Pamiętaj o oddechu. Wyobraża sobie położną, która klęczała przed nią w najgorszych momentach porodu, raz po raz powtarzając te właśnie słowa: Wszystko sprowadza się do oddechu.

Mówię poważnie – pisze Nell. Musimy porozmawiać.

Dobrze, będę.

– Przepraszam – mówi kierowca piętnaście minut później.

– Jesteśmy na miejscu.

Colette wchodzi do mieszkania. Charlie robi w kuchni kanapki.

– Już wróciłaś? – pyta.

Colette rzuca torbę przy drzwiach, ścisza muzykę i włącza telewizor. Nerwowo przeskakuje z kanału na kanał.

– Co robisz?

– Burmistrz ma konferencję prasową. Chyba chodzi o Midasa...

Na kanale informacyjnym widzi Teba stojącego na podium, podnoszącego rękę, by uciszyć dziennikarzy. „Szczątki odnaleziono w lesie około kilometra od domu Winnie Ross, na jej posiadłości w północnej części stanu Nowy Jork. Ponieważ ciało zostało spalone, zwróciliśmy się do FBI o pomoc w identyfikacji”.

– Nie. – Charlie staje obok Colette i bierze ją za rękę. – Znaleźli Mid...

– Ciii...

„Dziś po południu potwierdzono, że szczątki należą do Hectora Quimby’ego, wieloletniego pracownika państwa Ross. – Teb zerka na notatki. – Przez ostatnie trzydzieści lat pan Quimby pracował jako ogrodnik na posiadłości Rossów, jak również opiekował się brooklińskim domem rodziny, z którego porwano Midasa w nocy czwartego lipca. – Na ekranie miga zdjęcie. Mężczyzna pod siedemdziesiątkę, z siwymi włosami, siwymi wąsami i przymglonymi błękitnymi oczami. – Nie wiemy jeszcze, czy istnieje związek między śmiercią pana Quimby’ego a porwaniem

Midasa Rossa, ale prowadząc śledztwo, zakładamy, że takowy istnieje”.

„Jak znaleziono ciało?” – woła któryś z dziennikarzy.

„Śledczy z FBI i Policji Miasta Nowy Jork zostali doprowadzeni do zwłok pana Quimby’ego – Teb odkasłuje – przepraszam, zostali doprowadzeni do zwłok pana Quimby’ego przez psy policyjne, tropiące zapach Midasa Rossa”.

Colette uwalnia dłoń z uścisku męża.

– Potrzebuję chwili.

Idzie do kuchni, chwytając torbę i zamyka za sobą drzwi łazienki. Siada na toalecie i rozrywa kopertę. Nie widać nigdzie nadawcy. Nie ma listu. Nie ma podpisu. Jest tylko jedna kartka.

Zdjęcie policyjne.

Nastolatek. Nie ma jeszcze zmarszczek pod oczami ani siwych pasm w koziej bródce. Wyzywająco patrzy w obiektyw. Tabliczka identyfikacyjna, którą trzyma przy piersi, informuje o jego dacie urodzenia i miejscu aresztowania, ale nie o zarzutach ani nazwisku.

Nie ma jednak wątpliwości, że to on. Rodzyn.

Francie wciąga brzuch, widząc mężczyznę idącego w jej stronę, ale ten mija ją i siada na drugim końcu baru. Francie znowu sprawdza godzinę: 15.32. Spóźnia się trzydzieści dwie minuty. Może skłamał. Może nie przyjdzie.

– Jeszcze jeden kieliszek zinfandela?

Francie poprawia głęboko wycięty dekolt, czując na sobie wzrok barmana.

– Chyba tak – odpowiada, zerkając na wiadomość przysłaną

przez teściową, Barbarę, kilka minut temu, z dołączonym zdjęciem Willa leżącego na kocyku w parku. Świetnie sobie radzimy. Mam nadzieję, że sesja zdjęciowa idzie dobrze. Powodzenia!

Drżącą ręką podaje barmanowi dziesięciodolarówkę, myśląc o porannej kłótni z Lowellem, po tym jak wyszedł z sypialni i zastał Francie na kanapie, karmiącą Willa butelką, powstrzymującą łzy.

– O co chodzi tym razem? – spytał.

– A dlaczego ma o coś chodzić?

– Wyglądasz na zdenerwowaną.

– Ale nie jestem.

– Francie...

– To nic takiego. Nie chcę o tym rozmawiać.

Nie może powiedzieć mężowi, co ją gnębi: że zadzwoniła wczoraj do Marka Hoyta, by poinformować go o tym, jak natrafiła na zdjęcia mężczyzny, który zaczepił Winnie w Wesołym Lamie.

„Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to ja mam wykonywać wasze zadania – powiedziała, dziwiąc się, że jej głos potrafi brzmieć tak władczo. – Ale trudno. Prześlę je wam, chyba że dla bezpieczeństwa wolicie, bym przekazała je bezpośrednio któremuś z policjantów?”

„Niech pani posłucha – powiedział Hoyt. – Proszę się nie zajmować tą sprawą”.

„Nie zajmować się tą sprawą? Czy pan...?”

„Słyszała pani. Niech pani da sobie spokój. Znajdzie jakieś zajęcie. Zabierze dziecko na huśtawkę. A może przejdzie się do doktora. Upewni, że wszystko z nią w porządku. A nam pozwoli pracować”.

„Przejsć się do... – Francie nie może powstrzymać śmiechu. – Czy macie w ogóle pojęcie, jak schrzaniłście tę robotę? Czy w ogóle was interesuje, że gdzieś tam jest noworodek, który chce wrócić do mamy? Mam się przejść do doktora? Wolne żarty. Nie potrzebuję kolejnego...”

„Do widzenia, pani Givens”.

Oczywiście, że nie mogła tego powiedzieć Lowellowi, który stał oparty o blat kuchenny, z rękoma splecionymi na piersi i patrzył na nią jak na wariatkę.

„Zaczynam się o ciebie martwić, Francie”.

Robi jej się teraz słabo, gdy myśli o tym, co powiedziała mu potem, gdy się ubierał, jak oskarżyła o bycie zimnym i nieczułym, jak odwróciła się od jego ust, gdy chciał ją pocałować, wychodząc po matkę na lotnisko (jak się okazało, nie pytał jej o zdanie, zadzwonił do Barbary i poprosił, żeby ta przyjechała z Tennessee na kilka dni, mówiąc jej, że Francie jest przytłoczona nadmiarem obowiązków i przydałaby jej się pomoc przy dziecku). Francie nie znosi, gdy się kłóć. Wcześniej prawie wcale im się to nie zdarzało, ale teraz, od kiedy pojawiło się dziecko, irytuje ją wszystko, co robi mąż. Zdaje sobie sprawę, że musi go przeprosić, zwłaszcza gdy na sofie w salonie śpi Barbara, słysząc każde wypowiedane przez nich słowo.

Sięga po telefon, ale nagle czuje na talii czyjeś dłonie. Odwraca się, zdumiona, jaki jest przystojny z bliska: lodowato niebieskie oczy, ostro zarysowana szczęka, ciemne włosy pod jasnoczerwoną czapką bejsbolową. Zanim zdąży powiedzieć „Cześć”, on podnosi ją z siedzenia i przyciąga do siebie, całując w sposób, w jaki nikt od

dawna jej nie całował, sprawiając, że zapomina o Lowellu.

Mężczyzna się odsuwa.

– To z tobą miałem się spotkać, tak?

– Tak. Cześć. – Francie wstydzi się nerwowego drżenia w głosie.

Mężczyzna siada na stołku obok i gestem przywołuje barmana, zamawia piwo i whiskey, nie proponując jej drinka.

– Przepraszam za spóźnienie. Coś mi wypadło.

Jednym haustem opróżnia szklaneczkę whiskey i poprawia łykiem piwa. Francie obrzuca go wzrokiem i sięga po kieliszek wina. Miała rację. Mężczyzna ma trzydzieści parę lat, tyle samo, ile miałby teraz Archie Andersen. Zamawia jeszcze jednego drinka. Francie patrzy, jak ściska szklanekę, jak T-shirt napina mu się na bicepsie. Jest potężniejszy, niż wydawał się w Wesołym Lamie.

– Masz superstyl – mówi mężczyzna, ocierając usta wierzchem dłoni.

Francie unosi brwi.

– Masz na myśli moją sukienkę?

Jego wzrok wędruje z piersi Francie na szyję, potem na jej oczy okolone firaną sztucznych rzęs, które nałożyła godzinę wcześniej w toalecie pobliskiego Starbucksa.

– To też. Ale chodzi mi o to, że nie traciłaś czasu. Wiele dziewcząt pisze do mnie miesiącami, zanim odważy się umówić.

Francie jest dumna z siebie, że tak szybko opracowała ten plan, a wszystko dzięki Nell. Wczoraj, po tym, jak rozmowa z Markiem Hoytem przyniosła rozczarowanie, Francie napisała do Nell mejla:

Wiem, że to tylko przypuszczenia, ale znalazłam zdjęcia tego faceta, który rozmawiał z Winnie w Wesołym Lamie. Możemy jakoś je wykorzystać, by się o nim czegoś dowiedzieć?

Nell, która była w pracy, odpowiedziała siedem minut później: To wszystko, co udało mi się znaleźć. Przepuściłam jego zdjęcie przez aplikację do rozpoznawania twarzy. Ładny chłopak.

Francie otworzyła link. Jego zdjęcie wyświetliło się na stronie Sex Buddies, czymś w rodzaju portalu randkowego. Niewiele o sobie napisał – wzrost, waga i że lubi biuściaste, ale nie podał imienia (chyba że naprawdę nazywa się Doktor Danger).

Co z tym zrobisz? – napisała Nell.

Nic – odpowiedziała Francie. Chcę to mieć tak na wszelki wypadek.

W rzeczywistości jednak następną godzinę spędziła na nakładaniu makijażu, robieniu sobie selfie (starła się wyjść na nich jak najbardziej sugestywnie) i tworzeniu profilu na portalu Sex Buddies. Do zorganizowania tego spotkania wystarczyły trzy mejle wysłane z fałszywego konta pocztowego, które założyła. Po przeczytaniu tego, co ludzie piszą na tej stronie, poczuła się przygnębiona, a potem niezmiernie wdzięczna Lowellowi za życie, jakie mają, za piękną rodzinę, którą zbudowali.

Mężczyzna przysuwa się bliżej.

– Pachniesz bosko – mówi.

– Dziękuję. Ale może najpierw mi się przedstawisz?

– Przedstawię? A jak byś chciała, żebym miał na imię?

– Jak bym chciała, żebyś miał na imię?

– No... – Jego oddech czuć tytoniem. – Możesz mi nadać każde imię, jakie tylko chcesz.

Francie udaje, że się nad tym zastanawia.

– Myślę, że pasuje do ciebie Archie.

Mężczyzna parska śmiechem.

– Jak ta postać z kreskówki?

Nell też się śmieje, próbując ukryć rozczarowanie. To nie może być on. Nie zareagowałby tak, gdyby odgadła jego imię, no chyba że jest oscarowym aktorem.

– Archie. Podoba mi się.

– To świetnie.

I tak dobrze, myśli Francie. Może nie jest Archiem Andersenem, ale i tak odpowie mi na kilka kluczowych pytań: dlaczego podszedł do Winnie, o czym rozmawiali, gdzie Winnie się potem udała.

– A ty możesz być Veronicą – mówi on. – Brakuje nam jeszcze Betty.

Zerka na coś za jej plecami i bez słowa ujmuje jej dłoń, ściąga ją z taboretu i prowadzi na tył baru.

Francie nadąza za nim z trudem, chwiejąc się na szpileczkach, które włożyła na tę okazję, i rozlewając wino na sukienkę. Idą wąskim mrocznym korytarzem cuchnącym uryną do pustego pokoju na zapleczu, ze stołem bilardowym w jednym kącie i sfatygowaną sofą w drugim.

Mężczyzna kieruje się do sofy, przyciąga Francie do siebie, przybliżył usta do jej ucha.

– Tu jest bardziej intymnie – mamrocze, popychając Francie tak, że ta niezgrabnie pada na sofę, rozlewając resztkę wina. „Archie” siada obok i kładzie jej na kolanie zrogowaciałą dłoń, a potem przesuwa ją w górę uda.

– Jeszcze nie teraz – szepcze Francie, zdejmując jego rękę.

Oddycha z ulgą, gdy do pokoju wchodzi dwóch mężczyzn w zakurzonych butach, z narzędziami przy paskach – prawdopodobnie robotnicy z pobliskiej budowy wyszli na fajrant. Francie zastanawia się mimo woli: a co, jeśli jakimś parszywym trafem ją znają? Co, jeśli to koledzy Lowella?

– Mam czterdzieści minut, a potem muszę zmykać do pracy, Veronico – mówi udawany Archie.

Wydaje się poirytowany. Francie nie może go winić. Sex Buddies to nie portal, na którym poznają się ludzie, by podyskutować o wspólnych zainteresowaniach. Zresztą ona też nie ma dużo czasu. Powiedziała Nell, że będzie w The Spot o piątej; Nell koniecznie chce z nią i z Colette o czymś porozmawiać. A w międzyczasie musi zrealizować plan. Plan, który obmyślała całą noc.

Wstaje i przechodząc ponad jego wyciągniętymi nogami, kładzie dłonie na jego udach, jej piersi są kilka centymetrów od jego twarzy, spowijając go obłoczkiem perfum.

– Kupię nam jeszcze jedną kolejkę.

Przy barze Francie walczy z pokusą, by jeszcze raz spojrzeć na zdjęcie Willa w parku, znów mając poczucie winy, że okłamała Lowella i Barbarę, mówiąc im, że zamieściła ogłoszenie na stronie The Village i dostała zlecenie obfotografowania dziewięciomiesięcznego dziecka. Niesie drinki do pokoju z sofą, starając się wyglądać na opanowaną i pewną siebie. Siada obok niego.

– A więc, Veronico. – Znowu zbliża usta do jej ucha. – O czym

chcesz porozmawiać?

Francie długo sączy wino, zanim wypowie słowa, które ćwiczyła rano.

– Muszę się napić. Wyrzucili mnie z pracy.

– Uuu, przykra sprawa. – Zdejmuje czapkę i muska Francie po szyi nosem.

– Tak. Byłam kelnerką. W jednym barze na Brooklynie. Nazywa się Wesoły Lama.

Odsuwa się i opiera o sofę.

– Chodzę tam czasami.

– Żartujesz.

– Wcale nie. Mieszkam kilka przecznic dalej.

– Dziwne. – Francie mruży oczy i bacznie mu się przypatruje.

– O rany, to ty!

„Archie” marszczy brwi.

– Jaki znowu ty?

Francie odstawia szklankę i zwraca się do niego, kładąc mu dłoń na kolanie.

– Byłeś w Wesołym Lamie czwartego lipca?

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę.

– Tak, wychodzi na to, że tak. Skąd wiedziałaś?

– To ty jesteś tym facetem. No proszę, co za zbieg okoliczności!

– Francie śmieje się i daje mu klapsa w kolano. – Moje koleżanki z pracy w to nie uwierzą. Wszystkie o tobie rozmawiamy.

Zbaraniał.

– O mnie? Dlaczego?

– To ty rozmawiałeś z tą kobietą. Z tą Winnie, o której piszą

w gazetach.

– Jaką Winnie?

Francie nie może się nadziwić, jaki jest przekonujący, udając, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

– Gwendolyn Ross. Ta aktorka, której porwano dziecko.

– Kiedy?

– Poważnie? Nie czytasz gazet? Nie oglądasz telewizji?

– Tylko kanały sportowe.

Francie nie może w to uwierzyć. Sama już nie wie.

– Pamiętasz, jak rozmawiałeś przy barze z jedną babką? Bardzo ładną? Może potem wyszliście razem na trochę?

W końcu mężczyzna zaczyna coś kojarzyć.

– Porwano jej dziecko?

– Tak, syna. Nazywa się Midas. Zniknął tamtej nocy.

– O cholera. Słyszałem o tym. W robocie dziewczyny non stop o tym trajkoczą. Midas. Jak grecki bóg. – Odstawia piwo na stół i pochyla się ku Francie ze śmiechem. – Ale jazda. Czekał, aż opowiem o tym moim znajomym.

– Dlaczego? – pyta Francie konspiracyjnym tonem. – Co powiedzą twoi znajomi?

– To oni mnie do tego namawiali.

– Do czego cię namawiali? – Rozbawienie wyparowuje z jej głosu.

– Żeby do niej zagadał. Poderwał ją. – Sprawia wrażenie oniemiałego. – Były tam te mamuski.

– Tak, pamiętam. Przyszła z nimi.

– Moi kumple powiedzieli, że dadzą mi dwadzieścia dolców, jak

wyrwę jedną z nich. Wiesz, tak dla zgrywy. No bo kto na poważnie startowałby do mamuśki? Przyjąłem zakład. Pierwsza, do której podszedłem, odprawiła mnie z kwitkiem, zanim zdążyłem zaproponować jej drinka, ale ta niby Winnie wyglądała na zainteresowaną. – Uśmiecha się drwiąco. – I to nawet bardzo.

Francie upija łyk. Musi zwolnić. Wino mąci jej myśli.

– Więc na początku jej nie znałeś...

– Nie – prycha. – Ale pod koniec, i owszem.

Francie przybiera miękki ton głosu i posyła mu powłóczyście spojrzenie.

– Intrygujące...

Mężczyzna milczy, przyglądając się jej. Ujmuje między dwa palce skraj jej sukienki i składa go w zakładkę, odsłaniając świeżo ogolone uda Francie, połyskujące brzoskwiniowym balsamem do ciała.

– Na pewno chcesz poznać szczegóły? To było kompletne wariactwo.

– Wariactwo to moje drugie imię. – Francie sili się, by jej głos brzmiał zalotnie.

– Naprawdę? Udowodnij mi to.

– Mam ci to udowodnić?

– Taaa... Powiedzmy, że mam w zanadrzu niewiarygodną historię.

– Aha...

– Ale musisz na nią zasłużyć. – Przystawia twarz do jej ucha.

– Zdradzę ci jej kawałek, jeśli mnie pocałujesz.

Napiera na nią, przywiera ustami do jej ust i wpycha język do

buzi. W końcu się odkleja, zostawiając Francie w gardle gorzki posmak piwa.

– Postawiłem jej drinka.

Francie unosi brwi i marszy czoło.

– To nie takie znowu wariactwo.

– Może i nie, ale to dopiero początek. – Wiedzie palcem po obojczyku Francie. – Chcesz usłyszeć więcej?

Francie przytakuje skinieniem głowy, a on wkłada jej rękę pod sukienkę i delikatnie rozsuwa jej nogi. Ściska jej udo, muskając kciukiem skraj jej majtek.

– No mów – wykrztusza Francie nieswoim, dziwnie bezdźwięcznym głosem.

– Zapytałem, czy nie chce pójść do mnie do domu.

Jeden z budowlańców przy stole do bilardu zerka na nich akurat w chwili, gdy rzekomy Archie bierze dłoń Francie i kładzie ją sobie między nogami. Francie czuje, jak twardnieje mu krocze, a on wiedzie jej dłoń w górę i w dół po dzinsie spodni.

– I zgodziła się? Pójść do ciebie? – pyta.

Całuje ją. Gdy odrywa się od jej ust, Francie czuje zawroty głowy. Odór piwa w jego oddechu. Kłujący zarost na brodzie. Nie jego widzi – nie mężczyznę, którego nazywa Archiem – ale nauczyciela przyrody. Pana Colburna.

– No, niestety nie. Powiedziała, że musi wracać do dziecka. Bardzo była z tego powodu niezadowolona.

Francie rozkłada palce szerzej i naciska. Zbiera jej się na mdłości. Zamyka oczy.

– Była niezadowolona?

– Tak.

Wdziera się palcami w jej majtki.

Francie czuje, jakby przygwożdżono jej ręce, czuje drapanie taniego koca na łóżku pana Colburna. Chce krzyczeć, ale nie potrafi wydobyć z siebie głosu.

– Powiedziała, że niczego bardziej nie pragnie, niż pójść teraz do mnie. Dosiąść mnie. – Ręka Francie porusza się coraz szybciej na jego dzinsach. – Że nienawidzi tego ciągłego siedzenia w domu i zamartwiania się o dziecko.

– Tak powiedziała? – szepcze mu Francie do ucha. – Że nienawidzi tego dziecka?

– Coś w tym stylu. Zamknęliśmy się w łazience. Nie potrafiłem odkleić rąk od jej ciała. Było niesamowicie. Powiedziałem jej, żeby przynajmniej została trochę dłużej. Pozwoliła sobie postawić jeszcze jednego drinka.

– I?

– Zaczęła na mnie wrzeszczeć, że musi iść, bo ma obowiązki. Że nie jest taka, jak myślę. Coś o byciu dobrą matką. – Jego oddech na szyi Francie robi się urywany, a ciało się napręża. – Wiele bym dał, żeby ją do siebie ściągnąć. Rzucić na łóżko. Zerwać z niej sukienkę. – Wyjmuje rękę spod ud Francie i przykrywa jej dłoń, zmuszając ją, by poruszała nią szybciej, przymyka powieki, otwiera usta. – Winnie. Mój Boże... Była tak cholernie seksowna.

Francie czuje, jak z kącików oczu spływają jej łzy, gdy mężczyzna jęczy, a jego głęboki niski głos wypełnia pokój.

Tamci się przyglądają. Dwaj mężczyźni przy stole bilardowym. Stoją bez ruchu, z kijami bilardowymi ustawionymi na sztorc jak

widły. Archie najwyraźniej nie zauważa, że Francie płacze, tylko patrzy w sufit, oblizując wargi, oparłszy potylicę na zagłówku kanapy.

– Jej dziecko. Porwane. – Kręci głową, siada i sięga po niedopite piwo. – Jestem pewien, że policja ją magluje. Ta dziewczyna była kompletnie szurnięta.

W umówionej kawiarni Nell siada przy stoliku pod oknem, bierze w dłonie stygnącą herbatę i zaczyna przeglądać zdjęcia, które zrobiła wczoraj Beatrice; dziesiątki zdjęć jej malutkich rączek, miniaturowych stópek, pupci żółciutkiej jak masło, tak słodkiej, że chciałoby się ją schrupać.

Nell znowu zerka na drzwi z nadzieją, że zobaczy w nich Colette i Francie. Niecierpliwi się, bo musi zdążyć odebrać Beatrice ze żłobka; zdaje sobie sprawę, jakie to absurdalne: spędzać godziny na wpatrywaniu się w stopy córeczki i płacić obcym ludziom, by się nią opiekowali.

Wrzuca telefon do torebki, a gdy podnosi wzrok, przy stoliku jest już Colette. Z chusty dla niemowląt zerka mała Poppy. Colette ma zaczerwienione oczy, a na zwykle bladej twarzy siateczkę popękanych naczynek.

– Wszystko w porządku? – pyta Nell.

– Oglądałaś wiadomości? – Colette ciężko opada na krzesło naprzeciw Nell. – Zidentyfikowali zwłoki.

Nell potakuje skinieniem głowy.

– Widziałam to w pracy, w naszej kawiarni. Wszyscy wpatrywali się w ekran. Myślałam, że okaże się, że to Midas. Od

kiedy do mnie wczoraj zadzwoniłaś, byłam przekonana, że to jego ciało.

– Wiem. Ja też. – Colette nachyla się ku Nell. – Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Dostałam to w mejlu... – Nell zauważa przy drzwiach Francie, ze zmrużonymi oczami wpatrującą się w menu wypisane kredą nad ladą. – O dobrze, już jest.

Wstaje i macha do Francie, ze zdumieniem zerkając na jej krótką, obcisłą sukienkę, spod której wystaje czarny koronkowy stanik.

– Oglądałyście? – pyta Francie, podchodząc do stolika. – To o trupie? – Pod oczami okolonymi firaną długich sztucznych rzęs przypominających cienkie kończyny pająka ma smugi rozmazanego tuszu.

Nell kiwa głową.

– Widziałam. To...

Siada.

– A to o Bodhim Mogaro? Wypuścili go.

Podano to do wiadomości kilka godzin temu na konferencji prasowej zwołanej przez Olivera Hooda. Stojąc na schodach aresztu, obok Mogaro, jego żony i matki, Hood zażądał przeprosin od policjantów zajmujących się śledztwem, od komisarza Rohana Ghosha i od burmistrza Shepherd. „Zamierzamy złożyć pozew przeciw Policji Miasta Nowy Jork” – oznajmił.

– Muszę się napić kawy – wzdycha Francie. – I wody.

Nell zauważa, że Francie mówi nieco bełkotliwie, a nad ustami zebrały jej się kropelki potu.

– Francie, jesteś pijana?

Francie rzuca Nell poirytowane spojrzenie.

– Nie, Nell. Nie jestem pijana. Nadal karmię piersią. – Sięga po wodę stojącą przed Nell i bierze potężny łyk. – Jestem wstrząśnięta wiadomością o Hectorze. Widziałam to w drodze do was. Mają jakieś podejrzenia, kto to zrobił?

– Nie, posłuchaj... – mówi Colette, ale Francie nie pozwala jej dokończyć.

– Miał klucze do jej domu. Mógł wejść do środka. Albo kogoś wpuścić. Jakoś do tego dojdą, prawda? Nawet taki idiota jak Mark Hoyt będzie umiać połączyć A i B.

– Tak – mówi Nell. – Zwołują ochotników do przeszukiwania posiadłości i okolic. Powinnyśmy się zgłosić.

Nell ma zmęczoną twarz.

– Do szukania zwłok Midasa, dobrze rozumiem?

Colette nachyla się do przodu.

– Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć. Zdarzyło mi się coś bardzo niepokojącego. – Wyjmuje kopertę ze swoim nazwiskiem wypisanym zielonymi drukowanymi literami i kładzie na stoliku. – Przyszło dzisiaj. Do gabinetu burmistrza.

Nell patrzy na drukowane litery. Na zielony atrament. Sięga do torby przy stopach i wyjmuje podobną kopertę, na której widnieje nazwisko Nell, napisane takim samym charakterem.

– A do mnie przyszło do pracy – mówi Nell. – Dlatego chciałam się z wami spotkać. Żeby wam to pokazać.

Po powrocie z lunchu znalazła kopertę w przegródce na listy. Otworzyła ją, siedząc przy stole konferencyjnym, tuż przed spotkaniem, na którym miała omówić zmiany wprowadzane

w systemie bezpieczeństwa. Przez całe wystąpienie się jąkała, nie mogąc się uspokoić po tym, co zobaczyła w środku.

Francie otwiera szeroko oczy.

– O Boże... Ja też taką dostałam. Do domu. Dziś rano. Nie otworzyłam jej jeszcze. Co jest w środku? – Wrywa kopertę Nell i wyjmuje z niej zdjęcie policyjne. – Kto to przysłał?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Colette prawie szeptem. – Ktoś, kto wie, że pracuję dla burmistrza. Czyli ktoś z was albo Rodzyn, ale wątpię, żeby to akurat on był nadawcą.

– Za co był aresztowany?

– Nie napisano – odpowiada Nell. – Trochę pogrzebałam, ale...

– Pogrzebałaś? – Francie wbija wzrok w Nell. – Gdzie?

– W kilku miejscach. Chciałam zobaczyć, co da się znaleźć. No bo kto i po co miałby mi to wysyłać? A teraz wygląda to jeszcze dziwniej. Dlaczego wszystkie to dostałyśmy. – Ścisza głos. – Weszłam na portal The Village, na stronę administratora Majowych Mam. Włamałam się tam, żeby zobaczyć jego profil i czegoś się o nim dowiedzieć.

– Jak... – Francie przeszywa Nell wzrokiem.

– Nieważne. Umiem robić takie rzeczy.

– I? – pyta Colette.

– I nic. Prawie nic nie napisał w swoim kwestionariuszu. Dorastał na Manhattanie, co zresztą chyba wiedziałyśmy. Jego partner nazywa się Lou. Nie zamieścił nawet zdjęcia.

Francie mówi cichym głosem:

– Wejdź tam jeszcze raz. Spójrz na profil Winnie. Sprawdź, czy podała, kto jest ojcem Midasa.

Nell waha się chwilę, a potem nachyla się bliżej.

– Już to zrobiłam.

Jakiś człowiek gwałtownie wpada na krzesło Nell, wylewając jej kawę na ramię. Nell obraca się poirytowana i rozpoznaje mężczyznę – to jej sąsiad.

– Cześć, Nell. Przepraszam.

Mieszka piętro niżej, zawsze chodzi z wywiniętą prawą nogawką, jakby właśnie miał wsiąść na rower, a jego żona ma wiecznie skrzywioną minę.

– Co słyhać? – pyta. – Jak tam dzieciątko?

– Świetnie, dziękuję.

Mężczyzna kiwa głową.

– Chyba ma problemy ze spaniem, co?

– Co pan ma na myśli?

– Czasami z Lisą słyszemy płacz. Przez sufit.

– No tak. Cóż...

– Lisa zrobiła nawet rekonesans. Dajecie dziecku smoczek?

– Smoczek? Tak.

– Aha. Bo Lisa czytała, że ponoć dzieci się od tego uspokajają.

– Jasne – rzuca Nell. – Państwo pewnie nie mają dzieci...

– Są też te nowe beciki. Jak dziecko zaczyna płakać...

– Miło, że państwo tak się troszczą – mówi Nell, powoli tracąc cierpliwość. – Ale nie ma takiej potrzeby. Wczoraj w nocy to nie dziecko płakało.

– Nie? A kto?

– Mój mąż. Sebastian.

– Sebastian?

– Tak. Po raz kolejny oglądał Beaches. Za każdym razem się wzrusza.

Mężczyzna posyła jej krzywy uśmiech.

– Jasne. Do zobaczenia.

Milczą, dopóki nie skończy nalewać sobie mleka i cukru przy ladzie obok. Jak tylko wychodzi z kawiarni, Colette nachyla się ku Nell.

– Co było na profilu Winnie?

– W ogóle go tam nie było – odpowiada Nell. – Nie stworzyła profilu. Nie ma żadnego śladu, by należała do grupy.

– Co to oznacza?

– Nie jestem pewna. Zakładam, że go usunęła, a system nie zapamiętuje takich operacji. Zresztą kto mógłby mieć jej to za złe? Wyobraź sobie, że otwierasz pocztę z nadzieją na jakąś wiadomość o Midasie, a okazuje się, że musisz przebrnąć przez sześć mejli na temat mięśni Kegła.

Colette opiera czoło na dłoniach.

– To jakieś wariactwo. Nie mam pojęcia, co powinniśmy teraz zrobić.

– A ja owszem – mówi Francie.

Przebiega wzrokiem od Colette do Nell, spojrzenie ma niepokojąco mętne, jakby oczy zasły jej cieniem.

– Zrobimy wszystko, co będzie trzeba, by odnaleźć Midasa. Nie postawimy na nim krzyżyka. A przynajmniej dopóki nie będzie to konieczne. Dopóki nie będziemy miały pewności, że zrobiłyśmy wszystko co w naszej mocy, by go odzyskać, dopóki znów nie poczuje się bezpiecznie w ramionach matki.

ROZDZIAŁ 15

NOC ÓSMA

Od kilku dni wciąż myślę o pewnej rzeczy, o obietnicy, którą sobie złożyłam, dowiedziawszy się, że jestem w ciąży. Co to była za chwila! Kucając nad sedesem w aptece Duane Reade, zbyt niecierpliwa, by poczekać, aż dotrę do domu, zobaczyłam dwie przecinające się różowe kreski, tworzące krzyż, taki jak ten, który matka wieszała na drzwiach swojego pokoju.

Nie będę, przysięgam, jedną z tych matek.

Nie będę czytać tych wszystkich książek. Martwić się, że w szamponie są ftalany, a w kremie pestycydy. Bisfenol A w chińskim pojemniku na wynos.

Ani razu nie stanę na środku w sklepie spożywczym, by ostentacyjnie donośnym głosem przemawiać do mojego dziecka, licząc, że wszyscy wokół usłyszą, jaka jestem wyrozumiała i jaką świetną mam więź ze swoją pociechą, jakby rodzicielstwo to był jakiś cholerny performance.

Nie stanę się kimś innym.

Ile wytrzymałam w swojej obietnicy?

Trzy minuty.

Tak, trzy minuty: dokładnie tyle czasu zajęło mi zawinięcie testu ciążowego w papier toaletowy, schowanie go w torebce, umycie rąk

i wyjście na zewnątrz. Po trzech minutach byłam już innym człowiekiem.

Matką.

Jak się o tym przekonałam? Stojąc na przejściu i czekając na zielone światło, choć nie widać było ani jednego samochodu. Wciąż mam przed oczami ten widok. Mija mnie tłum ludzi, wchodzących na puste pasy, idących na siłownię, na lunch, z kawami na wynos w rękę, a ja tkwię bez ruchu, obejmując dłońmi podbrzusze, przekonana, że gdy tylko postawię stopę na ulicy, jak spod ziemi wyrośnie samochód mknący w moją stronę i zetrze nas z dzieckiem na miazgę.

I już nigdy nie wróciłam do dawnej siebie. Z chwili na chwilę stałam się kimś innym. Jakby zmaterializowały się przede mną ruchome schody, uniosły mnie wbrew mojej woli i zabrały do miejsca, w którym wszystko stanowi zagrożenie: mikrofalówki, kuchenki, pokrywy studzienek, kurz z remontu u sąsiadów. Wszystko nagle okazało się powodem do troski, niczego nie można było zignorować, nie ryzykując utraty dziecka. Jego porwania.

Z całych sił starałam się je chronić.

Nie udało mi się.

Jest już późno. Właśnie się obudziłam z niespokojnej drzemki, mając nadzieję, że odrobina snu przywróci mi siły, oczyści głowę. Doda odwagi, by być uczciwą.

Zaczynam żałować swojej decyzji.

No proszę, powiedziałałam to. Czas zdobyć się na wyrzucenie z siebie całej prawdy. Oto ciąg dalszy:

Nie układa się między nami. Boję się, że cokolwiek bym robiła, Joshua nigdy nie będzie ze mną szczęśliwy. Dni mijają nam w ciężkiej atmosferze. Jest posepny, ignoruje mnie, odtrąca.

Traktuje jak powietrze, jakbym w ogóle nie istniała. Jakby moje uczucia w ogóle się nie liczyły. (Nigdy mu tego oczywiście nie powiem, ale jest jak własny ojciec).

Dziś rano przypomniałam mu, że przecież oboje tego chcieliśmy. A potem powiedziałam kilka rzeczy, których żałuję. Że być może popełniłam błąd. Że może lepiej było mi przedtem. Że do końca swoich dni będę musiała żyć z tym, co zrobiłam, i że zaczynam myśleć, że gra nie była warta świeczki. Czasami potrafię być naprawdę wredna. Nie powinnam była tego mówić.

Staralam się na to spojrzeć od jego strony. Pewnie irytuje go to, że nieustannie o tym mówię, zwłaszcza teraz, gdy wypuścili Bodhiego. To, że jeszcze nie wszystko dopracowałam. Opowiedziałam mu wszystko o sobie, jaka zawsze byłam mądra, jak brylowałam w dzieciństwie, urodzony strateg, mawiała mama. Sądzę, że oczekuje, że jakoś wypłaczę nas z tej kabały. Zapewnię bezpieczeństwo.

Wiecie, co jeszcze powinnam w końcu przyznać? Że wcale nie jestem mądra. W gruncie rzeczy to jestem kretynką.

Nie pojedziemy do żadnej Indonezji. Nie dostanę przecież paszportu dla Joshui. Dlaczego nie pomyślałam o tym na samym początku – dawniej w takich sprawach zawsze pomagał mi doktor H. W dostrzeganiu luk w ciągach myślowych, w dostrzeganiu oczywistości. Więc znowu jesteśmy na Brooklynie. Z powrotem w matni, obmyślając nowy plan. W ukryciu porządkując sprawy, by

móc na dobre się stąd wydostać.

Te Majowe Mamy są po prostu wszędzie. Czasami stanę przy oknie i wychylę się zza zasłony, by poczuć na twarzy promyk słońca, i zaraz się któraś napatoczy. Kilka godzin temu ulicą szła Yuko, z matą do jogi pod pachą, ze słuchawkami w uszach. Dwadzieścia minut później Colette, z jakimś mężczyzną, zapewne Charliem. Charliem – wielkim pisarzem, drugim Dickensem. Na piersi miał nosidełko z Poppy i trzymał Colette za rękę, śmiali z czegoś, podawali sobie na przemian mrożoną kawę, Colette z naręczem kwiatów z targu. Idealna brooklyńska rodzina. Która do perfekcji opanowała udawanie, że tworzenie idealnego ogniska domowego przychodzi im ot tak, bez wysiłku, zupełnie naturalnie.

Ludzie ich pokroju nie rozumieją, co na taki widok czują ludzie tacy jak ja. Ludzie, którym los poskąpił tego, co dał jej. Wybraliśmy się wczoraj z Joshuą popływać; na światłach spojrzałam przez szybę. W samochodzie obok siedziała mama trzymająca za rękę małą dziewczynkę przypiętą do fotelika samochodowego. Jakie to było proste i piękne. Nie miała pojęcia, że łamie mi serce. W mieście nie da się pozostać na niego głuchym, na rytm dzieci. Śmiech i płacz o poranku, gromadki berbeci harujących pod zraszaczami na podwórkach, niewidoczne z ulicy, kłócące się o miejsce na huśtawce na placach zabaw. Potem, około południa, względna cisza, gdy wracają do domów, myją ręce, jedzą lunch i zapadają w drzemkę: spokojną, błogą, z otwartą buzią, świszczącym oddechem, trwającą kilka godzin, po których budzą się i z entuzjazmem wracają do zabaw.

Nie zniosę dłużej tego zamknięcia, ale nie wyobrażam sobie, by

wpaść na jedną z nich na ulicy i musieć opowiadać, co u mnie słyhać i gdzie bylam, a potem usłyszeć nieuchronne pytanie: Boże, co z Midasem...?

O nie, Joshua się obudził. Muszę iść. Nie znosi, gdy płaczę.

ROZDZIAŁ 16

DZIEŃ DZIEWIĄTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 13 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 60 DNI

Pomówmy o... seksie. Prawdopodobnie w ostatnich dniach byłaś zbyt zmęczona, żeby się zastanawiać nad tym tematem. Choć po porodzie dość powszechnie obserwuje się spadek libido, to teraz zapewne sprawy wracają już do normy. Ważne, byśmy jako świeżo upieczone mamy nie zapomniały, że jesteśmy także żonami. Być może czas otworzyć butelkę wina, włączyć muzykę i zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie. (Pamiętajmy, że ANTYKONCEPCJA TO NASZA NAJLEPSZA PRZYJACIÓŁKA).

Francie siedzi z aparatem na kolanach na nagrzanym szorstkim murku i je precla w polewie czekoladowej, macając miękkie pęcherz na pięcie.

To by miało sens, po raz kolejny stwierdza w myślach.

To, jak patrzył na Winnie podczas spotkania, szeptał jej do ucha, zajmował dla niej miejsce obok siebie na kocu. Jakby miał na jej punkcie obsesję. I gdzie poszedł po tym, jak tak nagle zniknął

z Wesołego Lamy? Powinna była się na tym skupić od początku, zamiast marnować czas na fałszywe tropy. Archie Andersen nagle jakby rozpląnął się w powietrzu. Lipny Archie Andersen. Francie czuje odrazę na myśl o tym facecie – dotyk jego rąk, odór jego oddechu. Czuje się tak od chwili, kiedy przeprosiła i zeszła z tamtej sofy, mówiąc, że musi skorzystać z toalety, a potem chyłkiem wymknęła się z baru.

Nie powiedziała o tym spotkaniu ani Nell, ani Colette. Nie było takiej potrzeby. Wiedziała, jak tylko go zobaczyła. Może częściowo mówił prawdę. Może coś między nimi zaiskrzyło. No i co z tego? Winnie jest samotna, ma prawo robić, co jej się podoba. Francie nigdy nie spała z żadnym mężczyzną oprócz Lowella (nauczyciel przyrody się nie liczy), ale wie, jak w normalnym świecie ludzie załatwiają te sprawy. Zwłaszcza teraz, zwłaszcza w Nowym Jorku, a już na pewno, gdy jest się tak piękną kobietą jak Winnie. Ale mówić takie rzeczy o Midasie? O tym, że nie chce własnego dziecka?

Nie.

Francie zna kobiety, które nie lubią swoich dzieci. Jedna z nich ją wychowywała. Winnie nie jest taka.

Po drugiej stronie ulicy trzaskają drzwi. Francie bierze aparat i najjeżdża obiektywem na kobietę w getrach do jogi i koszulce na ramiączkach, zeskakującą po stopniach budynku o numerze 584, którego adres znalazła na profilu Rodzyna. Kobieta przystaje, by rozciągnąć łydki, a potem skręca w stronę parku i chwilę później zaczyna biec. Francie się niecierpliwi. Siedzi na tym murku od ponad godziny i jedyne, co wypatrzyła, to pacjentów

odwiedzających kręgarza przyjmującego na parterze. Matka Lowella, Barbara, umówiła się na dwunastą do fryzjera i Francie obiecała, że do tej pory wróci do domu i przejmie małą. Znowu bierze aparat, obiecując sobie, że zaczeka jeszcze tylko dziesięć minut, i zaczyna przeglądać zdjęcia zachowane w pamięci aparatu – dzieci na spotkaniach Majowych Mam pięć dni temu, z którymi nadal jeszcze nic nie zrobiła, fotografie Hectora Quimby w jasnożółtym golfie, przed domem Winnie.

Zamyka oczy, widzi Hectora, takiego, jakiego obserwowała ze swojego miejsca na ławce: z dłońmi splecionymi za plecami, chodzącego powoli przed kamienicą Winnie. Kim on jest? Jeśli wierzyć Patricii Faith, zwłoki Hectora znaleziono po tym, jak jego żona zgłosiła na policję, że mąż poszedł na posiadłość Rossów i nie wrócił. Byli małżeństwem przez pięćdziesiąt dwa lata. Dziesięcioro wnucząt. Kierowca ochotnik w „Meals on Wheels”. Pracował dla rodziny Rossów przez prawie trzydzieści lat, Winnie traktował jak córkę. Dowody sądowe sugerują, że go zabito, a potem zaciągnięto jego zwłoki do lasu, tam polano benzyną i podpalono.

Francie wstaje, chowa aparat do torby, wiedząc, że czas się poddać i wracać do domu. Jest za gorąco, by dłużej tu siedzieć. Plusem wizyty teściowej jest to, że Lowell wrócił wczoraj do domu z nowym klimatyzatorem, po tym, jak matka narzekała na używany. Francie wróci do domu, włączy go i pobawi się z Willem przez kilka godzin w chłodnym mieszkaniu. Ciężko schodzi po stopniach i skręca w dół, w kierunku domu, gdy nagle słyszy jakiś ruch: drzwi kamienicy Rodzyna znowu się zamykają.

To on.

Zakłada okulary przeciwsłoneczne i rusza na zachód do parku, z Autumn w nosidelku. Francie przerzuca torbę przez ramię i idzie za nim w górę, nie zwracając uwagi na bolesne pęcherze na stopie, utrzymując dystans kilkunastu metrów. Rodzyn skręca na północ w Ósmą Aleję, mijają dwie przecznice i wchodzi do kawiarni The Spot. Francie przechodzi na drugą stronę ulicy i kuca za samochodem, zerkając na niego przez szyby. Gdy Rodzyn siada na barowym stołku przy oknie, Francie zaczyna go obserwować przez wizjer aparatu: przegląda gazetę zostawioną na barze i miesza kawę – podwójne espresso ze spienionym mlekiem, jakie za każdym razem przynosił na spotkanie.

Wypija kawę trzema płynnymi łykami, dzwoni do kogoś, po czym kieruje się do drzwi. Francie przeskakuje za inny samochód i przyciska telefon do ucha, udając, że z kimś rozmawia. Skręca ostrożnie, patrząc, jak Rodzyn idzie na wzgórze i podąża za nim drugą stroną ulicy. Sprawia wrażenie, jakby chciał skręcić w prawo, w przeciwną stronę niż dom, więc Francie zaczyna przechodzić na drugą stronę ulicy. On jednak nagle się zatrzymuje i odwraca. Francie stoi pośrodku ulicy, w zasięgu jego wzroku. Robi w tył zwrot i biegiem cofa się na chodnik, ale potyka się na krawężniku i upada, w ostatniej chwili osłaniając aparat – pieczenie na dłoniach i ból w kolanie.

– O Boże, nic pani nie jest? – Widzi nad sobą starszą kobietę trzymającą małego pieska na smyczy, ubranego w papucie.
– Pomogę pani.

– Wszystko w porządku – odpowiada Francie, wstając.

Ma rozciętą skórę na kolanie, a po łydcie spływa jej strużka

krwi.

– Na pewno? Dam pani chusteczkę.

– Nic mi nie jest – powtarza Francie, gestem odprawiając kobietę.

Podnosi torebkę i odwraca się, wpadając prosto na Rodzyna.

Rodzyn wychodzi z kuchni przy salonie, w jednej ręce niesie lodowy kompres, a w drugiej dwa kubki kawy.

– Cholera – mówi, stawiając kawę na stole. – Zapomniałem, że w przeciwieństwie do mnie odstawiłaś kofeinę. Ja nie potrafiłbym bez niej żyć.

– Już nie. – Francie bierze kubek i kompres.

– Czekaj. Przyniosę coś na tę ranę. Kiepsko wygląda.

Wychodzi przez przeszklone dwuskrzydłowe drzwi na drugim końcu pokoju, znikając w sypialni. Panoramiczny telewizor wbudowany w biblioteczkę nastawiony jest na Godzinę Faith: ujęcie posiadłości Winnie na północy stanu zrobione z helikoptera, ponad stu ochotników przeszukujących teren. Patricia Faith, przez cały tydzień nadająca na żywo z sali balowej hotelu Ramada, gdzie zorganizowano kwaterę główną poszukiwań, rozmawia przy stole bankietowym z pastorem miejscowego kościoła. Wygląda na wyjątkowo przejętą.

„Widzę to tak – mówi. – Są dwie możliwości. – Unosi palec zwieńczony perfekcyjnie wypielęgnowanym paznokciem. – Hector Quimby był zamieszany w zniknięcie małego Midasa. Może ktoś go wynajął – nie wyrokujmy jeszcze, kto – by porwał Midasa, a potem się go pozbył. Może plan nie wypalił. – Dołącza drugi

palec. – Albo jest tragiczną ofiarą w tej i tak już niewiarygodnie tragicznej historii. Może wiedział o czymś, o czym nie powinien wiedzieć. Może trzeba go było uciszyć”.

Pastor kręci głową. „Z całym szacunkiem, proszę pani, ale znam państwa Quimbych od ponad czterdziestu lat. Chrzciłem ich dzieci i wnuczęta. Mógłbym przysiąc na Biblię dziadka, że to absolutnie wykluczone, by ten dobroduszny chrześcijanin miał cokolwiek wspólnego z porwaniem dziecka”.

„A co może mi pastor powiedzieć na temat Winnie Ross? – pyta Patricia, znacząco mrużąc oczy. – Ten dom należy do jej rodziny od pokoleń. Wielebny dobrze ich zna?”

Pastor wyciera usta bawełnianą chusteczką. „Nie, proszę pani. Nie mogę powiedzieć, bym ich znał. O ile mi wiadomo, nikt z rodziny Rossów nigdy nie przekroczył kościelnego progu”.

Francie odwraca się od ekranu, czując zawroty głowy. Rodzyna obejrzał jej głowę, przeczesał palcami włosy, delikatnie badając każdy centymetr skóry. Nie znalazł ani jednego guza, a mimo to Francie czuje w czaszce pulsujący ból. Rozgląda się po mieszkaniu, małym i zadbanym.

Po jednej stronie obitej lnem sofy, na której właśnie siedzi, stoi niski mahoniowy stolik, a po drugiej stół obiadowy, z bukietem świeżo ściętych róż, a nad nim małe oprawione w ramki fotografie ukazujące scenki z życia miasta. Francie wstaje i na palcach, z rwącym bólem w kolanie, podchodzi do półki z książkami i spogląda na zdjęcie przedstawiające Rodzyna z Autumn i jakąś kobietą. Łazienka znajduje się tuż obok salonu. Francie zagląda do środka: równiutki rząd buteleczek toników do twarzy i żelów do

włosów na parapecie pod oknem.

Słyszysz zbliżające się kroki, więc pośpiesznie zamyka drzwi.

– Był pod przewijakiem – oznajmia Rodzyn, podnosząc do góry niewielką tubkę neosporinu. – No bo gdzie indziej miałby być?

– Prowadzi Francie z powrotem na sofę. – Usiądź. Posmaruję ci kolano.

– Sama to zrobię – rzuca Francie, biorąc tubkę.

Rodzyn siada na krześle naprzeciw.

– Dokąd tak pędziłaś?

– No wiesz. Chciałam się trochę poruszać. – Francie wskazuje fałdkę na brzuchu. – Podobno podczas karmienia piersią zrzuca się ciężowe kilogramy. Bzdura.

– Z aparatem fotograficznym?

– Tak. Chcę na poważnie zająć się tymi portretami. Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się potencjalny klient.

Rodzyn kiwa głową i spogląda na telewizor.

– Nie wiem, dlaczego włączyłem tę wstrętną babę. Ma używanie na śmierci Hectora.

– Hectora?

– No tak. Hectora Quimby’ego. Tego faceta...

– Wiem, o kim mówisz – odpowiada Francie. – Ale powiedziałeś to takim tonem, jakbyś go znał osobiście.

Rodzyn obrzuca ją wzrokiem.

– Naprawdę?

Francie odwraca głowę, unikając jego spojrzenia. Kompres lodowy uwiera ją w kolano.

– Ładne mieszkanie – rzuca w wymuszony sposób, zauważając

za przeszklonymi drzwiami do sypialni trzy gitary na podpórkach.

– Grasz na gitarze?

Rodzyn wzrusza ramionami.

– Nie tyle co kiedyś.

– Rozumiem. – Francie pije kawę małymi łyżkami. – Opowiedz coś o Lou.

W kuchni rozlega się dzwonek alarmu.

– Zaraz wrócę – rzuca Rodzyn.

Wychodzi i po chwili zjawia się w rękawicach kuchennych z bochenkiem parującego chleba, który stawia na stole.

– Wyszedłem na spacer, zapominając, że włożyłem to do piekarnika. Dzięki Bogu, przypomniałem sobie, zanim cała kamienica poszła z dymem.

Rozcina ciasto długim wąskim nożem.

– Szczerze mówiąc, kiepski ze mnie piekarz. Ale przynajmniej się staram.

– Tylko mały kawałeczek – mówi Francie. – Ograniczam węglowodany i cukier.

Rodzyn podaje jej porcję na serwetce i przez kilka chwil jedzą w milczeniu. Francie zauważa, jak drga mu noga, jak co chwila odkrztusza, uciekając wzrokiem w stronę telewizora.

– Wiesz, tak sobie myślałam – mówi. – Nigdy nie opowiadałeś nam swojej historii porodowej.

– Mojej historii porodowej? Nie sądziłem, że przyjdzie i moja kolej.

– Dlaczego nie?

– Przecież to nie moje dzieło.

– Masz na myśli matkę dziecka?

– No... – Rodzyn śmieje się i zwija serwetkę w kulkę. – Matkę dziecka.

– Adoptowałeś Autumn?

– Czy ją adoptowałem? Nie.

– No to skąd macie dziecko?

– Skąd je mamy... – Puszczą do Francie oko. – Hm, jak by to powiedzieć, Francie, zdarza się tak, że dwoje ludzi się poznaje, zakochuje w sobie...

– Nie, chodzi mi o to...

Rodzyn parska śmiechem.

– Lucille ją urodziła.

– Lucille? – Francie z trudem przetyka ciasto. – Zaraz, czyli Lou to Lucille?

– No tak. Moja żona.

– Przecież jesteś gejem.

Rodzyn siada głębiej na krześle i unosi brwi.

– Czyżby?

Francie chichocze nerwowo.

– A nie jesteś?

– No, nie sądzę.

– No to dlaczego nigdy nie wspominałeś nam o swojej żonie? No i ten klub mam. To nie jest coś, co...

Rodzyn kiwa głową.

– Miałem przeczucie, że tak właśnie o mnie myślicie. Nie. Jestem stuprocentowym heterykiem i nie adoptowałem swojego dziecka. Sprowadziliśmy je na świat w tradycyjny sposób.

Zaplanowana cesarka. – Uśmiecha się pod nosem. – Taki był przynajmniej nasz plan. Bo Autumn miała swój własny. Pośpieszyła się o kilka tygodni, akurat wtedy, gdy pojechałem grać koncert. Jestem pewien, że Lou ma do nas o to jeszcze żal, do mnie i do Autumn. Bo poród nie należał do lekkich.

– Między wami dobrze się układa?

– Między mną i Lou? Nie. Nie do końca. – Wstaje i kładzie ciasto na stole, ustawiając się tyłem do Francie. – Wiesz, jak to jest, gdy pojawia się dziecko. Ile rzeczy trzeba zmienić w życiu. Odwraca się i spogląda jej w oczy. – Ujmę to tak: gdyby nie Majowe Mamy, byłbym kompletnie pogubiony. Gdy jest się facetem i robi się to wszystko samemu, można czuć się trochę osamotnionym. Okazałyście się wielkim wsparciem. Z początku miałem wątpliwości. No wiesz, facet na spotkaniu klubu mam. Powiedzmy, że miałem lekką treść. Przez ostatni tydzień brakuje mi naszych spotkań. Stęskniłem się za wami wszystkimi.

– Za nami wszystkimi? – pyta Francie. – Za Winnie też?

Rodzyn przekrzywia głowę.

– Winnie? Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że być może akurat za nią wcale nie tęsknisz. Może widzisz ją od czasu tamtego wieczoru. Może wiesz więcej, niż dajesz po sobie poznać.

Francie czuje się wyjątkowo zadowolona z siebie, patrząc mu w oczy i wypowiadając te słowa na głos.

Rodzyn zaplata ręce na piersi i opiera się o jedno z krzeseł. Najwyraźniej nie wie, co powiedzieć.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś miał na jej punkcie obsesję.

– Francie stawia obie stopy na ziemi i odkłada serwetkę i kompres na stolik. – Powiem to wprost. Wiemy o tobie wszystko. Francie mogłaby przysiąc, że zaciskają mu się mięśnie szczęki.

– Wszystko o mnie wiecie?

– Tak. O aresztowaniu. O twojej przeszłości kryminalnej. Coś ci się przypomina?

– Mojej przeszłości kryminalnej?

– Dokładnie. – Francie milknie na chwilę. – Co takiego zrobiłeś?

Na jego twarzy powoli wykwita uśmiech.

– Skoro wiesz o mnie wszystko, to może ty mi powiedz.

– No cóż, tego akurat nie wiem. Nell próbowała się dowiedzieć, ale nie udało jej się.

– Nell próbowała się dowiedzieć?

– Tak.

– A niby jak?

Przerażenie, które, jak sądziła, malowało się na jego twarzy, ustępuje miejsca czemuś innemu. Złości.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Umie hakować. Sprawdziła cię. Zalogowała się na twój profil w Majowych Mamach.

Francie od razu żałuje tych słów. Może to nie jest mądre posunięcie, by tak zdradzić Nell, ale irytuje ją samozadowolenie pobrzmiwające w jego głosie, sposób, w jaki na nią patrzy. Prostuje plecy, gotowa zażądać wyjaśnień, dlaczego wyszedł wtedy z baru wcześniej, dokąd się udał, co ukrywa. Jednak zanim zdąży się odezwać, Rodzyn rusza w jej stronę.

– Węszyłyście wokół mnie, tak?

– Tak, ale... – Urywa, bo już jest przy niej, wyciąga ręce, łapie ją w talii, gwałtownie podnosi z sofy.

Dziecko kwili na jego piersi, ucisza je głośno, czując, jak narasta w nim gniew. Z powodu potówek Autumn jest jeszcze bardziej marudna niż zwykle; lekarz orzekł, że to dlatego, że za dużo czasu spędzała w upał w nosidełku – przez ostatnie trzy dni temperatura przekraczała trzydzieści stopni – ale tylko w ten sposób zasypia, a Rodzyn potrzebuje, by spała, żeby mieć chwilę oddechu.

Idzie do kuchni, ciskając do śmieci cały bochenek chleba, widząc przerażenie na twarzy Francie, gdy prowadził ją do drzwi, popychając przez korytarz. Układa córkę na ramieniu, odkręca kran, parującą wodą polewa talerz. Przeliczył się, sądząc, że można zaufać tym kobietom. Że może dołączyć do ich klubu, nie dostroić się do nich, myśleć, że...

Bierze głęboki oddech, starając odzyskać równowagę. Potrzebuje snu. Przez większość ostatniej nocy nie spał, myśląc o Winnie, o wiadomości, którą mu zostawiła wczoraj rano, zanim informacja się rozeszła, o tym, że znaleziono zwłoki Hectora. Nie udało mu się z nią skontaktować – nie odbiera telefonu – a on nie bardzo wie, co ma robić dalej. Zakręca wodę i sięga po ręcznik wiszący w szafce pod zlewem. Wydaje mu się, że słyszy kroki przed drzwiami do mieszkania. Idzie do salonu, nasłuchując. Ktoś stoi przy drzwiach, obraca klucz w zamku.

– Cześć, skarbie. – Dorothy ciska torbę na podłogę. – Boże, ale dziś skwar. Podali, że temperatura jest rekordowa... – Milknie, gdy zauważa wyraz jego twarzy, podchodzi do niego i zarzuca mu ręce

na szyję; Autumn ściśnięta między nimi. – Wszystko w porządku?

Rodzyn przytakuje ruchem głowy, uspokojony jej znajomym zapachem, dotykiem jej ramion.

– Całkiem zapomniałem, że masz przyjść.

Dorothy cofa się odrobinę, ujmuje jego twarz w dłonie, wpatruje mu się w oczy.

– Czy dzisiaj nadal jest dobrze?

– Jasne, że tak.

– Co się dzieje?

– Nic, mam. Nie martw się. Po prostu jestem zmęczony.

– Jak podróż Lucille? – pyta Dorothy, zdejmując sandały.

Podchodzi do syna i zabiera od niego Autumn.

– Przedłuża się. – Rodzyn idzie do kuchni i wkłada do zlewu kubki po kawie. – Ma wrócić dopiero jutro. Ale wygląda na to, że wszystko idzie dobrze.

Dobrze, że Dorothy nie widzi jego twarzy, poznałaby, że kłamie.

Wczoraj wieczorem Lou dzwoniła z Los Angeles, tłumacząc, że ostatnie spotkanie przełożono o jeden dzień. Rodzyn doskonale wie, że to nieprawda, że została, by spędzić jeszcze jedną noc z nim. Z Cormakiem. Swoim pieprzonym szefem. Dupkiem z kartą członkowską do siłowni i osobistym trenerem nurkowania. Minął rok, odkąd znalazł ich mejle, przeglądając jej telefon w poszukiwaniu numeru do dentysty, gdy była pod prysznicem.

Pieszczotliwe zdrobnienia. Miejsca randek.

Lou przysięgała, że to tylko przelotny romans, że już go zakończyła. Że jest gotowa na to, na co on naciska od lat – na

dziecko.

– Czy moja wnuczka będzie gotowa na Dzień Babci?

Dorothy wzięła Autumn na jej pierwszy Dzień Babci, gdy mała miała zaledwie dwadzieścia trzy dni. Lou wróciła już do pracy. Była w trakcie domykania ważnego kontraktu, gdy odeszły jej wody, dwa tygodnie przed planowaną cesarką, i nie była zadowolona, że musi wziąć wolne przed zakończeniem sprawy. Tego pierwszego dnia powiedziała, że idzie do biura tylko na kilka godzin, ale wróciła dopiero o wpół do dziesiątej wieczorem i od tej pory nieprzerwanie pracuje po sześćdziesiąt godzin tygodniowo.

„Nie sądzisz, że mogłabyś trochę ograniczyć? – spytał Lou kilka tygodni temu, tonem pełnym furii, dając jej do zrozumienia, że nie zamierza dłużej brać udziału w jej gierkach. – No wiesz, całej tej pracy?”

Najeżyła się i wyszła z pokoju.

„Niby jak mam to zrobić? – zawołała z sypialni. – Gdyby nie pieniądze, które zarabiam...”

– Na pewno wszystko w porządku? – pyta go teraz mama, wchodząc do salonu, z Autumn w ramionach. Mała ma na sobie sztywną bawełnianą sukienkę w żółte kwiatki.

– Nic mi nie jest, mam. Naprawdę.

– Skoro tak mówisz... – Przypina Autumn do wózka.

– Kupiłaś jej tę sukienkę?

– Nie mogę się powstrzymać. – Dorothy podchodzi, by dotknąć jego policzka. – Co zamierzasz?

– Nie wiem jeszcze.

– Mam nadzieję, że trochę pospać.

– Tak, pewnie tak. – Całuje ją w czoło. – Dziękuję, mamo.

Zamyka drzwi i odczekuje kilka chwil, a potem idzie do sypialni, otwiera szufladę szafki nocnej i wyjmuje z niej kopertę. Sprawdza, czy papiery wciąż są w środku, a potem wkłada tenisówki stojące pod oknem, upewnia się, że matki nie ma już w zasięgu wzroku, i wychodzi.

Doskonale wie, dokąd idzie, maszeruje szybko, zanim zdąży zmienić zamiar. Cholera, Nell, myśli. Cholera Francie, śledząca go dziś rano, „chowająca się” za samochodem, obserwująca, jak pije kawę w The Spot. Pieprzyć je wszystkie. Gdy dziesięć minut później staje pod kamienicą Winnie, widzi, że grupa dziennikarzy czekających na zewnątrz się uszczupliła – wielu zapewne pojechało na północ, by zdać relację z rozwoju śledztwa.

Stoi po drugiej stronie ulicy, w stosownej odległości, z oczami ukrytymi za ciemnymi okularami, stwierdzając, że od wczoraj przybył jakiś tuzin nowych Żyrafek Zoś, i czytając najnowsze wiadomości do Midasa – Modlimy się za Ciebie, Maleńki. ODDAJCIE MIDASA – przyczerpione do lipy rosnącej przed domem Winnie. Podnosi wzrok na wysokość okien, wyobrażając sobie, co dzieje się za grubymi jedwabnymi zasłonami. Wyobraża sobie, że Mark Hoyt jest w kuchni, klęczy obok wyspy kuchennej, badając małą plamkę, która okaże się sosem pomidorowym rozchlapanym na terakotę dziesięć dni wcześniej; kryminalistyków przebiegających dłońmi w lateksowych rękawiczkach po szybie w pokoju Midasa, chodzących powoli po sypialni Winnie, sprawdzających, po raz kolejny, drzwi na taras. Spogląda na drzwi, wspominając, jak pierwszy raz wszedł do tej sypialni.

Odwraca się od budynku i wyjmuje z kieszeni złożoną na pół kopertę. Pojawiła się w skrzynce dwa dni wcześniej. Nadal nie wie, kto ją przysłał ani dlaczego, zamierzał zignorować dokumenty znalezione w środku, zakładając, że ten, kto za tym stoi, na pewno nie ma dobrych intencji. Przechodzi na drugą stronę ulicy i podchodzi do Elliotta Falka, opartego o maskę kasztanowego subaru i palącego papierosa.

– Chcesz usłyszeć historię?

Falk wydmuchuje dym.

– Niewykluczone. A o czym?

– O wieczorze, kiedy porwano Midasa. O kobiecie ze zdjęcia pokazywanego przez Patricię Faith. Tej pijanej z Wesołego Lamy.

Falkowi rozbłyskują oczy.

– Co takiego na jej temat?

– Nazywa się Nell Mackay.

– Nell Mackay?

– Aha. Zainteresuj się nią.

– Mam się nią zainteresować? Dlaczego?

Podaje Falkowi kopertę.

– Nie jest tym, za kogo się podaje.

Falk gasi papierosa na chodniku i wyjmuje dokumenty. Czytając, wydobywa z siebie cichy gwizd.

– Rany, dzięki, człowieku.

Rodzyn chce coś odpowiedzieć, ale słowa więzną mu w gardle. Odwraca się i odchodzi w kierunku parku, ze wzrokiem wbitym w ziemię, z gulą wstydu w piersi.

ROZDZIAŁ 17

DZIEŃ DZIESIĄTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 14 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 61 DNI

Nie chcemy Cię straszyć, ale powinnaś zacząć zwracać uwagę na kształt czaszki dziecka. Choć do spania mamy najczęściej układają swe pociechy na pleckach, to spędzanie w tej pozycji zbyt dużo czasu może spowodować deformacje kośćca, zwane plagiocefalią. Można temu zapobiec, często układając dziecko na brzuszku. Jeśli spłaszczenie czaszki zacznie być widoczne, skontaktuj się z lekarzem.

– Ellen! Ellen! Prosimy o uśmiech!

– Ellen, czy wiesz, co się stało z Midasem?

Sebastian zasłania im obiektywy, gwałtownie przepychając się przez tłum, osłaniając żonę.

– Chciałaby pani jakoś skomentować swoje zdjęcie z Wesołego Lamy? Swoje pijaństwo?

– Wyglądasz świetnie, Ellen! Co sądzisz o nominacji Lachlana Raine'a?

Nell chwyta Sebastiana za rękę, oszołomiona blaskiem fleszy i ich nieustającym klekotem. Schyla głowę i wciska się na tył samochodu, Sebastian zamyka drzwi, machając im na pożegnanie, a Nell podaje kierowcy adres swojego biura. Ten spogląda w lusterko wsteczne na Nell, która przykłada torebkę do szyby, by się zasłonić, z ciemnymi okularami zamglonymi od łez.

– Jest pani jakąś znaną aktorką czy jak?

– Nie, proszę, niech pan już jedzie – błaga Nell.

Gdy ruszają, włącza się ekran telewizora na tylnym siedzeniu – program poranny. Przy stoliku siedzą trzy kobiety o rozbawionych twarzach, z kubkami kawy w dłoniach. Nell nie znosi tych idiotycznych telewizorków, w które od niedawna wyposażone są taksówki. Jak to możliwe, zastanawia się, że ludzie aż tak bardzo boją się przebywać sami ze sobą, że nie są w stanie przejechać z jednej części Nowego Jorku do drugiej bez zajmowania umysłu tą czczą „rozrywką”? Słyszy w myślach głos matki, która zadzwoniła wczoraj wieczorem. Oddychaj, Nell. Wszystko będzie dobrze. Już ma wyłączyć odbiornik, gdy słyszy swoje imię.

„Ellen Aberdeen dziś rano znów trafiła do wiadomości – mówi jedna z kobiet, o włosach utlenionych na lalkę Barbie i czołem nieruchomym jak tafla szkła. – Jak Elliott Falk poinformował wczoraj rano »New York Post«, trzydziestosiedmioletnia Aberdeen mieszka obecnie na Brooklynie i pracuje w Simon French Corporation. Przedstawia się jako Nell Mackey. Prawdopodobnie wyszła za mąż”.

Jedna z kobiet chichocze. „Ich pierwsza radka musiała być chyba

dość niezręczna: »Jesteś tą Aberdeen z afery Aberdeen?«».

„Chwileczkę, chwileczkę, dobrze? – włącza się trzecia z kobiet, unosząc dłoń w geście protestu. – Była zaledwie dwudziestodwuletnią stażystką. On sześćdziesięciosześcioletnim sekretarzem stanu, kandydatem na urząd prezydenta. Dlaczego tylko ona nosi piętno tej historii?”

Na szerokim ekranie za stołem, przy którym siedzą, wyświetla się zdjęcie Nell w Wesołym Lamie. „To nie wszystko – podejmuje pierwsza z dyskutantek. – Nie uwierzycie, ale ta kobieta była w tym barze tej nocy, gdy...”

Nell wycisza dźwięk, zakrywa oczy pięściami, czując, jak wzbiera w niej przerażenie. Nie, nie, nie. Nie wierzę, że to dzieje się znowu.

Teraz pojawia się zdjęcie Nell z sekretarzem stanu Raine'em – we dwoje na schodach pożarowych, z butelką tequili, Nell z nagimi stopami opartymi na jego udach. Są też inne, te same fotografie, które piętnaście lat temu ozdabiały pierwsze strony gazet: Nell stojąca obok swojej matki w dniu ukończenia studiów na Georgetown. Na tylnym siedzeniu taksówki, z przerażonym wzrokiem po tym, jak afera się wydała – zdjęcie zamieszczone przez „Gossip!”.

Nell zapada się w mrok, pozwalając, by wróciły wspomnienia. Nieprzemijający żal, że dała się nabrać – na to, jak Lachlan się do niej zwracał, jak spojrzał na nią podczas ich pierwszego spotkania, gdy ścisnął dłonie wszystkim nowym stażystom ustawionym w rządzie. Podarunki zostawiane w górnej szufladzie biurka – które przydzielono jej po drugiej stronie korytarza, naprzeciw jego

gabinetu – kilka tygodniu po rozpoczęciu stażu w Departamencie Stanu. Zgłosiła się na niego pod wpływem chwili, na ostatnim roku studiów w Georgetown, gdzie przebywała na stypendium. Bez stypendium w ogóle nie mogłaby tam studiować. Jej mama i ojczym nigdy nie byliby w stanie opłacić czesnego.

„Udało ci się, Ellen – powiedziała matka, gdy Nell zadzwoniła z wiadomością, że wybrano ją spośród ośmiu tysięcy kandydatów. – Osiągniesz wszystko, co zechcesz, jestem tego pewna”.

Zaczęło się od rzadko spotykanej monety, którą przywiózł z wycieczki do Indii. Potem była szkatułka na biżuterię z dołączonym liścikiem: zobaczył ją na wystawie paryskiego sklepu i pomyślał o niej – perydoty na wieczku mają ten sam kolor co jej oczy. W końcu cienki złoty naszyjnik z wisiorkiem w kształcie litery E.

Dla Ellen, napisał na karteczce. Będę dziś w biurze do późna. Zajrzyj około ósmej.

Było mnóstwo powodów, by mu odmówić. Przede wszystkim był od niej trzy razy starszy. Miał żonę i cztery córki – najstarsza ledwie rok młodsza od Nell. Kyle, jej dobroduszny, oddany chłopak, z którym była już cztery lata, właśnie się jej oświadczył. Mimo to Nell nie odmówiła. Lachlan niedawno ogłosił, że zamierza startować w wyborach prezydenckich. Miała dwadzieścia dwa lata, bała się nie wykonać jego poleceń, była ciekawa, czego od niej chce.

Gdy zapukała, siedział przy biurku. Zaprosił ją do środka, powiedział, żeby zamknęła drzwi i pomogła mu obsłużyć nową sieć. Był bezpośredni, czarujący, śmiał się ze swojej nieznaności

techniki; właśnie zamierzał zamówić indyjskie jedzenie, czy lubi krewetkową kormę? Jedli na podłodze, oparci o jego biurko, za drzwiami dudniły kroki uzbrojonych funkcjonariuszy w czarnych garniturach dyplomatycznej służby ochrony. Raine dał jej spróbować swojego puddingu ryżowego i opowiedział historię o tym, jak na żywo słuchał przemowy Martina Luthera Kinga, o kolacji z premierem Wielkiej Brytanii, podczas której wypili dwie butelki wina i zasnęli w prywatnym kinie przy Downing Street 10, oglądając Zoolandera.

„Kulfonka”. Tak ją ochrzczono, gdy ich krótki romans wyszedł na jaw po tym, jak jakiś licealista sprzedał prasie zdjęcie zrobione ze swojego dachu: Nell i Lachlan siedzący na schodach pożarowych u niej w kamienicy. Kyle’a nie było wtedy w domu i Nell zgodziła się, by Lachlan odwiózł ją do domu swoim nieoznakowanym sedanem z przyciemnianymi szybami. Nie protestowała, gdy wprosił się do niej do domu. „Tylko na chwilę. Zawsze mnie ciekawiło, jak żyją dzisiaj młodzi ludzie” – powiedział, przekraczając próg jej mieszkania w Dupont Circle, poluzowując krawat.

Nadal widzi twarz Kyle’a, jego spojrzenie, gdy wróciła do domu po tym, jak „The Washington Post” zamieścił jej zdjęcie na pierwszej stronie. Siedział przy kuchennym stole, popijając burbona. Obok na podłodze stała walizka. Jej walizka.

„Musisz się wyprowadzić”.

„Nie, proszę. Porozmawiajmy...”

Uniósł dłoń. „Ellen, przestań, nie chcę tego słuchać. – Spojrzał na nią z odrazą. – Tutaj też to robiliście? W naszej sypialni?”

„Nie – odparła. – Nigdy. To zdarzyło się tylko raz. Nie wiedziałam, jak ci powiedzieć...”

„Nie chcę o tym słuchać. Z nami koniec”,

Usiadła naprzeciw niego. „Ale, Kyle... Zaproszenia na ślub. Dopiero co je wysłaliśmy”.

„Moja mama właśnie dzwoni do ludzi i wszystko odwołuje”. Dopił drinka, spokojnie podszedł do zlewu i umył szklanę. Odstawił ją na suszarkę, a potem zdjął płaszcz z wieszaka przy drzwiach. „Rozmawiałem z Marcy. Powiedziała, że możesz się u niej zatrzymać. Mam nadzieję, że jak wrócę, już cię tu nie będzie”.

Trzy dni później zwolniono ją ze stażu, o czym dowiedziała się od dziennikarza, który zadzwonił do niej z prośbą o komentarz; tacy jak on nazywali ją potem „rozbijającą rodziny”, „puszczalską”. Przysadzistą dziewczuchą z dużym nosem i kompleksem ojca, bez grama współczucia dla żony tego mężczyzny. Na konferencji prasowej Priscilla Raine stała obok swojego męża, ze stoickim spokojem słuchając, jak kaja się przed amerykańskim społeczeństwem, głosem pełnym fałszywej skruchy, jak przyznaje, że okazał słabość, jak insynuuje, że to Nell go uwiodła – nazwała go „przystojniakiem” i zasugerowała, że zostanie w biurze do późna. Raine otoczył ręką chude ramiona Priscilli, tłumacząc, że prosił rodzinę o wybaczenie, że spędza czas ze swoim pastorem, że zaczął się leczyć z alkoholizmu, że nie będzie się już ubiegał o urząd prezydencki. Wszyscy – prasa, medialni mędrkowie, pisma plotkarskie – twierdzili, że Nell przechwalała się romanssem i rozgłaszała, że Lachlan zamierza zostawić dla niej Priscillę. Nell

nigdy niczego podobnego nie mówiła. Nawet nie przeszło jej to przez myśl.

Trąbienie klaksonu wrywa ją z zamyślenia. To kierowca jej taksówki. Wychyla się przez okno, machając ręką na młodego mężczyznę na rowerze.

– Rusz się pan! No co jest!

Samochód spowity jest obłokiem smrodu dolatującego ze śmieciarki stojącej trzy miejsca dalej.

To Alma zdradziła Markowi Hoytowi prawdziwą tożsamość Nell, a ten potem ujawnił ją prasie. To na pewno ona. Nell jest o tym przekonana od chwili, gdy wczoraj późnym wieczorem odebrała telefon od Elliotta Falka – prosił, by potwierdziła informacje, i oznajmił, że za dziesięć minut cała historia pojawi się w internecie.

Nell nie zamierzała opowiadać Almie o swojej przeszłości, ale podczas ich pierwszego spotkania, gdy już wiedziała, że ją zatrudni, słowa same się z niej wylały. Trzeba było jej powiedzieć, skoro Alma miała spędzać z Beatrice pięćdziesiąt godzin tygodniowo. Musiała znać prawdę, na wypadek gdyby zdarzyło się to, czego Nell obawiała się przez ostatnie piętnaście lat – że zostanie rozpoznana.

Czyli właśnie to co teraz.

Taksówka wjeżdża na Manhattan. Nell stara się opanować, ale znowu nie udaje jej się powstrzymać łez. Nienawidzi samej siebie. Cały ten wysiłek, wszystkie kroki, które podjęła, by stać się kimś innym. Lata terapii, ukrywanie się w Londynie, szlifowanie brytyjskiego akcentu, studia, praca w małym college’u, gdzie

uczyła ludzi na tyle młodych, że nie mogli mieć pojęcia, kim jest. Nawet Sebastian nie wiedział. Aż do ich ósmej randki, na której o wszystkim mu powiedziała, przekonana, że ją zostawi.

Nie zostawił jej, tylko przyciągnął ją blisko do siebie. „Przykro mi, że coś takiego cię spotkało” – powiedział.

„Sama to na siebie ściągnęłam – odparła, odsuwając się od niego i spoglądając mu w twarz. – To nie tylko jego wina”.

Sebastian przytaknął skinieniem głowy i ujął jej dłonie. „Wiem. Ale byłaś jeszcze dzieckiem”.

Nell przygląda się swojemu odbiciu w szybie: krótkie włosy, tatuaż, szelmowsko zadarty nos, na którego widok jeszcze teraz (na przykład dziś rano, gdy spojrzała w lustro) zdarza jej się wpaść w zdumienie – za operację zapłacił ojciec, którego prawie nie widuje, który mieszka w Houston ze swoją drugą żoną i dwoma synami, do którego dzwoni kilka razy w roku. Nic z tego nie miało sensu, te wszystkie zabiegi, by zmienić wygląd. Pozostała sobą. Zawsze będzie sobą.

– Jesteśmy na miejscu – mówi kierowca.

Nell wręcza mu dwudziestodolarowy banknot, otwiera drzwi samochodu i wychodzi na chodnik, wprost na morze fleszów.

Dwie godziny później siedzi przy swoim biurku, przeglądając ostateczną wersję podręcznika szkoleniowego i dłubiąc w sałatce jajecznej, którą rano spakował jej Sebastian, świadomy, że nie będzie już mogła zejść do korporacyjnej kafeterii. Gdzie znalazłaby się pod obstrzałem wszystkich.

Słyszy ciche pukanie do drzwi.

– Dzień dobry, Nell. – Ian najpierw wsuwa do środka głowę, a potem wchodzi. – Jak się masz?

Nell obraca się w jego stronę i posyła mu wymuszony uśmiech.

– No wiesz. Jest trochę szumu. – Nell jest przekonana, że redaktorzy z „Gossip!” piętro wyżej właśnie rozprawiają na jej temat, zastanawiając się, co zrobić i jak o niej napisać. – Ale za kilka dni nikt już nie będzie o tym pamiętał. Gdzie indziej wyczują świeżą krew. – „Rekiny jak ty”, chciałyby dodać.

– Rano przed budynkiem było mnóstwo kamer.

– Rozmawiałam z szefem ochrony – odpowiada Nell. – Postarają się ich przegonić sprzed wejścia.

– Nic nie mogą zrobić. Dzwonili do mnie. To własność publiczna. – Milknie na chwilę. – Wiesz, jak to działa, Nell. Kamery mają prawo tam stać.

– Pewnie masz rację. – Wzrusza ramionami. – Ale nigdy nie wiadomo. Może gdzieś na świecie zdarzy się jakaś katastrofa humanitarna, może gdzieś sfałszują wybory, może w jakimś kraju rząd zrzuci bomby na swoich obywateli i Amerykanie będą tym bardziej zainteresowani niż moją historią. Zawsze można mieć nadzieję, prawda?

Ian nachyla się do przodu z rozbawieniem wypisanym na twarzy.

– Muszę to przyznać, poważnie... Ten brytyjski akcent? Genialne. Naprawdę nigdy bym nie podejrzewał. – Uśmiech znika z jego ust, gdy Nell nie odpowiada. – Naprawdę przykro mi z powodu tej historii z dzieckiem twojej przyjaciółki. Musi być wam ciężko.

Nell kiwa głową.

– Byłaś tam, gdy to się stało, prawda?

– Tak.

– Byłaś wśród tych kobiet, które weszły tamtej nocy do jej domu? Zanim policja zdążyła go zabezpieczyć?

Nell znowu potakuje skinieniem.

– Aha.

– Ulala... – Ian przymyka drzwi. – Więc... jak myślisz? Co tam zaszło? – Mruga do niej porozumiewawczo. – Cokolwiek powiesz, zostanie między nami.

– Daj spokój z tym mruganiem, Ian. Nawet nie próbuj.

Ian wzdycha i opiera się o drzwi.

– No dobra, Nell, posłuchaj. Żałuję, że akurat ja muszę ci to powiedzieć, ale sądzimy, że powinnaś zrobić sobie wolne.

– Zrobić sobie wolne?

– Cały ten stres na pewno cię zżera.

– Nic mi nie jest. Już raz przez to przechodziłam. Teraz też przeżyję.

– Uhm. – Ian kiwa głową. – Chodzi o to, Nell, że po powrocie z urlopu macierzyńskiego nie dajesz już z siebie wszystkiego.

– Nie daję już z siebie wszystkiego? Ian, daj spokój. Nie minął nawet tydzień.

– Właśnie to robię. Oferuję ci trochę spokoju. Może za dużo od ciebie oczekiwaliśmy... wrócić do pracy i...

– Ian, ja...

– Zapłacimy ci. Jeśli chcesz, potraktuj to jak przedłużony urlop macierzyński. O kilka miesięcy. Może więcej, jeśli będzie trzeba.

Nell parska śmiechem.

– Poważnie? Przedłużony urlop macierzyński? To nowa polityka firmy? Koleżanki będą zachwycone.

Ian uśmiecha się półgębkiem. Nell próbuje opanować wściekłość.

– Kiedy ten mój urlop macierzyński miałby się niby zacząć?

– Dzisiaj.

– Dzisiaj? Ian, jutro jest szkolenie z bezpieczeństwa danych. Przygotowywałam się do niego. Przyszłam dziś do pracy wcześniej, by wszystkiego dopilnować.

– Rozmawialiśmy z Erikiem. Przejmie twoje obowiązki. – Ian wygląda przez okno, unikając jej wzroku. – Oczywiście, ty byś zrobiła to lepiej, ale jesteśmy pewni, że da sobie radę, łącznie z wystąpieniem jutro zamiast ciebie. Odpocznij. Spędź trochę czasu z Chloe.

– Moja córka nazywa się Beatrice. Posłuchaj, wiem, że to niekomfortowa sytuacja, ale nie zrobiłam nic złego. Namierzyli mnie. W porządku. Ale to wszystko zdarzyło się piętnaście lat temu...

– Nell. – Ian spogląda jej w oczy. – Przykro mi.

– Porozmawiaj z Adrienne – Nell nie daje za wygraną.

Ian przygryza wargę.

– Dlaczego?

– Bo ona o wszystkim wie. Cały czas wiedziała. I jakoś jej to nie przeszkadza. Nie możecie mnie zmusić do odejścia.

– To ona mnie do ciebie przysłała. Okropnie jej przykro z tego powodu. Nam wszystkim. Ale nie możemy sobie pozwolić na całą

tę wrzawę i kompletnie zmienić kurs.

Nell stara się zachować kamienną twarz.

– Zmienić kurs? Z jakiego na jaki? Macie jakiś problem z tym, które z moich zdjęć zamieścić na przyszłotygodniowej okładce „Gossip!”? O to chodzi? Mogę włożyć bikini i wziąć do ręki flagę, jeśli to coś pomoże.

Ian uporczywie wpatruje się jej w oczy.

– Nie komplikujmy sprawy. Spakuj swoje rzeczy. Wrócimy do tej rozmowy za kilka tygodni. Zobaczymy, jak sytuacja się rozwinie.

Nell zamyka oczy i obraz znowu wraca: pakuje swoje rzeczy w Departamencie Stanu. Ludzie odwracają wzrok, gdy idzie do windy. Wychodzi na zewnątrz w tłum dziennikarzy. Przez następne dziesięć lat nie może znaleźć pracy, potencjalni pracodawcy robią niewyraźną minę. To przez nią pogrzebał swoją szansę na fotel prezydenta?

Otwiera oczy i patrzy Ianowi prosto w twarz.

– Nie. Nie odejdę. Nie możecie mnie zwolnić.

– Nikt nikogo nie zwalnia...

– Nie odejdę, Ian. Wezmę prawnika, jeśli będzie trzeba. Ale nie odejdę.

– Ale, Nell, ja... to...

– Wybacz, jeśli to zabrzmia niegrzecznie, Ian, ale muszę cię prosić, żebyś stąd wyszedł. Potraktuj to jak krótki urlop od przebywania w moim biurze. – Odwraca się w stronę swojego komputera. – Muszę przygotować się do jutrzejszego szkolenia.

Ian otwiera drzwi, w milczeniu wychodzi na korytarz. Gdy Nell

wstaje, by zamknąć za nim drzwi, zauważa młodego mężczyznę stojącego kilka metrów dalej i starającego się podsłuchać ich rozmowę – pewnie liczy, że uda mu się pstryknąć zdjęcie, które zamieści na swojej durnej stronie facebookowej.

Nell wraca do biurka, tępo wpatruje się w podręcznik szkoleniowy, starając się wymazać to wszystko z głowy. Iana. Gówniarza na korytarzu. Fotoreporterów na zewnątrz. Artykuł, który czytała przed przyjściem Iana.

Tego samego dnia, gdy były sekretarz stanu Lachlan Raine otrzymuje nominację do Pokojowej Nagrody Nobla, Ellen Aberdeen zostaje powiązana ze sprawą zaginięcia Małego Midasa. Mało tego, zostaje zidentyfikowana jako jedna z pijanych matek tańczących w barze Wesoły Lama w nocy 4 lipca, gdy dziecko zniknęło.

Sięga po torebkę leżącą na podłodze, przeszukuje portfel, myśląc o Almie. Ona też wyznała kilka swoich sekretów tego ranka, gdy Nell powiedziała jej prawdę o swojej przeszłości: o facecie w Queens, który sprzedał jej podrabiane karty ubezpieczenia społecznego, kłamstwa, jakimi posłużył się jej mąż, by dostać pracę jako menadżer hotelu Hilton – Nell zastanawiała się, czy policja to wszystko odkryła.

Znajduje wizytówkę, którą zostawił jej Mark Hoyt, i wybiera jego numer, patrząc na zdjęcie Beatrice na biurku. Hoyt odbiera po drugim sygnale.

Ale Nell się rozłącza. Łączy się z innym numerem, z oczu płyną jej łzy, gdy słyszy ciche: „Halo”.

– Mamo – mówi. – Potrzebuję cię. Proszę, mogłabyś

przyjechać?

Colette przesuwając szmaragd wte i wewte po cieniutkim złotym łańcuszku. Dziś rano po przebudzeniu znalazła pudełeczko na poduszce Charliego. Szczęśliwy kamień Poppy, z okazji ukończenia dwóch miesięcy – oznajmiał liścik. Dziękuję, że jesteś taką wspaniałą mamą.

Podnosi telefon. Tak mi przykro – pisze, dławiąc gulę w gardle, która jej rośnie na myśl o tym, czym od rana żyją media. Zdjęcia Nell z młodości; nagrania, na których wychodzi z taksówki i idzie do budynku Simon French, osłaniając twarz torebką. Trzeba było mi powiedzieć.

Kulfonka. To Nell! Colette doskonale pamięta ten skandal. Jej matka była jedną spośród chóru obrończyń praw kobiet, starających się odkryć prawdziwe oblicze tej sprawy, przeciwstawiających się narracji o rozwiązłej pannicy, chcącej się przespać ze swoim wysoko postawionym szefem, którą z upodobaniem rozpowszechniały media, i ukazać Nell jako dziewczynę, która dała się zwabić w sidła zastawione przez wpływowego mężczyznę.

Znowu spogląda na zegar nad biurkiem Allison, starając się zignorować nabrzmiewające piersi. Nie może w to uwierzyć: zapomniała spakować laktator akurat tego dnia, gdy po raz pierwszy naprawdę potrzebuje z niego skorzystać. Po obejrzeniu porannych wiadomości z Nell w roli głównej była tak roztrzęsiona, że przed wyjściem zapomniała odciągnąć mleko. Potem zrobiło się późno i musiała jeszcze wracać po portfel. A teraz, uświadamia sobie, że ręczny laktator, który wszędzie ze sobą nosi, został na kuchennym blacie. W dodatku Teb znowu się spóźnia, choć

obiecał, że tym razem będzie na czas, choć wie, że Colette musi wrócić do domu przed drugą.

To ważne, żebyśmy skończyli dzisiaj punktualnie – napisała do Teba rano. Charlie wychodzi na spotkanie.

I to nie na jakieś tam spotkanie. Redaktor „New York Times Magazine” zaprosił go na lunch, by przedyskutować ewentualność wydrukowania fragmentu jego powieści.

„Nie, Colette, nie mogę ryzykować – powiedział Charlie wczoraj wieczorem. – Jeśli nie uda ci się przełożyć spotkania z Tobem, wezmę opiekunkę”.

„Wrócę na czas – odpowiedziała. – Obiecuję. Teb obiecał. Nie spóźnię się”.

Bierze torebkę i kieruje się do łazienki, głośno stukając obcasami o parkiet. Pierwsza kabina jest zajęta; siada na sedesie w drugiej i zerka na telefon. Jest odpowiedź od Nell:

Chrzanić ich. Raz udało im się mnie zniszczyć. Ale nie tym razem. Nie pozwolę, by robili mi to na oczach Beatrice.

Kobieta z pierwszej kabiny uśmiecha się, gdy Colette podchodzi do zlewu, ale gdy zerka na piersi Colette, twarz jej posępnieje. Colette spogląda w lustro. Na białej jedwabnej bluzce widnieją dwie wielkie szare koliste plamy. Kobieta szybko myje ręce i gdy wychodzi, Colette wkłada bluzkę pod strumień gorącego powietrza z suszarki, ale po wyschnięciu plamy nadal są widoczne. Zwinięty kawałek papieru toaletowego, który upchała w staniku, tworzy nieestetyczne wybrzuszenia pod bluzką.

Przyciska torbę do piersi, czując ciekące mleko, i wraca do holu. Z torby dobiega brzęczenie telefonu. Wiadomość od

Charliego. Muszę wychodzić. Mam nadzieję, że jesteś w drodze. Zostawiam małą na dole u Sonyi. Dogadałem to z nią. Odbierz ją.

– Colette. – Allison stoi obok. – Czeka na ciebie.

Colette wycisza telefon i z torebką cały czas przy piersi maszeruje do biura Teba. Sonya? Ta dziewczyna z drugiego piętra, którą widzieli ze dwa razy na imprezie lokatorskiej? Teb siedzi rozparty w obrotowym fotelu, przeglądając telefon. Skinieniem głowy wskazuje jeden ze skórzanych foteli naprzeciw siebie, bez słowa przeprosin za opóźnienie.

– Siadaj.

– Jak się miewasz? – pyta Colette.

– Świetnie – odpowiada Teb, ale ton jego głosu i mina wyrażają chłód.

– Chyba...

Ignoruje ją i nachyla się, by wcisnąć guzik na telefonie stacjonarnym na biurku.

– Aaronie, wejdź.

Drzwi otwierają się prawie natychmiast, jakby Aaron czekał na znak. Kiwa w jej stronę głową i podchodzi do komody, biorąc z niej plik teczek. Colette zauważa imię „Midas” wypisane na tej na wierzchu.

– No dobra, Colette. – Teb przeszywa ją wzrokiem. – Mamy poważne kłopoty.

Colette czuje, jak żołądek opada jej aż do stóp. Wiedzą.

Wiedzą, że tamtej nocy była z Winnie, że wzięła teczkę. Zrobili badanie krwi, którą zaplamiła kartki, i zidentyfikowali jej DNA. Jakimś cudem odkryli, że zabrała pamięć USB, którą nadal ma

u siebie w mieszkaniu, w starej torbie na dnie szafy. Mleko przesiąka przez papier toaletowy, spływając stróżką po tkaninie biustonosza. Zastanawia się, od czego zacząć – jak wytłumaczyć, dlaczego ukrywała przed nim prawdę, dlaczego nie mogła się powstrzymać przed zajrzeniem do teczki Midasa. Teb brutalnie wyrywa ją z zamyślenia.

– Książka jest okropna – rzuca, pocierając oczy.

Colette oddycha z ulgą.

– Rozumiem.

Teb opiera się o fotel.

– Colette, co się dzieje? Dlaczego poszło tak źle?

Dlaczego? Nieplanowana ciąża. Brak snu. Strach o zdrowie Poppy. O życie Midasa.

– Między innymi dlatego, że jesteś teraz bardzo zajęty – mówi.

– Nie tak jak ostatnim razem. Jakoś trudno było nam się spotykać zgodnie z planem...

Teb kręci głową.

– Nie, nie o to chodzi. Problem w tym, że to nie brzmi jak coś, co ja mógłbym napisać.

– No cóż, nie ty to napisałeś.

Aaron piorunuje Colette wzrokiem, a Teb powoli obraca się w jej stronę na fotelu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

W ustach jej zaschło; żałuje, że nie zabrała ze sobą butelki wody.

– Chodzi mi o to, że to nie ty napisałeś tę książkę, Teb. Tylko ja.

– Colette. – W głosie Aarona pobrzmiwa coś w rodzaju ostrzeżenia. – Nie jestem pewien...

– Przepraszam – poprawia się Colette. – Oczywiście z przyjemnością napiszę ją od nowa, ale musimy ustalić plan, którego będziemy się trzymać, żebyś mógł mi opowiedzieć coś więcej o tych doświadczeniach ze swojego życia, które chcesz, żebym w niej zawarła. Z całym szacunkiem, Teb, trudno cię było złapać.

– Burmistrz chciał chyba powiedzieć – mówi Aaron – że to się nie sprawdza.

– Rozumiem. Więc skupmy się na tym, jak to poprawić.

Aaron zaczyna mówić, ale Teb mu przerywa.

– Przykro mi to powiedzieć, Colette. Ale musimy powierzyć to zadanie innemu pisarzowi.

– Innemu pisarzowi?

Aaron nachyla się do przodu w swoim fotelu.

– Rozmawialiśmy z wydawcą – podejmuje. – Zatrudnimy kogoś innego, by poprawił tę książkę. Kogoś bardziej znanego. Tego gościa z „Esquire”.

– Żartujesz. Już to załatwiliście? Bez porozumienia ze mną?

– Daj spokój, Colette. – Aaron szczypie się w nasadę nosa. – Od tej książki w dużej mierze zależy, czy burmistrz zostanie ponownie wybrany na stanowisko, czy nie. Doskonale o tym wiesz. Tego, co napisałaś, nie możemy pokazać ani wydawcy, ani wyborcom. Jesteśmy po pachy w gnoju przez całą tę historię z porwanym dzieckiem. Ten szurnięty facet od nieruchomości daje forszę naszemu przeciwnikowi. Ledwo się utrzymujemy na powierzchni.

Colette szuka właściwej odpowiedzi, ale ostatecznie nie mówi nic. To koniec.

Nie musi już dłużej udawać, że da radę zajmować się dzieckiem i pracować. Zostanie w domu z Poppy.

– Jesteś pewien? – zwraca się do Teba, ale odpowiedź pada z ust Aarona.

– Obawiam się, że tak, Colette. – Jego telefon buczy. – Niestety, musimy już iść.

Teb patrzy przez okno, nie chcąc spojrzeć jej w oczy.

– Przyszli ci ludzie z bankowości – oznajmia Aaron, zapinając marynarkę i wskazując drzwi. – Colette, bardzo ci dziękujemy.

– Robi to wszystko z lekkością i swobodą, jakby umawiali się na lunch. – Burmistrz naprawdę lubił z tobą pracować.

Colette wstaje, oczekując, że Teb coś powie, ale ten milczy. Wychodzi z jego gabinetu i kieruje się do windy. W głowie jej się kręci. Co teraz? Co to oznacza dla jej kariery? Powinna zadzwonić do wydawcy albo do agentki, jakoś się wytłumaczyć.

Ale potem myśli o Poppy zostawionej pod opieką jakiejś obcej kobiety.

Mija windę i zbiega ze schodów, cztery kondygnacje w dół. Na ulicy nie widać taksówek, więc biegnie najszybciej, jak potrafi, przez City Hall Park, potem schodami w dół do metra. Pociąg stoi na peronie, drzwi już się zamykają, ale zdąża wsunąć rękę w szczelinę. Drzwi zatrząskują jej się na łokciu. Po chwili otwierają się szerzej i zanim zamkną się znowu, Colette rozsuwa je siłą, wślizguje do środka i zajmuje jedno z ostatnich wolnych miejsc. Kobieta siedząca obok pachnie lakierem do włosów. Colette

napotyka wzrok starszej pani ze stosem pomarańczowych toreb na zakupy trzymany między nogami.

– Księżna jaka. Wszyscy muszą na taką czekać – komentuje kobieta, ciskając gniewne spojrzenia.

Colette odwraca wzrok. Czuje ból w łokciu.

Ze słuchawek mężczyzny siedzącego naprzeciw dobiega głośna muzyka. Colette przyciska palce do uszu, próbując skupić się na tym, jak o tym wszystkim powiedzieć Charliemu. Jej mąż nie ma pojęcia, jak fatalnie szło jej pisanie, jak bardzo męczyła się z tą książką. Jak zareaguje? Otwiera oczy i widzi, że mężczyzna naprzeciw czyta egzemplarz „New York Post” ze zdjęciem Nell na okładce, tym zrobionym w Wesołym Lamie.

Powietrze wypełnia pisk hamulców i gwałtowny płacz dziecka. Pociąg raptownie staje, kobieta na siedzeniu obok chwytając Colette za udo, a staruszek przy drzwiach upada na podłogę.

– Przepraszam – rzuca kobieta, zabierając dłoń.

Młode małżeństwo pomaga mężczyźnie wstać; pasażerowie, podniósłszy wzrok znad telefonów, wzajemnie obrzucają się spojrzeniami, a po wagonie przetacza się zbiorowe westchnienie zdumienia. Kobieta z pakunkami cmokta z niezadowolenia i zaczyna coś mówić, ale jej słowa zagłusza głos maszynisty.

– Policja wzywana na tory. Jeśli mnie słyszycie, policja na tory obok peronu F. Mamy człowieka na torach. – Zapada moment ciszy. – Jest do czegoś przywiązany – dodaje po chwili.

Prąd zostaje wyłączony, klimatyzacja cichnie, światła gasną. W wagonie zapada głucha cisza. Colette czuje wokół siebie poruszenie, gdy ludzie chwytają za komórki, ona też sięga po

swoją, choć wie, że nie będzie zasięgu.

Muszę wracać do Poppy.

Drzwi na końcu wagonu rozsuwają się.

– Zaskoczenie? Naprawdę nikt z was się tego nie spodziewał? – Mężczyzna ma na sobie krótkie dżinsowe spodenki i biały podkoszulek, odsłaniający jego żylaste muskularne ramiona. Energicznie maszeruje przez wagon do ostatnich drzwi na drugim końcu, wymijając ludzi stojących w przejściu. – Nie przyszło wam do głowy, że mając takiego dupka za burmistrza, prędzej czy później zobaczymy w Nowym Jorku terrorystę samobójcę?

Colette czuje, jak w piersi narasta jej panika. Przywołuje twarz Poppy, jak wyglądała w środku nocy, gdy ją karmiła, jej ciemnoniebieskie oczy, bezbronne i kochające. Nadal nie może uwierzyć, że potrafi czuć tak wielką miłość, bezdenną jak opuszczony kamieniołom, do którego bała się wskoczyć jako dziecko, ten sam, który potem zabrał chłopca z jej szkoły – ciała nigdy nie odnaleziono. Bierze telefon z kolan i pisze wiadomość do Charliego. Nie będzie jej mogła wysłać bez zasięgu, ale jeśli ktoś znajdzie jej telefon, jeśli urządzenie przetrwa wybuch...

Kocham Was ponad wszystko. Poppy. Powiedz jej...

Światła znowu się zapalają, znowu jest prąd.

– Proszę państwa – mówi maszynista. – Zaraz otworzymy drzwi w przednim wagonie. Proszę szybko ustawić się do wyjścia, zachowując spokój.

Colette wstaje, dołączając do milczącego strumienia ludzi przepychających się zatłoczonym przejściem. W sąsiednim wagonie nastolatka siedzi sama przy oknie, z telefonem w rękę, po policzku

spływa jej łza. Ma na sobie rajstopy w romby, rozerwane na kolanie, a w nozdrzu połyskujący złoty kolczyk. Gdy Colette dotyka jej ramienia, dziewczyna podnosi wzrok.

– Muszę zadzwonić do mamy, ale nie mam zasięgu.

– Chodź – mówi Colette. – Chodź ze mną.

Trzyma dziewczynę za łokieć i prowadzi przed sobą. Gdy docierają do pierwszego wagonu, z ulgą stwierdza, że przednia część pociągu stoi przy peronie; nie będą musiały iść po torach. Czeka na swoją kolej do wyjścia, a potem razem z dziewczyną zaczynają biec wraz z resztą tłumu, przez peron, przez bramkę obrotową i w górę schodami. Dziewczyna znika w roju ludzi, a Colette pędzi przed siebie, jak najdalej stąd. Przy następnej przecznicy widzi, jak ktoś wysiada z taksówki. Pędzi w stronę samochodu, wyprzedzając mężczyznę, który już miał usiąść na tylnym siedzeniu.

– Przepraszam – mówi. – Muszę wrócić do domu.

Zatrząskuje drzwi, odcinając się od strumienia przekleństw płynących w jej stronę z ust mężczyzny i od jego pięści walących w przednią szybę.

– Na Brooklyn – rzuca do kierowcy. – Proszę, niech pan się pośpieszy.

Zamyka oczy. Wydaje jej się, że mijają całe godziny, zanim zatrzymują się przed jej apartamentowcem. Przez niebo nie przebija się ani krztyna światła. Na trzęsących się nogach Colette podchodzi do budki stróża.

– Mógłby mi pan podać numer mieszkania Sonyi?

Na drugim piętrze stara się opanować, po czym delikatnie puka

do drzwi Sonyi. Nikt nie odpowiada. Zaczyna walić z całych sił, aż bołą ją pięści.

– Sonya? Jesteś tam?

Na końcu korytarza otwierają się drzwi. Staje w nich mężczyzna przed trzydziestką, z małym pieskiem skaczącym przy nogach, z mieszkania dobiega muzyka klasyczna.

– Co pani robi? – pyta, bosą stopą wpychając psa z powrotem do mieszkania.

– Nie otwiera. Jest z nią moje dziecko. Mieszkam na górze.

– Wyszła.

– Wyszła?

– Tak, słyszałem, jak wychodzi. Przez te ściany wszystko słycać.

– O której dokładnie?

– Nie wiem. Jakies dwadzieścia minut temu.

Dwadzieścia minut? Czy Charlie miał dość mleka, by jej zostawić? Czy dał jej krem z filtrem? Colette nie zna numeru telefonu tej kobiety. Nie zna nawet jej nazwiska.

Odwraca się i wbiega na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Zadzwoi do Charliego, przeszkodzi mu w spotkaniu, zażąda, by wrócił do domu i pomógł jej zająć się córką. Jedną ręką przekopuje torbę w poszukiwaniu telefonu, a drugą wsuwa klucz do zamka.

Charlie.

Jest w domu, leży na podłodze obok Poppy, która właśnie sięga rączkami do swojej stópki. Colette rzuca torbę na ziemię, podnosi małą, gwałtownie obsypując jej twarz pocałunkami. Poppy kwili ze zniecierpliwienia. Charlie cicho pochrapuje; zasnął. Poppy trąca

noskiem ciepłą skórę na piersi Colette, domagając się mleka. Colette czuje, jak dopada ją zmęczenie, ściany zaczynają jej falować przed oczami. Zamyka powieki i wyobraża sobie, że leży obok Charliego, wtula się w jego ciało i o wszystkim mu opowiada. O tym, co się wydarzyło w metrze, o utracie pracy. O przerażeniu, które czuje, o rozpaczliwej potrzebie dowiedzenia się, czy Midas żyje. Chce powiedzieć mężowi, że czuje się winna, że nie było jej przy dziecku, o tym, jak bardzo się starała, by to wszystko działało. Chce go obudzić i powiedzieć, że nie ma siły czekać trzy miesiące na wizytę u pediatry, że wcześniej dostanie zawału z nerwów.

Ale zbyt się boi. Boi się, że jak tylko zacznie, rozpłacze się, da się pochłonąć smutkowi, lękowi, przytłoczeniu, poczuciu, że wszystko, co ma, wyślizguje jej się z rąk.

– Musisz to robić na moich oczach?

Głos Charliego razi ją niczym prąd. Nie śpi.

– Co robić?

– Tulić ją.

Colette nie odpowiada. Zabrakło jej słów.

– Przykro mi patrzeć na czułości, jakimi ją obsypujesz, gdy mnie odpychasz, ilekroć cię dotknę.

– Charlie, nie mów tak, proszę. Sądziłam, że masz...

– Nie poszedłem.

– Dlaczego?

Charlie wstaje i idzie do swojego gabinetu.

– Wiem, jak byś się zamartwiała, gdybym ją zostawił. Nie chciałem ci tego robić.

Colette idzie za nim, dotyka jego ramienia, ale mąż odtrąca jej

dłoń.

– Nie teraz, Colette. Potrzebuję trochę czasu.

– Charlie. Przepraszam. Posłuchaj, są pewne sprawy...

Ale już zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 18

DZIEŃ JEDENASTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 15 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 62 DNI

Wszystkie przeżywałyśmy dni, pod których koniec czułyśmy się skonane, a także chwile smutku i przygnębienia. Te uczucia powinny zanikać z czasem, gdy Ty i Twój maluch odnajdziecie już własny rytm. Ale jeśli Ty lub ktoś z Twoich bliskich zaczyna się zastanawiać, czy to coś więcej niż baby blues, nie pozwól, by wstyd czy duma powstrzymały Cię przed rozmową z lekarzem. Zwrócenie się po specjalistyczną pomoc to czasem najlepsze, co możesz zrobić dla swojego dziecka.

Francie przechadza się wąską alejką z beletrystyką w księgarni na zapleczu The Spot, z debiutancką powieścią Charliego w ręku, próbując przekonać samą siebie, że wszystko idzie dobrze, że Nell wyjdzie z tego cało. Francie nie miała pojęcia o niczym z tego, co mówiono w telewizji o Nell. Nie wiedziała nawet o skandalu – kandydat na prezydenta, który wycofał się z wyborów po romansie z dwudziestodwuletnią stażystką w Departamencie Stanu.

Miała wtedy szesnaście lat, a jej matka trzymała rodzinę z dala od politycznych skandali seksualnych (oraz wszystkiego, co w jakikolwiek sposób łączyło się z demokratami, dobrego czy złego).

No i Rodzyn. To, jak dwa dni temu wyrzucił ją ze swojego mieszkania, bez słowa wyjaśnienia na temat powodów swojego aresztowania, zrodziło tylko jeszcze więcej pytań.

Najgorsze jest jednak to, co wydarzyło się dziś rano. Francie podchodzi do lady, by zapłacić za książkę Charliego, czując kolejną falę mdłości na wspomnienie tamtej chwili. Barbara siedziała na kanapie, oglądając telewizję i czekając, aż Francie przygotuje jej ulubioną kanapkę z jajkiem sadzonym. Francie ze wszystkich sił starała się nie słuchać plotek, jakimi raczyła ją teściowa: o tym, że siostrzenica jej przyjaciela urodziła właśnie czwarte dziecko, śliczną córeczkę, że u niej w mieście otwarto nowy salon paznokci, w którym przed wyjazdem zrobiła sobie manicure – zatrudniają w nim cztery kobiety, które prawdopodobnie przebywają w kraju nielegalnie. Ze Wschodu.

Francie usłyszała nazwisko Colette w chwili, gdy wystrzelił toster. Odwróciła się i spojrzała na telewizor – Colette uprawia jogging w pobliżu jej kamienicy, czerwona na twarzy i zadyszana.

„Zostawcie mnie – rzuca, przebiegając obok kamer i osłaniając twarz rękoma. – Bez komentarza”.

„Colette Yates jest córką Rosemary Carpenter, znanej obrończyni praw kobiet – perorował dziennikarz. – Jest związana z powieściopisarzem Charliem Ambrose’em, któremu dwa miesiące temu urodziła dziecko”. To jedna z kobiet, które widziano z Winnie

w barze tamtej nocy, mówił dalej. Według naszych źródeł Colette jest na towarzyskiej stopie z burmistrzem Shepherdem, ten jednak odmówił komentarza. A potem nagle zaczęli mówić o niej – o Francie. Mieli nawet jej zdjęcie, to z wieczoru w Wesołym Lamie – przytula na nim twarz do Nell.

Dziennikarz dodał, że Francie jest niepracującą matką, akurat w chwili, gdy Lowell wszedł do kuchni; Francie usłyszała, jak Barbara głośno wstrzymuje oddech.

„Jej mąż, Lowell Givens, jest jednym z właścicieli firmy Givens and Light Architects, nowo powstałego przedsiębiorstwa z Brooklynu”.

„To straszne – powiedziała Barbara, ignorując Francie, patrząc tylko na Lowella. – Co teraz będzie z twoją firmą?”

Francie wręcza pieniądze sprzedawcy, wiedząc, że nie powinna kupować książki Charliego, że powinna wypożyczyć ją z biblioteki. Ale biblioteka otwiera się dopiero w południe, a ona musiała gdzieś uciec ze swojego ciasnego mieszkania, nie mogąc znieść oskarżycielskich spojrzeń Barbary.

Francie odbiera resztę i szuka wolnego stolika. A potem ją dostrzega. Na ulicy.

Jest w okularach przeciwsłonecznych i długiej, workowatej kurtce. Włosy ma upchnięte pod bejsbolówką, jednak Francie natychmiast ją rozpoznaje.

– Winnie!

Francie krzyczy głośniej, niż zamierzała, i stojący w kolejce po kawę milkną. Wybiega na zewnątrz.

– Winnie! Zaczekaj, Winnie!

Przytrzymując Willa przy piersi, niezgrabnie biegnie za Winnie, która szybko idzie pod górę.

– Poczekaj, Winnie, proszę!

Nie pojmuje, dlaczego Winnie się nie zatrzymuje. Will zaczyna kwilić, ale Francie biegnie dalej. Dogania Winnie, gdy ta staje przed kamienicą, rozpaczliwie szukając w torbie kluczy.

– Winnie, proszę. Muszę z tobą porozmawiać. Tak bardzo się martwiłam.

Francie próbuje złapać oddech.

– Dostałaś wiadomości ode mnie? Tak mi przykro, że...

Zatrzymuje się jakiś samochód, a przednie opony skręcają na chodnik parę metrów dalej. Z fotela kierowcy wyskakuje niski, otyły mężczyzna w fedorze i szortach w kratkę, chwytając za wielki aparat fotograficzny zawieszony na szyi.

– Gwendolyn! Spójrz na mnie! Jak się miewasz, Gwendolyn?

Winnie pośpiesznie wsuwa klucz do zamka, a Francie rzuca się za nią, potykając się o stopień akurat w chwili, gdy Winnie wchodzi do chłodnego, zaciemnionego przedsionka. Francie wciska się za nią, zanim Winnie zdąży zatrzaskać drzwi na palcach mężczyzny. Idzie za nią po czterech marmurowych schodkach, a potem korytarzem, flesz aparatu rozświetla ściany. Ciężkie jedwabne zasłony w salonie są zasunięte, Francie wdycha stęchłe powietrze i smród rozkładającego się jedzenia. Winnie rozsuwa zasłony na drzwiach tarasowych, a Francie aż bolą oczy od nagłego dopływu światła. O ścianę naprzeciw stoją oparte dwa duże dywany zwinięte w rulon. W kącie piętrzą się w nieładzie tekturowe pudła. Stół i podłoga zasłane są pojemnikami po jedzeniu na wynos, koło drzwi

leży pusta butelka po winie. Francie spostrzega dwa kieliszki po winie, obok różowej jedwabnej halki ciśniętej na ziemię.

Winnie zdejmuje kurtkę. Wygląda jak szkielet.

– Dostałam twoje wiadomości. Przepraszam. Nie miałam siły oddzwaniać.

Francie staje na środku pokoju, poklepując Willa po pupie i próbując złapać oddech.

– Winnie, nie wiem, co powiedzieć. Wyprowadzasz się?

– Czy się wyprowadzam? – powtarza Winnie.

Francie wskazuje na zwinięte dywany i kartony.

– Te wszystkie pudła...

– Ach, to... – Winnie omiata pokój spojrzeniem. – To robota śledczych. Po tym... – Urywa na chwilę. – Widziałam, co stało się z Nell – podejmuje. – A teraz ty i Colette. Mówili o was w wiadomościach.

– O nas? Nie martw się o nas. Jak się czujesz? Nie mogę...

– Ze mną wszystko w porządku.

– W porządku? – Francie nie potrafi nic innego z siebie wydusić, zaszokowana tym, jak zmieniła się Winnie. Jest wychudzona, policzki ma zapadnięte. Nie jest tą kobietą, którą tak podziwiała jeszcze kilka miesięcy temu, gdy ujrzała ją po raz pierwszy, przechodzącą przez trawnik, w widocznej już ciąży. W niczym nie przypomina tej pięknej, tryskającej życzliwością kobiety, która siedziała naprzeciwko niej w The Spot, ani tchnącej świeżością dziewczyny z Niebieskiego ptaka, którego Francie ogląda raz po raz.

– Co mam ci powiedzieć, Francie? – mówi Winnie. – Straciłam

dziecko. Nie jestem w stanie wyrazić tego, przez co przechodzę.

Francie czuje, jak łzy napływają jej do oczu. Chce powiedzieć: Rozumiem cię. Lepiej, niż ci się wydaje. Wiem, co to znaczy stracić dziecko. Nie śmie jednak się odezwać.

– Jak mogę ci pomóc? Potrzebujesz czegoś? Wiesz, co się stało?
– Słowa wypływają z niej potokiem.

Winnie odwraca się ku drzwiom na taras.

– Oczywiście, że nie wiem, co się stało.

– Dużo o tym myślałam – mówi Francie. – Nie mogę uwierzyć, że policja tak to spieprzyła. Na początku byłam pewna, że to Bodhi Mogaro. Wierzyłam im, rozumiesz. A potem zaczęłam brać pod uwagę inne możliwości. Na przykład tego faceta, z którym rozmawiałś w barze.

Winnie odwraca się, żeby na nią spojrzeć. W oczach ma coś, czego Francie nie potrafi określić. A może to coś w jej twarzy albo w sposobie, w jaki mówi. Coś nienaturalnego. Pustego.

– Facet w barze?

– Ten, który zaczepił cię tamtej nocy. Ten, którego... Ten, który postawił ci drinka.

– Z nikim nie piłam drinka tego wieczoru.

Will uspokaja się, opierając głowę na piersi Francie. Najchętniej by już poszła. Czemu Winnie ją okłamuje?

– No to gdzie byłaś? Po tym, jak odeszłaś od naszego stołu?

Winnie unika wzroku Francie, zachowuje się, jakby nie słyszała jej pytań. Odwraca się i idzie do kuchni, a po chwili wraca z butelką wina i dwoma plastikowymi kubkami. Napełnia je winem i jeden podaje Francie. Francie przyjmuje kubek, ale przed oczami ma

Winnie na ostatnim spotkaniu Majowych Mam w parku, z ustami zatopionymi we włosach Midasa, gdy odmówiła wina przyniesionego przez Nell. „Nie, dziękuję. Alkohol mi szkodzi”.

– Poszłam do parku – mówi Winnie.

– Do parku? Po co?

– Odwiedzić matkę. – Kubek drży w jej dłoni.

– Matkę? Ależ Winnie, twoja mama nie żyje.

Winnie piorunuje ją spojrzeniem.

– Dziękuję, Francie. Jestem tego świadoma. – Upija łyk. – Jest tam krzak derenia, który razem z tatą przywieźliśmy z naszej posiadłości na północy. Posadziliśmy go w parku, w ulubionym miejscu mojej mamy, w pobliżu tej długiej łąki. To mój sekret, trzymałam go w tajemnicy. W tym miejscu czuję jej bliskość. Poszłam tam tej nocy.

– Dlaczego?

– Tęsknię za nią. – Winnie otwiera drzwi na taras i wychodzi na szeroki balkon. Francie idzie za nią. Piskliwy śmiech dzieci bawiących się w piaskownicy na podwórku przedszkola kilka budynków dalej przebija się przez ciężkie powietrze. Wzdłuż poręczy ciągną się doniczki z uschniętymi ziołami. – Wiem, że to nie najlepsze alibi.

– Alibi? Co masz na myśli?

– To, że byłam w parku. Nikt mnie nie widział. Wiem, co ludzie mówią. Wiem, gdzie... – Pociąga kolejny łyk wina. – Nigdy nie skrzywdziłabym swojego dziecka.

Francie przypomina sobie o kubku, który trzyma w dłoni, i upija odrobinę, próbuje przełknąć, ale w gardle narasta jej sucha gruda.

– Myślałem, że najgorsze, co może mnie spotkać w życiu, to strata matki. Myliłam się.

Francie próbuje złapać Winnie za ramię, ale ta się odsuwa.

– Nie chcę więcej pytań. Nie potrafię myśleć racjonalnie, linearnie. Czas się zapętlił.

Nagle jej twarz się spina, Winnie dostrzega coś w oddali. Francie spogląda w tym samym kierunku i widzi kobietę stojącą na małym balkoniku po drugiej stronie podwórka; na ramieniu trzyma dziecko zawinięte w kocyk. Podlewa różowe cynie w doniczce. Stawia konewkę na ziemi i przycina pędy, po czym wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Matki z dziećmi. Wszędzie was pełno. Mam nadzieję, że docenicie to, co macie. – Winnie odstawia kubek, dopiwszy resztkę wina, a potem spogląda na Willa. – Nie chcę być niegrzeczna, Francie, ale nie mogę sobie poradzić z...

Francie serce pęka z żalu. Dlaczego o tym nie pomyślała? O tym, jak egoistyczne i bezduszne było z jej strony zmuszanie Winnie do patrzenia na Willa. Jak trudno musi być jej codziennie patrzeć na matki z dziećmi. Teraz rozumie, dlaczego tam, przed kawiarnią, przed nią uciekała.

– Przepraszam, Winnie – mówi Francie. – Nie pomyślałam.

Wchodzą razem do środka, a Francie zamyka drzwi od tarasu.

Winnie odwraca się do Francie, kiedy ta wchodzi po schodach.

– Odpuść sobie.

– Jeśli tylko czegoś potrzebujesz... – Francie zawiesza głos.

– On żyje, Winnie. Czuję to. Proszę. Nie trać nadziei. Ja jej nigdy nie pogrzebałam.

Winnie skręca za róg i znika w korytarzu na górze.

Francie idzie niepewnie przez salon, mijając kolejną stertę pudeł – zasmuca ją myśl o nieznanym przeczesującym dom Winnie, ich ręce na jej rzeczach – i otwiera drzwi wychodzące bezpośrednio na chodnik. Maszeruje przed siebie, nie bardzo wiedząc dokąd. Słyszy, że ktoś biegnie w jej stronę. Facet w fedorze wypada zza rogu. Twarz skryta za aparatem.

– Hej! Mary Frances! Co powiedziała Winnie...

Migawka aparatu klika bezlitośnie. Mężczyzna wykrzykuje pytania, ale Francie nie zwraca na niego uwagi. Idzie dalej, z pochyloną głową, osłaniając rękoma dziecko. Ma mętlik w głowie.

– Co robisz? – pyta ją Lowell później tego wieczoru.

Francie siedzi na podłodze w salonie, ze ściśniętym żołądkiem, stawiając lawendowe świece w kręgu wokół Willa leżącego przed nią na kocu.

Stara się, by nie zadrżał jej głos:

– Praktykuję hygge.

Lowell kiwa głową.

– Ach, tak... A co to takiego?

– Najnowsza moda z Danii.

Francie dmucha na pozbawioną smaku herbatę z rumianku, świadoma, w jaki sposób Lowell na nią patrzy. Jak się jej przygląda.

– Oznacza „poczucie komfortu”. Duńczycy są dzięki temu tacy spokojni i szczęśliwi. Pomyślałam, że może poprawi to Willowi

nastrój.

– Świetny pomysł. – Lowell siada na kanapie i otwiera piwo.

– A jak twój nastrój?

Francie wkłada Willowi na stopy świeżą parę bawełnianych skarpetek.

W artykule napisano, że najlepiej jest otulić się owczą skórą, ale nie odważyła się wydać pieniędzy na wełniany kocyk, który znalazła w internecie, uznając, że te bawełniane skarpetki od Cartera będą musiały wystarczyć.

– Mój nastrój? W porządku. Czemu pytasz?

– Jak to czemu? To nie można już własnej żony spytać o samopoczucie?

– No cóż, twoja mama oznajmiła mi dziś po południu, że nasze podłogi są niehigieniczne i że powinnam je wyszorować wybielaczem.

Francie mówi cicho. Barbara właśnie kąpie się w łazience, z błotną maseczką na twarzy słuchając radia na swoim iPodzie.

– Co mówisz?

– Nic. Ale nie będę czyścić tych podłóg wybielaczem. Wybielacz, gdy w domu jest niemowlę? Mam wrażenie, że krytykuje nasze mieszkanie. Połowę rzeczy, które robię.

– Francie. – Twarz Lowella posępnieje. – Ona wcale tak nie myśli. Wmawiasz to sobie.

Francie upija łyk herbaty, próbując zdusić w sobie niepokój. Nie chce rozmawiać o Barbarze, chce pomówić o Winnie, o ich wcześniejszej rozmowie. Ale nie może, nie z Lowellem. Nie powiedziała mu, co się stało; wie, jaki byłby wściekły, że poszła

z Willem do mieszkania Winnie. Co gorsza, Barbara spędziła w domu całe popołudnie. Z plastikowymi lokówkami na głowie, szepcząc do telefonu w ich sypialni. Francie jest pewna, że wydzwaniała do znajomych w Tennessee, pytając, czy słyszeli, jak mówiono o Lowellu w wiadomościach, „A nie mówiłam, że w tym Nowym Jorku to tylko same kłopoty”. Wyszła z sypialni dopiero po powrocie Lowella, a wtedy Francie była zbyt wylękniona, by się odzywać.

– Francie, daj spokój. Chce dobrze. Wszystko wyglądało inaczej, gdy miała małe dzieci. Ona tylko...

– O mój Boże! – Krzyk Barbary dochodzący z łazienki tak przestrasza Francie, że wylewa kilka kropel gorącej herbaty na rączkę Willa. Mały zaczyna kwilić, a Lowell skacze na równe nogi, rozlewając piwo i gasząc dwie świece. Pędzi korytarzem do łazienki i puka do drzwi.

– Mamo! – Łapie za klamkę, ale drzwi są zamknięte. – Mamo! Nic ci nie jest?

– Wiedziałam! – W głosie Barbary pobrzmiewa triumfalny ton. – Od początku to wiedziałam.

– O czym mówisz, mamo?

Drzwi się otwierają i Barbara wypada na korytarz owinięta w ręcznik. Twarz ma szczelnie pokrytą warstwą szarej papki. Z nóg ścieka na podłogę piana.

– Zabierają ją na oficjalne przesłuchanie – mówi Barbara, przez co pęka maseczka na jej twarzy. – Tę waszą przyjaciółkę. Matkę tego dziecka. Wiedziałam, że ta kobieta coś ukrywa.

ROZDZIAŁ 19

NOC JEDENASTA

W głowie pojawia mi się obraz, w którym ktoś dźga mnie nożem.

Długie, cienkie ostrze przeszywa mój brzuch, tuż pod pępkiem. Wąskie cięcie, prosta linia, zmierzająca do serca. W środku jestem pusta. Czarna jak popiół. Moje narządy są niczym pył. Przy najmniejszym dotknięciu serce rozpada się na milion okopconych drobin, czarną kupkę proszku na podłodze, gdziekolwiek pójdę, zostawiam smoliste ślady.

Zawsze taka byłam. Niegrzeczna dziewczynka. Ojciec cały czas to powtarzał.

„Zostaw ją w spokoju!” – krzyczała na niego mama. „Postaraj się” – szeptała, gdy nie było go w pobliżu. „Nie dawaj mu powodów do gniewu”.

Myślałam, że się zmienię, gdy zostanę matką, ale się myliłam. Dziecko tylko wszystko pogorszyło. A teraz wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jestem. To było nieuniknione, że mnie dopadną, prawda? Francie, ta wścibska, namolna kretynka.

Kocyk Midasa. Dlaczego wcześniej się tym nie zajęłam?

Dlaczego...

Dlaczego, dlaczego, dlaczego...

Moje myśli tracą wątek. Muszę zachować spokój. W głowie

słyszę huczący głos, jakby ktoś mówił przez megafon. Umieję sobie wyobrazić tego kogoś. Ma wąsy i nosi duży cylinder, okrągłe druczane okulary oraz szmaragdowe buty, które zawijają się do góry na palcach. „Hola, szanowna pani! – drze się przez megafon. – Proszę zachować spokój. Nie czas na histerię”.

(Ha! Wiesz co, głosie? A jednak doszło do tego. Stałam się dokładnie taka, jakie według mojego ojca są wszystkie kobiety. Rozhisteryzowana).

Znikniemy. Wiem, że wciąż to powtarzam, ale tym razem tak się stanie. Jutro. Problem polega na tym, że, no cóż...

Gotówki już prawie nie ma. Bałam się sprawdzić, ale w końcu to zrobiłam. Wczoraj. Siedemset czterdzieści trzy dolary dwanaście centów. To wszystko.

Nie miałam wyboru, musiałam powiedzieć Joshui.

„Ale nie martw się – mówię wczoraj wieczorem, odwrócona do niego plecami, by nie widzieć zdumienia i gniewu w jego oczach. – Jeszcze trochę mamy”. (Po raz pierwszy od miesiący jestem szczęśliwa, że nie ma przy mnie doktora H. „Powtarzałem milion razy: nie szastaj pieniędzmi” – stwierdziłby z wyrzutem, a z jego twarzy wyczytałabym, że wciąż zachowuję się jak nastolatka).

Właśnie wtedy pojawiła się Francie, odrywając mnie od myślenia o forsie, przypominając, że mamy większe problemy. A co, jeśli mi nie uwierzą? W końcu wypowiedziałam to pytanie na głos. A co, jeśli przejrzą bajeczkę, którą spreparowaliśmy?

Co, jeśli wsadzą mnie do więzienia?

Ale Joshua tylko się odwrócił. Wiem, że każda wzmianka na ten temat go przeraża. Gdy później jedliśmy w milczeniu obiad, dobrze

wiedziałam, o czym myśli.

Panna Cwaniara nie potrafi nas wyciągnąć z opałów. Panna Prymuska nie umie rozwiązać prostego równania: dokąd się udać?

Nie wolno mi marnować więcej czasu. Nie teraz, gdy pętla się zaciska. Tennessee. Montana. Alaska. Będziemy jechać, dopóki nie znajdziemy miejsca, w którym zechcemy zostać albo dopóki starczy benzyny. Osiedlimy się. Znajdę pracę. Wynajmiemy chatkę na odludziu. Joshua chciałby znaleźć coś kameralnego, z dala od ludzi. Ziemię, na której uda nam się zapomnieć, zacząć od nowa. Gdzieś, gdzie nigdy nas nie znajdą.

Ja też tego chcę. Tak mi się przynajmniej wydaje, gdy sobie to wyobrażam. Ogródek za domem. Może kilka kur.

Pistolet na podorędziu. Na wszelki wypadek.

ROZDZIAŁ 20

DZIEŃ DWUNASTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 16 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 63 DNI

Od porodu minęło dziewięć tygodni i nadszedł czas, by pomówić o RÓWNOWADZE. Wiemy, jak to jest, gdy opiekujesz się dzieckiem. Gdy robisz zakupy spożywcze. Gdy wracasz do formy. Niektóre z nas przygotowują się do powrotu do pracy. To nie jest łatwe. Najlepsze, co możesz zrobić dla siebie – i dla swojego dziecka – to dążyć do odzyskania równowagi w życiu. Może wynajmiesz opiekunkę na kilka godzin tygodniowo lub poprosisz przyjaciółkę o opiekę nad dzieckiem, by móc odwiedzić siłownię? Może wydasz kilka centów więcej i zamówisz zakupy z dowozem do domu? Na pewno jest jakieś rozwiązanie. W końcu szczęśliwa matka to szczęśliwy dom.

Nell się wydaje, że ciało ma z betonu, a nogi zatopione w gipsie. Słyszy płacz, ale dźwięk jest przytłumiony. Dziecko woła do niej spod wody. Próbuje się poruszyć, ale nie daje rady.

– Nell.

Czuje zapach waniliowego balsamu do rąk swojej matki i otwiera oczy. Margaret stoi tuż nad nią.

– Spóźniłam się do pracy? – pyta Nell.

– Nie, jeszcze nie ma siódmej. – Mama przykuca obok niej.

– Nie chciałam cię budzić, ale musisz coś zobaczyć.

Nell dostrzega minę matki. Siada.

– Z Beatrice wszystko w porządku?

– Tak, kochanie. W porządku. Śpi. Sebastian właśnie wyszedł do pracy. Ale chodź ze mną do salonu.

Nell podnosi się z ciepłej pościeli i idzie za mamą korytarzem. Margaret przyjechała wczoraj wieczorem. Wyszła z pracy zaraz po tym, jak Nell zadzwoniła. Jechała bez przerwy przez cztery godziny z Newport do Brooklynu.

Spała na dmuchanym materacu w salonie. Obok niej stał monitor. Zajęła się Beatrice, więc Nell i Sebastian mogli przespać pierwszą pełną noc od przyjścia córki na świat.

W salonie jest włączony telewizor i Nell widzi burmistrza Shepherdę, ustępującego miejsca na podium przy mikrofonie Rohanowi Ghoshowi.

Nell spogląda na Margaret.

– Co się stało?

Ghosh podnosi rękę. „Zacznę mówić, kiedy zapadnie cisza – mówi, po czym robi przerwę, by pociągnąć łyk wody z butelki. – Zeszłej nocy po raz kolejny przeszukaliśmy samochód należący do Winnie Ross. Znaleźliśmy niebieski kocyk niemowlęcy wepchnięty pod koło zapasowe. Koc pasuje do opisu tego, który zabrano z łóżeczka Midasa w noc jego porwania. Nasz zespół

śledczy potwierdził, że włókna koca zawierają ślady DNA Midasa Rossa, a także ślady jego krwi”.

– Nie – mówi Nell i spina ramiona.

„Co skłoniło policję do zainteresowania się samochodem na nowo?” – wykrzykuje pytanie ktoś z tłumu.

Ghosh mówi dalej, podnosząc nieco głos: „Około szóstej rano Winnie Ross została aresztowana i formalnie oskarżona w związku ze zniknięciem jej syna, Midasa Rossa”.

Nell wstrzymuje oddech, matka podchodzi do niej i bierze ją za rękę.

„Znaleźliście ciało?”

„Więcej szczegółów podamy jeszcze dzisiaj. W tej chwili chciałbym podziękować detektywowi Markowi Hoytowi za jego rzetelną pracę. Podziękowania należą się oczywiście również burmistrzowi Shepherdowi. Wszyscy zaangażowani w tę sprawę wykonali świetną robotę. – Ghosh zbiera dokumenty z pulpitu. – To wszystko teraz. Dziękuję za uwagę”.

Nell ściska dłoń Margaret w momencie, gdy na ekranie wyświetla się film, na którym Winnie wyprowadzana jest z nieoznakowanego SUV-a do centrali policji na Dolnym Manhattanie. Winnie spod ciemnych włosów spogląda w stronę kamer. Nadgarstki ma spięte z tyłu kajdankami. Dwóch umundurowanych mężczyzn trzyma ją za łokcie.

Wchodzi do budynku, po czym na ekranie pojawia się twarz prezentera, a po chwili materiał pokazany zostaje od nowa: Winnie wysiada z samochodu, wprowadzana jest na posterunek policji, patrzy w kamerę. Puste oczy, kamienna twarz.

Nie. Francie nosi Willa po korytarzu, powtarzając to słowo na głos.

– Nie.

W końcu bierze telefon z blatu i pisze. Dostajesz moje wiadomości? Musimy porozmawiać. Mam pewien pomysł.

Żeby tylko Will przestał płakać. Potrzebuje chwili, by pomyśleć. Idzie do kuchni, czując ulgę, że wreszcie ma mieszkanie dla siebie – Lowell odwozi matkę na lotnisko. Nie miała nic w ustach od wczorajszego lunchu i prawie mdleje z głodu, ale w szafkach nie ma nic, na co miałaby ochotę. Otwiera zamrażarkę i wyjmuje paczkę mrożonej kukurydzy, po czym przykłada ją sobie do karku. W mieszkaniu jest duszno – ciasno – chce włączyć klimatyzator, ale dziś rano Lowell poprosił ją, ścisząc głos poniżej szeptu, by robiła to jak najrzadziej, oszczędzając elektryczność, dopóki nie dostanie wynagrodzenia za zdjęcia. Skłamała mu, że przyjęła zlecenie.

– Nie. – Tym razem mówi głośniej. – Nie znaleźli jego ciała. Może wciąż żyje.

Znowu dzwonek do drzwi. Dobijają się bez przerwy od dwóch godzin. Dziennikarze liczący na komentarz. Pani Karan, gospodyni, zadzwoniła wcześniej, każąc jej przepędzić ich z podjazdu i narzekając, że ktoś przewrócił jej doniczki z pelargoniami. Francie sprawdza telefon, niecierpliwie czekając na odpowiedź od Nell i Colette. Pisze ponownie, wystukując słowa wolnym kciukiem.

Mówię serio. Trzeba porozmawiać ze Scarlett. Myślę, że ona może pomóc.

Ta kobieta, którą Francie widziała na balkonie naprzeciwko

budynku Winnie, ta, która podlewała rośliny: to mogła być Scarlett. Początkowo Francie nie była pewna, ale ostatniej nocy, kiedy Lowell spał w ich łóżku, a Barbara na kanapie, zamknęła się w ich nagrzej, pozbawionej okien łazience, i studiowała notes, który trzyma w szufladzie na bieliznę, szukając czegoś, co być może przeoczyła. Pół godziny później, siedząc nago w wannie – zimna woda kłuła jej plecy i głowę niczym lodowe igły, włosy spływały wzdłuż policzków jak zasłony – coś sobie przypomniała: ostatnie spotkanie Majowych Mam sprzed kilku tygodni, podczas którego Scarlett powiedziała, że Winnie jest przygnębiona. Francie dokładnie to pamięta. Siedziały na kocach, sącąc wino przyniesione przez Nell. Scarlett powiedziała, że bardzo martwi się o Winnie. Że były sąsiadkami i czasem razem chodziły na spacer.

Francie delikatnie układa Willa w bujaku. Wsuwa mu elektryczny smoczek do ust i przekręca pokrętło na najszybsze wibracje.

Może Winnie coś jej powiedziała – pisze. Coś, co mogłoby pomóc.

Naciska „Wyślij” i telefon dzwoni prawie natychmiast. To Colette. Chyba płacze.

– Francie, musisz przestać. Chwytasz się brzytwy.

– Nie. Nieprawda. – Francie również zaczyna płakać.

– Niebieski kocyk. Czy wcześniej policja nie sprawdziła nawet bagażnika Winnie?

– Nie. Mówili co innego. Sprawdzili samochód jeszcze raz. Ktoś...

– Całą zeszłą noc o tym myślałam. Jeśli Winnie zwierzyła się

Scarlett ze swojej depresji, może zwierzyła się jej również z innych rzeczy. Może jest coś, co wszyscy przegapili...

– Nie. – W głosie Colette pobrzmiewa zniecierpliwienie.
– Posłuchaj mnie, Francie. Wiem, że to trudne. Dla nas wszystkich. Ale zaczynam się poważnie martwić...

– Ja też. Zamartwiam się...

– Nie, Francie. Martwię się o ciebie.

– O mnie? Tu nie chodzi o mnie...

– Musisz odpocząć, Francie. Nie myślisz racjonalnie. Potrzebujesz...

– Przecież nie powiedzieli, że Midas nie żyje. Nie znaleźli jego ciała. – Francie ma tak ściśnięte gardło, że prawie się dusi. – Może on wciąż żyje. Może jest czas, żeby go uratować. Potrzebuje być z matką...

– Nie! – Słowa Colette brzmią brutalnie w uszach Francie. – Nie może być z matką, Francie. Jego matka wyrządziła mu krzywdę. Musisz się z tym pogodzić. To koniec.

Francie rzuca telefon na kanapę. Koniec?

Dzwonek znowu dzwoni, a potem na schodach słychać kroki. W końcu walenie do drzwi. To pewnie pani Karan przyszła oznajmić, że nie jest już w stanie dłużej wytrzymać w takim chaosie. Chce ich eksmitować. Ją, Lowella, dziecko: nie będą mieli gdzie mieszkać.

– Halo? Francie? – Głos jest męski.

Francie podchodzi do drzwi.

– Kto to?

– Daniel.

– Daniel?

Kręci głową. Imię brzmi znajomo. Daniel. Zamyka oczy i ściska rękami skronie. Ten artykuł, który przeczytała. Wywiad, którego Winnie udzieliła po śmierci matki. Zawsze mogłam liczyć na Daniela. Był dla mnie jedynym oparciem w tej dramatycznej sytuacji.

Mężczyzna dobija się do drzwi.

Chłopak Winnie? Tutaj, w jej domu? Czyżby Winnie go przysłała? Może z informacją – czymś, co zaprowadzi ją do Midasa?

– Francie, otwórz. Proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Obraca zasuwę i otwiera drzwi na cal, spoglądając na korytarz.

Stać ją tylko na szept:

– Rodzyn?

– Byłeś jej chłopakiem?

– Tak – odpowiada. – Dawno temu.

– A teraz? Jesteście razem?

– Nie, nie. To nie tak.

Will zaczyna kwilić, więc Francie wstaje, ale Rodzyn uprzedza ją, wyjmując go z kołyski. Przytula go do piersi i nosi po pokoju. Francie siada z powrotem na fotelu, wodząc wzrokiem za swoim synkiem.

– Ale wy dwoje...

– Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi. – Wbija wzrok w podłogę. – Po śmierci mamy wszystko poucinała. Odeszła od

wszystkich, łącznie ze mną. Próbowałem ją skłonić do zmiany decyzji, ale nie chciała mnie widzieć.

– Nic z tego nie rozumiem. Co tu robisz?

Jego śmiech brzmi dziwnie, jakoś gorzko.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Po prostu chciałem się z tobą zobaczyć. Być może jesteś jedyną osobą, która wie, co tu się dzieje.

– Jak to?

– Winnie tego nie zrobiła.

Francie jest wykończona, w głowie ma mętlik. Nie podoba jej się, że Rodzyn trzyma Willa, ale jest zbyt zaszokowana, by zareagować.

– Twoje aresztowanie. Co...

– Jak się o tym dowiedziałaś?

– Widziałyśmy twoje zdjęcia z akt policyjnych.

– No jasne. Znalazłaś je w internecie. Ale czemu...

– Nie, nie w internecie. Przysłano je nam pocztą.

Zatrzymuje się.

– Przesłano komu?

– Nam. Mnie, Nell, Colette.

– Kto wam to wysłał?

– Nie wiem. Przyszło pocztą. Colette odebrała list w biurze burmistrza. Nie było adresu zwrotnego.

– W biurze burmistrza? – Zamyka oczy. – Nie rozumiem.

– Co zrobiłaś?

– O mało nie zabiłem człowieka.

Francie wstaje i bierze Willa z jego ramion.

– Wyjdź. Natychmiast. – Odwraca się do niego plecami, osłaniając syna. – Zaraz wezwę policję.

– Nie, Francie, posłuchaj mnie. To nie tak. Bronilem Winnie. Była w niebezpieczeństwie.

Francie odwraca się do niego.

– W niebezpieczeństwie?

– Ktoś ją prześladował.

– Tak, wiem. Archie Andersen. Czytałam o tym.

Rodzyn kiwa głową.

– To było po naszym zerwaniu. Nie wiedziała, że to robię, ale chodziłem za nią na próby, pilnowałem jej, kiedy wróciła do pracy. Upewniałem się, że dotarła bezpiecznie, że on jej nie śledzi. Winnie sądziła, że już stracił ją zainteresowanie, ale potem pojawił się na pogrzebie Audrey. To ją przeraziło. Chciałem mieć pewność, że jest bezpieczna.

– I co?

– To był jej trzeci dzień w pracy, po przerwie, jaką sobie zrobiła po śmierci matki. Czekał na nią na rogu, czatował, aż wysiądzie z metra. Z początku nie wiedziałem, czy to on, ale trzymałem się blisko. Wszedł za nią do środka, a potem złapał ją i wepchnął na klatkę schodową. Dopadłem go w sekundę. Nawet mnie nie zauważył. Uderzyłem jego głową o ziemię tak mocno, że pękła mu czaszka. Spędził długie tygodnie w szpitalu.

– Poszedłeś siedzieć?

– Na dziewięć miesięcy. Dobrowolnie poddałem się karze w zamian za niższy wyrok. Dostałem rok. Wyszedłem wcześniej za dobre sprawowanie. Sędzia zamknął sprawę na prośbę prawników

Winnie i udało nam się utrzymać całą sprawę z dala od medialnego rozgłosu. Po tym wydarzeniu Winnie odeszła z programu. Zrobiła wszystko, by zniknąć ze świecznika.

– A Archie Andersen? Wrócił do zdrowia?

– Na tyle dawno, by zdążyć się przenieść do Wirginii Zachodniej i zabić parę starszków podczas nieudanej próby napadu. Od jedenastu lat siedzi w pace.

Francie pokręciła głową.

– Nic o tym nie mówiono.

Rodzyn obrzuca ją wzrokiem.

– Nie?

Usta Francie stają się suche, gdy przyciska wargi do czoła Willa. Jest w więzieniu.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że ty i Winnie się znacie?

– Winnie ceni sobie prywatność. – Rodzyn siada na kanapie.

– Może zauważyłaś? Po przyjściu na świat naszych dzieci namawiała mnie, żebym przyszedł na spotkanie Majowych Mam. Prosiła jednak, żebym nie opowiadał naszej historii. Spowodowałyby to liczne pytania. A ona nie lubi rozmawiać o tamtych czasach.

– Nie mogę w to uwierzyć. Poszedłeś dla niej do więzienia...

– Zgadza się. – Na twarzy kładzie mu się cień. – I zrobiłbym to bez wahania jeszcze raz. Jestem gotów na wszystko, by ją chronić.

– Opuszcza wzrok na podłogę. – I Midasa.

Francie obserwuje go przez kilka chwil.

– Słuchaj! – mówi, siadając obok niego na kanapie. – Mam pomysł. Przyszło mi to wczoraj do głowy. Coś, co, jak sądzę, może

pomóc.

Rodzyn nie podnosi wzroku, ale Francie ma wrażenie, że coś w wyrazie jego twarzy się zmienia. Kiedy w końcu podnosi wzrok, na ustach ma uśmiech.

– Coś, co może pomóc?

ROZDZIAŁ 21

DZIEŃ TRZYNASTY

DO: Majowe Mamy

OD: Twój znajomi z The Village

DATA: 17 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 64 DNI

Kiedy pojawia się dziecko, wszyscy wokół chcą nas pouczyć (my same przecież na niczym się nie znamy, prawda?). Jak to znieść? Przede wszystkim cudze opinie traktuj z przymrużeniem oka. Nic nie podkopie Twojej pewności siebie bardziej niż słuchanie każdej rady. Pamiętaj jednak, że ci, którzy udzielają Ci wskazówek, mają dobre intencje. Wprawdzie to my kochamy nasze pociechy najbardziej na świecie, ale inni (a wśród nich, Ty, Babciu) również chcą zadbać o bezpieczeństwo malucha.

Colette obrysowuje dłonią plamy słońca na policzku Charliego. Jego ręka spoczywa na jej talii.

– Czy wiesz, jak rzadko przez te piętnaście lat, które spędziliśmy razem, widziałem cię płaczącą?

Colette potakuje skinieniem głowy i zamyka oczy, przywołując obraz Winnie na posterunku policji. Zalewa ją kolejna fala żalu.

– Szkoda, że nie rozmawialiśmy o tym wcześniej – mówi

Charlie, przyciągając ją do siebie.

Ostatniej nocy, po obejrzeniu wiadomości o Winnie, Colette całkiem się rozkleiła i o wszystkim opowiedziała mężowi. O skopiowaniu policyjnego pliku i zabraniu pamięci USB. O tym, jak walczyła o utrzymanie się na powierzchni, o lękach związanych z Poppy. O tym, że codziennie bacznie ją obserwuje, szukając jakichkolwiek oznak poprawy. O tym, jak ciężko połączyć to wszystko: bycie dobrą żoną, dobrą matką, kompetentną pisarką.

– Co chcesz zrobić? – pyta ją Charlie.

– Nie wiem.

Przez monitor słychać płacz Poppy. Colette wstaje do niej, ale Charlie kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Dajmy jej chwilkę, żeby sama się z tym uporała.

Z Colette znów opada napięcie.

– Tak naprawdę to ściema. Wiem, co chcę robić. Chcę dać naszej córce to, co najlepsze. Przez jakiś czas być tylko mamą. A w pewnym momencie powrócę do pisania. Własnych rzeczy.

– Wyciera łzy o poduszkę. – Chociaż mój umysł nie działa już jak dawniej i nie mam o czym pisać.

Charlie się uśmiecha.

– Zrób to, co robi każda świeżo upieczona matka. Napisz o doświadczeniach związanych z dzieckiem.

– Muszę ją wziąć – mówi Colette, gdy Poppy znów zaczyna płakać.

– Ja to zrobię.

Siada, macając podłogę wokół łóżka w poszukiwaniu bokserek.

– Jest sobota. Zostań w łóżku. Pośpij jeszcze.

Colette odkłada monitor i nurkuje pod prześcieradło, wdychając zapach męża, wyczuwalny na poduszce. Za oknem szpaki zbierają się na schodach pożarowych. Jedzą z karmnika, który postawiła im kilka dni temu. Zamyka oczy. Żałuje, że nie może tu zostać przez cały dzień. Chce pozbyć się żalu. Wymazać obraz Winnie prowadzonej do więzienia, zapomnieć, że w każdej chwili może usłyszeć o znalezieniu zwłok Midasa.

Dzwoni jej telefon na stoliku nocnym. Wolałaby nie odbierać, ale wie, że musi. Siada i sięga po aparat.

– Cześć.

– Jesteś już w drodze?

Colette odpowiada z ociąganiem:

– Nie.

– Jest prawie dziewiąta. Ale będziesz, tak?

Colette przeciera oczy.

– Nell, nie jestem pewna. Ja...

– Colette, no nie – mówi Nell – nie możesz tak. Mówiłaś, że będziesz. Obie mówiłyśmy... – Nell przerywa. – Mówię poważnie, Colette. Musimy to zrobić. Obiecałyśmy jej.

Charlie robi kawę, Poppy wesoło grucha w dmuchanym foteliku u jego stóp. Colette wchodzi do kuchni, ubrana w żółtą sukienkę.

– Muszę wyjść na chwilę – rzuca.

– Nic nie mówiłaś. Dokąd?

– Muszę załatwić jedną sprawę. – Całuje go. – Zaraz wrócę.

I zgadnij, jakie mamy plany na dzisiejszy wieczór.

Charlie oplata ją ramionami wokół talii i przywiera do jej ud.

– Mam pewien pomysł.

Colette się śmieje.

– To też, a oprócz tego zarezerwowałam dla nas stolik w restauracji.

– Dla całej trójki?

– Nie. Znalazłam opiekunkę.

– Żartujesz? Kogo?

– Sonyę z dołu. Wiesz, że była nianią bliźniąt przez dwa lata?

Charlie podnosi głowę.

– Oczywiście, że wiem, no bo jakbym miał nie wiedzieć. To wspaniale. – Powoli ją całuje. – Weź parasolkę, zaczyna padać. I wracaj szybko.

Nell czeka przed The Spot. Gazetą osłania się od deszczu. W dłoni trzyma mrożoną kawę.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Colette.

– Chodź.

Nell dopija resztkę kawy i wrzuca kubek do kosza na śmieci.

– Francie dzwoniła do mnie już trzy razy.

Colette przyspiesza, by dotrzymać kroku Nell. Wie, że sprawa jest poważna. Francie zjawiała się u Colette późną nocą. Miała opuchnięte oczy, a słowa wysypywały się z jej ust: Rodzyn przyszedł do jej mieszkania, wyznał, że w szkole średniej byli z Winnie parą, a ona opowiedziała mu, co Scarlett mówiła na ostatnim spotkaniu Majowych Mam, o depresji Winnie, i że wydaje jej się, że widziała Scarlett z tarasu Winnie.

– Rodzyn uważa, że powinnam porozmawiać ze Scarlett

– powiedziała jej Francie. – Myśli, że to naprawdę dobry pomysł. Wysłałam jej kilka mejli, ale nie odpowiada. Rodzyn mówi, że powinnam zaufać instynktowi i próbować dalej. Chcę ją odnaleźć. Oboje uważamy, że to nasza ostatnia nadzieja na znalezienie Midasa i pomoc Winnie.

– Francie, to szaleństwo – odparła Colette.

– Nie, nieprawda. My same nawet nie zdawałyśmy sobie sprawy, że Winnie jest w depresji. Poza tym jest jedną z tych kobiet, które zawsze wiedzą, co robić. Mówię ci. Musimy z nią porozmawiać.

Colette wciąż ma przed oczami desperację malującą się na twarzy Francie, nawet teraz, gdy stara się dotrzymać kroku Nell.

– Okej, no więc jaki jest plan? – pyta Nell.

– Pozwolimy jej zostawić ten list, a potem zasugeruję, żebyśmy poszły na kawę. Wtedy z nią porozmawiamy, powiemy jej, jak bardzo się o nią martwimy.

– Szkoda, że nie da się pominąć pierwszej części i pójść od razu na kawę.

– Wyobraź sobie, jak zareaguje Scarlett, kiedy przeczyta ten list.

– Wiem. To obłąd, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Huk grzmotu przetacza się wokół nich, a deszcz zaczyna przybierać na sile. Colette przysuwa się do Nell, osłaniając ją parasolką. – Rozmawiałam z redaktorką Charliego. Przechodziła przez coś podobnego po urodzeniu pierwszego dziecka. Podała mi nazwiska trzech terapeutów.

– Świetnie – mówi Nell. – Jeśli Francie odmówi wizyty, zadzwonimy do Lowella. Musi wiedzieć, że dzieje się coś

niepokojącego.

Skręcają na rogu. Colette dostrzega Francie czekającą przed budynkiem na końcu kwartału. Ktoś stoi z nią pod parasolem.

– Czy to Lowell? – pyta Colette.

Nell mruży oczy.

– Nie, Rodzyn. Mówiła, że z nim przyjdzie?

– Nie. Myślałam, że będziemy tylko we trzy.

– Spóźniłyście się – mówi Francie, kiedy się zbliżają. Trzyma w ręku kopertę. – Chcecie to przeczytać? Rodzyn – spogląda na niego – przepraszam, Daniel, uważa, że brzmi dobrze.

– Na pewno jest okej – odpowiada Colette. – Co napisałaś?

Francie ślini brzeg koperty i ją zakleja.

– To, o czym mówiłam ci wczoraj w nocy. Że zastanawiamy się, czy może ona wie coś, co mogłoby pomóc.

– Świetnie – kwituje Colette.

Francie bierze głęboki oddech i wmaszerowuje po schodach na podest przed wejściem. Rodzyn przysuwa się do Colette.

– Mogę? – pyta, wskazując głową na parasol.

Colette i Nell robią mu miejsce. Colette czuje jego ramię przy swoim, a jego oddech na karku. Wszyscy troje patrzą, jak Francie pochyła się, czytając nazwiska na skrzynkach pocztowych.

– Miałam rację! To jej mieszkanie – woła.

W tym momencie jakaś kobieta otwiera drzwi od wewnątrz, uderzając lekko Francie w biodro.

– Przepraszam – mówi, przytrzymując drzwi. – Wchodzi pani?

Francie spogląda na nich, a Colette kręci przecząco głową.

– Nie – rzuca Colette. – Po prostu to zostaw...

Francie sięga do drzwi.

– Tak, dziękuję.

– Cholera – syczy Nell pod nosem.

– Chodź – mówi Colette, patrząc, jak Francie znika w środku budynku.

Colette wbiega po schodach – Nell za nią – i łapie drzwi, zanim się zamkną.

– Idziesz? – zwraca się do Rodzyna.

– Nie. – Rodzyn naciąga kaptur. – Myślę, że lepiej, jak zostanę tutaj. Na wszelki wypadek.

– Tak, zostań na czatach – stwierdza Nell, a następnie zniża głos do żartobliwego szeptu. – Jeśli nie wrócimy za trzy dni, dzwoń na policję.

Colette i Nell wchodzą do foyer.

– Francie! – woła Colette w górę wyłożonych wykładziną schodów. – Po prostu połóż ten list i chodźmy.

– Naprawdę nie mam dzisiaj czasu na takie akcje – mówi Nell, ruszając w górę schodów. – Moja mama wyjeżdża.

Colette idzie za Nell na trzecie piętro. Dostrzega mokry parasol Francie oparty o ścianę obok otwartych drzwi na szczycie schodów. Colette wchodzi do mieszkania, wprost do małej kuchni. Wzdłuż korytarza stoją starannie ułożone pudła do przeprowadzki, opisane tłustymi literami: GARNKI I PATELNIE. POŚCIEL. NACZYNIA. Na blacie piętrzą się butelki dla niemowląt, witaminy dla kobiet w ciąży, chińskie zioła i pudełka z herbatką laktacyjną.

Francie stoi w salonie, oddzielonym od kuchni białą kafelkową wyspą. Rozgląda się po pokoju.

– Jak weszłaś do środka? – pyta ją Nell.

– Drzwi. Po prostu się otworzyły.

Colette spogląda na wyłamana gałkę od drzwi. Na podłodze zauważa śrubkę.

– Francie, włamałaś się?

– Nie. Drzwi były uchylone.

– To zaszło stanowczo za daleko – stwierdza Colette. – Zostaw list na zewnątrz.

– Tak zrobię. – Francie mówi jakimś nieobecny głosem, mijając Colette i rząd pudeł i kierując się do sypialni. – Dajcie mi tylko minutkę.

Colette wzdycha, a potem zauważa, że Nell przegląda notes na kuchennym blacie.

– Rzuć na to okiem – mówi Nell. – To grafik, w którym zapisane są pory karmienia dziecka i zmiany pieluch. – Odwraca kolejną stronę. – Boże, notuje każde beknięcie.

– A ty nie? – pyta Colette.

– Owszem, ale tylko beknięcia Sebastiana. Notatki zajmują cały regał.

Francie wchodzi z powrotem do kuchni i bez słowa otwiera przeszklone drzwi wychodzące na mały balkon. Wzdłuż poręczy ustawione są kwiaty doniczkowe, zioła i sadzonki pomidorów. Przez chwilę patrzy na podwórko, a potem wraca do środka, na włosach ma mgiełkę deszczu. Zagląda do szafy stojącej zaraz za kuchnią.

– Myślicie, że ma monitoring albo elektroniczną nianię wideo? – pyta.

– Nie – odpowiada Colette z sarkazmem. Podchodzi do szafy i zamyka drzwi. – To absolutnie wykluczone. – Kładzie dłoń na ramieniu Francie. – Zostaw ten list. Nic więcej nie możesz zrobić.

Nell podchodzi bliżej.

– Colette ma rację, Francie. Chodźmy na kawę. Mamy za sobą kilka bardzo ciężkich dni. Stawiam muffinki.

Francie wyciera nos.

– Myślicie, że zadzwoni, jak przeczyta list?

– Tak – odpowiada Colette. – Tylko tyle możesz zrobić. Ale czas już iść.

Francie kiwa głową.

– Zostawiłam torebkę w sypialni.

Idzie korytarzem w głąb mieszkania, a Colette wchodzi do salonu, by zamknąć drzwi balkonowe.

Nell patrzy na koniec korytarza.

– Czy to przesada, jeśli skorzystam z jej łazienki? Nie powinnam była pić tej kawy – mówi. Nagle zmienia jej się wyraz twarzy. Podchodzi do drzwi wejściowych.

– Coś nie tak? – pyta Colette.

Nell podnosi rękę.

– Posłuchajcie.

Teraz i Colette to słyszy: płacz dziecka.

– To nie może być ona – szepcze.

– Wiem. Przecież wyjechała, prawda?

– Ciii, kochanie. Ćśśśśśśś. – Słysząc pośpieszne kroki na schodach. – Prawie jesteśmy w domu.

– O mój Boże... – szepcze Nell, chwytając ramię Colette. – To

ona. Wróciła.

Colette biegnie za Nell do sypialni i zamyka drzwi. Słyszą, jak Scarlett wchodzi do kuchni.

– Co teraz? – pyta Nell.

– Nie wiem.

Nell pędzi do okna.

– Jest tu jakieś wyjście ewakuacyjne czy coś?

– Francie – mówi Colette. – Nie słyszysz?

Ale Francie jakby ogłuchła. Z pustym wyrazem twarzy stoi przed biurkiem w kącie pokoju, przeszukując szufladę. Scarlett nuci w kuchni.

– Cicho, maleńki, nie płacz. Mama zaśpiewa ci kołysankę. Okej, niuniu – mówi. – Czas na lunch. Cichutko teraz. Mamusia jest przy tobie. Pozwól mi tylko zdjąć to mokre ubranie.

Drzwi się otwierają i w sypialni rozlega się wrzask Scarlett.

– Colette. – Scarlett ma mokre włosy i przerażenie wymalowane na twarzy. Spogląda na Nell i Francie. Rękami osłania dziecko, wierzgające w nosidełku pod jej piersią. – Co tu robicie?

Colette śmieje się nerwowo.

– Scarlett. Mój Boże. Co za głupia sytuacja. Tak nam przykro. To...

Francie robi krok naprzód.

– Jesteśmy tu w związku z Winnie.

– Winnie? Nie rozumiem. Czy chodzi o mejle, które mi wysyłałaś?

– Tak. Nie odpisywałaś. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko

przyjść tutaj. – W głosie Francie pobrzmiwa jakaś niepokojąca ostrość; wzrok ma dziki.

Nagle Colette coś sobie uświadamia. Gdzie jest Rodzyn? Dlaczego nie ostrzegł ich, że Scarlett wróciła?

– Szczerze mówiąc, Francie, gdybym miała zamiar ci odpowiedzieć, to odpisałabym, żebyś przestała. Przysyłasz tyle mejli. To trochę męczące.

– Widziałem cię na balkonie, gdy byłam u Winnie.

– Na moim balkonie? Jak to? Nie było nas w domu.

– Nie, na pewno cię widziałam – mówi Francie. – Miałaś w ręku konewkę.

Scarlett potrząsa głową.

– Okej...

– Winnie zwierzała ci się – podejmuje Francie. – Sama mówiłaś na ostatnim spotkaniu. Przyznała ci się, że jest w depresji.

Dziecko Scarlett zaczyna kwilić z głodu i Scarlett delikatnie je kołysze.

– Tak i...

– I byłaś w domu tamtej nocy, prawda? – Francie rzuca oschłym tonem. – Z teściami?

– Powiedziałam policji wszystko, co wiem. – Scarlett przenosi wzrok z Francie na Colette, a z Colette na Nell. – Przepraszam, ale to, co robicie, te nieustanne mejle... A teraz to... włamujecie mi się do mieszkania. Dawno przekroczyłyście granicę przyzwoitości. – Jej głos jest pełen wściekłości. – Nie mówiąc o pogwałceniu prawa.

Colette czerwieni się ze wstydu.

– Scarlett, przepraszamy. Chciałyśmy tylko zostawić ci list.

– Jak w ogóle dostałyście się do środka?

– Drzwi były otwarte – mówi Francie.

– Otwarte? – Twarz Scarlett purpurowieje. – Ale ze mnie idiotka.

– Nie planowałyśmy...

Colette próbuje uspokoić głos.

– My...

– Nie miałyśmy zamiaru wchodzić do środka – odzywa się, podchodząc do Francie i kładąc jej dłoń na łokciu. – Może po prostu pójdziemy sobie i nie będziemy cię więcej niepokoić.

Dziecko Scarlett płacze nieco głośniejsze. Scarlett odwraca się i rusza korytarzem w stronę kuchni.

– Świetny pomysł.

Colette wzdycha.

– Chodźmy.

Nell prowadzi Francie w stronę drzwi, ale ta wyrywa jej rękę z uścisku i podchodzi do biurka.

– Francie – syczy Nell. – To przestało być śmieszne. Opanuj się.

Francie w milczeniu wyjmuje stos papierów z górnej szuflady biurka i podnosi je do oczu.

„Naturalne lekarstwa na zatkane drogi oddechowe”, „Sześć usypiaczy, których nie możesz przeoczyć”.

– Francie, daj spokój...

Francie pokazuje im, co jest pod spodem. Wydruki artykułu online.

GWENDOLYN ROSS ZATRZYMANA W ZWIĄZKU ZE ZNIKNIĘCIEM SYNA

LACHLAN RAINE PRYZNAJE SIĘ DO ROMANSU ZE STAŻYSTKĄ W DEPARTAMENCIE STANU, ELLEN ABERDEEN

Francie wyciąga kolejną kartkę. To mejl od Nell. Wesoły Lama. 20.00, 4 lipca. Przyjdźcie wszyscy, zwłaszcza Ty, Winnie. Nie przyjmujemy odmownych odpowiedzi.

Dłonie Francie drżą, gdy otwiera notatnik. Czytają razem:

A co, jeśli mi nie uwierzą. W końcu wypowiedziałam to na głos wczoraj wieczorem. A co, jeśli przejrzą bajeczkę, którą spreparowaliśmy? Co, jeśli pójdę do więzienia?

Ale Joshua tylko się odwrócił. Wiem, że każda wzmianka na ten temat go przeraża.

Francie przekłada stronę i na podłogę wysypuje się plik złożonych kartek. Nell je podnosi i rozkłada.

To policyjne zdjęcia Rodzyna. Trzy kopie.

Colette zamyka oczy, słysząc jedynie odgłos deszczu dudniącego o świetlik na suficie.

– O mój Boże... – szepcze Nell.

Colette otwiera oczy.

– Idziemy – bezgłośnie rzuca Francie.

Scarlett stoi przy drzwiach. Dziecko płacze coraz głośniejsze.

– Chyba jest głodny – mówi Francie. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Tak, wychodząc z mojego domu – odpowiada Scarlett. – Mój mąż parkuje samochód i lada moment tu będzie. Uwierzcie, nie będzie tak wyrozumiały jak ja.

Colette idzie ku Scarlett. Wyobraża sobie, że zbiega po schodach, wypada na zewnątrz, pędzi przez deszcz, do Charliego i Poppy. To wszystko nie dzieje się naprawdę.

Potem jednak napotyka spojrzenia Nell i Francie i czuje, że sama robi kilka kroków w stronę Scarlett.

– Co robisz? – pyta Scarlett, kładąc dłonie na głowie dziecka.

Colette sięga ręką do przeciwdeszczowego kapturka dziecka. Scarlett cofa się o krok, ale Colette zdąża dostrzec włoski chłopca, a potem jego twarz.

– Midas! – wykrzykuje Francie, stojąca za Colette.

Scarlett idzie szybko do kuchni. Colette za nią. Czuje, że nogi się pod nią uginają. Dopada do Scarlett i chłopiec zaczyna płakać jeszcze głośniej. Colette wsuwa dłonie w nosidełko i chwytą dziecko. Scarlett rzuca się w stronę zlewu, po chwili Colette dostrzega w jej pięści nóż.

Przeszywający ból w boku. Krzyk Nell. Twarz Poppy.

A potem ciemność.

Odkładam nóż na stół.

Francie stoi bez ruchu. Nell klęczy obok Colette, która upadła na podłogę. Dziecko na mojej piersi płacze.

– Zobaczcie, co narobiłyście – mówię, patrząc na maleństwo. –

Zdenerwowałyście Joshuę.

– Scarlett, co ty...

Francie podchodzi bliżej.

– Daj mi go. Daj mi Midasa.

– Midasa? Midas nie żyje. To Joshua.

Widzę przerażone spojrzenie w jego oczach i szepczę mu do ucha:

– Nie martw się, maleńki. Wszystko będzie dobrze.

Pokój zaczyna wirować. W powietrzu połyskuje kurz. Przyszły do mnie w odwiedziny.

Prowadzę spotkanie Majowych Mam.

Nell płacze, trzymając telefon przy uchu. Trzeba myśleć szybko. Podchodzę i wrywam aparat z jej ręki.

– Nie! Oddaj! – wrzeszczy. – Musimy jej pomóc!

Ze spokojem wkładam jej telefon do zlewu i odkręcam kran.

– Żadnych rozmów telefonicznych podczas naszych spotkań, drogie panie. To niegrzeczne. – Zwracam się do Francie: – Ciebie też to dotyczy.

– Mnie też?

– Tak. – Wyciągam rękę. – Oddaj mi swój telefon.

Francie sięga do tylnej kieszeni szortów, tych samych, zielonych, poplamionych mlekiem, źle dopasowanych szortów Old Navy, które wkłada na każde spotkanie. Biedna dziewczyna.

– Mój telefon? Nie...

Przechodzę nad Colette, odwracam Francie, wbijam paznokcie w jej miękki biceps i wyciągam telefon z jej kieszeni. Wrzucam go do zlewu obok telefonu Nell i wyciskam strumień niebieskiego żelu

na oba aparaty, patrząc, jak znikają pod chmurą bąbelków. Dostrzegam swoje odbicie w szybie szafki – pod oczami ciemne worki, włosy w nieładzie. Wyglądam okropnie.

Nakładam odrobinę różu na policzki i rozpuszczam włosy. Naprawdę powinnam była bardziej się postarać, żeby dobrze wyglądać na tym spotkaniu. Te kobiety przecież bardzo się przejmują takimi rzeczami.

– Przepraszam – mówię, zwracając się do Francie. – Nie chcę być niegrzeczna. Joshua był kapryśny i trochę mnie to wyprowadziło z równowagi. Ale same wiecie, jak to jest, prawda?

Podchodzę do drzwi wejściowych, zamykam zasuwkę, zakładam łańcuch. Klękam, zbieram siły i przesuwam stos pudeł przed drzwiami. Gdy wstaję, kręci mi się w głowie.

– Nie ma sensu iść do parku, gdy tak pada – mówię, podchodząc do lodówki. – Spotkanie odbędzie się tutaj. Tak będzie wygodniej, a ja muszę nakarmić dziecko.

Wyjmuję butelkę mleka z zamrażarki, prawie ostatnią z zapasu, który udało mi się zgromadzić, zanim straciłam pokarm. Wiem, że powinnam była okazać więcej zdyscyplinowania, nastawiać budzik na środek nocy, nie przestawać odciągać mleka, pić więcej ziół, tę okropną herbatkę na laktację. Po raz kolejny zawiodłam.

– Usiądź – mówię do Francie, wkładając butelkę do kuchenki mikrofalowej. – I proszę, nie mów mi, że w mikrofalówce mleko traci wszystkie swoje zdrowotne właściwości. Wiem o tym. Czytałam te same książki. Mam jednak własną filozofię rodzicielstwa. Jej motto to: Matki, kij wam w oko! – Śmieję się i spoglądam na Colette, która zostawia kałużę krwi na kuchennych

płytkach. – Może o tym powinnaś napisać książkę – mówię do niej.

Biorę butelkę ze sobą na kanapę i patrzę na Majowe Mamy. Nagle coś sobie uświadamiam.

– Zaraz, zaraz... – mówię. – A gdzie są wasze dzieci?

Francie milczy, ale potem coś zmienia się w wyrazie jej twarzy. Jakby zbierała się w sobie.

– To święto dziewczyn – mówi, siadając obok mnie i zerkając na Joshuę. – Nie pamiętasz? Ustaliliśmy, że nie bierzemy dzieci. Prawda, Nell?

– Święto dziewczyn? – Odchylam materiał nosidełka i wkładam smoczek butelki w usta Joshui. – Brzmi fajnie. Musiałam przegapić ten mejl. Mam tylko nadzieję, że nie jesteście głodne. Nie byłam przygotowana...

Colette jęczy na podłodze w kuchni, Nell przyciska jeden z moich najlepszych ręczników do rany w jej boku.

– Przyniosłaś swoje muffinki? – pytam Colette.

Twarz Nell jest biała jak kreda.

– Muffinki?

– Czy to nie jej zadanie? Zawsze przynosi muffinki. Reszta przynosi swoją nudę.

Joshua wierci się przy mojej piersi. Wyjmuję butelkę z jego ust. Odbija mu się. Tylko jedno beknięcie, ale wystarczy. Wstaję, żeby zanotować to w zeszycie, ale zaraz siadam z powrotem. Zrobię to później, jak sobie pójdą.

– A może napijemy się kawy? – pyta Francie.

– Kawa? A co z twoim zatkanym kanalikiem? Mówiłam ci, że kofeina tylko pogarsza sprawę.

– Wiem. Poddałam się. Mleko modyfikowane też się sprawdza.

– Mleko modyfikowane? Naprawdę? To niedobrze.

Joshua obserwuje mnie i wiem, że nie ma sensu dalej unikać jego wzroku. Patrzy na mnie z potępieniem, gniewnie. Tak bardzo przypomina swojego ojca. Pytającego mnie, jak do tego dopuściłam, dlaczego nie starałam się tego uniknąć, zgodnie z obietnicą. Odwracam wzrok.

– Kawa? Zobaczmy, co da się zrobić.

Wracam do wąskiej kuchni i otwieram szafki.

– Nic z tego. Już spakowałam dzbanek do kawy. Herbatka laktacyjna będzie musiała nam wystarczyć. Gdzie są kubki?

Wstawiam wodę i przetrząsam pudło stojące koło drzwi. Znajduję kubek z napisem Cape Cod jest dla zakochanych, który dwa lata temu dostałam od doktora H (kupił go na stacji benzynowej w ramach żartu) podczas naszego pierwszego weekendowego wypadu. To wtedy po raz pierwszy uprawialiśmy seks w innym miejscu niż na podłodze jego gabinetu, gdzie trzeba było włączać maszynę do wytwarzania białego szumu na wysokie obroty, w razie gdyby następny pacjent zjawił się wcześniej. To wtedy wyznał mi, że jest we mnie zakochany, na długo zanim odkryłam, jakim potrafi być potworem.

Wygrzebuję z głębi szafki słoik z piklami i puszkę czarnej fasoli. Otwieram pikle, wlewam fasolę do czystej miski, a kiedy woda się zagotowuje, niosę to wszystko do stolika.

– Wygląda wspaniale – stwierdza Francie, ale na jej twarzy nie widać zachwyty.

Jak ją znam, w głębi duszy na pewno mnie krytykuje za to, że

nie upiekłam czegoś specjalnie na tę okazję. Bierze swoją herbatę.

– Jak wiesz, rozpoczynamy spotkania od pewnego rytuału. To już taka nasza tradycja – mówi.

– Masz na myśli historie porodowe? – śmieję się. – To był mój pomysł, prawda?

Francie kiwa głową.

– Skoro jesteś gospodynią, powinnaś zacząć.

Skłaniam Joshuę, by ssał smoczek przypięty do jego koszulki.

– Cóż, urodziłam w Dzień Matki. Położyłam się, żeby się zdrzemnąć...

– Nie – przerywa Francie. – Opowiedz nam, co było wcześniej. Zaczynaj od ciąży.

– Och, w porządku. Więc tak. Doktor H nie chciał więcej dzieci. Twierdzi, że go wrobiłam, ale ja naprawdę brałam pigułki. Jestem tym jednym procentem. – Śmieję się. – Nie t y m jednym procentem. Tylko tym drugim. Tym, przed którym ostrzega ulotka na środkach antykoncepcyjnych.

– Doktor H?

– Mój psychiatra. Tata Joshui. Nazywałam go kiedyś swoim chłopakiem.

Wzdrygam się na wspomnienie tamtego momentu w barze w Queens, obok hotelu, w którym czasami się spotykaliśmy. „Mój chłopak prosi o jeszcze jedną whisky”, powiedziała barmance, siedemdziesięcioletniej kobiecie z plastikowymi kolczykami zwisającymi z rozciągniętych małżowin, osłaniającej swym ciałem rząd zakurzonych butelek z kolorowymi wódkami i styropianowy kubek pełen namoczonych niedopałków. Odwróciła się, by nalać

drinka, a on warknął mi do ucha: „Nigdy więcej tak mnie nie nazywaj”. Zacisnął dłoń na moim udzie, pozostawiając pięć fioletowych plamek, które odkryłam później w nocy, rozbierając się. „Nie jesteśmy parą pieprzonych nastolatków”.

– Jest żonaty – wyjaśniam Francie. – Ale byliśmy razem dwa lata. – Wywracam oczami. – No wiecie, z przerwami.

Francie kiwa głową.

– Czy to on właśnie parkuje samochód? Twój mąż?

– Hmmmm? – No, tak. Powiedziałam im coś takiego. – Nie. Nie mam męża.

– Więc doktor H...

– Nie rozmawialiśmy od miesiący. Odkąd powiedziałam mu, że mam zamiar urodzić Joshuę. Jest trochę szurnięty. Narcystyczne zaburzenie osobowości, moim zdaniem. Ludzie nim dotknięci nie potrafią obdarzyć nikogo miłością. Dowiedziałam się o tym od niego. „Jedyną osobą, którą twój ojciec umiał kochać, był on sam”. Tak zawsze powtarzał ten mój doktor H, ale, wierzcie mi, równie dobrze mógł tak mówić o sobie. – Ze zdziwieniem stwierdzam, że rośnie mi gula w gardle. Jednak nadal nie jest mi łatwo o tym mówić. – W każdym razie moi rodzice nie byli najlepszymi wzorami do naśladowania i nie planowałam nigdy mieć dzieci. Ale potem pojawił się Joshua i nie chciałam już niczego więcej. Jest mi bliski od chwili, gdy ukazał mi się jako różowy znak plusa między dwoma cienkimi arkuszami plastiku.

Głaszczę Joshuę po plecach. Myślę o tych radosnych dniach, gdy czułam, jak we mnie rośnie. O czytaniu mu książek w wannie. O zabieraniu go rano na nowy plac zabaw i obietnicach, że znowu

tam przyjdziemy. Chodziłam boso przez piaskownice, wyobrażając sobie, jak zbiera kamyki, uczy się wspinać na drzewa. Wszystkie te rzeczy, które robią dzieci.

– Był takim żywiołowym chłopcem. Kopał tak mocno, że myślałam, że wyrośnie na gwiazdę futbolu. Zawsze potrafił powiedzieć, czego chce. – Ze śmiechem wysypuję do herbaty kolejną łyżeczkę cukru. – Pamiętacie, jak mówiły do nas, będąc w brzuchu?

Francie patrzy pustym wzrokiem, więc chyba odbiegam od tematu.

– Przepraszam. Doktor H zawsze twierdził, że za dużo mówię i mogę zanudzić słuchacza na śmierć. – Naciskam palcami na skronie, próbując skupić myśli, skoncentrować się na tym, co mówię, a nie na tym, jak patrzy na mnie Joshua. „Scarlett, skup się”, mówię w duchu. Uśmiecham się do Francie. – Plan porodu miałam szczegółowo opracowany. No wiecie, bez znieczulenia zewnątrzoponowego, kontakt skóry ze skórą, posypanie maleństwa organicznym magicznym pyłem na szczęście, trzymanie go w objęciach jeszcze nieumytego. Niestety, nikt się z moim planem nie liczył. Zabrano mi synka, zanim zdążyłam go przytulić, włożono do tego jakby akwarium na kółkach, ze światełkami i drucikami. Nie pamiętam nazwiska lekarki, ale wciąż słyszę, jak wykrzykuje polecenia do reszty zespołu. Potem poprzyczepiała mu jakieś przewody i wywiozła z pokoju, nie pozwalając mi nawet zobaczyć jego twarzy – chciałam wiedzieć, czy wygląda tak, jak go sobie wyobrażałam. Był tam też drugi lekarz, powiedział, że trzeba mnie pozszywać. „Niech się pani położy. Najpierw musimy się

panią zająć”. Pikła? – Wysuwam słoik w stronę Francie. – Nie? Nell? – Nell ma opuchnięte oczy. Kręci głową. – W każdym razie lekarka stwierdziła, że to niedotlenienie okołoporodowe. Innymi słowy, udusił się podczas porodu. Zgon płodu. Śmierć płodu. Czy to nie brzmi jak nazwa żeńskiego zespołu punkowego? – Zaczynam się śmiać, śmieję się i śmieję, nie mogąc przestać. – Przepraszam – mówię w końcu. – Wcale nie myślę, że to zabawne. Tak naprawdę zżera mnie poczucie winy. Byłam bardzo ostrożna podczas ciąży. Robiłam wszystko, co mogłam, by go chronić. Nie wiem, co się stało. Nie chciałam go skrzywdzić...

Francie dotyka mojej nogi.

– Scarlett. To nie było nic, co...

– Potem – podejmuję, wstając i odchodząc, by nie patrzeć na litość malującą się na jej twarzy – przyszła do mnie inna kobieta, żeby spytać, czy chcę potrzymać mojego syna, zanim go zabiorą. Nie miałam pojęcia, czy chcę go potrzymać. „Czy właśnie tak robią inne matki?”, zapytałam. Odpowiedziała, że tak. „Pożegnanie”. Tak to określiła. Ktoś zatroszczył się o to, by włożyć mu na głowę czapkę, jakbyśmy nadal mieli ten luksus, żeby dbać o to, by nie zmarł. – Przerwywam, by wrzucić do ust garść zimnej fasoli, świadoma, jak bardzo jestem głodna. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłam. – Powiedzieli mi, że mam czterdzieści osiem godzin na zgłoszenie zgonu. Nie zrobiłam tego. Szczerze mówiąc, trochę mnie to niepokoi. Myślicie, że to karalne?

Idę do drzwi na balkon, kołysząc Joshuę na ramieniu. Otwieram je. Potrzebuję świeżego powietrza. Sięgam po lornetkę na półce i patrzę ponad mokrymi podwórkami w stronę domu Winnie,

zastanawiając się, co robi. Nie widziałam jej od dwóch dni, odkąd był u niej Daniel. Obserwowałam go, jak rozsunął zasłony i zrobił jej obiad, a potem siedział obok niej na kanapie, podając chusteczki z pudełka na kolanach. Jedzenie zostawiła nietknięte na stoliku do kawy. Ach, tak, przypominam sobie i odkładam lornetkę na miejsce. Nie ma jej w domu. Jest w więzieniu.

– No cóż... – zwracam się do Francie – to już chyba cała historia. – Parskam śmiechem. – Moja „historia porodowa”. Cieszę się, że i ja miałam okazję ją opowiedzieć. Chciałam zgłosić się na ochotnika tamtego wieczoru, kiedy Winnie odmówiła. Ale, czy ja wiem... chyba zabrakło mi śmiałości.

– Którego wieczoru? – pyta Nell.

– Czwartego lipca. W Wesołym Lamie.

– Byłaś tam?

– Tak. Na początku siedziałam w środku, przy barze. Obserwowałam was. Chciałam przysiąc się do stołu, ale byłoby to dziwne. Nigdy nie czułam, bym do was pasowała. A potem poznałam tego faceta.

Widzę, jak tam stoi i mnie obserwuje. Wiedziałałam, czego chce. Przed chwilą próbował tego samego z Winnie. Prowokacyjne spojrzenie. Obłeśny uśmiech. To, jak gapił się na moje ciało, gdy w końcu podszedł. Winnie natychmiast go odtrąciła, ale ja nie mogłam się powstrzymać.

– Pozwoliłam mu postawić sobie drinka – mówię do Francie. – I krok po kroczku...

Czuję jego dłonie pod sukienką w kabinie w łazience, błaga mnie, żebym poszła z nim do domu. Żebym się zgodziła.

Wzdycham i potrząsam głową.

– Minęło sporo czasu.

Francie sztywnieje.

– Miał czerwoną czapkę?

– Trudno go było nie zauważyć, prawda? Taki przystojniak. Ale niestety, ta głupia czerwona bejsbolówka...

– Nie rozumiem – mówi Nell. – Jak udało ci się zabrać dziecko?

Przecież Alma...

– Alma miała szczęście.

– Szczęście? – pyta Nell.

– Tak. Po tym, jak opuściłam bar z kluczem, który mi dałaś, byłam pewna, że nie obędzie się bez zadania jej bólu. Ale oszczędziła mi kłopotów. Spała jak zabita.

Nell łyzy zbierają się na podbródku.

– Dałam ci klucz?

– Tak. Rozmawialiśmy tamtej nocy przy barze. Nie pamiętasz?

Nell zamyka oczy.

– Tak, chyba pamiętam, że tak. Ale wszyscy mówili, że cię tam nie było, że rozmawiałam z Gemmą.

– Zaczekaj.

Wstaję i podchodzę do małej szafki w kuchni. Z górnej półki wydaję blond perukę i słomkowy kowbojski kapelusz. Zakładam perukę, ale nie leży dobrze. Zaglądam do środka i na podłogę wypada telefon Winnie.

– O, proszę, tu był. Zastanawiałam się, gdzie go schowałam.

Ponownie nakładam perukę i zwracam się do Nell:

– Teraz mnie poznajesz?

– To byłaś ty!

– Tak. Nie mogłam uwierzyć, że mnie rozpoznałaś. Colette i Daniel – przepraszam, Rodzyn – stali obok mnie przez jakieś dziesięć minut i nie mieli pojęcia, że to ja. Oczywiście, byli zbyt zajęci wpatrywaniem się w siebie maślanym wzrokiem. Nie pamiętasz, Colette? Powiedziałaś Danielowi o swojej historii z burmistrzem, kładąc mu przysięgę, że zachowa twój mały sekret dla siebie. W końcu zdecydowałam się zaryzykować, podejść bliżej, przekonać się, o czym mówicie. Stałam przy balustradzie, patrząc na telefon. A potem zrobiłam ci to zdjęcie, Nell. To, na którym wyglądasz jak dzikuska. – Nie mogę się powstrzymać i zaczynam się śmiać. – Wysłanie go do detektywa Hoyta przyniosło o wiele lepszy efekt, niż się spodziewałam. Myślałam, że skieruje to Hoyta na twój trop, a ja zyskam trochę czasu. Okazało się jednak, że przysłoniło to wszystkim prawdziwy problem. Że policja nie odnalazła dziecka. – Wyławiam ze słoika kolejnego pikla. – Widziałam wszystko. Winnie zostawiła telefon. Ty usunęłaś tę aplikację. Schowałaś telefon do torebki. Potem wpadłeś na mnie w drodze z łazienki, gdy miałam już wracać do domu. Powiedziałaś: „Chodź na papierosa. Nie widziałyśmy się wieki”. Poszłyśmy na patio dla palaczy, gdzie pewien miły dżentelmen dał ci papierosa. Wypiłam kieliszek czerwonego wina, ty wypaliłaś camela lighta i wypiałaś dzin z tonikiem zaprawiony moimi ostatnimi czterema xanaxami. Pół godziny później miałam już telefon i klucz Winnie. Wierzcie mi... Ja i Joshua, w końcu razem? Nawet przez sekundę nie sądziłam, że to będzie możliwe. Gdy szłam na to spotkanie, nawet przez myśl mi nie przeszło, że go

odzyskam.

– Ale nasze spotkania... – odzywa się Francie. – Przecież przychodziłaś z dzieckiem.

– Nie. – Unoszę brwi. – W wózku miałem porcelanową lalkę. Dobrze, nie? Miło z waszej strony, że nigdy nie prosiłyście, bym dała ją wam potrzymać. Wasz egocentryzm naprawdę był mi na rękę.

– O mój Boże. Ty...

Słowa więźną Nell w gardle i przechodzą w szloch.

– Poszłam za tobą do łazienki. Próbowалаś walczyć, ale byłaś już półprzytomna. Momencik. Posłuchajcie... – Słyszę hałas na korytarzu. – Czy ktoś jeszcze ma przyjść?

– Nie – mówi Francie i podnosi kubek. – Moja herbata jest zimna. Czy mogłabym dostać jeszcze jedną?

– Oczywiście.

Kładę Joshuę na ramieniu, przechodzę nad Colette i wracam do kuchni.

– Więc przeprowadzacie się z Joshuą do Westchester? – pyta Francie, kiedy zapalam palnik. – Będzie wam tam dobrze.

– Westchester? Nie dopadną mnie w Westches... – Ale wtedy sobie przypominam. – To też było kłamstwo. Boże, jestem okropna. Nie jestem pewna, dokąd się wybieramy. Moja mama nie żyje od lat, a zamieszkanie z ojcem nie wchodzi w rachubę. Przez parę dni mieszkaliśmy na północy stanu, w domu Winnie, ale nie możemy tam wrócić.

Francie otwiera szeroko oczy.

– Czekał. Czyli...

– Nie, Winnie o niczym nie wiedziała. Ale w internecie można znaleźć wszystko, jeśli się poszpera wystarczająco długo. Na przykład policyjne zdjęcia Daniela albo twoją prawdziwą tożsamość, Nell. Jeśli ma się przy tym pamięć do twarzy i dostęp do LexisNexis. Na adres wiejskiej posiadłości Winnie Ross na północy stanu natrafiłam w policyjnym raporcie o śmierci jej matki. Byłam pewna, że nie się uda, że nie znajdę ukrytego klucza, ale oto i on. Pod doniczką. W tym samym miejscu, w którym moja mama chowała nasze. – Czuję przenikającą mnie mroczną falę, gdy myślę o tych czterech błogich dniach z Joshuą, o tym, jak byliśmy tam spokojni. – Gdyby to ode mnie zależało, nie ruszilibyśmy się stamtąd. Ale potem Hector przyszedł skosić trawnik i wszystko zrujnował.

– Hector. – Twarz Francie jest surowa. – Scarlett, nie...

– Musiałam. Widział nas. Nie wierzyłam własnym oczom, gdy wszedł do kuchni. Przygotowywałam akurat jajecznicę na śniadanie. „Dlaczego nie jesteś na Brooklynie?”, pytam. Obserwowałam go. Gdy dziennikarze zwijali się do domów, Hector szedł do Winnie. Robił jej zakupy. Sprzątał mieszkanie. Nie zamierzał jechać na północ. Nie taki był plan. No ale przyjechał. I musiał zapłacić za to cenę, tak jak teraz płaci ją Winnie. – Idę zamknąć drzwi na balkon, odciąć zawodzenie syren przeszywające powietrze. Biorę kubek Francie i wracam do kuchni, zalewając wrzątkiem nową torebkę herbaty. – Mówię to absolutnie szczerze: nigdy nie chciałam, by Winnie wylądowała w więzieniu. Ta nieszczęsna kobieta i tak już dużo w życiu przeszła. Staram się rzucić winę na innych. Wiecie, ile razy dzwoniłam na policję,

podsuwając im tropy? Facet siedzący na ławce. Przestępca seksualny z sąsiedztwa. Alma. Biedactwo. Niedługo mają ją deportować.

Stawiam czajnik z powrotem na kuchence i nagle wyczuwam za plecami poruszenie. Nell odsuwa na bok pudła, a Francie majstruje przy zamku. Zanim uświadomię sobie, co się dzieje, Daniel siłą otwiera drzwi.

– Daniel! – mówię. – Byłam pewna, że jakiś czas temu ktoś pukał. Spóźniłeś się.

– Wysyłałem ci esemesy – Daniel zwraca się do Francie.
– Zobaczyłem, że nadchodzi. Starłem się dostać do budynku, ale...
– Milknie, dostrzegając Colette na podłodze. Blednie.

– Danielu – mówi cicho Francie. – Scarlett ma Midasa.

Daniel spogląda na mnie badawczo, z dziwnym wyrazem twarzy. Gdy podchodzi, nagle wydaje się bardzo potężny. Czuję, jak zmienia się wokół nas barwa światła: pokój zasnuwa szary cień niczym chmury zakrywające słońce. Nogi się pode mną uginają, przytrzymuję się szafki, drugą dłonią tuląc główkę Joshui. Ostatni raz czułam się tak słabo pod koniec pierwszego trymestru.

– Zabrałaś Midasa? – zwraca się do mnie Daniel.

– Nazywa się Joshua.

– Joshua?

– Danielu, proszę, nie stój tak blisko mnie – mówię. – Usiądź sobie. Mamy fasolkę.

Francie staje obok niego.

– Scarlett, chcemy tylko pomóc. Mieliście ciężki dzień. Ty i maleństwo.

– To prawda – mówię. – Jest ciężko.

– Wiem. – Francie kładzie dłoń na plecach Joshui. – Jest bardzo ciężko.

Spoglądam na Daniela i mimo jego zatwardziałej miny zaczyna mi go być żal.

– Dla ciebie to musi być jeszcze trudniejsze. Bo starasz się robić to wszystko jako facet. – Wymuszam na sobie przelotny uśmiech.

– Wiem. Wykształcony, zamożny biały mężczyzna. Ale na pewno nie jest ci lekko w roli pełnoetatowego taty.

– Daj mi dziecko – rzuca Daniel.

Chwyta mnie za ramię. Jego skóra jest gładka, palce silne, właśnie tak wyobrażałam sobie jego dotyk na kobiecym ciele.

– Nie, nie oddam ci go – odpowiadam. – Masz własne.

Syreny wyją coraz głośniej, jestem przygwożdżona plecami do ściany, na schodach słycać kroki. Może to Gemma albo Yuko, ze swoją matką do jogi, Panna Spóźnialska. Ale wtedy ktoś kopniakiem wyważa drzwi i do mieszkania wpadają mężczyźni w czarnych koszulach.

Francie wypowiada imię Midasa, a Daniel kładzie ręce na Joshui. Tyle wokół krzyku, nic nie rozumiem z tego, co się dzieje.

Czuję zapach deszczu.

Jestem na klatce schodowej, z trudem pokonuję stopień za stopniem, podtrzymując brzuch, modląc się, żeby taksówka szybko przyjechała. Lędźwie przeszywa mi obezwładniający ból. Taksówkarz jest przerażony. Coś ze mnie wypływa, chyba wody płodowe. Leżę na szpitalnym łóżku, pragnąc mieć przy sobie doktora H. Grace, pielęgniarka, każe mi oddychać.

Jest tylko ból i ciemność. Wiem, że nie tak powinno być. Coś poszło źle. Wiem, że stracę Joshuę. Znowu.

– Czekaj! – wrzeszczę. Francie przytrzymuje mi ręce, a Daniel wrywa Joshuę. – Nie pozwolę wam go zabrać. Pozwólcie mi spojrzeć na jego twarz. Chcę zobaczyć, jak wygląda!

– Ręce nad głowę! – wykrzykuje Grace.

Ale to nie Grace. To policjantka.

– Proszę, nie myjcie go. Chcę go potrzymać. Kontakt ze skórą matki od razu po urodzeniu jest tak ważny. – Czuję ciężar przygniatający mi pierś. – Najważniejszy!

– Ręce nad głowę! – rzuca Grace, tym razem głośniejszym głosem, kierując w moją stronę pistolet, prosto w serce.

Kładę ręce na ścianie i zamykam oczy.

Pożegnanie.

Błądzą palcami po ścianie i sięgam po nóż przyczepiony do szyny magnetycznej. Metal jest gładki i zimny. Zaciskam dłoń na rączce; ciągnę, pola magnetyczne się rozdzielają, jedno uwalnia się od drugiego.

To wrażenie zostaje we mnie, gdy słyszę krzyk Francie; gdy widzę błysk w miejscu, gdzie ostrze noża odbija wątki promyk słońca wpadający przez balkonowe okno.

Zamykam oczy i zanim ostrze dotknie mojej skóry, przywołuję go ostatni raz.

Joshua.

EPILOG

ROK PÓŹNIEJ

DO: Majowe Mamy

OD: Twoi znajomi z The Village

DATA: 4 lipca

TEMAT: Porada na dziś

TWOJE MALEŃSTWO: 14 MIESIĘCY

Z okazji dzisiejszego święta mamy dla Was poradę o tym, jak ogłosić niepodległość. Czy zauważyłaś, że gdy tylko znikniesz z zasięgu wzroku, Twój dotąd nieustraszony mały mężczyzna nagle zaczyna się wszystkiego bać? Słodka psina sąsiada jest teraz przerażającym drapieżnikiem. Cień na suficie bezrękim upiorem. To normalne, że Twój maluch zaczyna wyczuwać zagrożenia w otaczającym świecie. Twoim zadaniem jest pomóc mu zapanować nad tymi lękami, przekonać go, że jest bezpieczny nawet wtedy, gdy Cię nie widzi, że mama zawsze będzie go chronić, choćby walił się świat.

Winnie zakłada ciemne okulary i wciska krótkie włosy pod bejsbolówkę, a potem wychodzi do małego ogródka. Pośpiesznie przechodzi na drugą stronę ulicy, z głową spuszczoną ku ziemi, walcząc z wiatrem.

Przy wejściu do parku stoi mężczyzna w cylindrze, u stóp ma

wzmacniacz, do obu rąk przyczepione marionetki, a przed sobą rząd dzieci, wpatrujących się w niego z podziwem. Podmuch wiatru zrywa mu z głowy kapelusz. Winnie odwraca się od ludzi, kierując w przeciwną stronę, idzie chodnikiem ku wyrwie w kamiennym murze. Pcha wózek przez żwir, potem pod łukiem, a gdy wchodzi na górę i stawia stopę na szerokim trawniku, zwalnia, lustrując wzrokiem tłum. Dwie młode roześmiane kobiety w stanikach bikini leżą na brzuchu, z kubkami mrożonej kawy w dłoniach, obok stron „New York Timesa” rozpostartych przed nimi na trawie. Nieopodal rozgrywa się mecz piłki nożnej, tuzin mężczyzn z nagimi torsami biega, wzbijając tumany kurzu, krzycząc coś do siebie po kreolsku. Winnie zauważa je w oddali, tam, gdzie mówiły, że będą – na kocach pod wierzbą.

Przechodzi przez trawnik, odwracając wzrok od kwitnącego derenia po lewej stronie, pod którym zebrało się z tuzin osób; w powietrzu unoszą się czerwone, białe i niebieskie balony przywiązane do nóg plastikowego stolika. Pamięta, jak siedziała pod tym drzewem – drzewem jej matki – rok temu. Nie postawiła nogi w tym parku od tej nocy, kiedy przyszła tu po wyjściu z Wesołego Lamy – najpierw bląkając się bez celu po ulicach, a potem zmierzając już w określonym kierunku. W powietrzu zerowały komary, poczuła zmęczenie duchotą tej gorącej lipcowej nocy. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami, opierając plecy o sękaty pień. Zaczęła pisać list do matki.

Robiła tak od lat: przychodziła tu z oprawionym w skórę notesem, który znalazła w noc śmierci Audrey, zapakowany w srebrny papier i zostawiony dla niej na stole w jadalni. Dedykacja

na pierwszej stronie, napisana delikatnym pismem matki, już prawie zupełnie wypłowiła: Choć kończysz dziś osiemnaście lat, dla mnie na zawsze pozostaniesz małą córeczką. Wszystkiego najlepszego, Winnie.

Winnie pisała do swojej matki, ilekroć potrzebowała jej o czymś opowiedzieć: o tym, że odeszła z Niebieskiego ptaka, że zerwała z Danielem. Że za część rodzinnych pieniędzy założyła fundację na rzecz młodych tancerek. Że Archie Andersen trafił do więzienia, w końcu, w tym samym tygodniu, kiedy jej ojciec, przebywający w podróży służbowej w Hiszpanii, zmarł na atak serca. Pod tym samym dereniem Winnie pisała do Audrey dwa lata temu: że się udało, znalazła dawcę nasienia. Będzie miała dziecko.

Tego wieczoru, gdy zniknął Midas, z początku nie planowała, że pójdzie pod drzewo matki, ale jak tylko przyjechała Alma, wiedziała, że woli być sama niż w zatłoczonym barze. Zakradła się do pokoju Midasa, ucałowała śpiącego synka na dobranoc i wzięła z półki notes. Jakiś czas potem, gdy niebo rozbłyskiwało fajerwerkami, ze łzami szczęścia spływającymi po policzku opisywała w świetle parkowej latarni, jakie dobre i spokojne ma dziecko. Jak cudnie pachnie jej syn i jak mały się wydaje, gdy trzyma go w ramionach, że oczy ma po Audrey, do tego stopnia podobne, że jak czasami w nie patrzy, ma wrażenie, że widzi ją, matkę.

Grupka ludzi nieopodal zaczyna śpiewać Sto lat i Winnie zauważa Nell machając do niej ręką. Przyspiesza kroku, starając się odgonić wspomnienie tamtej nocy. Dopiero gdy podchodzi do koców rozłożonych na ziemi, zdaje sobie sprawę, że się myliła. Nie

zna tych kobiet.

– Cześć – odzywa się jedna z nich. – Możemy ci jakoś pomóc?

– Winnie! – Francie macha do niej spod drzewa dalej. – Tutaj!

Z tyłu za nią Colette i Nell układają na kocu pudełka z prezentami. Beatrice, Poppy i Will bawią się obok w piasku.

– Przepraszam – mówi Winnie do kobiet, a Francie podchodzi do niej, z malutką Amelią, zaledwie dwutygodniową, śpiącą w chuście na jej piersi.

– Jesteś – mówi Francie. Winnie wyczuwa ulgę w jej głosie.

– Naprawdę się cieszę, że przyszłaś.

Winnie idzie za nią na koce.

– Straciłyśmy nasze drzewo – odzywa się Colette z uśmiechem.

– Przejęły je młodsze mamy – dodaje Nell. – Na szczęście żadna z nas nie wie, jakie to uczucie. – Kiwa głową w stronę Colette, która wyjmuje z torby talerze i serwetki. – Po raz piąty powtarzam: pozwolisz, że ja się tym zajmę?

Colette odpycha dłonie Nell.

– Dam radę udźwignąć serwetki – mówi. – Tak się składa, że po raz ostatni byłyśmy wczoraj z Poppy u fizjoterapeuty. Mała rozwija się jak najbardziej prawidłowo i... – kładzie dłoń na swoim boku, na miejscu dawnej rany – ja też już dochodzę do siebie.

Francie obserwuje Winnie.

– U ciebie wszystko dobrze?

– Tak, świetnie.

– Wychodzisz czasem z domu?

Po alejce za drzewami śmiga para na rolkach.

– Czasami.

Colette otwiera wieczko dużej puszkę z ciastkami.

– Masz ciastko z... pomarańczowym kwadracikiem? – pyta ją Nell.

– To miał być dom. – Colette zlizuje lukier z palca. – Sama je zrobiłam.

– Żartujesz? Nigdy bym nie zgadła.

– Domek jest ekstra – rzuca Francie. – Jak spod linijki. Lowell rozpowiada, że kupiliśmy czteropokojowe mieszkanie, ale przesadza, chyba że sądzi, że da się spać w szafie. Ogromnie miło z waszej strony, dziewczyny. – Wyjmuje chusteczkę. – Ach, te hormony. Zapomniałam, jak łatwo się człowiek wzrusza przy noworodku. – Wydmuchuje nos. – Będę za wami tęskniła.

Nell się śmieje.

– Francie, Long Island było ci pisane. Do Gwiazdki wybiorą cię tam na burmistrza. Chociaż nabrałaś takiego rozpędu, że wtedy będziesz już miała chyba z szóstkę pociech.

– Mama, puśćij. – Midas podnosi wzrok na Winnie, wierząc się pod szelkami wózka i wskazując palcem inne dzieci.

Winnie wypina go, a mały staje na ziemi i biegnie do piachu dołączyć do pozostałych dzieci.

Colette rozdaje pokrojone ciasto i przez jakiś czas jedzą w milczeniu.

– Nie wiem, czy chcemy o tym rozmawiać – zaczyna Colette – ale ja chciałabym to z siebie wyrzucić. Oglądałam ten program wczoraj wieczorem.

– Tak myślałam – odzywa się Nell. – Ja też go widziałam. – Zerka na Winnie. – Możemy o tym mówić czy lepiej nie?

Winnie się uśmiecha.

– W porządku.

Ona też go obejrzała: „Mały Midas. Z Patricią Faith o trudach nowoczesnego macierzyństwa”. Dwugodzinne wydanie specjalne, nadawane w godzinach największej oglądalności, w rocznicę porwania Midasa.

Daniel zjawił się u niej wczoraj późnym popołudniem, z torbą hamburgerów i sześciopakiem piwa. „Nie wiem, czy chcesz to oglądać – powiedział. – Ale jeśli tak, to zostanę i obejrzę z tobą”.

Większość szczegółów i tak już zresztą znała. Mark Hoyt złożył jej wizytę kilka dni po odnalezieniu Midasa i opowiedział o wszystkim, do czego przyznała się Scarlett. O śmierci płodu. O tym, jak po powrocie ze szpitala godzinami siedziała w swoim mieszkaniu, obserwując Winnie przez lornetkę, rojąc sobie, że Midas jest jej dzieckiem. Jak rozpowiadała kłamstwa o depresji Winnie i jak zapłaciła ślusarzowi trzysta dolarów, by włamał się do jej samochodu, twierdząc, że należy do niej, i zostawiła w środku kocyk Midasa.

– Przeprowadziła wywiad ze Scarlett – mówi Colette. – Serce się kraje.

Francie przestaje przeżuwać.

– Żartujecie? Nie byłam w stanie tego włączyć.

– Odwiedziła ją w szpitalu. Scarlett nadal jest na oddziale psychiatrycznym, ale jakoś pozwolili Patricii wejść do niej z kamerzystami, i to na całą godzinę. Chyba przekazała pokaźną darowiznę na rzecz więzienia.

Nell kręci głową.

– Czy Scarlett ma kogoś, kto się nią opiekuje?

– Ja staram się już o tym nie myśleć – kwituje Francie. – Gdy Amelia się rodziła, przez cały czas miałam przed oczami Scarlett. Macie pojęcie? Leżeć tam, nie wiedząc, co się dzieje. Dokąd zabrali twoje dziecko. A potem usłyszeć...

– To po prostu niewyobrażalne – mówi Colette.

– Gdy dali mi na ręce Amelię, cały czas pytałam pielęgniarki, czy wszystko z nią dobrze. Czy oddycha. Musieli mi kilka razy powtarzać, że jest cała i zdrowa. Dopiero wtedy pozwoliłam sobie uwierzyć, że moje dziecko naprawdę jest ze mną.

– Powiedziała Patricii, że najbardziej żałuje tego, że przeżyła próbę samobójczą. – Colette spogląda w stronę młodych matek siedzących pod wierzbą. – I że zabierała tę lalkę w wózku na place zabaw i zajęcia muzyczne. Nikt nigdy nie zauważył, że to nie jest prawdziwe dziecko.

Winnie dźga widelcem ciasto.

Czy czasami rzeczywistość miesza ci się z fantazją, Winnie?

Czy miewasz myśli samobójcze?

Przejrzeliśmy twoją historię medyczną. Po śmierci matki przeszłaś ciężkie załamanie nerwowe. Przykro nam o to pytać, ale czy kiedykolwiek myślałaś o zrobieniu Midasowi krzywdy?

– Nie byłam w stanie obejrzeć tego w całości – mówi Nell. – Te opowieści o znęcającym się ojcu. A ten terapeuta, z którym zaszła w ciążę? Co za potwór.

Wszyscy przekonywali ją, by wychodziła – Majowe Mamy, Daniel, pediatra – twierdząc, że kilka godzin przerwy w opiece nad Midasem dobrze jej zrobi. Ale ona nie chciała przerwy.

– Odkryłem taką aplikację na telefon – powiedział Daniel dzień wcześniej, gdy jedli kanapki w parku. – Nazywa się „A kuku!”. Będziesz mogła cały czas mieć go na oku. Myślę, że oni mają rację, Winnie. Przerwa dobrze ci zrobi.

Ale przecież zostawiła telefon na stole, razem z kluczami. Czuje, jak wzbierają w niej wyrzuty sumienia. Zamyka oczy, widzi się przy barze: zamawia kolejną mrożoną herbatę. Daniel właśnie rozmawiał z Lucille przez telefon i okazało się, że Autumn cały czas płacze, więc musi wrócić do domu, a potem podchodzi ten facet, nachyla się zbyt blisko, obejmuje ją w talii. Jego zjęczyły oddech, ogłuszająca muzyka, napierający tłum młodych kobiet i mężczyzn.

Musiła stamtąd wyjść.

Tak po prostu czuła.

Siedziała oparta o drzewo, z notesem na kolanach, patrząc na fajerwerki po drugiej stronie trawnika. Nagle usłyszała syreny policyjne. Wiedziała od razu, tak jak wtedy, przed dwudziestu laty, spojrzawszy w oczy policjanta, który stanął w jej drzwiach: „Stało się coś niedobrego”.

Gorączkowo szukała telefonu w torebce, pragnąc usłyszeć od Almy, że z Midasem wszystko dobrze. Piekący ból w piętach, buty trące o naskórek, pędzi w górę kamienną ścieżką, a potem zbiega w dół chodnikiem, w uszach dudni jej echo własnych kroków. Drzwi zastała otwarte, w domu była już policja, potem zaczęli zadawać jej pytania. Gdzie była? Czy ktoś widział, jak wychodzi z baru? Czy wie, kto mógłby chcieć skrzywdzić Midasa?

– No dobra, dość już o tym – mówi Colette. – Mam coś dla was.

- Wyjmuje z torby zbindowane wydruki i rozdaje przyjaciółkom.
- Moja powieść.

Nell z entuzjazmem chwyta swój egzemplarz.

– Skończyłaś ją? – pyta.

– Gdy po operacji każą ci spędzić dwa miesiące w łóżku, ma się dużo czasu na pisanie – odpowiada.

Nell przerzuca strony.

– Nie mogę się doczekać. Co na to wydawca Charliego?

– Nie chciałam nic mówić, dopóki nie miałam pewności, ale spodobała się jej. – Oczy Colette lśnią z podekscytowania. – Chcą ją wydać.

Wiatr przybiera na sile, a Francie piszczy z radości, gdy Nell odkorkowuje butelkę szampana.

– Powinnam była kupić dwie – mówi.

Nalewa każdej z matek do plastikowego kubeczka, potem wszystkie się nimi stukają, a spod wierzby, pod którą zgromadziły się młode matki, dobiegają salwy śmiechu.

– Cały czas prześladuje mnie ta myśl – mówi kobieta w czerwonej letniej sukience. – Na przykład wczoraj byłam u manikiurzystki i nagle spanikowałam, bo wydało mi się, że zostawiłam dziecko zamknięte w samochodzie na chodniku przed salonem. A przecież została w domu pod opieką teściowej. Zmarnowałam sobie paznokcie. Chyba dostaję obłądu.

Francie spogląda w ich stronę i śmieje się cicho.

– Świeżo upieczone mamy. – Wyjmuje Amelię z nosidełka.

– Moje biedne plecy. Która z was chce ją potrzymać?

– Ja – odpowiada Colette, sięgając po niemowlę.

Zatapia usta w ciemnych loczkach dziewczynki.

– Powiedzcie, czy jest na świecie coś słodsze niż zapach malutkiego dziecka?

– Aha. To ciasto. – Francie obrzuca Nell spojrzeniem.
– Zamierzasz to teraz całe przeczytać?

Nell odkłada maszynopis Colette na koc obok siebie.

– Nie. Dopiero jutro. Jadę pociągiem do Waszyngtonu.
– Odgarnia do tyłu włosy, które sięgają teraz ramion i odzyskały naturalny kolor. – Mamy konferencję poświęconą płatnemu urlopowi wychowawczemu. – Minęło kilka miesięcy, odkąd Nell odeszła z Simon French Corporation, by zostać dyrektorem wykonawczym w organizacji Kobiety na Rzecz Równości. – Posłuchajcie tego – mówi.

Winnie stara się słuchać, ale trudno jej się skoncentrować – jej uwagę przyciągają matki pod wierzwą. Kobieta w czerwonej sukience właśnie wstała z koca i idzie w kierunku wózków stojących nieopodal.

– Widziałyście ten wczorajszy artykuł? – woła do koleżanek, zaglądną do wózka. – Podobno zawijanie dziecka w becik może spowodować nagłą śmierć łóżeczkową.

– Bzdura. W książce, którą czytam, piszą coś zupełnie przeciwnego.

Winnie odwraca się plecami do Francie, która sięga po kolejny kawałek ciasta, ale jej dłoń z nożem zastyga w powietrzu, bo nagle z tyłu wybucha jakieś poruszenie.

Jakaś kobieta na środku trawnika woła swoje dziecko.

– Lola! – Kobieta obraca się wokół własnej osi z dłońmi

złożonymi w rulon przy ustach.

Podbiega do niej mężczyzna.

– Nigdzie jej nie ma.

– Lola! – woła kobieta, przekrzykując wiatr. – Była tutaj jeszcze minutę temu.

Winnie spogląda na Midasa. Jest przy stolikach piknikowych, obiema rękami dłubiąc w piachu.

– Lola!

– Co się dzieje? – pyta Colette, zerkając w kierunku pary.

– Tam – odpowiada Nell, wskazując na wzgórze. – Tam jest ich córka.

Winnie dostrzega w oddali dziewczynkę, która biegnie ku drewnianej ścieżce, oddalając się od wołających.

Colette zrywa się na nogi.

– Musimy po nią iść.

– Tak, szybko. Idziemy. – Francie upuszcza nóż do ciasta i sięga po Amelię. – Dajcie mi małą.

– Lola!

Winnie czuje jakiś ruch: po kocu przebiega mały brązowo-biały spaniel, z pękniętą piłeczką tenisową w pysku. Para upada na kolana, łapiąc psa, który wskakuje między nich, radośnie trącając pyskiem ich brody i piersi.

– Ostatni raz cię spuściliśmy – mówi mężczyzna, przypinając mu smycz do obroży.

Colette siada z powrotem na kocu, twarz ma całą purpurową. Śmieje się w wymuszony sposób.

– Rany, o mało nie dostałam zawału.

Kobiety milczą. Po chwili Nell sięga po paczkę zapakowaną w papier podarunkowy leżącą na kocu.

– Proszę. – Turla ją w kierunku Francie. – Otwórz.

Francie odpakuje prezent – kosztowny zestaw miedzianych miseczek – a Winnie stara się opanować drżenie rąk. Odstawiając kubek na trawę, dostrzega w oddali jakąś postać.

To kobieta, stoi na ocienionej alejce, tuż za kręgiem matek. Nosi ciemne okulary, ma czarną bluzkę i kapelusz z szerokim rondem. Zerka to na krąg matek pod wierzbą, to na miejsce, gdzie bawi się Midas.

– Szczerze mówiąc, ta przeprowadzka okazała się bardziej stresująca, niż się spodziewałam – mówi Francie, sięgając po kolejny prezent. – Mam nadzieję, że mnie odwiedzicie.

– Nie martw się. Masz to jak w banku – rzuca Colette. – Prawda, dziewczyny?

– Tak – odpowiada Winnie.

Nie widzi twarzy kobiety, ale spod kapelusza wystają znajome bujne kasztanowe włosy. Znajomy ostry zarys szczęki.

To nie ona. To nie może być ona.

Francie odkłada na bok kołderkę z wyhaftowanym imieniem córki, prezent od Winnie, i wyjmuje z torby butelkę ze smoczkiem.

– Mleko modyfikowane? – pyta Nell.

– Mówiłam ci. Tym razem obrałam inną strategię. Matka nieidealna – odpowiada Francie ze śmiechem, który w uszach Winnie brzmi nieprzyjemnie wysoko.

– Idę do toalety – oznajmia kobieta w czerwonej sukience. Rusza alejką, oddalając się od wierzby, dół jej sukienki łopocze na

wietrze. – Popilnujcie jej? – woła, odwracając głowę, ale żadna z kobiet nie słyszy. Coś sobie opowiadają. Przekazują z rąk do rąk paczkę precli.

Kobieta w kapeluszu się przygląda.

– Midas! – woła Winnie, ale chłopiec nie podnosi wzroku.

Kobieta zaczyna iść w kierunku wierzby. W stronę Midasa.

– Midas! – Winnie zrywa się na nogi.

Wiatr zrywa jej z głowy czapkę bejsbolową, biegnie do drzewa, gałązki ranią jej bosc stopy. Dopada do syna i chwytą go za ramię. Na dźwięk płaczu chłopca kobiety pod wierzbą odwracają się w stronę Winnie, dokładnie w chwili, gdy kobieta dociera na ich miejsce. Zdejmuje okulary. Winnie zauważa, że wcale nie ma na sobie czarnej bluzki, tylko chustę do noszenia niemowlęcia.

– Cześć – mówi. – Majowe Mamy? Dobrze trafiłam?

– Tak.

Midas rozciera sobie ramię.

– O, to dobrze. Bałam się, że pomyliłam grupy. – Zrzuca kapelusz i plecak z ramion, a potem wyciąga niemowlę z nosidelka.

– Jestem Greta.

– Greta! Nareszcie przyszłaś!

– Mama, boli.

Midas ma na twarzy strugi brudu rozmazanego przez łyzy.

Winnie kuca i mocno przytula syna. Kobiety pod wierzbą przerywają rozmowy i odwracają się w stronę Midasa, który zawodzi teraz przeszywająco.

– Mama, za mocno. Boli.

– Przepraszam – szepcze do niego Winnie. – Wybacz mi, synku.

– Winnie! – ktoś ją woła po imieniu. – Winnie.

Winnie, koniecznie przyjdź. Nalegamy.

Winnie, opowiedz nam swoją historię porodową.

Nie rozumiem, Winnie. Czy ktoś widział, jak pani wychodzi z baru?

– Winnie, już wszystko dobrze.

Odwraca się. Obok stoi Daniel.

– Jesteś... – mówi.

– Oczywiście, że jestem.

Daniel bierze na ręce Midasa i uśmiecha się.

– No chodź. Usiądź. Nic się nie stało.

Winnie sięga po jego dłoń. Splata palce z jego palcami i pozwala się poprowadzić z powrotem do kręgu, podczas gdy kobiety spod wierzby patrzą zaniepokojonym wzrokiem, tuląc dzieci do piersi, ich koce powiewają wokół na letnim wietrze.

PODZIĘKOWANIA

Autorka wyraża głęboką wdzięczność Billy'emu Idolowi za zgodę na wykorzystanie w powieści tekstu jego piosenki.